

KAMIL
JANICKI

WAR CHOL STWO

PRAWDZIWA HISTORIA
POLSKIEJ SZLACHTY



**WAR
CHOL
STWO**

KAMIL
JANICKI
**WAR
CHOL
STWO**
PRAWDZIWA HISTORIA
POLSKIEJ SZLACHTY

Copyright © Kamil Janicki, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski

Marketing i promocja: Aleksandra Białek-Borsuk

Redakcja: Witold Kowalczyk

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Katarzyna Dragan

Łamanie: Grzegorz Kalisiak

Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pagowska

Zdjęcie na okładce: Quagga Media / Alamy Stock Photo

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67727-15-0

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl

www.wydawnictwopoznanskie.pl

Moim chłopskim przodkom

SPIS TREŚCI

PROLOG. DŁUGI CIEŃ SZLACHECTWA

I. UPRZYWILEJOWANIE. CZYM BYŁA SZLACHTA I JAK
ZAGARNEŁA PEŁNIĘ WŁADZY W POLSCE?

II. DWÓR I FOLWARK. ŻYCIE I MAJĄTEK POLSKICH ZIEMIAN

III. NARÓD PANÓW. JAK SZLACHTA UDOWADNIAŁA SWOJĄ
WYŻSZOŚĆ I WYJĄTKOWOŚĆ?

IV. OZNAKI CNOTY. CO PANOWIE HERBOWI ROBILI, BY
ODRÓŻNIĆ SIĘ OD PLEBEJUSZY?

V. POSŁUSZEŃSTWO. MIEJSCE KOBIET W SZLACHECKIEJ
RZECZYWISTOŚCI

VI. PRYWATA. APOGEUM SOBIEPAŃSKIEJ WŁADZY
I PAŃSTWO Z PAPIERU

VII. PANOWIE BRACIA. FIKCJA SZLACHECKIEJ RÓWNOŚCI

VIII. WARCHOLSTWO. PRZESTĘPCZOŚĆ, ANARCHIA
I POGARDA DLA PRAWA

IX. ZŁOTA WOLNOŚĆ. WIELKI MIT DEMOKRACJI
SZLACHECKIEJ

X. POSPOLITE RUSZENIE. DLACZEGO SZLACHTA NIE
CHCIAŁA WALCZYĆ ZA POLSKĘ?

XI. PAŃSTWO ZE STOSAMI. GRANICE SZLACHECKIEJ
TOLERANCJI

XII. DŁUGI SEN. KONIEC SZLACHECKIEJ IDYLLI

UWAGA O NOWOŻYTNYCH PIENIĄDZACH

UWAGA O JEZYKU ŹRÓDEŁ

PRZYPISY

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

PROLOG. DŁUGI CIEŃ SZLACHECTWA

„Państwo to ja” — miał mawiać Ludwik XIV. W rzeczywistości sławne słowa nigdy nie padły z ust francuskiego Króla Słońce[1]. Z powodzeniem mógłby je jednak wypowiedzieć dowolny polski szlachcic i wcale nie byłaby to z jego strony czcza przechwałka.

Państwo polskie, a następnie zjednoczone państwo polsko--litewskie z czasów od XV do XVIII stulecia określa się często mianem Rzeczypospolitej szlacheckiej. Zupełnie słusznie. Podczas gdy w innych krajach Europy władzę dzierżyli monarchowie, zmuszeni godzić i uwzględniać interesy różnych stanów, nad Wisłą pełną kontrolę zawłaszczyła jedna tylko częśćka społeczeństwa. Naszym królom związano ręce. Chłopi nie mieli ani wolności, ani nawet statusu pełnoprawnych ludzi. Mieszczanie zostali wyzuci z wpływów i podporządkowani elicie, która pogardzała nimi i w najmniejszym stopniu nie liczyła się z ich interesem. Prawa obywatelskie w Rzeczypospolitej zarezerwowano wyłącznie dla panów herbowych, szlachciców[2].

Szlachta wybierała królów, ustanawiała przepisy, obsadzała sądy, decydowała o wojnach i podatkach, zajmowała urzędy i synekury — początkowo te najcenniejsze, z czasem niemal wszystkie bez wyjątku. System, który zrodził się nad Wisłą, był ewenementem. Badacze tematu podkreślają, że nigdzie indziej w Europie szlachta nie zyskała równie wielkich, nieposkromionych swobód i uprawnień[3]. Nigdzie też nie doszło do tak wielkiego wyobcowania elity od reszty społeczeństwa.

Polscy szlachcice, podobnie jak ci zachodni, uważali się za mądrzejszych i bardziej cnotliwych od plebejów, a więc od każdego, kto nie należał do ich grupy. Pisali, że są predestynowani do władzy i świetności. Ale to nie wszystko. Panowie znad Wisły utrzymywali też, że należą wprost do odmiennej kategorii ludzi. Mieli dysponować innymi mózgami, innym — rzecz jasna, doskonalszym — ciałem, poza tym zaś całkiem odmienną historią. Szczerze wierzyli, że są przedstawicielami własnego, szlacheckiego narodu. W myśl idei, które obowiązywały przez stulecia, za Polaka nie mógł się podawać ani żaden mieszczanin, ani tym bardziej chłop. To była kategoria zastrzeżona dla tych, w których żyłach krążyła rzekomo czysta krew szlachecka.

Zasada zupełnie zniknęła z naszej pamięci, ale przecież wciąż kształtuje tożsamość mieszkańców Rzeczypospolitej. Szlachta z pełnym sukcesem zawłaszczyła polską historię i kulturę. O dziejach nowożytnych niezmiennie pisze się z perspektywy szlacheckich postulatów, obsesji, dokonań i porażek. Podręczniki szkolne na dobrą sprawę prezentują nie losy polskiego społeczeństwa, ale losy szlachty i królów. Zbiór obyczajów najwyższej warstwy to z kolei, w dość powszechnym odczuciu, kultura staropolska. Tylko z rzadka pod tą dumną

etykietą umieszcza się także jakiegokolwiek tradycje mieszczan czy tym bardziej wieśniaków. Tak zwany polski strój narodowy, utrwalony w sztuce na tysięczne sposoby, to w istocie garderoba szlachecka. Podobnie jest z narodowymi bronią, fryzurą, zarostem. Jeśli w Polsce do jakiegoś obiektu czy zjawiska dorabia się epitet „narodowy”, niemal na pewno chodzi o rzecz w mniejszym czy większym stopniu związaną z waćpanami. Pozytywne cechy, do jakich lubią aspirować Polacy, takie jak tolerancyjność, solidarność, poszanowanie wolności, równości i sztuki kompromisu, też nieprzypadkowo stanowią odbicie frazesów, którymi z rozmówianiem szafowała szlachta. Nawet gdy jest mowa o naszych narodowych przywarach, powraca argument, że odziedziczyliśmy je po ziemiaństwie^[4].

Polskość na dobre (i złe) zrosła się ze szlacheństwem. Stało się tak, chociaż w czasach nowożytnych przytłaczająca większość mieszkańców Rzeczypospolitej wcale nie szczyciła się przynależnością do warstwy uprzywilejowanej. Podobnie dzisiaj na stu Polaków najwyżej kilku naprawdę ma szlacheckie korzenie. Mimo to miliony wciąż szukają swoich ponoć zaginionych herbów, a jeszcze większa liczba twierdzi, że nosi nazwiska niby to szlacheckie, bo zakończone na „ski” bądź „cki”. Już zupełnie każdy mówi zaś do obcych ludzi z szacunkiem per „pan” — jakby miał do czynienia z samymi paniskami, właścicielami folwarków.

W 2021 roku minęło równo 100 lat, odkąd konstytucja odrodzonej, międzywojennej Polski ogłosiła pełną równość obywateli wobec prawa. Zgodnie z jej zapisami zniknęła dziedziczna elita, a herby przestały być symbolami władzy i stały się wyłącznie rodzinnymi pamiątkami^[5]. Mimo to nadal nie wyszliśmy z cienia szlacheństwa. Tyle że szlacheństwa

wymarzonego, wyidealizowanego, oglądanego z dumą przez szkła różowych okularów. Słowem takiego, które nigdy nie istniało. O tym, czym była prawdziwa szlachta, jak zagarnęła Polskę, jak korzystała ze swojej nieposkromionej władzy i jaki ogląd świata narzuciła całemu społeczeństwu, pisze się zaskakująco rzadko.

Według znawców tematu poza Rzeczpospolitą nie sposób wskazać kraju, w którym obyczaje szlachty wywarły porównywalny wpływ na powszechną kulturę i tożsamość[6]. Wydarzenia mogły się jednak potoczyć inaczej. W pierwszych wiekach naszej historii przejęcie pełnej kontroli przez jedną, względnie wąską warstwę, przekonaną o swej wyjątkowości, nie było przesądzone. Nie wydawało się nawet prawdopodobne.



Szlachcic polski. Akwarela Konstancji Głogowskiej z początku XIX wieku.

I. UPRZYWILEJOWANIE. CZYM BYŁA SZLACHTA I JAK ZAGARNEŁA PEŁNIĘ WŁADZY W POLSCE?

Słowa „szlachta” i „szlachcic” przywodzą na myśl epokę nowożytną — czasy husarii i panów w kontuszach z przepasanymi szablami. O uprzywilejowanych mężczyznach wcześniejszego, średniowiecznego okresu myślimy z kolei raczej jako o „rycerzach”, zupełnie jakby w pewnym momencie jedna grupa zniknęła, a inna zajęła jej miejsce. Dzisiejsze zwyczaje językowe niewiele mają jednak wspólnego z historyczną rzeczywistością.

Wbrew pozorom wyrazy „szlachta” i „szlachcic” nie zrodziły się w dobie Rzeczypospolitej szlacheckiej. Funkcjonowały w języku polskim już wcześniej, za panowania dynastii Piastów. Co zaś do określenia „rycerz”, nie jest ono wcale zauważalnie starsze, a może nawet młodsze. Przez zdecydowaną większość epoki średniowiecznej wcale go nad Wisłą nie używano.

Sprawa nie jest łatwa do naświetlenia, bo przez pierwsze kilka stuleci historii Polski właściwie wszystkie teksty były spisywane po łacinie. Miejscowe wtręty pojawiały się w nich

rzadko i niekonsekwentnie. Na podstawie skąpych materiałów językoznawcy przypuszczają, że o „szlachcie” i „szlachcicach” najwcześniej zaczęto mówić w wieku XIII, w okresie tak zwanego rozbicia dzielnicowego. Termin stał się jednak prawdziwie popularny stulecie później, może dopiero za czasów Kazimierza Wielkiego (1333–1370). Co do „rycerzy” i „rycerstwa”, źródła notują te słowa od XIV–XV stulecia. Nie oznacza to jednak, że dopiero wtedy pojawili się ludzie, którzy w naszym rozumieniu byli szlachtą bądź rycerstwem.

Uprzywilejowane grupy istniały w Polsce od zawsze. Do funkcjonowania państwa konieczna była przecież obecność zarządców, dostojników skupiających władzę na różnych szczeblach czy wreszcie wojowników trzymających w ryzach ludność i odpierających zewnętrzne zagrożenia. Ta średniowieczna elita nie miała jednak wspólnej tożsamości i nie była traktowana na równi. Jak wyjaśniał chociażby profesor Jarema Maciszewski, pierwotnie w Polsce nie rozwijał się jeden stan szlachecki, ale co najmniej kilka takich stanów wewnątrz szerokiej warstwy rządzącej.

W kronikach i dokumentach wyróżniano zwykle *nobiles* i *militēs*. Pierwszą grupę można określić po polsku mianem wielmożów. Byli to doradcy książąt, lokalni decydenci, dostojnicy dworscy, członkowie najświetniejszych rodzin o długiej tradycji. Druga to zbrojni czy też jeźdźcy, a więc dosłownie rycerze. Ludzie, których wysoki status wiązał się bezpośrednio z obowiązkiem służby wojskowej i którzy w zamian za udział w rzemiośle wojennym otrzymywali dobra ziemskie.

Na tym podziały się nie kończyły. Można było spotkać majątnych rycerzy z rozległymi włościami i rzeszą chłopskich poddanych. Byli też jednak prości *militēs*, którzy w przerwie

między wyprawami zbrojnymi osobiście uprawiali ziemię, bo nie miał kto go zrobić za nich. Wreszcie istniała i warstwa rycerstwa służebnego, uzależniona od możnych, zbiedniała, której członkowie nie zawsze uchodzili nawet za wolnych ludzi.

Każda z wymienionych grup cieszyła się innymi uprawnieniami. W statutach, jakie Kazimierz Wielki w połowie XIV wieku wydał dla Małopolski, elity podzielono ogółem na trzy warstwy. Kara za zabicie przedstawiciela najwyższej z nich wynosiła 2880 groszy, odpowiednik około 200 tysięcy złotych w dzisiejszych pieniądzach. Głowa rycerza z drugiej grupy była według prawa warta 1440 groszy, a z trzeciej — zaledwie 720, a więc 50 tysięcy naszych złotych. W statutach pierwszą — i tylko pierwszą — grupę określono mianem „szlachty”. W tym czasie było to więc chyba słowo zastrzeżone dla wyższego rycerstwa i możnych. Z kolei o najniższej warstwie, *milites*, mówiono u schyłku średniowiecza „włodycy”. Istnienie podobnych szczebli uprzywilejowania potwierdzają także dokumenty z Mazowsza. Tam życie pełnoprawnego rycerza było warte o niemal 150 procent więcej niż życie *miles qui non est nobilis* — rycerza „nieszlacheckiego” czy też włodyki albo „włodyki pospolitego”.

Opisane podziały odpowiadały europejskim normom. Były czymś zwyczajnym i oczekiwanym. O ile jednak w krajach Zachodu różnice tylko się zaostrzały, a przedstawiciele rycerstwa z czasem zyskiwali precyzyjne tytuły lokujące ich na drabinie różnorodnych baronów, hrabiów czy markizów, o tyle w Polsce sprawy niespodziewanie zaczęły zmierzać w przeciwnym kierunku. U schyłku średniowiecza przedstawiciele ogromnie zróżnicowanej elity złączyli się w jedną grupę szlachty, całkowicie równą, przynajmniej w świetle prawa^[7].

Zmiana nie nastąpiła z dnia na dzień czy nawet z dekady na dekadę. Nie opierała się na decyzji któregoś z królów ani na wspólnym postanowieniu rycerzy zebranych na jakimś ogólnopolskim zjeździe. Tym bardziej nie da się jej ściśle powiązać z modą na konkretne słowo. Od schyłku XIV wieku coraz częściej pisano o wszystkich członkach elit, że to szlachcice. Ale w innych źródłach nazywano ich też rycerzami lub stanem rycerskim. Nie było więc tak, że podzielone rycerstwo ustąpiło miejsca jednolitej szlachcie. Mimo to warto się pochylić nad słowem, które z czasem na dobre przyłgnęło do polskich elit. Jego pochodzenie zdaje się zdradzać całkiem sporo o tym, jak przedstawiciele najwyższych warstw postrzegali samych siebie.

Z pozoru trudno wyobrazić sobie wyraz brzmiący bardziej polsko i słowiańsko niż szlachcic. Określenie szeleści niemal jak Szczebrzeszyn. Dla wielu wczesnych badaczy języka samo brzmienie stanowiło wystarczający argument. Słyszając „sz” i „chci”, usilnie szukali rodzimego źródłosłowu. Jeszcze na początku XX wieku z powagą twierdzono, że termin należy wiązać wprost z Lechitami. Legendarny założyciel państwa polskiego Lech miał dać początek określeniu szlachcic (sz-lech-cic), a od nazwy Lachów, czyli Prapolaków, miał ponoć zostać urobiony wyraz szlachta. W myśl innej koncepcji „szlachta” brała się od „sławy” lub konkretniej „sławienia”. Proponowano też bardziej fantazyjne rozwiązania zagadki. Ktoś na przykład powiązał szlachectwo ze... słowiańskim zaginionym określeniem końskiej uprzęży.

Dzisiaj wiadomo już, że wszystkie te objaśnienia są błędne. Współcześni badacze zgadzają się, że wyraz szlachta nie narodził się wcale nad Wisłą czy nawet na obszarze Słowiańszczyzny. Został zapożyczony z Zachodu, podobnie jak

wiele innych terminów odnoszących się do średniowiecznego systemu władzy. Polskie słowo „rycerz” pochodzi od niemieckiego *Ritter*, herb wziął się od niemieckiego *Erbe*, a lenno od niemieckiego *Lehen*. Także wyraz szlachta miał swój prawzór na obszarze Rzeszy. Nie ma tylko zgody co do tego, jaki dokładnie.

W ostatnich dekadach językoznawcy i historycy poświęcili tej sprawie łącznie setki, jeśli nie tysiące stron analiz i dyskusji. Według najnowszej hipotezy profesora Tomasza Czarneckiego u podstaw słowa „szlachta” stał niemiecki wyraz *Slächte*, używany na określenie ludzi „uprawnionych” — a więc obdarzonych specjalnymi zaszczytami, godnościami i przywilejami wynoszącymi ich ponad resztę społeczeństwa. Z kolei profesor Ambroży Bogucki stanowczo twierdził, że szlachta wzięła się od również niemieckiego *Slahte*. Pierwotny wyraz miał oznaczać „ród”, a nad Wisłę dotarł za pośrednictwem czeskim[8].

Obie interpretacje brzmią prawdopodobnie, przynajmniej z perspektywy historycznej. Zdobycie dla siebie szczególnych przywilejów i większej niezależności od tronu było stałym dążeniem rycerstwa. Fakt, że jakiś właściciel ziemski dostał zgodę na przykład na to, by osobiście sędzić swych poddanych albo decydować, który Kościół otrzyma dziesięcinę zebraną z majątku, stanowił widomy dowód przynależenia do elity. „Uprawnienie” mogło więc jak najbardziej stać się ogólną wizytówką stanu rycerskiego.

Nie mniejsze było znaczenie tradycji rodowej. Na ziemiach polskich ukształtowała się ona w sposób bardzo odmienny od tego, który znano na Zachodzie. I nie brakuje badaczy, którzy sądzą, że właśnie specyficzny nadwiślański system herbów, zawołań i organizacji rodowej przyczynił się do stworzenia tak

niezwykłych przekonań o równości i wspólnocie wszystkich szlachciców.

Oznaki wyjątkowości. Zawołania, rody, herby

Przez większość średniowiecza przedstawiciele elit nie mieli jeszcze tych wszystkich cech, które dzisiaj nieodłącznie kojarzą się z rycerstwem czy szlacheństwem. Typowy polski *miles* z roku 1100, 1200 albo nawet 1250 nie używał herbu, nie miał szlacheckiego nazwiska, niekoniecznie szczyił się nazwą rodu, a już tym bardziej nie był „pasowany” na rycerza, bo ten zwyczaj nad Wisłą nigdy nie zdobył szczególnej popularności.

Wydaje się, że najstarszym sposobem, w jaki polscy wojownicy rozpoznawali się wzajemnie i zbierali w grupy, były ustne zawołania: proste hasła wykrzykiwane w potrzebie lub na polu bitwy, by w jednym miejscu zgromadzić zbrojnych, czy to z danego regionu, czy podległych konkretnemu panu. Większość znanych zawołań nawiązywała do imion lub przydomków, jak choćby „Gierałtowie” od imienia Gerard czy „Pirzchała” od pirzchania, czyli wpadania w gniew. Inne hasła dotyczyły miejsc („Nałęcz”, jak jezioro, „Opole”, od grodu) albo przedmiotów („Laska”, „Kiczka”). O dziwo, najrzadziej zdarzały się dewizy czy wezwania, jak „Na pole” lub „Biją w łeb”.

Zawołania nie zawsze były stałe. Znane są przypadki, gdy jedna grupa wojów wzywała się na kilka różnych sposobów. Z czasem jednak wybrane hasła zapadały w pamięć, stawały się elementem tradycji. Wiele z nich dało początek nazwom rodów.

Ród wśród polskiego rycerstwa nie był tym samym, co rodzina. Oznaczał wspólnotę zawołania, potem zaś nazwy i znaku, ale tylko w rzadkich przypadkach — wspólnotę krwi. Członkowie danego rodu mogli pochodzić z tego samego sąsiedztwa albo mieć za sobą zwyczaj walki w jednej drużynie wojskowej czy też pod wspólną chorągwią. Nie byli natomiast co do zasady swoimi wujami i kuzynami. Przykładowo do rodu Jastrzębców należało aż trzysta sześćdziesiąt różnych rodzin. Z kolei za Toporczyków podawali się protoplaści późniejszych spokrewnionych rodzin Tęczyńskich, Ossolińskich czy Tarłów, ale też Pałukowie, których z pozostałymi rodowcami nic nie łączyło. Dopiero z upływem wieków, gdy prapoczątki rodów uległy zatarciu, szlachcice zaczęli doszukiwać się krewniactwa u każdego, kto szczyił się tą samą nazwą i wspólnym zawołaniem.

Takie rozumienie rodów przełożyło się także na specyfikę polskich herbów. Herb był jak gdyby kolejnym krokiem w ewolucji sposobów rozpoznawania sojuszników na polu bitewnym. Gdy rosła liczebność oddziałów i komplikowała się ich organizacja, a coraz cięższe uzbrojenie kamuflowało sylwetki rycerzy i skrywało ich twarze, ustne sygnały przestawały wystarczać. W zgiełku mogło się zdarzyć, że brat uderzył na brata, a zdezorientowany sąsiad natarł na sąsiada. Aby uniknąć tragicznych nieporozumień, w XII wieku zbrojni w Europie Zachodniej zaczęli umieszczać na tarczach używanych w walce osobiste znaki. Z czasem symbole te stały się dziedziczne, zaczęto je hołubić i traktować jako jeden z kluczowych wyznaczników uprzywilejowania.

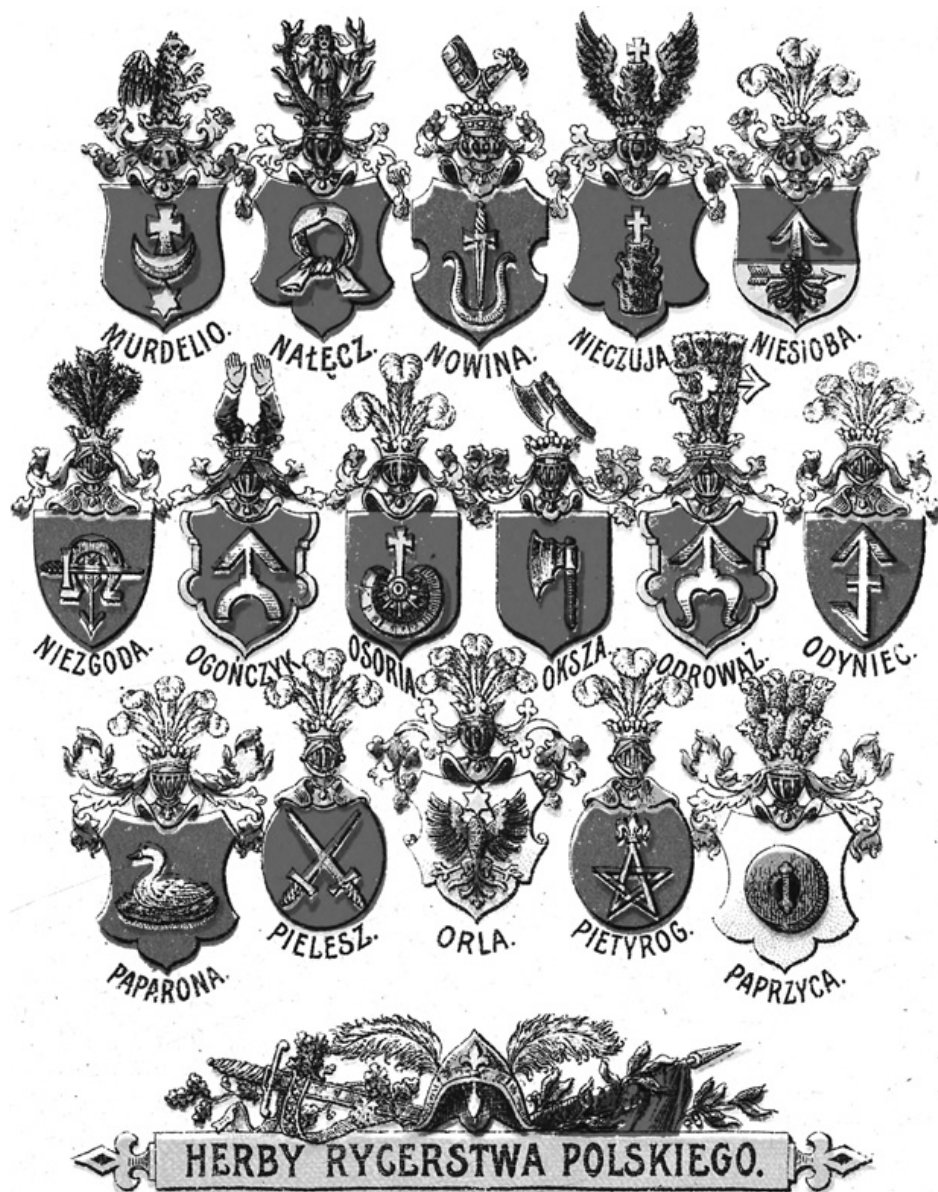
W kulturze zachodniej herb był znakiem konkretnej rodziny rycerskiej czy też szlacheckiej. Każdy dom szlachecki miał własny znak, przynależny tylko garstce bezpośrednich

krewniaków. W efekcie na przykład w Niemczech było łącznie około 200 tysięcy herbów. Jak obrazowo opowiada znawca tematu Andrzej Bebłowski, sztandarowy niemiecki herbarz Siebmachera zajmuje całą szafę okazałych rozmiarów. Aby zorientować się w jego treści, „trzeba szukać w skorowidzach, które są też dziełem wielotomowym. Doszło nawet do tego, że zrobiono skorowidz (już jednotomowy) do wielotomowego skorowidza”. Dla porównania w Polsce w wieku XV wszystkich herbów było zaledwie... dwieście siedemdziesiąt cztery. Bagatela, siedemset razy mniej.

Herby dotarły do Polski z opóźnieniem. Zaczęto ich używać w XIII wieku, chyba najwcześniej na Śląsku. W całym kraju stały się jednak powszechne dopiero w stuleciu XIV. Miały swoją wizualną specyfikę. Początkowo przeważały na nich wyobrażenia typowych, codziennych przedmiotów lub dalece uproszczonych symboli. Widywało się więc włócznie, strzały, podkowy i krzyże, ale nie gryfy, lwy czy smoki, tak popularne na przykład we Francji. Poza tym rzecz wyjątkowa i rodząca do dzisiaj niemają zamęt: herby otrzymały nad Wisłą nazwy własne, zwykle przejęte od zawołań i niemające nic wspólnego z ich wyglądem. Na przykład herb Jelita przedstawia trzy skrzyżowane włócznie, a herb Dąbrowa — nawiązujący mianem do lasu dębowego — podkowę zwieńczoną trzema krzyżami. Nawet herb Lis ma na tarczy nie wizerunek leśnego zwierzęcia, ale dwukrotnie skrzyżowaną strzałę.

Niekiedy nazwy rodów i herbów były takie same, w innych przypadkach zupełnie rozbieżne. Poza tym nowe herby, z XV czy XVI wieku, powstawały na dość różne sposoby, co z czasem tylko pogłębiało chaos. Co do zasady jednak nad Wisłą herb przynależał do bardzo szeroko rozumianego rodu. Danym znakiem posługiwali się nie tylko ojciec, syn

i wnukowie z jednego majątku, lecz także wszyscy członkowie danej wspólnoty heraldycznej, łącznie nawet tysiące szlachciców^[9].



Wybrane herby szlachty polskiej. Ilustracja z albumu heraldycznego
wydanego w 1924 roku.

Korzenie równości

Wbrew temu, co można by sądzić, polska szlachta bardzo długo przywiązywała do herbów ograniczone znaczenie. Symbole te traktowano wręcz z pewną pobłażliwością. Podczas gdy na zachodzie Europy wykształciły się szalenie złożone sposoby odwzorowywania i opisywania herbów, w Polsce raczej nie dbano o detale czy barwy. Nie zawsze też pielęgnowano herbową tradycję. W efekcie o wielu średniowiecznych polskich herbach wiemy, że istniały, ale nawet najlepsi specjaliści nie są w stanie stwierdzić, kto się nimi posługiwał, jak na nie mówiono i jak dokładnie wyglądały.

Od symbolu umieszczanego na tarczach i pieczęciach o wiele ważniejsza była świadomość przynależności do jednego rodu. Nawet zanim zaczęto tworzyć bałamutne opowieści o dawnym pokrewieństwie, polscy rycerze i możni poczuwali się do odpowiedzialności za innych mężczyzn z tej samej grupy. Zasada solidarności rodowej sprawiała, że wielcy panowie wstawiali się za biedniejszymi rycerzami, o ile ci szczylic się tym samym zawołaniem i herbem. Rody, jak podkreślają znawcy tematu, wzmacniały rycerstwo. Przede wszystkim jednak chroniły skromniejszych jego przedstawicieli przed utratą pozycji i dawały im poczucie, że pod pewnymi względami są podobni nawet do najbardziej utytułowanych krezusów.

Wielkie rody, skupiające i wielmożów, i prostych włodyków, dawały pewne podstawy, by myśleć o całej szlachcie jako o jednej grupie. Ważną rolę odegrała też specyficzna sytuacja,

w jakiej znalazła się Polska w XII i XIII stuleciu. Rozrodzenie dynastii sprawiło, że państwo Piastów, wcześniej względnie spójne, przemieniło się w luźny konglomerat niezależnych księstw. U szczytu rozbicia dzielnicowego na samym Śląsku było siedemnaście odrębnych państw. Na całych ziemiach polskich — nawet około trzydziestu. W obliczu kurczenia się zasięgu władzy poszczególnych dynastów, rosło rozzuchwalenie wielmożów. Rozczłonkowanie Polski prowadziło też jednak do brzemiennej w skutki skrócenia drabiny społecznej.

Na Zachodzie monarchowie mieli pod sobą wielkich arystokratów, ci zaś sprawowali zwierzchność nad własnymi lennikami, którzy też mogli posiadać rycerskich poddanych. Nad Wisłą poszczególne władztwa piastowskie były jednak zbyt skromne, aby dawać pretekst do tworzenia tak skomplikowanych struktur. Wielu książąt dysponowało zaledwie kilkoma zamkami i miastami; zdarzało się nawet, że z wieży swojej głównej rezydencji widzieli siedzibę sąsiada. I na pewno nie potrzebowali warstw pośredników, by efektywnie zarządzać tak niewielkim terytorium.

Praktykowano zasadę, w myśl której całe możnowładztwo i rycerstwo danego państewka, choć zróżnicowane, podlegało bezpośrednio władcy. Taki system utrzymał się też po tym, jak w XIV wieku doszło do ponownego zjednoczenia większości piastowskich terytoriów. W efekcie w późnym średniowieczu niezależność szeregowego rycerstwa od wielmożów była nad Wisłą dużo większa niż na przykład we Francji. Nie było też tylu formalnych i ugruntowanych tradycją przesłanek ku temu, by ściśle oddzielać od siebie te grupy.

Kazimierz Wielki podejmował nawet pewne starania, by wzmocnić średnie rycerstwo i z jego pomocą ugruntować

własną pozycję względem możnowładztwa. Najważniejszy impuls do powstania wspólnej kultury szlacheckiej i wyobrażeń o równości całego stanu pojawił się jednak później. Monarcha prowadził niezwykle nieuporządkowane życie osobiste. Był nie tyle bigamistą, co wręcz bigamistą do kwadratu: w pewnym momencie miał trzy żony jednocześnie. Lubił też zabawiać się w towarzystwie kochanek, a ponoć nawet utrzymywał całe prywatne haremy w rezydencjach położonych blisko stołecznego Krakowa. Miał córki, których status podważano, oraz nieślubnych synów. Nie doczekał się jednak żadnego legalnego męskiego potomka. Wraz ze śmiercią króla w 1370 roku wygasła główna linia dynastii Piastów. Był to punkt zwrotny nie tylko w historii państwa, lecz także w dziejach nadwiślańskich elit^[10].

Zgodnie z wolą Kazimierza tron przeszedł w ręce jego siostrzeńca — króla Węgier Ludwika Andegaweńskiego. Nowy monarcha, jako prawnuk Władysława Łokietka, symbolicznego zjednoczyciela Polski, uważał się za przyrodzonego spadkobiercę Piastów. Z uwagi na niezwykle słabe zdrowie i na obowiązki zatrzymujące go na południe od Karpat, unikał jednak jak ognia jakichkolwiek wizyt nad Wisłą. Aby z oddali utrzymać kontrolę nad krajem, był zmuszony, w większym stopniu niż jego poprzednicy, uwzględniać zdanie wpływowych poddanych. Dalsze układy z polskimi elitami stały się konieczne wobec braku następcy tronu. Ludwik, podobnie jak Kazimierz, nie doczekał się żadnego legalnego męskiego potomka. Podjął więc starania, by przekonać Polaków do wyniesienia na tron jednej z jego córek.

Projekt nie miał precedensu we wcześniejszej historii. Ludwik, świadomy ryzyka, że obietnice i deklaracje zostaną po jego śmierci odwołane, szukał możliwie najszerszego poparcia.

Wywalczył stosowne przysięgi od władz czołowych miast, a w roku 1374 wydał też specjalny przywilej dla szlachty. Po raz pierwszy w dziejach Polski był to dokument adresowany nie do wybranej grupy albo osobno do wielmożów i rycerzy, ale do całego stanu szlacheckiego, bez rozróżnień. Wszyscy otrzymali określone uprawnienia i wszyscy mieli w przyszłości stanowić gwarantów wyniesienia do władzy andegaweńskiej królowny.

Sławny przywilej koszycki do dzisiaj jest błędnie rozumiany i opisywany. Wbrew temu, co podają szkolne podręczniki, Ludwik nie tyle poczynił wielkie ustępstwa, co raczej uporządkował zasady, które już wcześniej były w użyciu. Przede wszystkim zaś — rozciągnął je na całe rycerstwo. Dokument zapewniał między innymi, że król nie będzie zmuszać szlachty do bezpłatnej budowy twierdz obronnych, że wykupi z rąk wroga szlacheckich jeńców pojmanyh podczas wyprawy poza granicami kraju i że kluczowe urzędy starostów będzie obsadzać tylko Polakami — a w domyśle szlachcicami. Wszystkie te reguły znano już za czasów Kazimierza Wielkiego. Węgierski monarcha potwierdził jednak, że dotyczą one nie tylko wielmożów i wysokiego rycerstwa, ale każdego, kto szczyli się herbem i przynależnością do rodu. Poza tym Ludwik uporządkował kwestie podatkowe. Z pozoru znacząco obniżył zobowiązania. W rzeczywistości raczej sprecyzował reguły i ustalił, że podatki, dawniej nieregularne, będą pobierane raz do roku. Dodatkowo jasno ogłosił, że wszyscy szlachcice są osobiście zwolnieni z opłat, a podatki w ustalonej kwocie mają płacić nie oni sami, lecz tylko ich chłopscy poddani. Co jednak najważniejsze, pozbawił samego siebie prawa do zmiany postanowień. Jakikolwiek reformy

fiskalne mogły nastąpić tylko za zgodą zainteresowanych — a więc szeroko rozumianej szlachty^[11].



Przeddziejowi szlachcice polscy będący „sprawcami tego sławnego królestwa”. Ilustracja z XVI-wiecznego traktatu Bartosza Paprockiego.

To był, jak podkreślają badacze, krok milowy^[12]. Po śmierci Ludwika w roku 1382 ośmielone średnie rycerstwo w niespotykanym wcześniej stopniu zaangażowało się w sprawy kraju. Długie, kilkunastomiesięczne bezkrólewie — zjawisko, z jakim nie spotkano się w całych dziejach państwa Piastów — wymusiło na elitach wzięcie odpowiedzialności politycznej, którą dotąd dzierżyli książęta i królowie. Zachwianiu uległy prastare normy, zgodnie z którymi Polskę traktowano niemal jak własność rodu panującego. Córka Ludwika, Jadwiga Andegaweńska, też była określana mianem „pani przyrodzonej” i dziedziczki królestwa. Jej przyjazd nad Wisłę ogromnie się jednak opóźnił. Poza tym Jadwiga była dzieckiem — koronowano ją w roku 1384 jako zaledwie

dziesięciolatkę. W praktyce o losach kraju rozstrzygały teraz szlacheckie elity. Pod ich wpływem Andegawenkę wydano za księcia Litwy Jagiełłę, który został wyniesiony na tron drogą wyboru, nie zaś z racji urodzenia.

Nić tradycji została ostatecznie przerwana w roku 1399. Gdyby Jadwiga i Jagiełło doczekali się potomstwa, ród panujący mógłby jeszcze odzyskać prestiż i formalną pozycję przynależną wcześniej Piastom. Młoda Andegawenka umarła jednak wkrótce po wydaniu na świat jedyne dziecko, prawdopodobnie na skutek gorączki połogowej. Zanim do tego doszło, ducha wyzionęła także jej córka.

Odtąd podstawą rządów Władysława Jagiełły była tylko wola elit. Król, wychowany w obcej kulturze, świeżo ochrzczony i darzony nieufnością, był zmuszony stale walczyć o wpływy i poparcie. Nie mógł się odwoływać do argumentu krwi ani do ugruntowanych zwyczajów. Przez całe jego długie, niemal 40-letnie rządy, trwało przeciąganie liny między tronem a dostojnikami państwa. Zdarzyło się nawet, że rozwścieczony własną niemocą i nasilającymi się zniewagami monarcha zagroził, że zrzeknie się tronu i powróci na Litwę.

Aby osiągnąć jakiegokolwiek ambitniejsze cele, Jagiełło musiał obłaskawiać szlachtę. Na wzór Ludwika wydawał przywileje dla całego stanu: po części po to, by uczynić ze średniego rycerstwa dodatkową podporę swojej władzy, a po części dlatego, że w następstwie aktu koszyckiego i wypadków związanych z bezkrólewem nie dałoby się już postąpić inaczej. Masy rycerskie, coraz bardziej niezależne i świadome swej siły, domagały się ugruntowania równości całej szlachty i uniezależnienia jej od jakichkolwiek zachcianek lub gróźb ze strony króla.

Jagiello nadawał szlacheckim poddanym przełomowe przywileje w latach 1388, 1422 i 1423. Każdy poszerzał uprawnienia szlachty i kurczył prerogatywy monarchy. Proces tylko przybrał na sile, gdy najjaśniejszy pan doczekał się dzieci i zaczął walczyć o następstwo tronu dla nich. Najpierw na przyszłą władczynię przewidywano córkę monarchy z drugiego małżeństwa, Jadwigę. Rozwiązanie, podobnie jak za czasów Ludwika, wymagało nagięcia norm politycznych i nie było dla króla tanie. W żyłach królowy krążyła jednak przynajmniej odrobina piastowskiej krwi — jej matka, Anna Cylejska, była wnuczką Kazimierza Wielkiego. Tego samego nie dało się powiedzieć o monarszych synach. Jagiello doczekał się męskich potomków dopiero z czwartego małżeństwa z ruską księżniczką i daleką krewną Sonką Holszańską. Był wówczas człowiekiem posuniętym w latach, przeszło 60-letnim, a zarazem jawnie zdesperowanym — gotowym zrobić wszystko, by zagwarantować, że na nim nie skończy się królewska linia.

Ceną za położenie podwalin pod nową dynastię Jagiellonów były kolejne przywileje: brzeski z 1425 roku, jedlneński z 1430, krakowski z 1433. Król zgadzał się na niemal każde żądanie rycerskich poddanych, zwłaszcza że nie mógł mieć nadziei, iż dożyje dorosłości synów. Osiągnął sukces, ale dużo większy był sukces szlachty. Jagiellonowie nie stali się dziedzicznym rodem panującym. Każdy potomek zwycięzcy spod Grunwaldu musiał zostać wyniesiony na tron w drodze elekcji. Tym samym każdy coraz bardziej i bardziej zależał od elity[13].

Szlacheckie przywileje

Suma ustępstw, jakie Jagiełło poczynił na rzecz szlachty, była imponująca. Oto najważniejsze z nich.

Król ostatecznie zwolnił rycerskich poddanych z jakichkolwiek danin i świadczeń, poza tak zwanym podatkiem poradnym, ustanowionym za czasów Ludwika Andegaweńskiego. Wobec stale postępującej inflacji faktyczna wartość tego podatku kurczyła się z dekady na dekadę. Wynosił on 2 grosze od jednego łanu (ok. 17 hektarów) ziemi rolnej uprawianej przez chłopą. Taka stawka nigdy nie uległa zmianie. W przybliżeniu można oszacować, że za czasów Ludwika Andegaweńskiego opłata była równa dzisiejszym mniej więcej 7 złotym od hektara. U schyłku panowania Władysława Jagiełły wynosiła w przeliczeniu około 5 złotych, a na początku wieku XVII ledwie naszą złotówkę. Tak mało, że coraz częściej władze zupełnie odstępowały od poboru poradnego, bo korzyść była niewspółmierna do wysiłku. A przecież wypada przypomnieć, że płacono tylko za ziemię chłopską. Hektary należące bezpośrednio do gospodarstw szlacheckich — folwarków — nie były obłożone jakimkolwiek, nawet najskromniejszym stałym podatkiem.

Kolejnym kluczowym ustępstwem było zastrzeżenie wszystkich urzędów i dostojenstw obsadzanych przez króla dla szlachty, a w wypadku lokalnych tytułów tylko dla szlachty z danego regionu. Formalnie do władzy państwowej nie mogli być już dopuszczani ludzie pozbawieni herbu.

Za panowania Litwina szlachta uzyskała także nietykalność: zarówno osobistą, jak i majątkową. *Neminem captivabimus nisi iure victum* — brzmiało zobowiązanie króla. W dosłownym przekładzie na polski: „Nikogo nie uwięzimy, kto nie zostanie pokonany prawem”. Bez wyroku sądowego władca nie miał

odtąd możliwości ani wtrącić szlachcica do lochu, ani skonfiskować jego dóbr. Wyjątek zastrzeżono tylko dla przypadków, gdy szlacheckiego zbrodniarza schwytano na gorącym uczynku, na szczególnie obmierzłych czynach: morderstwie, gwałcie, podpaleniu lub grabieży. W praktyce najostrzejsza krytyka tronu, która za granicą uchodziłaby za akt obrazy majestatu, w Polsce Jagiełłowej była tolerowana. Poważnej kary nie poniósł nawet osobisty sekretarz monarchy po tym, jak nazwał go w politycznym paszkwilu zniedołężniałym starcem, a o nielubianej królowej Elżbiecie z Pilczy napisał, że jest „śmierdzącą maciorą”.

Jagiełło wyrzekł się również prawa do samodzielnego wzywania szlachty do walki, a więc do zwoływania tak zwanego pospolitego ruszenia. Nie mógł własną decyzją prowadzić armii poza granice. W razie takiej kampanii szlachcie należało się zresztą, na mocy nowych swobód, wynagrodzenie w okazałej kwocie. Szlachcice mieli też odtąd być wykupywani z niewoli nie tylko w wypadku wojen zagranicznych, lecz także wtedy, gdy konflikty toczono na polskiej ziemi. Ponawiane konfrontacje z zakonem krzyżackim pokazały, że było to zobowiązanie kosztowne i problematyczne^[14].

Umierając w roku 1434, Władysław Jagiełło cieszył się zaledwie ułamkiem władzy, którą przed niespełna stuleciem posiadał Kazimierz Wielki. Stracił większość narzędzi nacisku na elity, sam zaś nie mógł swobodnie rządzić bez ich wsparcia. Jakiegokolwiek nadzwyczajne podatki wymagały zgody rycerstwa, podobnie każda wyprawa zbrojna. W sytuacji, gdy do władzy dopuszczano formalnie wyłącznie szlachtę, a krytyka dworu nie powodowała konsekwencji, dalsze ustępstwa były właściwie nieuniknione. Najwięcej poczynił ich

młodszy syn Jagiełły, Kazimierz Jagiellończyk, rządzący od 1447 do 1492 roku.

Niespełna dekadę po objęciu tronu król zaangażował się w decydujący konflikt z Krzyżakami — tak zwaną wojnę trzynastoletnią. Szlachta uznała, że nadarza się doskonała okazja do szantażu. Monarcha nie zdołał pozyskać dodatkowych podatków, a gdy zwołał pospolite ruszenie, masy rycerstwa — hałaśliwe i niezdyscyplinowane — odmówiły walki. Jak pisał współczesny wydarzeniom kronikarz Jan Długosz, „zapomniawszy dawnej karności, posłuszeństwa i uszanowania dla króla”, szlachcice otoczyli monarchę i poczęli żądać kolejnych ustępstw, grożąc, że w przeciwnym razie nie chwycą za broń przeciwko rycerzom zakonnym.

Kazimierz Jagiellończyk nie miał wyjścia. Wydał szereg przywilejów dla poszczególnych prowincji państwa, w tym dwa najszlachetniejsze z roku 1454: cerekwicki i nieszawski. Pierwszy czerpie zwyczajową nazwę od miejscowości, gdzie został rozbity obóz pospolitego ruszenia i gdzie zebrani panowie herbowi sprzeniewierzyli się swoim obowiązkom.

Zdesperowany monarcha zgodził się zezwolić szlachcie na zbieranie drewna w lasach królewskich i na zakup soli po symbolicznych stawkach. Z dzisiejszej perspektywy decyzje mogą się wydawać mało istotne. Wcale takie nie były. Przyparty do muru Kazimierz Jagiellończyk podkopał jedno z najbardziej stabilnych i bezpiecznych źródeł dochodów dworu. W późnym średniowieczu wydobywanie soli w samych tylko żupach krakowskich zapewniało do 25 procent wszystkich wpływów skarbu królewskiego. Teraz jednak surowiec przeznaczony dla szlachty miał być wydawany bez zysku. Docelowo ustaliła się zasada, że każdy pan herbowy mógł nabyć za bezcen aż pół tony soli. Rzekomo na własne

potrzeby, w praktyce jednak na handel, który jemu przynosił krociowe korzyści, państwu zaś same straty. Swobodna zbiórka chrustu w lasach królewskich nie miała może porównywalnych konsekwencji, ale też nie przeszła bez echa. Za jej sprawą jeszcze bardziej zatarły się granice własności monarszej. Szlachcice nabierali przekonania, że wolno im wejść wszędzie i zabrać cokolwiek — bo majątek władcy czy państwa jest także ich majątkiem.

Kolejne ustępstwa dotyczyły kwestii politycznych. W czasach Władysława Jagiełły praktyczny udział szeregowego rycerstwa we władzy — a przynajmniej władzy naczelnej — pozostawał niedookreślony. Niezależnie od szumnych haseł o braterstwie i równości, coraz chętniej podnoszonych w gronie elit, decydujący wpływ na sprawy kraju zachowali możnowładcy. Wobec braku sztywnych reguł rościli sobie oni prawo do reprezentowania opinii całej szlachty, nawet jeśli ich decyzje wcale nie szły po myśli reszty stanu. Dominacja wielmożów na dworze była nieunikniona. Właśnie oni zaprosili Litwina na tron, potem zaś występowali w roli królewskich doradców i zajmowali kluczowe urzędy. W obozie pospolitego ruszenia sytuacja wyglądała jednak inaczej. Tam przytłaczającą większość zebranych stanowili nie możnowładcy, lecz zwyczajni czy nawet zbiedniali szlachcice. Pozwala to zrozumieć najważniejsze postulaty i najbardziej brzemiennie w skutki decyzje z 1454 roku.

Pod naporem średniej szlachty Kazimierz Jagiellończyk wzmocnił obsadzone przez nią lokalne sądy ziemskie i ograniczył własny wpływ na to, kogo powoływano w skład trybunałów. Przede wszystkim jednak król sprecyzował, że odtąd o kluczowych sprawach będą decydować nie możnowładcy reprezentujący szlachtę, ale tak zwane sejmiki

ziemskie. Były to regularne zgromadzenia rycerstwa, w których mógł brać udział każdy pan herbowy z danego regionu. Ich geneza sięgała co najmniej wieców z czasów rozbicia dzielnicowego. W demokratycznej formie, dopuszczającej zaangażowanie nawet drobnych szlachciców, sejmiki rozwinęły się pod koniec XIV stulecia. Na początku kolejnego wieku działały już w całej Wielkopolsce i Małopolsce, stopniowo też zaczęły się zbierać w innych regionach podległych Koronie. Początkowo rozstrzygały głównie o sprawach lokalnych, nawet sąsiedzkich. Za zgodą Kazimierza Jagiellończyka uzyskały jednak stały, konkretny i szeroki wpływ na funkcjonowanie państwa.

Przywilej dla wielkopolskiego rycerstwa brzmiał następująco: „Aby Rzeczpospolita na przyszłość była zdrowiej rządzona, pragniemy i niniejszym ustanawiamy, że żadne nowe instytucje nie będą stanowione na radach prywatnych, ani też wyprawa żadna bez ogólnego zgromadzenia szlachty nie będzie mogła się odbyć. Na przyszłość zobowiązujemy się też, że wszystkie sprawy nowo stanowione wpierw będą omawiane, ustanawiane i uchwalane przez sejmiki ziemskie”. W dokumencie królewskim dla Małopolski, gdzie dominacja możnowładztwa była bardziej ugruntowana, ustępstwa na rzecz szeregowego rycerstwa okazały się mniejsze. Ogółem jednak ani Kazimierz Jagiellończyk, ani kolejni królowie nie mogli już zwoływać pospolitego ruszenia lub uchwalać podatków bez uwzględnienia głosu sejmików.

„Procesy zapoczątkowane za czasów Ludwika Węgierskiego i Jagiełły doszły teraz do apogeum” — komentowała profesor Maria Bogucka^[15]. Punkt ciężkości polskiej polityki przesunął się wyraźnie z rady królewskiej ku samorządowi szlacheckiemu. W kolejnych dekadach i stuleciach balans siły

będzie się zmieniać jeszcze wielokrotnie. Formalne podstawy ustroju zostały jednak ugruntowane. A wielu wybitnych specjalistów — jak choćby Juliusz Bardach czy Andrzej Wyczański — właśnie z rokiem 1454 wiąże symboliczny początek Rzeczypospolitej szlacheckiej[16].

Trudne narodziny sejmu

Pozyskanie aprobaty sejmików w jakiegokolwiek sprawie właściwie nigdy nie było zadaniem łatwym. Prawie każde województwo miało odrębny sejmik, obradujący wedle lokalnych zwyczajów i w myśl specyficznych precedensów. Na niektórych starano się o jednomyślność, inne przyjęły głosowania większościowe. Część działała pod wyraźnym patronatem, czy nawet kontrolą, dygnitarzy, ale były i takie, gdzie głos wielkich panów ginął wśród opinii szeregowej szlachty.

U schyłku średniowiecza w Koronie — a więc samym Królestwie Polskim, bez Litwy — funkcjonowało łącznie około szesnastu odrębnych zgromadzeń ziemskich. Dla pogodzenia ich stanowisk czy nawet dla samego poznania opinii innych rycerzy zaczęto zwoływać także większe zjazdy całych prowincji. Kazimierz Jagiellończyk chętnie, przynajmniej na początku panowania, wzywał szlachtę na obrady sejmów małopolskiego i wielkopolskiego. Osobno zbierał się też sejm pruski. Nawet to niekoniecznie jednak wystarczało. Liczne były przypadki, gdy szlachta zgromadzona na jednym z sejmów wyrażała zgodę na jakiś postulat władcy... ale tylko pod warunkiem, że także druga część kraju przyklepie sprawę. Małopolanie nie chcieli na przykład uiszczać

specjalnych podatków albo wyruszać na wojnę, jeśli do tego samego nie zobowiążą się też herbownicy z Wielkopolski. Sprawy zmierzały w oczywistym kierunku: zwoływania reprezentantów całej szlachty w jedno miejsce, w tym samym czasie, tak aby wszyscy mogli dojść do porozumienia.

Często pisze się, że tak zwany sejm walny, a więc główny i powszechny, powstał w roku 1493. Trzy dekady temu obchodzono zresztą bardzo hucznie i na różnych szczeblach władz rocznicę 500-lecia polskiego parlamentaryzmu. Święto nie miało dobrego uzasadnienia, a przynajmniej należałoby je uznać za bardzo spóźnione.

Sejmy — a więc, zgodnie z pierwotnym znaczeniem tego słowiańskiego słowa „liczne zgromadzenia” — zbierały się nie tylko w dobie nowożytnej, lecz także w średniowieczu, podobnie jak sejmiki ziemskie. Były to początkowo spotkania członków szeroko rozumianej rady królewskiej i ważnych dygnitarzy z poszczególnych regionów. Podejmowano na nich decyzje dotyczące dworu i państwa. Poza tym na sejmach były odprawiane sądy, a król udzielał audiencji petentom, w związku z czym od dawien dawna na obrady przybywali różni szlachcice lub nawet mniej czy bardziej oficjalni delegaci ziem i województw.

W 1468 roku po raz pierwszy zdarzyło się, że na sejm zaproszono reprezentantów szlachty, a więc posłów, z całego królestwa, wybranych wcześniej na sejmikach. Wydarzenie zapadło w pamięć przedstawicielom elity. Na przykład kronikarz Marcin Bielski twierdził w połowie XVI wieku, że właśnie wówczas powstał obyczaj, w myśl którego „żaden sejm walny nie może być bez posłów”. W rzeczywistości rozwiązanie nie przyjęło się tak łatwo. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka sejmy organizowano zwykle raz do roku, ale

jedynie o kilku wiadomo z całą pewnością, że zgromadziły nie tylko dygnitarzy, lecz także reprezentantów ogółu szlachty. Dokładny sposób uwzględniania opinii tych ostatnich też nie wykształcił się od razu. Potrzeba było czasu nawet na to, by utarły się oficjalne stanowiska co do faktycznej roli posłów. Zarówno król, jak i wielcy panowie wciąż liczyli, że średnia szlachta zadowoli się rangą statystów, zobowiązanych do przyjmowania wszelkich uchwał ludzi potężniejszych i bogatszych od siebie. Tak się oczywiście nie stało.

System nabierał kształtów jeszcze przez wiele dekad. Rok 1493, traktowany wciąż jako symboliczna rocznica, był niewątpliwie ważny, bo od tego momentu każdy sejm zbierał się w dwóch izbach. Osobno prowadzili na nim obrady doradcy króla (nieco później nazwani senatem, w nawiązaniu do starożytnego Rzymu), osobno zaś izba poselska. Oczywiście oba gremia miały charakter szlachecki. Tyle że senatorowie byli co do zasady szlachcicami bardzo zamożnymi i korzystającymi z łaski dworu, natomiast do izby poselskiej w większości delegowano reprezentantów szeregowego rycerstwa. Posiedzenia nie miały sztywnego trybu. Na przemian spotykano się na wspólne obrady obu izb i rozchodzono, by debatować w odrębnych gremiach. O ile udało się ustalić wspólne stanowisko, sejm kończył się wydaniem tak zwanych konstytucji, zbierających wszystkie powzięte decyzje. Do ich zatwierdzenia konieczna była zgoda obu izb, a także aprobata króla^[17].

Ogólnokrajowe obrady, wymagające ucierania rozbieżnych stanowisk i szukania kompromisu, pogłębiły, już wcześniej silne, poczucie wspólnoty interesów rycerstwa, niezależnie od różnic w pochodzeniu, obyczajach czy poglądach. Ich naturalną konsekwencją była decyzja z roku 1496. Wówczas,

za panowania Jana Olbrachta i znów w obliczu zagrożenia wojennego, przywileje, dotąd różne dla poszczególnych ziem i województw, wreszcie ujednolicono i rozciągnięto na całą szlachtę polską. W roku 1505, za Aleksandra Jagiellończyka, wydano z kolei konstytucję cementującą podstawową regułę ustroju. Sejm ogłosił, że żadne postanowienia zmieniające „prawo pospolite i wolność publiczną” nie mogą być podejmowane bez „wspólnego zezwolenia senatorów i posłów ziemskich”. Słowem, nic nowego, *nihil novi*, nie wolno było w Rzeczypospolitej przedsięwziąć z pominięciem dwuizbowego sejmu walnego[18].

Izba poselska była na początku XVI wieku zgromadzeniem jednocześnie nielicznym, łatwo pogrążającym się w zamęcie i pozbawionym jasnych procedur. Nie miała nawet stałego składu. To samo województwo mogło raz wysłać na obrady trzech delegatów, kiedy indziej — na przykład, gdy spodziewano się debat w lokalnej sprawie albo gdy termin wydawał się wygodniejszy — choćby i dziesięciu. Za panowania Zygmunta Starego (1507–1548) w obradach izby poselskiej brało łącznie udział od czterdziestu kilku do ponad sześćdziesięciu posłów. Niewielu, jeśli wziąć pod uwagę, że mieli reprezentować ogół szlachty.

Posiedzenia bywały bardzo burzliwe, zwłaszcza że nie zastrzeżono tego, kto poza posłami ma prawo się im przypatrywać lub wręcz zabierać głos. Dochodziło do sprzeczek, kłótni, nawet bójek. Wielcy panowie piętnowali posłów jako „tłum ludzi niedobrych i lekkomyślnych”. Hetman Jan Tarnowski w 1530 roku nazwał ich wręcz „pospółstwem” pozbawionym rozumu i autorytetu. To była obelga największego kalibru, ale też wyraz rosnącej bezradności. Dygnitarze coraz lepiej zdawali sobie bowiem sprawę, że chcąc

nie chcąc, muszą się liczyć ze zdaniem drugiej, w ich odczuciu pośledniej, izby. W czasach Zygmunta Starego, a tym bardziej Zygmunta Augusta (1548–1572), nawet przy pełnej zgodzie między królem i senatem niewiele dało się w kraju zdziałać, o ile sprzeciw zgłosili delegaci sejmików[19].

Ta nowa rzeczywistość nie umknęła oczywiście także uwadze rzesz szlacheckich. Właśnie w XVI stuleciu szeregowi rycerze, zbierający się na sejmikach i wybierający posłów, po raz pierwszy uświadomili sobie pełnię swojej siły. Jak wyjaśnia badacz dawnej kultury politycznej Edward Opaliński, samo słowo Rzeczpospolita zaczęło rozumieć na nowe sposoby. Już nie tylko jako wspólny kraj, ale wprost kraj będący wyłącznym dziedzictwem i własnością herbowników. Zdarzało się nawet, że wyrazów „Rzeczpospolita” i „szlachta” używano wymiennie, tak jakby były synonimami. „Nastąpiła więc pełna identyfikacja szlachty z państwem” — kwituje historyk[20].



Szlachta sejmująca w XVI wieku. Rysunek Juliusza Kossaka na podstawie zachowanych materiałów z epoki.

Obsesja liczebności

Według tradycyjnej opinii jednym z powodów niezwyklej pozycji polskiej szlachty i jej zwycięskiego pochodu po władzę była sama liczebność tego stanu. Wiele publikacji wciąż podaje, że aż 10 procent ludności Rzeczypospolitej stanowili panowie herbowi. Podobno był to odsetek wyższy niż w jakimkolwiek kraju Europy, co samo w sobie tłumaczyłoby nadwiślańską specyfikę polityczną^[21]. Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej, a badania z ostatnich dekad nie pozwalają nadal wyciągać równie prostych i dalekosiężnych wniosków.

W skrajnych przypadkach twierdzono, że udział szlachty w ogóle społeczeństwa był nawet większy niż wspomniane 10 procent. Profesor Andrzej Zajączkowski szacował, że panowie herbowi stanowili 16 procent ludności „etnicznie polskiej”. To i tak nic w porównaniu z propozycją profesora Olgierda Górki. Ten genealog ogłosił, że szlachty było aż fenomenalne 25 procent^[22]. Gdyby wyliczenie odpowiadało prawdzie, Polska przedrozbiorowa musiałaby być krajem zupełnie niezwykłym. Spróbujmy sobie wyobrazić chociażby szlacheckie folwarki, gdzie wielu panów miałoby mniej poddanych chłopów niż samych członków rodziny. Z kolei magnackie latyfundia, wymagające pracy setek wyrobników pańszczyźnianych, mogłyby istnieć tylko w sferze wyobraźni, no chyba że rzesze nobilitowanych przebierałyby się codziennie za niewolników i w kamuflażu posłusznie wychodziły na pola. Na szczęście nie trzeba tak dalece popuszczać wodzy fantazji. Autorzy serwujący zadziwiająco

wysokie liczby kierowali się nie konkretną podstawą źródłową, ale raczej intuicją lub zupełnie karkołomnymi wyliczeniami.

Wielu dało się przekonać komentarzom pamiętnikarzy i podróżników, poruszonych liczebnością polskiej szlachty. Przykładowo francuski biskup Jean de Monluc stwierdził około roku 1574, że w Rzeczypospolitej panów herbowych było więcej niż we Francji, w Anglii i Hiszpanii... razem wziętych. Nie był w tej opinii odosobniony. Swój osąd opierał jednak tylko na wrażeniu, jakie czyniły gremialne zgromadzenia szlacheckie, które przyszło mu obserwować[23].



Szlachcic powracający z wojny do domu rodzinnego. XIX-wieczna ilustracja do *Pamiętników* Jana Chryzostoma Paska.

Ani on, ani nikt inny w epoce nowożytnej nie dysponował twardymi liczbami. Do około 1500 roku jakiegokolwiek szacunki

są obarczone ogromnym marginesem błędu, bo granice stanu szlacheckiego wciąż nie były wówczas jasno określone. Istniały różne, mniej lub bardziej legalne, sposoby zdobycia herbu. Poza tym w okresie, gdy rodziła się świadomość wspólnoty szlacheckiej, pewne grupy traciły przynależność do rycerstwa. Wielu biedniejszych włodyków zostało zepchniętych do stanu chłopskiego. Dopiero w stuleciu XVI społeczność szlachecka zaczęła się na dobre zamykać i coraz skuteczniej odgradzać od reszty społeczeństwa. Nawet wtedy nie podjęto jednak żadnej próby policzenia ani zewidencjonowania szlachty.

Podczas gdy na Zachodzie istniały oficjalne heroldie, rejestrujące rodziny szlacheckie, w Polsce panowie obsesyjnie bronili się przed jakąkolwiek statystyką. Po części działo się tak z obawy o naruszenie wolności i przywilejów. Zwłaszcza biedniejsza szlachta drżała na myśl o tym, że władza będzie weryfikować jej status. Z kolei zamożniejsi szlachcice nie zgadzali się na cenzus, aby ten czasem nie stał się podstawą do obłożenia ich podatkami. Niemałe znaczenie miały też względy ideologiczne. Wielu szlachciców twierdziło, że wypada spisywać byczki, krowy albo chłopów, traktowanych jak chodzące narzędzia, ale nie wolnych ludzi, bo ci przecież nie są częścią czyjegokolwiek inwentarza. Ewidencja obrażała dumę stanową. Wiele mówi przykład księgi spowiedniczej, którą u schyłku epoki nowożytnej prowadził pleban parafii Hyżne pod Rzeszowem. Ojcowie wszystkich rodzin chłopskich zostali w niej wymienieni z imienia. Szlachcice z okolic Hyżnego nie zgodzili się jednak, by wyliczano ich tak samo jak kmieci. Księga zawiera w efekcie tylko ogólną wzmiankę o liczbie mieszkańców dworów, bez personaliów. Jeden z badaczy tematu stwierdził nawet, że opór przed liczeniem miał „przesłanki sakralne”. Szlachta uważała się za naród

wybrany, jak Izraelici, a przecież już w Starym Testamencie występował zakaz liczenia Bożych ulubieńców. To chyba wniosek przesadny, niepotwierdzony konkretnymi zapisami z epoki. Pozostaje jednak faktem, że z woli szlachty i dzięki jej wielowiekowym staraniom przekonanie o wielkiej liczebności stanu rycerskiego nigdy nie zostało oficjalnie, prawnie zweryfikowane[24].

Dopiero od schyłku XX wieku historycy zaczęli sięgać do źródeł pośrednich. Przełomowe wnioski przyniosły dociekania profesora Andrzeja Wyczańskiego — coraz szerzej akceptowane w nauce, ale wciąż niemal nieznane poza salami uniwersyteckimi. Specjalista Polskiej Akademii Nauk przeanalizował rejestry poboru nadzwyczajnych podatków z lat 60. XVI stulecia. Zgodnie z panującymi regułami szlachcice zostali zwolnieni z opłat, ale obciążono ich chłopskich poddanych. Ponieważ jednak kwoty zbierano za pośrednictwem panów herbowych i pod ich kontrolą, szczegółowa analiza „kwitów” pozwala odtworzyć także obraz najwyższego stanu.

Dokumenty dla całego kraju się nie zachowały. Dysponujemy jednak niemal kompletnymi i uwierzytelnionymi zeznaniami-podatkowymi z województwa krakowskiego. Uchodzą one za na tyle wiarygodne, by stanowić podstawę do rzetelnych szacunków. Na bazie tego materiału profesor Wyczański wyliczył, że we wszystkich powiatach regionu żyło łącznie 8800 szlachcianek i szlachciców, którzy stanowili... zaledwie 2,9 procent całej populacji. Co najważniejsze, struktura społeczna województwa krakowskiego nie odbiegała znacząco od tej, jaka występowała w innych regionach Małopolski oraz w Wielkopolsce. Należałoby się więc spodziewać, że w całych

tych prowincjach szlachta była równie nieliczna — mogło jej być nieco ponad 3 procent.

Zgoła inaczej sytuacja wyglądała tylko na Mazowszu i Podlasiu. Te obszary zostały scalone z resztą Korony Królestwa Polskiego z opóźnieniem, a z szeregów ich rycerstwa nigdy nie usunięto najbiedniejszych warstw. W efekcie szlachta „mazurska” faktycznie pozostała niesamowicie liczna. Było jej w XVI wieku ponad 20 procent, ale przytłaczającą większość tej masy stanowili szlachcice bez poddanych i znaczącego areалу ziemi, żyjący w sposób podobny do chłopów, choć niepodporządkowani formalnie innemu panu. Ta tak zwana szlachta zagrodowa była zjawiskiem lokalnym, niemal niespotykanym w innych województwach. Ponieważ jednak od schyłku XVI stulecia Warszawa zaczęła urastać do rangi faktycznej stolicy Polski, obcy podróżnicy najczęściej odwiedzali właśnie jej region. Także rodzimi komentatorzy sytuacji politycznej i społecznej za punkt odniesienia szczególnie chętnie przyjmowali centrum kraju. To zaś sprawiło, że o mazowieckiej specyfice błędnie poczęto myśleć i mówić tak, jakby dotyczyła całego kraju.

W rzeczywistości, jak obliczał Andrzej Wyczański, w całej Polsce w drugiej połowie XVI wieku szlachta mogła stanowić tylko jakieś 5,5 procent ludności. Łącznie do tego stanu należało około 240 tysięcy osób. Szacunek nie uwzględnia Wielkiego Księstwa Litewskiego, które dopiero po roku 1569 zostało trwale zespolone z Koroną. Z innych badań, prowadzonych przez profesora Henryka Łowmiańskiego, wynika jednak, że na Litwie tytułem szlacheckim legitymowało się niespełna 4 procent społeczeństwa. Unia realna między państwami sprawiła więc, że udział panów herbowych w całej ludności Rzeczypospolitej tylko spadł, nie zaś wzrósł[25].

Kolejne stulecia przyniosły istotne zmiany w strukturze i liczebności szlachty. Z uwagi na niedobór źródeł nie da się ich śledzić z taką dokładnością, jakiej pragnęliby historycy. Badania XVII-wiecznych kwitów podatkowych, zachowanych raz lepiej, raz gorzej, wskazują jednak, że w Wielkopolsce udział szlachty utrzymał się na poziomie 3–5 procent, w województwie krakowskim chyba spadł, nawet poniżej 2 procent, a na przykład w kresowym województwie bracławskim wynosił w 1629 roku zaledwie 1 procent. Jednocześnie zenitu sięgnęło rozdrobnienie i rozrodzenie szlachty mazowieckiej oraz podlaskiej. W drugiej połowie XVII stulecia w ziemi wiskiej stanowiła ona już 45 procent całej populacji, zaś w ziemi łomżyńskiej — 47 procent. Rekord pobito chyba w powiecie zambrowskim. Według socjologa Marcina Drewicza aż 60 procent jego mieszkańców szczyliło się herbami. Należy jednak ponownie podkreślić, że niemal wszyscy ci oficjalni szlachcice pod względem majątku i sposobu życia nie różnili się od wieśniaków. Ogółem na Mazowszu, przy opisanej strukturze populacji, nie istniały i nie mogły istnieć wielkie latyfundia. Nie wykształciła się też żadna lokalna magnateria[26].

Sporo można powiedzieć jeszcze o stanie końcowym. Profesor Emanuel Rostworowski przeanalizował pierwsze względnie dokładne ewidencje całej ludności prowadzone zaraz przed upadkiem Rzeczypospolitej. Z badań wynika, że w roku 1791 w kraju żyło mniej więcej 750 tysięcy szlachciców, co stanowiło 7,5 procent społeczeństwa[27]. Statystyka dotyczy jednak okresu już po pierwszym rozbiore, kiedy to od macierzy odpadły terytoria o tradycyjnie niskim udziale ludności szlacheckiej. Należy sądzić, że wcześniej, zanim Rzeczpospolita została rozczłonkowana, faktyczny udział

szlachty wynosił 6, może 6,5 procent. Nieznacznie więcej niż w początkach epoki, ale o wiele mniej, niż tradycyjnie sądzono.

Także wyobrażenia o wyjątkowości polskiej sytuacji wymagają pewnej korekty. Szlachta nad Wisłą była liczniejsza niż w innych krajach Europy, ale różnice niekoniecznie były spektakularne. Szacuje się, że w drugiej połowie XVIII stulecia do stanu nobilitowanego należało około 3–4 procent ludności kontynentu. We Francji było to skromne 0,5 procent, w Rosji 1–2 procent, ale na Węgrzech, które współdzieliły z nami wiele tradycji politycznych, 4 procent, a w Hiszpanii — 5 procent, jeśli nie więcej. Na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych, gdy kształtował się ustrój Rzeczypospolitej, kontrast był jeszcze mniejszy. Niektórzy badacze przyjmują, że chociażby w Hiszpanii szlachta, głównie drobna, mogła stanowić maksymalnie nawet 10 procent ogółu ludności. Wiele innych krajów znało z kolei grupy pośrednie, które można by porównać z polską szlachtą zagrodową. Tyle tylko że ci angielscy łucznicy albo szwedzcy wolni kmiecie zobowiązani do służby wojskowej docelowo zasilili szeregi chłopstwa lub mieszczaństwa, nie zaś oficjalnych elit^[28].

Dyktat sześciu procent

Niezależnie, czy szlachciców było 5, 6, czy nawet 7 procent, cała reszta społeczeństwa Rzeczypospolitej — jakieś 94 procent — nie legitymowała się herbem. Oszacowanie pozostałych grup również nastrocza trudności. W przybliżeniu można jednak stwierdzić, że w XVI stuleciu chłopów było około 70 procent, mieszczan niespełna 20 procent,

a duchownych — sporo poniżej 1 procentu. Na pozostałe kilka procent składali się głównie przedstawiciele mniejszości religijnych i etnicznych, traktowani przez prawo w sposób szczególny. Sami Żydzi stanowili w tym czasie około 2 procent populacji[29].

Maria Bogucka, przyjmująca po staremu, że panów było znacznie więcej, twierdziła, że za sprawą przywilejów i wolności szlacheckich Rzeczpospolita stała się „najbardziej demokratycznym państwem swoich czasów”. Przesłanki, na których opierała taki wniosek, zachowują sens także po obniżeniu udziału rycerstwa w ogóle ludności. Jest prawdą, że w Europie nie obdarzano pełnymi, nieograniczonymi prawami wyborczymi równie wielkich rzesz, co nad Wisłą. We Francji jeszcze w połowie XIX stulecia zaledwie 1–1,5 procent obywateli mogło brać udział w wyborach. Z kolei w Anglii, szczytując się szczególnie długą tradycją demokratycznych wolności, dopiero w drugiej połowie tego wieku uprawnienia wyborcze rozciągnięto na 20 procent ludności. Polski model, gdzie każdy szlachcic mógł nie tylko wybierać, lecz także być wybranym, formalnie nawet na króla, stanowił unikat. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że Rzeczpospolita była jednocześnie krajem najbardziej demokratycznym i... jednym z najmniej demokratycznych. Bo chociaż wyjątkowo szerokie elity posiadały nieposkromioną władzę, to cała reszta ludności stopniowo straciła jakikolwiek udział w rządach, a większość została faktycznie wyjęta spod władzy państwowej. Czegoś takiego nie spotykano nawet w krajach uchodzących za ośrodki wyjątkowej tyranii[30].

Historykom — także tym patrzącym na dzieje Polski zupełnie trzeźwo — zdarza się pisać, że jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego w państwie Piastów panowała „idyliczna”

równowaga stanów, którą później zachwiały i wreszcie zburzyły nieposkromione aspiracje szlachty. To wizja prosta, a przez to atrakcyjna. Nie ma ona jednak wiele wspólnego z rzeczywistością. Również w epoce sławnego „króla chłopów” wieśniacy egzystowali w wyjątkowo ponurych warunkach, a nad sobą mieli właściciele ziemskich, egzekwujących liczne powinności. Z kolei mieszkańcy grodów, a następnie miast, od niepamiętnych wręcz czasów zmagali się z samowolą przedstawicieli elit. Wystarczy przypomnieć przerażającą, ale zarazem dość typową historię, do której doszło w Krakowie w 1383 roku. Dwóch szlachciców pomogło wówczas wrócić do grodu wygnanemu złodziejowi, ten zaś, ośmielony protekcją herbovníków, zgwałcił publicznie jakąś kobietę, i to na oczach członka rady miejskiej[31].

Równowaga stanów nie mogła zostać naruszona, bo nigdy nie istniała. Jest jednak faktem, że w wieku XV, a zwłaszcza po przywilejach z okresu wojny trzynastoletniej, przewaga szlachty nad całą resztą społeczeństwa stała się już zbyt wielka, by trend dało się odwrócić lub zahamować. Potem pętla — na szyjach mieszczan, chłopów, ale i królów — tylko się zaciskała.

Szczególnie drastyczna była zmiana pozycji miast. Na Zachodzie patrycjat, a więc mieszczańska elita metropolii, portów i ośrodków handlowych, stanowił swoistą przeciwwagę dla nobilitowanych. W Polsce jednak starania szlachciców nie tylko zmarginalizowały tę konkurencję, ale też spotęgowały kryzys, w jakim od XVII stulecia pogrążyło się mieszczaństwo. Bieg zdarzeń również w tym wypadku nie był tak oczywisty, jak zwykle się sądzić. Według tradycyjnej opinii mieszczaństwo nie zostało dopuszczony do obrad sejmików ziemskich, a następnie sejmu walnego. Specjaliści słusznie jednak zadają

pytanie, czy władze wielkich ośrodków faktycznie chciały partycypować w sejmie. Odpowiedź wydaje się przecząca. Wiele mówi przypadek miast pruskich, w tym Gdańska, który ze swoją trzydziestopięciotysięczną populacją na początku XVI stulecia był nie tylko największym miastem w Polsce, ale też jednym z największych w Europie Środkowej i Wschodniej. Ośrodkom Pomorza zaoferowano udział w sejmie. Propozycja została jednak odrzucona przez samych mieszczan. Decyzja tylko z pozoru robi wrażenie absurdalnej. Ten strzał w kolano da się wytłumaczyć. Jak pisał chociażby profesor Wacław Uruszczak, miasta — pruskie i nie tylko — przez długi czas traktowały sejm jako organ czysto szlachecki i uprawniony do decydowania w sprawach samej szlachty bądź jej poddanych. Patrycjat trwał w tradycyjnym przekonaniu, że podlega nie panom herbowym, lecz królowi. Unikanie sejmików i sejmów służyło jak gdyby potwierdzeniu tego stanu rzeczy. Bo przecież gdyby mieszczanie uczestniczyli w obradach, to niejako automatycznie musieliby się godzić z ich konkluzjami. Opisane podejście miało historyczne uzasadnienia. Patrycjat ewidentnie jednak nie docenił wzrostu potęgi szlachty. Nie było go na sejmach, a te i tak stopniowo zaczęły samowolnie wydawać szkodliwe decyzje w czysto miejskich sprawach.

Ze wszystkich metropolii tylko Kraków otrzymał i aktywnie wykorzystywał — przynajmniej w XVI stuleciu — specjalny przywilej pozwalający wysyłać własnych posłów na obrady sejmu. Królowie podkreślali jednak, że był to wyjątek „sprzeciwiający się obyczajom reszty społeczeństwa”. Z kolei szlachta usilnie dokładała starań, by albo usunąć deputowanych stołecznego grodu, albo przynajmniej ich zakrzyczyć i zignorować^[32].

Krakowianie z bliska, a liderzy innych miast z oddali, lecz równie bezradnie przyglądali się, jak panowie herbowi stopniowo podkopują ich dochody, ingerują w tryb życia, a nawet zawłaszczają zajęcia tradycyjnie zastrzeżone dla kupców miejskich.

Jeszcze przed końcem wieku XV wprowadzono zakaz kupowania ziemi przez władze miejskie lub samych mieszczan. Na przyszłość grunt uprawny w Rzeczypospolitej mógł należeć tylko do króla, Kościoła lub szlachciców. W praktyce główne miasta zdołały wywalczyć dla siebie swoiste dyspensy. Własne folwarki wciąż posiadały Kraków czy Poznań, ograniczeń nie rozciągnięto też na obszar Prus Królewskich. Szlachta stopniowo jednak dokręcała śrubę i domagała się coraz bardziej restrykcyjnego egzekwowania narzuconego prawa. Można zacytować chociażby konstytucję sejmową z roku 1611, w której rozjuszeni panowie herbowi piętnowali plebejów „umniejszających stan szlachecki i prerogatywy tego zacnego klejnotu” poprzez posiadanie ziemi. Dokument ponawiał nakaz, by miasta i mieszczanie „więcej dóbr nie kupowali”. Zezwolono poza tym na rekwirowanie tych majątków ziemskich, które już znajdowały się w ich rękach.

U szczytu demokracji szlacheckiej panowie herbowi wielokrotnie ogłaszali też tak zwane ustawy o zbytkach, *leges sumptuariae*. Na ich mocy zakazywano mieszczanom obnoszenia się z luksusem i przyjmowania ozdób uznawanych za typowe dla szlachty. Nawet najbogatszy członek patrycjatu nie miał prawa nosić drogich futer, jedwabnych pasów albo butów ze szczególnie dobrej skóry. Na początku XVII stulecia za jednorazowe naruszenie zakazu ordynowano karę w wysokości 672 groszy, co można przeliczyć na około 6

tysięcy dzisiejszych złotych. Po paru dekadach grzywna została jednak podniesiona do... 48 tysięcy groszy. W naszych pieniądzach, przy uwzględnieniu inflacji, byłoby to zawrotne 200 tysięcy złotych. Przepisów nie dało się skutecznie egzekwować. Stąd podkomorzy krakowski Stanisław Cikowski, rzecz jasna szlachcic, złożył w roku 1602 na córki patrycjuszki, które ośmielały się „w złotogłowiach, z kamieniami drogimi, w sobolach czarnych chodzić”. Od skuteczności restrykcji ważniejszy był jednak sam zamysł, stojący u ich podstaw: niezachwiane przekonanie szlachty, że mieszczanin nie powinien gromadzić pieniędzy, a tym bardziej wydawać ich wedle własnych potrzeb lub zachcianek. Taka wolność była przecież tylko prerogatywą panów herbowych. Poza tym zakazy dawały waćpanom pretekst — nie pierwszy i nie ostatni — do samowolnych, a zarazem bezkarnych napaści na mieszczan. Na początku XVII wieku na rynku krakowskim zdarzyło się na przykład, że pewien szlachcic zobaczył syna rzeźnika, który ośmielił się przyodziać „w bławat”, a więc tkaninę jedwabną. Widok tak bardzo go rozsierdził, że kazał zerwać z chłopaka ubiór oraz „buty safianowe” i „bić go w rynsztoku kijami”. Na koniec puścił nieszczęśnika do domu bosą, całego w błocie i łajnie, tak by każdy widział, że doszło do złamania sejmowej konstytucji[33].

Od już opisanych ograniczeń o wiele większe, wprost kolosalne znaczenie miała decyzja podjęta w roku 1496. Za niechętną zgodą króla Jana Olbrachta każdy szlachcic bez wyjątku został wówczas zwolniony z ceł, jakie płacono na rzecz skarbu królewskiego przy okazji zakupu towarów za granicą lub wywozu dóbr wyprodukowanych w kraju. Formalnie nowe zwolnienie dotyczyło tylko przypadków, gdy pan herbowy zamawiał towar na prywatne potrzeby albo

zbywał produkcję własnego folwarku. Sejm nie zgodził się jednak, by deklaracje szlachciców w tej sprawie były w jakikolwiek sposób weryfikowane lub podważane. Za jedyny dowód, że zwolnienie się należy, przyjmowano deklarację samego zainteresowanego. To prowadziło nawet nie do częstych, ale wprost masowych nadużyć.

Budżet państwa, już wcześniej konsekwentnie ogałacany przez szlachtę między innymi drogą przywileju solnego, stracił kolejną podporę. Jeszcze więcej straciły miasta, stanowiące przecież koło zamachowe każdej gospodarki, nawet tej przednowoczesnej. Od schyłku XV stulecia szlachta mogła prowadzić handel zagraniczny na o wiele korzystniejszych warunkach niż mieszczenie. Więcej zyskiwała na sprzedaży, mniej płaciła przy kupnie. Pośrednictwo polskich, plebejskich kupców w jakichkolwiek transakcjach, wcześniej typowe, straciło rację bytu. Oznaczało przecież tylko dodatkowe koszty. Nawet samo nabywanie towarów na rynku krajowym, w pobliskiej metropolii często nie wydawało się już szlachcicom dobrą opcją. Zamiast wspierać lokalne wytwórstwo i zasilać pieniędzmi polski rynek, wybierali opcję bardziej prestiżową, a często też po prostu tańszą — upragnione dobra luksusowe sprowadzali z zagranicy. Jan Jurkowski, mieszczkański (bo jakżeby inaczej) poeta z przełomu XVI i XVII wieku, ubolewał, że szlachcice „tuczają wieprze cudze”, a swą ojczyznę „morzą suchotami”. Robili to, kupując wino od Węgrów, sukno od Anglików, ozdoby, pachnidła i farby od Włochów, a kobierce od Turków. Jako najbogatsza warstwa odwrócili się od własnych mieszczan, a dotowali obcych. W efekcie „żyli pańsko” wśród narastającego ubóstwa. Na towarach wyliczonych przez Jurkowskiego rzecz się nie kończyła. Moda XVI i XVII wieku

nakazywała zaopatrywać się w obcych krajach także w konie, wierzchowe i pociągowe, drogie naczynia i ozdoby, powozy czy nawet meble. Słowem: w to wszystko, co produkowały polskie miasta. I co tylko rzadziej i rzadziej znajdowało nabywców. Oficjalnie patrycjat nie miał przecież prawa do „zbytków”. Szlachta wybierała zaś luksus z zagranicy. Skutki były łatwe do przewidzenia. Rzekomo najbardziej demokratyczny kraj Europy był też u szczytu swojej równie rzekomej potęgi krajem z wprost fenomenalnie słabymi, niedorozwiniętymi i tylko biedniejszymi miastami[34].

Do pełnego podporządkowania chłopstwa doszło nawet szybciej niż do marginalizacji mieszczaństwa. Mimo że gra toczyła się o przyszłość przytłaczającej większości mieszkańców Rzeczypospolitej, szlachta w swoich staraniach nie napotkała żadnego oporu. Panowie herbowi bazowali zresztą na wcześniejszych regułach, doprowadzając je do logicznej, we własnym mniemaniu, formy końcowej. W podręcznikach przewijają się różne daty faktycznego zniewolenia chłopów. W 1496 roku sejm miał całkowicie przywiązać wieśniaków do ziemi, zakazując im opuszczania wsi i sprzeniewierzenia się panu. W 1520 roku odgórnie wprowadzono obowiązkową pańszczyznę tygodniową. Odtąd każdy gospodarz w kraju miał przez przynajmniej jeden dzień w tygodniu bezpłatnie harować na rzecz swego zwierzchnika. To były jednak tylko symbole. Decyzji nikt nie egzekwował, a z czasem nawet nie mógł egzekwować. Właśnie na tej niemocy zasadzała się tragedia mieszkańców wsi i potęga szlachty.

Polscy królowie, tracący kolejne bastiony swojej władzy, stopniowo, wręcz niepostrzeżenie, zrzekli się jakiegokolwiek zwierzchnictwa nad pospólstwem, z wyjątkiem chłopów, którzy

mieszkali w majątkach monarszych. „Nie jest zamiarem naszym wtrącać się między poddanych naszych”, czyli szlachtę, „a ich kmieci” — stwierdził w roku 1546 król Zygmunt Stary. On jeszcze robił niekiedy wyjątki od wygłoszonej deklaracji. Kolejni władcy trzymali się już jednak żelaznej zasady, zgodnie z którą tron nie miał prawa mieszać się w cokolwiek, co działo się w granicach szlacheckiego majątku.

Powstała sytuacja osobliwa i znów — dość wyjątkowa. O ile relacjami króla ze szlachtą czy mieszczaństwem rządziły ścisłe prawa, zwykle wprost obezwładniające rząd centralny, o tyle w granicach dóbr ziemskich należących do panów herbowych jedynym prawem było słowo szlachcica. Właściciel wsi mógł sądzić chłopów według własnego mniemania, torturować ich nawet bez uzasadnienia, tylko po to, by byli karni i bardziej pracowici, wymagać dowolnych danin i robocizn, gwałcić chłopki albo — to właśnie jedna z tych logicznych, według szlachty, skrajności — sprzedawać kmieci jak bydło. Władza szlachcica nad chłopem była w Rzeczpospolitej większa niż władza króla nad szlachcicem. I to większa w stopniu niemierzalnym, bo przecież faktycznie nieograniczona. W epoce nowożytnej pan mógł nawet bezkarnie zabić chłopą. O ile ten mieszkał w jego dobrach, a więc w myśl szlacheckiej logiki: był jego własnością, szlachcicowi nie groziły jakiegokolwiek konsekwencje. Przecież wyłącznie on sam mógłby legalnie wymierzyć sobie sprawiedliwość[35].

Niewolnictwo chłopów, bo tylko tak można trafnie oddać ich sytuację, nie było zjawiskiem zastrzeżonym dla Polski. Poddani znajdowali się na łasce dworów również w innych krajach. Nawet w ponoć postępowym Królestwie Prus jeszcze w XVIII wieku wciąż zdarzało się sprzedawanie ludzi,

zamieszczano w tej sprawie ogłoszenia w prasie. Polski system znów jednak miał wyjątkową — a w tym konkretnym przypadku wyjątkowo obmierzłą — specyfikę. Dla jej zrozumienia warto przytoczyć historię zagraniczną. Za państwo największej tyranii i wprost nieludzkiego sadyzmu względem społecznych nizin uchodziła Rosja Romanowów. Z kolei niejaka Daria Sałtykowa zdobyła sobie sławę jako najbardziej nieludzka arystokratka, nawet jak na przerażające rosyjskie standardy. Ta niezrównoważona XVII-wieczna latyfundystka zamordowała przynajmniej siedemdziesiąt pięć osób, prawdopodobnie sporo więcej. Jedną ze swoich służących osobiście biła wałkiem po głowie i przypalała jej włosy; inne okładała kijami albo kazała chłostać do nieprzytomności. Zdarzało jej się bić, aż z ofiar zostawała krwawa miazga. Ponoć nieraz wydawała też rozkaz, by karę wymierzać dotąd, aż chłop lub chłopka wyzioną ducha. Historia wielkiej sadystki przez lata była ukrywana. Gdy grupa chłopów ośmieliła się wnieść skargę przeciw Sałtykowej na dwór carycy Katarzyny Wielkiej, w pierwszej chwili tylko ich aresztowano. Wreszcie jednak, pod naporem ponawianych raportów, władze przystąpiły do działania. Arystokratka stanęła przed sądem i usłyszała wyrok skazujący. Najpierw postawiono ją pod pręgierzem z tabliczką „dręczycielka i morderczyni”. Potem została osadzona w żeńskim klasztorze, w podziemnej celi bez okien^[36]. I należy podkreślić, że podobna historia nie mogłaby się wydarzyć w Polsce. Nad Wisłą chłop nie miał prawa apelować do króla, a szlachcic nie łamał jakichkolwiek przepisów, dręcząc lub mordując poddanych. Polskie Sałtykowe lub Sałtycy mogli działać całkowicie bezkarnie. Co najwyżej obcy podróżnicy, głównie Francuzi, od czasu do czasu pisali z przerażeniem

o ekscesach szlachty i magnatów rozmiłowanych w wymyślnych torturach. A więc w tym, co nazywano wprost „biciem polskim sposobem”[\[37\]](#).

Jeśli skrajnych sadystów, przechodzących od chłosty do egzekucji, nie było w Rzeczpospolitej wielu, to tylko dlatego, że szlachta uważała zabijanie chłopów za rozwiązanie nieekonomiczne. Zawsze bowiem bardziej się opłacało, by poddany pracował na pana. I swoim nieustannym, niewynagradzanym wysiłkiem zapewniał szlachcie sielskie, wiejskie bytowanie.



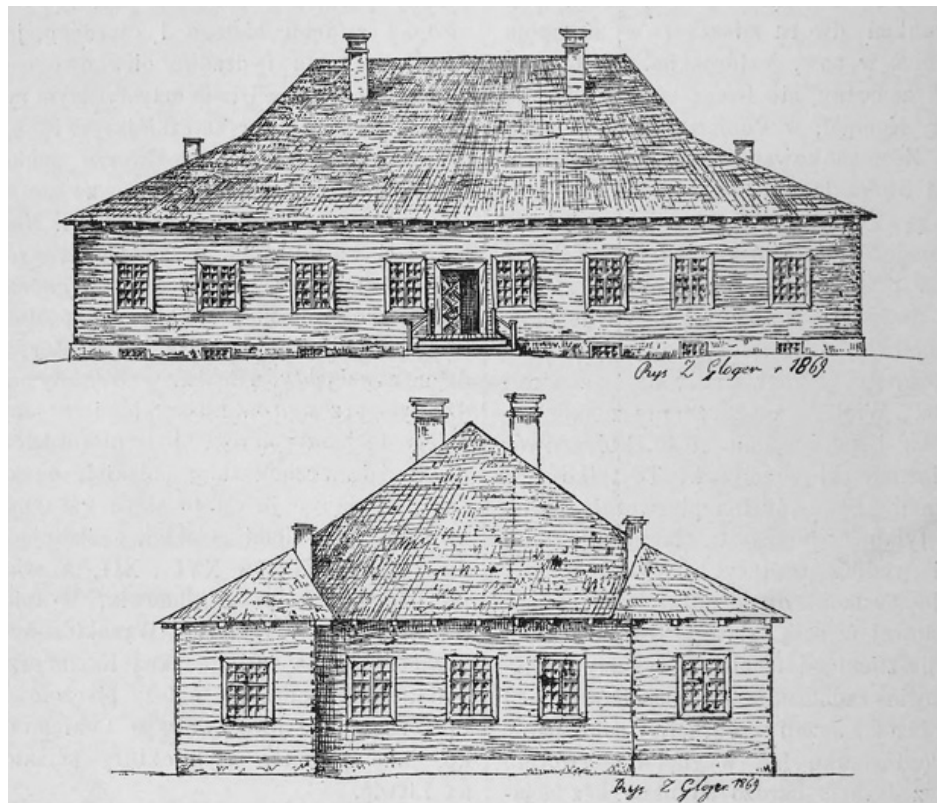
Nadzór pański przy żniwach. Miedzioryt z XVI wieku.

II. DWÓR I FOLWARK. ŻYCIE I MAJĄTEK POLSKICH ZIEMIAN

Szlachectwo u swej genezy łączyło się niemal bezpośrednio z posiadaniem ziemi. Zanim jeszcze powstały zawołania, rody heraldyczne i ich znaki, o przynależności do elity świadczył areal gruntu dzierżonego niezależnie od jakiegokolwiek innego pana. Rycerze walczyli w książęcych czy królewskich szeregach właśnie w zamian za pola i osady. Także miarą prawdziwego bogactwa — pozwalającego uważać się za wielmożę — były dobra ziemskie. Za wielkich uchodzili ci panowie, którzy posiadali wiele gęsto zaludnionych wiosek. U schyłku średniowiecza z grona szlachty, zrównanej w prawach i przywilejach, usuwano zaś przede wszystkim ludzi, którzy nie mieli ziemi lub mieli jej zbyt mało, aby wyraźnie odróżnić się od chłopów.

W czasach Rzeczypospolitej grunt orny nie stał się wprawdzie warunkiem szlachectwa, ale na pewno jego zdobycie było podstawową ambicją każdego pana herbowego. Ideał zamykał się w prostej rymowance. Od szlachcica oczekiwano, że będzie *bene natus et possessionatus* — a więc dobrze urodzony i uposażony w ziemię. Tylko człowiek osiadły we własnym

wiejskim majątku mógł faktycznie korzystać z wszelkich profitów związanych z wysoką rangą społeczną. Dla posesjonatów zastrzegano, formalnie lub przynajmniej zwyczajowo, prestiżowe urzędy ziemskie, co bardziej intratne stołki kościelne i inne korzystne drogi kariery[38]. O tym, jak dalece zrosło się rozumienie szlachectwa i ziemiaństwa — a więc życia osiadłego w wolnym majątku ziemskim — dobrze świadczy chociażby hasło z *Księgi przysłów, sentencji i wyrazów łacińskich*, wydanej u schyłku XIX stulecia przez Leopolda Czapińskiego. Autor stwierdził tam wprost, że określenie *bene natus et possessionatus* można wyrazić jednym słowem: „szlachcic”[39].



XVII-wieczny dwór w Kowalewszczyźnie na Podlasiu, ściany frontowa i boczna. Rysunki Zygmunta Glogera z 1869 roku. Budynek rozebrano

dekadę później, dzisiaj nie ma po nim śladu.

Znaczenie posiadania ziemi, zawsze duże, wzrosło jeszcze w wiekach XV i XVI. Pozycja szlachty jako grupy trzymającej władzę w Polsce krzepła nie tylko za sprawą opisanych wcześniej przemian politycznych, lecz także z racji rewolucji gospodarczej, która ogarnęła Europę oraz Rzeczpospolitą. Splot różnorodnych czynników — począwszy od przyrostu ludności, a skończywszy na imporcie tysięcy ton srebra z Ameryki przez Hiszpanów, co zachwiało systemem monetarnym — sprawił, że na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych uprawa roli zaczęła się opłacać bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A zarazem też bardziej niż jakiegokolwiek inne zajęcia. Ceny żywności i płodów rolnych rosły w imponującym tempie. Żyto, a więc podstawowa odmiana zboża uprawiana w Polsce, podrożało w XVI stuleciu o mniej więcej 500 procent. Owies — o 300 procent. Ceny innych towarów też zmierzały w górę, ale o wiele wolniej. Na przykład w Krakowie sukno w tym samym czasie zdrożało o jakieś 50 procent, gwoździe o 100 procent, a buty o 200 procent. Różnice między kosztem żywności i wytworów rzemieślniczych były gigantyczne oraz brzemienne w skutki. Gospodarstwo uprawiające niezmienną ilość ziemi, niezmiennymi metodami, około roku 1600 mogło być dwa razy bardziej dochodowe niż w roku 1500. I to bez jakichkolwiek szczególnych starań ze strony właściciela.

Okres zbożowej prosperity poprawił na pewien czas sytuację polskich chłopów, którzy w średniowieczu ledwie wiązali koniec z końcem i stale byli narażeni na śmiercionośne kaprysy pogody. Naprawdę wielkie korzyści z drożyzny czerpali

jednak nie oni, lecz niezależni właściciele rozległych majątków, zdolni produkować na zbył. Szczególnie duże profity płynęły do Kościoła, będącego największym posiadaczem ziemskim w kraju, oraz do możnych. Okazję do łatwego zarobku rychło dostrzegło też szeregowie rycerstwo.

Już w średniowieczu sercem typowego majątku szlacheckiego był folwark: prywatne gospodarstwo pana, zapewniające wyżywienie i zaopatrzenie dla rodziny, służby oraz gości. Nazwa, jak tyle innych, została zaczerpnięta z języka niemieckiego. *Vorwerk* oznaczał pierwotnie wiejską siedzibę, odsuniętą od głównego zamku, dworu lub miasta. Nasi szlachcice łatwo jednak zapomnieli o tej etymologii. Nad Wisłą używano na przykład też formy „wolnarek” — tak jakby folwark wywodził się od wolności, jaką zapewniało posiadanie własnej ziemi.

Od XV stulecia, a szczególnie w wieku XVI, nawet drobne prywatne folwarki zaczęły się przekształcać w swoiste przedsiębiorstwa. Postępujące zniewolenie chłopów, zmuszonych za darmo pracować dla pana, ograniczało koszty do minimum. Poddani orali pola, nawozili je, siali zboże, prowadzili żniwa, potem zaś wymłócali ziarno, przez setki godzin uderzając w kłosa cepami. Tylko za ostatnią czynność wydawano im część urobku. Poza tym jedyną zapłatą za harówkę było prawo do życia w wiosce należącej do szlachcica i do uprawiania, w dniach niezastrzeżonych dla folwarku, wydzielonego spłachetka gruntu^[40].

Małe, ciasne, ale własne. Szlacheckie państwa
w państwie

System pańszczyźniany, z czasem wyradzający się coraz bardziej, by wreszcie zdominować całą egzystencję chłopów, sprawiał, że już ziemianin posiadający kilkadziesiąt hektarów gruntu ornego żył dostatnio, nawet bogato. Sytuacja poszczególnych posesjonatów i obraz ich folwarków oczywiście ogromnie się od siebie różniły. Można jednak wyciągnąć pewne ogólne, uproszczone wnioski, dające wyobrażenie o całej grupie nazywanej średnią szlachcią.

Nie brakowało w jej szeregach ludzi będących w posiadaniu zaledwie połowy wioski albo takich, którzy dzierżyli kilka osad. Najbardziej typowy ziemianin XVI stulecia, zamieszkały w Wielkopolsce lub Małopolsce, był jednak właścicielem pojedynczej wsi. Mogło w niej żyć kilkunastu gospodarzy z rodzinami, zobowiązanych odrabiać pańszczyznę. Łącznie taka miejscowość liczyła siedemdziesięciu, osiemdziesięciu mieszkańców. Większość gospodarzy dysponowała kilkoma lub w najlepszym razie kilkunastoma hektarami ziemi. Średnio wszyscy uprawiali 75 hektarów, czyli około 4,5 łana według miary, jakiej wówczas używano. Grunty folwarczne, a więc wykorzystywane bezpośrednio na korzyść szlachcica, były nieznacznie mniejsze. Typowy ziemianin mógł mieć pod uprawą jakieś 60 hektarów (3,5 łana).

Albo w samej wiosce, albo w pobliżu wznosił się dwór szlachcica, stanowiący zarazem główny budynek folwarku. W większych dobrach często zdarzało się, że jeden folwark przypadał na kilka wiosek. Znane są też przypadki, gdy w pojedynczej wiosce, podzielonej pomiędzy różnych właścicieli, stały dwa albo trzy gospodarstwa ziemiańskie. Zwyczajną była jednak sytuacja, gdy w pojedynczej wiosce należącej do ziemianina działał jeden folwark^[41].

Dwór nie był gmachem ani tak wielkim, ani równie okazałym, co ziemiańskie siedziby z XIX stulecia, które do dzisiaj pyszną się na polskiej prowincji. Nie miał też jednego wzoru: u zarania Rzeczypospolitej daleko jeszcze było do epoki wszędobylskich ganków ze schodkami i kolumnkami. W architekturze, jak w tylu innych dziedzinach, szlachta opowiadała się za pełną wolnością. Tak jak dzisiaj Polacy ze wstrętem patrzą na wszelkie lokalne uchwały narzucające im określony kolor dachu albo styl zabudowy zgodny ze specyfiką danej okolicy, tak już Mikołaj Rej w XVI stuleciu wzywał, by każdy ziemianin stawiał sobie dom „wedle myśli swojej”. Chętnie odwoływano się też do poradnika wprowadzie średniowiecznego, ale przetłumaczonego na polski i zaadaptowanego do lokalnych potrzeb dopiero w 1549 roku. Piotr Krescentyn (właściwie: Pietro de Crescenzi) zalecał, zgodnie z oczekiwaniami nadwiślańskiej szlachty, że dom ma być „mały albo wielki, drewniany albo kamienny”, tak jak każdy sobie zamarzy i jak budżet pozwoli mu budować^[42].

W praktyce dwory niemal zawsze wznoszono z drewna, najchętniej sosnowego, choć niekiedy też z jodły lub modrzewia. Historyk architektury Adam Miłobędzki szacował, że w 1500 roku spośród wszystkich budowli w Polsce tylko 0,4 procent było murowanych^[43]. Potem cegła zaczęła upowszechniać się w miastach, gdzie panicznie bano się nawracających pożarów, ale na wsi wciąż była na cenzurowanym. Za budownictwem „drzewnym” przemawiała dostępność surowca, ale też tradycja i głębokie przekonanie o wyższości takiego rozwiązania. „Wprowadzie większość tutejszych domów jest budowana z drewna, ale nie oznacza to ubóstwa, lecz wynika z powszechnego zdania, że domy drewniane są bez porównania zdrowsze od murowanych

z cegły czy kamienia” — komentowała pewna Francuzka przybyła nad Wisłę w połowie XVII stulecia. To samo mógłby powiedzieć niemal dowolny ziemianin^[44].

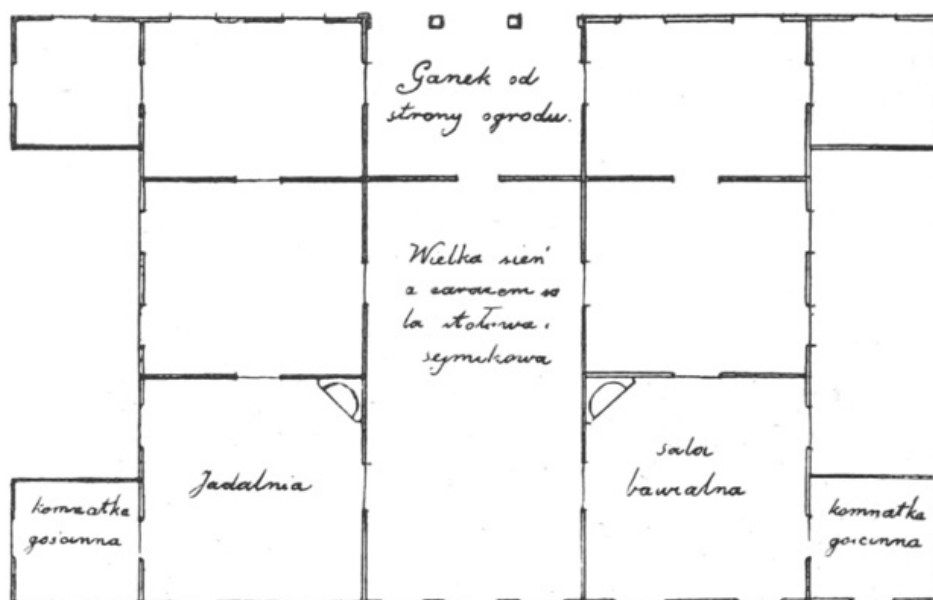
Szlacheckie domostwa kryto zwykle dwuspadzistymi dachami, stromymi z racji srogich zim, jakie nawiedzały Polskę. Jako materiału używano gontu, tylko najubożsi panowie byli zmuszeni mieszkać pod słomą. Najmniejsze dworki miały wewnątrz zaledwie trzy lub cztery pomieszczenia i układ podobny do tego, jaki spotykało się w chatach chłopskich. Drzwi, wyposażone w klamki, a nie zasuwę lub skoble, jak u kmieci, prowadziły do sieni służącej po części za przedpokój, po części też magazyn i miejsce wykonywania różnych robót gospodarskich. Dalej była izba — główne, dzienne pomieszczenie dworu, ogrzewane przy użyciu pieca. Ten, jako podstawowe źródło ciepła w domu, zajmował wraz z kominem bardzo wiele miejsca, stanowił niejako serce gmachu. Często był ceglany lub nawet ulepiony z gliny, a kogo było na to stać, ten starał się o jego piękne malowanie lub wykosztowywał się na ozdobne kafle, podobne do tych, jakie widywano w pałacach. O statusie właściciela świadczyły poza tym okna. Starano się je wypełniać bardzo wtedy kosztownymi szklanymi szybkami. Te były wprawdzie, z uwagi na technikę wyrobu, mętne i nierówne, a przez to nie przepuszczały wiele światła, ale i tak stanowiły rozwiązanie znacznie lepsze od alternatyw — papieru nasączonego tłuszczem i zwierzęcych pęcherzy, ewentualnie samych okiennic, czyniących wnętrza nieznośnymi, gdy nadeszły trzaskające mrozy. Do izby przylegała jeszcze komora lub komory — małe pokoiki pozbawione własnego ogrzewania, nie zawsze też wyposażone w okna, zwłaszcza pełnowymiarowe. W zamożniejszych dworach była poza tym komnata, a więc pomieszczenie

sypialne, z kominkiem (od którego czerpała nazwę) oraz z wielkim łóżem małżeńskim stanowiącym chlubę właścicieli.

Jeśli to nie wystarczało, można było mnożyć zarówno liczbę izb, jak i komór. Duże dwory składały się nawet z ośmiu czy dziesięciu pomieszczeń, często dobudowywanych po fakcie, niekoniecznie w myśl jakiegokolwiek projektu. „Nie miał dwór staropolski prawie nigdy architektonicznej jedności” — słusznie komentował przed przeszło stuleciem historyk Władysław Łoziński. Był do pewnego stopnia „nieforemnym aglomeratem”, ale właśnie „improvizowany układ mas i członków” nadawał mu charakterystycznej malowniczości. I czynił z niego, jak pisał Łoziński, „szczery wyraz życia, potrzeby, obyczaju” kolejnych pokoleń mieszkańców^[45].

W praktyce duże dwory spotykało się chyba rzadko. Zwyczajnie nie były potrzebne. Ze szczegółowych badań demograficznych prowadzonych w ostatnich latach wynika, że typowa rodzina szlachecka z czasów pierwszej Rzeczypospolitej prezentowała się bardzo różnie od przyjętego stereotypu. W starszych publikacjach naukowych, a już zwłaszcza w powieściach i filmach, można się spotkać z obrazem dworków niezwykle zatłoczonych i tętniących życiem. To rezydencje, w których przebywali przedstawiciele kilku pokoleń, od dziadków po wnuki, poza tym zaś też różni dalecy krewni, goście, rezydenci. Takie siedziby oczywiście też się zdarzały, nie były jednak typowe. Jak wykazał między innymi Piotr Guzowski, XVIII-wieczna rodzina ziemiańska zamieszkująca pod jednym dachem składała się średnio tylko z czterech osób. Była to, w przytłaczającej większości przypadków, rodzina nuklearna, złożona z samych rodziców i dzieci, podobna więc do dzisiejszych. Czasem we dworze żyli jeszcze rodzice albo nieżonaci bracia czy niezamężne siostry

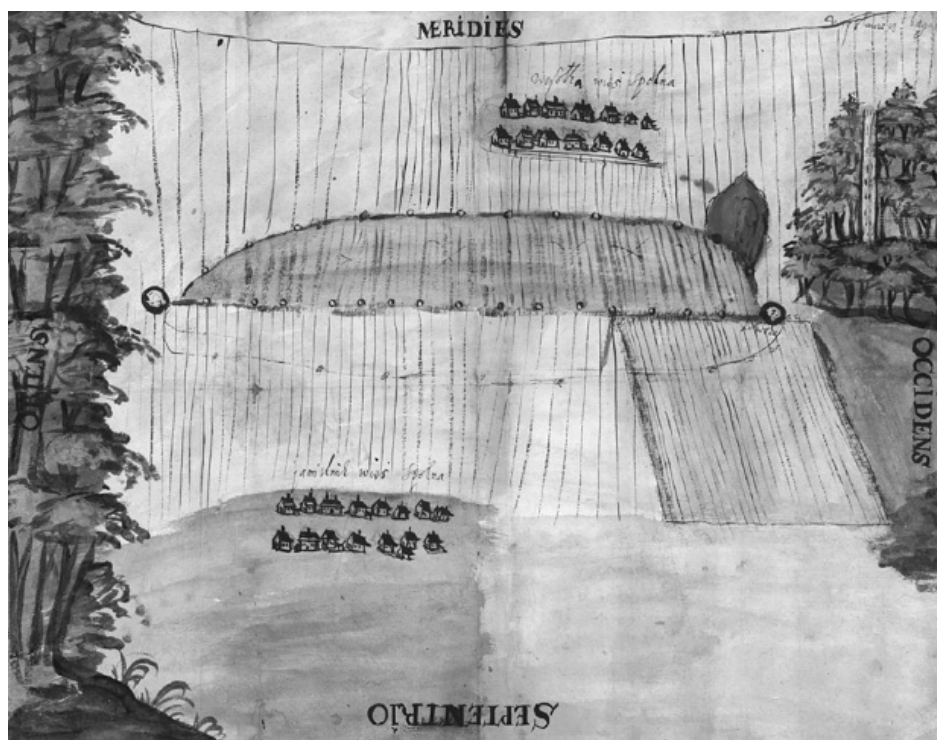
właściciela majątku. Różne odmiany rodzin rozszerzonych zamieszkiwały jednak zaledwie kilkanaście procent wszystkich szlacheckich gospodarstw. Jeśli dwory nie robiły wrażenia opustoszałych, to głównie z racji stałej obecności służących. Według jednego z szacunków w Wielkopolsce i Małopolsce aż 96 procent ziemian zatrudniało służbę domową. Tej tak zwanej czeladzi nie mieli wyłącznie zupełni bankruci. Zwykle we dworze pracowało kilka osób, choć tylko najpotrzebniejsze sypiały w przydzielonej im komorze. Innych kwaterowano poza siedzibą szlachecką[46].



Układ pomieszczeń dworu w Kowalewszczyźnie na Podlasiu. Stan w XIX stuleciu na planie wykonanym przez Zygmunta Glogera.

Należy podkreślić, że folwark zaczynał się od dworu, ale nigdy się na nim nie kończył. Jak zalecał kasztelan brzeski Jakub Ponętowski w drugiej połowie XVI stulecia, ziemianin powinien swój dom rozsądnie, „rządnie”, rozmierzyć, solidnie

zbudować, ale też otoczyć „gmachami różnej miary”, zgodnie z potrzebami. Obok dostatniego dworu mógł stać dom czeladny, przeznaczony dla służących. W osobnym, choć pobliskim, budynku lokowano też kuchnię. Był to zabieg pozwalający uniknąć zaprószenia ognia. Ponętowski tłumaczył, że w samym „mieszkaniu” powinna stać tylko „kuchenka”, służąca szybkiemu podgrzewaniu potraw. Potrzebom codziennego życia służyły jeszcze łaźnia, częsta przy dworach, przynajmniej w XVI wieku, a także „miejsce sekretne” — czyli wychodek. Cytowany poradnik z epoki wymieniał jeszcze między innymi psiarnię, którą należało lokować co najmniej pół mili od domu (zapewne z racji uciążliwego hałasu), „piwnicę chłodną” czy „lodownię pewną” (chodzi o podziemną komorę wypełnianą zimą lodem, by przez kolejne miesiące zapewniała niską temperaturę, konieczną do długiego przechowywania żywności)[47].



Mapa granicy między wsiami Jamielnik i Wesołka z przełomu XVI i XVII wieku. Kopia w zbiorach archiwalnych Zygmunta Glogera.

Poza tym przy dworze stawiano zabudowania czysto gospodarcze. Folwark nie mógł się obyć bez gumna, czyli odpowiednika dzisiejszej stodoły. W dużych gospodarstwach wznoszono kilka gumien, a nadmiar zboża trzymano w brogach, pod prostymi daszkami tylko częściowo chroniącymi zbiory przed deszczem.

Nieodzowna była stajnia, zwłaszcza przy znanym zamiłowaniu szlachty do wierzchowców. Jak podawał Andrzej Wyczański, samych tylko koni roboczych trzymano w typowym folwarku od trzech do pięciu. Obora zapewniała miejsce dla średnio dziesięciu krów dojnych i przynajmniej czterech wołów. Przeciętny ziemianin miał też jakieś dwadzieścia świń (latem wypuszczanych na żer do lasów), poza tym zaś kury, gęsi, kaczki, czy wreszcie owce, choć te nie wszędzie hodowano. Łącznie cały inwentarz żywy w zupełnie zwyczajnej majątności składał się z przynajmniej stu, a często stu pięćdziesięciu zwierząt.

Hodowla zapewniała dostęp do mięsa, tłuszczów (w tym łoju używanego w kagankach), serów czy jaj. Nie ona jednak była głównym źródłem szlacheckich dochodów. Wyliczono, że około 1560–1570 roku właściciel typowej majątności 5 procent wszystkich wpływów uzyskiwał z danin i czynszów, do jakich zobowiązywano poddanych, mimo że ci wylewali też poty na folwarcznej roli, 25 procent pochodziło z hodowli, przede wszystkim bydła, a aż 70 procent ze sprzedaży zboża. Po uwzględnieniu wszystkich, zresztą bardzo niewielkich, kosztów prowadzenia gospodarstwa właściciel jednej wioski

mógł liczyć na roczny zarobek w kwocie około 186 złotych polskich. To w przeliczeniu mniej więcej 110 tysięcy złotych z 2023 roku, albo 9 tysięcy na miesiąc. Niemało, jeśli wziąć pod uwagę, że szlachcic był zwolniony z podatków i nie wykoshowywał się na jakiegolwiek towary codziennej potrzeby. Pracowali dla niego chłopci, sól konieczną do konserwacji żywności dostawał niemal za darmo od króla, a inne zaopatrzenie czerpał z folwarku. Ten bowiem zawsze starano się organizować tak, aby był całkowicie samowystarczalny.

Na usługach jaśnie pana był przynajmniej jeden rzemieślnik, w miarę potrzeby zdolny wcielić się w szewca, kowala albo cieślę. Do wznoszenia nowych gmachów zapędzano poddanych. Oni też służyli za stróżów nocnych, woźniców transportujących pańskie zboże albo za kurierów dostarczających listy do sąsiednich posesji. Opał pochodził z prywatnego lasu. Drewno było rąbane, zbierane i zwożone — a jakże — przez kmieci. Nie trzeba było kupować świec: były wyrabiane przy dworze, z wosku pszczelego zebranego przez bartników lub przez zwyczajnych chłopów zobowiązanych do takiej posługi. Także trunki pochodziły z własnej produkcji. Nawet w małych majątnościach wznosiły się browary warzące piwo. W XVII stuleciu zwyczajnym widokiem stały się poza tym folwarczne gorzelnie. Lekarza zastępowała domowa apteczka, wypełniona ziołowymi specyfikami pozyskanymi z dworskiego ogródka. Materiał na proste ubrania, pościel albo worki podobnie powstawał na miejscu. Chłopkom kazano prząść len, tkać płótna i je bielić. W majątku wyprawiano poza tym skóry, wytwarzano mydło, wyrabiano sery i nalewki, niekiedy nawet produkowano atrament albo proch strzelniczy.

Przykłady można mnożyć właściwie bez końca. Jeśli ziemianin potrzebował czegoś do życia, niemal zawsze był w stanie pozyskać to na swojej posesji. Jeśli zaś pole, las i ogród czegoś mu nie zapewniły — to tego się nie jadło lub nie używało. Każdy folwark średniego szlachcica był, jak pisał Władysław Łoziński, „zamkniętym w sobie i dla siebie organizmem, małym i ciasnym, ale w całości swej okrągłym światkiem”. Był, krótko mówiąc, państwem w państwie — nie tylko formalnie, z racji pełnej niezależności właściciela od władzy centralnej, lecz także w praktyce. Bo szlachcic na co dzień mógł sądzić, i często sądził, że cokolwiek znajduje się poza rubieżą włości, jest dla niego nieważne i niepotrzebne^[48].

„Trzeba się w tobie kochać, także cię pilnować”.
Idealizm ziemiańskiego życia

W samym województwie krakowskim w drugiej połowie XVI stulecia da się naliczyć 650 majątków średniej szlachty, złożonych z jednej lub najwyżej kilku wiosek^[49]. W całym kraju, łącznie z Wielkim Księstwem Litewskim, takich posiadłości mogło być blisko 10 tysięcy. Każda stanowiła odrębną, niemal niepodległą wyspę. Konsekwencje tego faktu aż trudno przecenić.

Nawet niewielkie folwarki przynosiły w XVI wieku tak sowe dochody, że ziemianie nie potrzebowali obawiać się o przyszłość. Nic nie pchało ich ku temu, by zebrać o wsparcie u magnatów czy też u podnóżka tronu. Niezależność finansowa wyzwalała dumę i polityczne ambicje. Średniego szlachcica było po prostu stać na to, by na własnych warunkach brać udział w życiu publicznym. Z kotwicą

w postaci posiadłości ziemskiej mógł się odważyć na krytykę króla, na stawianie żądań albo na głośne wzywianie do zniesienia wszelkich różnic między szeregowym rycerstwem a możnowładcami. Nie krył, co myśli, bo monarsze przywileje zapewniały mu pełną nietykalność. A gdyby nawet ściągnął na siebie gniew dworu lub najpotężniejszych panów, zawsze był władny wycofać się do posiadłości, tam zaś był niezależny, samowystarczalny i bezpieczny od zakusów jakiegokolwiek władzy. W efekcie na przykład Jan Gawiński, poeta z XVII wieku, mógł pisać z satysfakcją, że w „swoim obejściu” pan sam jest dla siebie nawet „senatem”, a w domyśle i królem, bo przecież „żaden rozkaz w uszach mu nie dzwoni”[\[50\]](#).

Zbożowa prosperita nie dała początku hasłom o równości i wolności całej szlachty. Te skryształizowały się już wcześniej. Fenomenalny awans majątkowy szeregowych ziemian ostatecznie jednak ugruntował nowy porządek rzeczy. Nie jest też w żadnym razie przypadkiem fakt, że okres największych wpływów średniej szlachty w całych dziejach Rzeczypospolitej przypadł na lata najlepszej koniunktury na produkty rolne: a więc na trzecią ćwierć XVI wieku[\[51\]](#). Tak samo nie należy się dziwić, że posiadanie ziemi stało u podstaw całego zbioru mitów i wyobrażeń, kreujących szlachecki obraz świata.

Panowie herbowi pogrążyli się w prawdziwej obsesji na punkcie prowincjonalnego życia. Własna miejscowość z poddanymi i folwarkiem uchodziła za spełnienie marzeń, nawet za obiekt uczuć, jakich nie okazywano choćby żonom czy dzieciom. „Wsi spokojna, wsi wesola, który głos twej chwale zdoła?” — biegły sławne słowa Jana Kochanowskiego spisane przed rokiem 1580. Poeta z Czarnolasu jako pierwszy

z taką emfazą zachwalał rustykalną idyllę. Zachwyty podzielały jednak tysiące innych ziemian, a wielu późniejszych autorów okazało się o wiele bardziej wylewnych i entuzjastycznych. „O, rola pożyteczna, smaczna i kochana” — pisał Władysław Jeżowski w pierwszej połowie XVII stulecia. „Ciebie trzeba sprawować dobrze i szanować. Trzeba się w tobie kochać, także cię pilnować”. Już to brzmi jak miłosny sonet. A co dopiero inny, anonimowy, lecz bezwzględnie szlachecki, utwór ze zbliżonego okresu. „Wsi cnotliwa! Bodaj tobie, kwitła sława ku ozdobie. Ja twój, tyś moja! Mój skarb, chęć twoja” — rozplątywał się autor.

„Uwielbienia wsi w takim stopniu, co w Polsce, nie spotyka się w żadnej literaturze [tej epoki], ani włoskiej, ani francuskiej, ani angielskiej” — komentował badacz nowożytnego piśmiennictwa Stanisław Windakiewicz. I co ważne, nie chodzi tu tylko o artystyczne gusta i trendy. Poeci wyrażali faktyczne podejście do życia, przejawiane przez świeżo wzbogacone elity.

Można spotkać się z poradcami z epoki, których twórcy zalecali ziemianom, by skrzętnie doglądali gospodarstwa, dbali o stan zabudowań, plony i dochody posiadłości. Bądź co bądź, wieś była najważniejszym i najwspanialszym, co posiadali. Znaczenie takich wytycznych należy jednak uznać za ograniczone. Kultura szlachecka nie była bowiem w żadnym razie kulturą pracy. Wprost przeciwnie^[52].

Idealne życie wiejskie, do którego dążono, miało być spokojne, niespieszne, wręcz — jak powiedzielibyśmy dzisiaj — relaksujące. W nauce folwarkiem nazywa się gospodarstwo, w którym właściciel nie brał bezpośredniego udziału w pracach rolnych. I faktycznie, szlachcic był nadzorcą i najwyższym decydującym, ale nie brudził sobie rąk

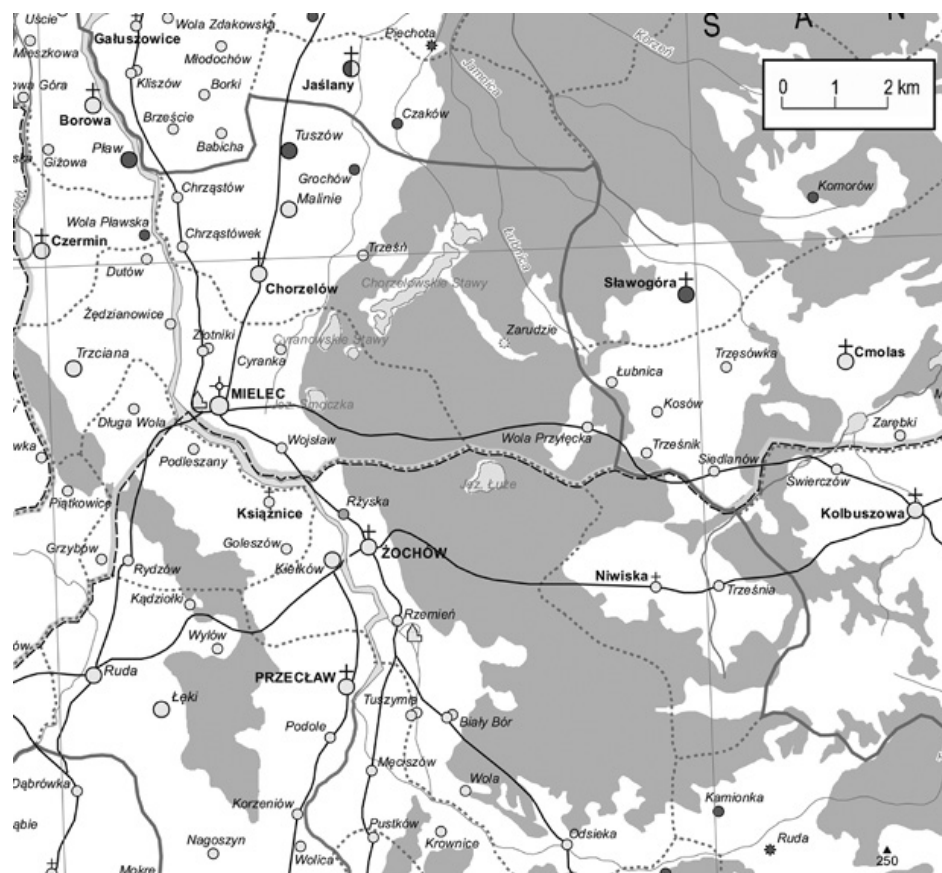
w polu. Jeśli było go stać na zatrudnienie tak zwanego dwornika, który kierował codziennym funkcjonowaniem posesji, to on mógł się ograniczyć do obserwowania. Patrzył na harujących chłopów, poza tym zaś z satysfakcją śledził, jak domowa szkatuła zapełnia się srebrem. Nawet jednak, gdy *bene natus et possessionatus* osobiście zarządzał folwarkiem, to zakasywał rękawy tylko wtedy, gdy miał na to ochotę. Gospodarstwo organizowano bowiem w sposób, który wymagał tysięcy godzin chłopskiej harówki, ale tylko okazjonalnego doglądu ze strony waćpana. Trudno o lepszą ilustrację panującego podejścia niż traktat Anzelma Gostomskiego z 1588 roku. Książka *Ekonomia albo gospodarstwo ziemiańskie* stanowiła przez długi czas najpopularniejszy i najbardziej wpływowy instruktaż dla właścicieli folwarków. Autor na ponad 100 stronach wykładał reguły zarządzania, a przede wszystkim nadzorowania i karania chłopów. Niby zalecał przeróżne sposoby powiększania zysków, zarazem jednak przestrzegał, że pan herbowy powinien robić tak... żeby się nie narobić. Za wzór uważał ziemianina, który „nie rachuje z utrapieniem”, nie przejmuje się pieniędzmi, poza tym zaś „nie kupuje, nie sprzedaje” — bo mają to za niego czynić poddani.

Możliwość uniknięcia pracy stanowiła kwintesencję, wręcz definicję wolności. Gdy poddany harował, człowiek wolny mógł się zabawiać. Stąd brały się wielogodzinne czy nawet wielodniowe dworskie uczyty, wielkie polowania z nagonką, zwyczaje jeżdżenia w gości i pozostawania u sąsiadów długimi tygodniami. Stąd też, jak podkreślał na przykład profesor Władysław Czapliński, zrodziła się typowa dla polskiej szlachty skłonność do życia nad stan i do „lekkomyślnego wydawania pieniędzy”, których zdobywanie „przychodziło

szlachcicowi tak łatwo”. Beztraskie życie, pozbawione odgórných obowiązków i obaw finansowych, dało poza tym impuls potrzebny do powstania dzieł ziemiańskiej literatury, do dzisiaj wychwalanych w szkolnych podręcznikach. Jak w Atenach, zbudowanych na masowym niewolnictwie, Platon mógł poświęcać życie filozoficznym rozważaniom, tak w Czarnolesie Jan Kochanowski był w stanie spokojnie przesiadywać pod lipą i opisywać w *Pieśniach* niekończącą się pracę swych poddanych. Rekordzistą okazał się zresztą nie on, ale Wacław Potocki, aktywny twórczo pod koniec XVII stulecia. Ten zamożny właściciel wielu wsi napisał... 5 tysięcy wierszy, fraszek oraz anegdot z prowincjonalnego bytowania. W jednej z nich zupełnie szczerze stwierdził: „Ja w warcaby, albo w karty gram w pokoju, a chłopiek na mnie robi do trzeciego znoju”[\[53\]](#).

Ziemiańska egzystencja była w przeważającej mierze próżniacza. Pod tym względem niewiele różniło ją od życia plantatorów z amerykańskiego Południa czy zblazowanych angielskich elit w schyłkowym okresie starego porządku, tak barwnie oddanym na przykład przez serial *Downton Abbey*. Brak pracy niekiedy stymulował twórczą wenę, o wiele częściej jednak rodził nudę. Można się spotkać z opinią, że właśnie monotonia szlacheckiego bytowania stanęła chociażby u podstaw sławnej polskiej gościnności. Zagranicznym podróżnikom często zdarzało się pisać o niezwykłym entuzjazmie, z jakim witano ich nad Wisłą. Francuz Gaspard de Tende, który przebywał w Rzeczpospolitej w drugiej połowie XVII wieku, za panowania Jana Kazimierza Wazy, wyrażał przekonanie, że Polacy są „z natury bardzo uprzejmi”. „Kiedy cudzoziemcy przejeżdżają przez ich kraj, zapraszają ich, by wypili i wypoczęli u nich, a goszczą ich, jak mogą najlepiej” —

opowiadał. Gościnni nie byli jednak chłopi, egzystujący w nędzy i głodzie, ani mieszczenie, obawiający się obcej konkurencji. Zjawisko miało charakter czysto elitarny. „Tylko szlachcic był w stanie częstować i poić do upadłego każdego, kto odwiedził jego dom, i zdejmował koła z bryczki, żeby nie dopuścić do wcześniejszego wyjazdu” — wyjaśniała Maria Bogucka. Gość z dalekich stron, zwłaszcza gadatliwy, przerywał codzienny marazm, dostarczał plotek i wieści o świecie. Bardziej był potrzebny znudzonemu szlachcicowi niż szlachcic jemu. Także Gaspard de Tende pisał zresztą, że „szlachetni i wspaniali” byli przede wszystkim „wielcy panowie”. Oni „gościli u siebie nawet zupełnie nieznanym im Francuzów, Włochów czy Niemców, żywiąc ich, póki nie znaleźli sobie zajęcia” [54].



Fragment mapy województwa sandomierskiego wchodzącej w skład atlasu XVI-wiecznej Polski przygotowanego przez Polską Akademię Nauk. Jasnym kolorem oznaczono miejscowości należące do szlachty. Ciemnym — własność królewską.

Ziemiańskie lubili obnosić się z szacunkiem dla rolnictwa. To był jednak zachwyty czysto teoretyczny. Opowiadano o ziemi „rodzącej”, jakby samoczynnie, bogactwo. Stanisław Słupski pisał na początku XVII wieku, że rola (a nie pracujący na niej chłopcy) to „klejnot drogi”, który „buduje gumna, kopy stawia”, obdarzonego herbem nędznika czyni dostatnym panem. Często zdarzało się też, że ziemian przedstawiano w sztuce jako oraczy, choć faktycznie nigdy nie odważyliby się dotknąć pługa. Nawet ojczyzna — symboliczna *Polonia* — była chętnie wyobrażana jako kobieta oparta o takie czy inne folwarczne narzędzie. Na frazesach się jednak kończyło.

O bezradności szlachty wobec faktycznej harówki w polu i zagrodzie dobrze świadczy utwór Piotra Zbylitowskiego z około 1600 roku. W przypiływie szczerości nietypowym dla szlachcica przedstawił on sytuację, jaka musiałaby zapanować, gdyby ze wsi uciekli przed niewolą wszyscy chłopcy. „Orać sobie zapewne sami nie będziemy, ani ciężką kosą siana nie możemy” — pisał. Przyznał, że w cienkim, drogim atlasie żaden wymuskany szlachetka nie stanie za pługiem, potem zaś nie będzie zdolny zamachiwać się cepem. Bez pracy poddanych i wobec niemożności zajęcia się rolą samodzielnie zostawała tylko rozpacz: „A jeśli ani chłopcy, ani sam robić nie będę, niedługo o głodzie w swoim kącie siądę”.

Akty podobnej autorefleksji zdarzały się nad wyraz rzadko. Średnia szlachta, przyglądająca się wysiłkowi z daleka i coraz bardziej przyzwyczajona do wygody oraz dostatku, zaczęła wręcz otwarcie pogardzać samą ideą ciężkiej pracy. Charakterystyczne są słowa Stanisława Orzechowskiego, który w drugiej połowie XVI wieku stwierdził, że kto „żywi się mitręgą”, ten nie może pamiętać o „prawdzie” i „wierze”. Beztroskie podejście do pracy, nomen omen, uszlachetniało w jego opinii człowieka. Lepszym, bardziej pobożnym i moralnym był w oczach panów ten, kto nie harował. Choć, z drugiej strony, ziemianie nie mieli oczywiście żadnego problemu z krytykowaniem zbyt „leniwych”, „ciemnych” i „krnąbrnych” kmieci, którzy niewystarczająco ciężko silili się dla ich korzyści[55].

Ideologia ziemiańskiej sielanki tylko potęgowała już wcześniej wyraźny wstręt względem miast i mieszczan. Piewcy „wsi spokojnej, wsi wesołej” w każdej mieścinie, choćby niewielkiej (a głównie takie istniały w Polsce nowożytnej), widzieli siedlisko zła, zepsucia i grzechu. „Ziemianin czuł się na ogół w mieście kimś stale zagrożonym” — komentował profesor Janusz Tazbir. — „Raził go ścisk i hałas, dokuczało złe powietrze i pospolici złodzieje, czyhający tylko na okazję, aby obciąć przybyszowi sakiewkę nieopatrznie uwieszoną u pasa”.

Kultywowano przekonanie, że każdy kupiec, czy nawet każdy mieszczanin, to oszust, zdzierca i malwersant, który — by zacytować XVII-wiecznego autora Wojciecha Gostkowskiego — dybie na szlachecki pieniądz niczym jakiś „wyżeł” albo „ogar”. W listach i prywatnych zapiskach szlachciców mieszczanie byli przezywani też „szycami”, „samsikami” (chyba od smrodu towarzyszącego garbowaniu skóry) albo „szołdrami” — czyli

świniami, bo szołdra to solona łopatka wieprzowa. Szydzono z życia krakowian, gdańszczan czy warszawian, którzy kierowali się zawsze „marną chciwością” i „swoje zdrowie wazyli dla zysku”, w stałej obawie przed stratą. Z ich pożałowania godną egzystencją zestawiany był żywot poczciwego szlachcica. Ten człowiek, stateczny i moralny, beztrąsko zwoził zboże w brogi, potem zaś, jak pisał Sebastian Fabian Klonowic u schyłku XVI stulecia, „zasiadał sobie przy ogniu sosnowym, przy trunku zdrowym”. Był lepszy od mieszczan, bo nie pracował zbyt wiele i nie brudził sobie myśli ciągłą pogonią za pieniądzem.

Szlachecka postawa była oczywiście przepojona skrajną hipokryzją. Jak zauważył chociażby profesor Andrzej Zajączkowski, posesjonaci sami „handlowali jak się da i czym się da”. Przywileje celne i solne oraz pełnia władzy nad chłopami, potrzebującymi przecież różnego zaopatrzenia, pozwoliły im zawłaszczyć najbardziej dochodowe zajęcia, jakimi tradycyjnie trudnili się mieszczenie. Krytykowali na dobrą sprawę konkurentów. Tyle że niezwykła pozycja prawna i wolność posiadania ziemi sprawiały, że nobilitowani mogli zarabiać bez większego wysiłku, podczas gdy „podły” mieszczanin musiał liczyć każdy grosz i martwić się o to, jak zwiąże koniec z końcem. Ten, kto już należał do elity, nie zauważał jednak absurdalnych sprzeczności. Mógł, jak Stanisław Słupski, szydzić, że mieszczenie biedują, bo „z lichwy” i „fałszu” nie da się „utyć”. Tak samo trudno byłoby oczekiwać opamiętania od tych szlachciców, którzy z powagą pisali, że to zuchwali mieszczenie — a nie oni sami — Polskę „niszczą, ubożą i z dostatków ogałają”.

Rezerwa względem miast i miejskiego stylu życia nie była oczywiście zjawiskiem czysto polskim. Angielska szlachta

podobnie narzekała na Londyn, francuska na brud i zgiełk Paryża. Jak jednak pisał historyk idei Jerzy Jedlicki, pogarda dla miast w dobie nowożytnej chyba nigdzie „nie stała się tak niemal obowiązkowa jak w Rzeczypospolitej”. Klasyczny badacz nadwiślańskiej kultury Aleksander Brückner uważał z kolei, że i konsekwencje zachwytu nad wiejskim życiem były u nas większe oraz bardziej tragiczne niż ogółem na szczytach drabiny społecznej Europy. „Potępienie godziwej pracy psuło ludzi”, w domyśle szlachciców, „gorzej niż gdziekolwiek indziej” — komentował^[56].

Skąd brała się aż tak ogromna siła oddziaływania ziemiańskiej, posesjonackiej ideologii? Tylko nieliczni badacze zwracają uwagę, że chodziło o więcej niż politykę i gospodarkę. Wyraźny wpływ na sytuację wywarła także polska geografia. Na zachodzie stałym problemem był głód ziemi. Zatłoczone miejscowości wyrastały gęsto, jedna obok drugiej, puszcze dawno zostały wykarczowane, zniknęły dzikie pustkowia. Rzeczpospolita zdawała się jednak należeć do innego świata. Po zacieśnieniu unii z Litwą całe państwo obejmowało nawet około 870 tysięcy kilometrów kwadratowych. Było niemal dwukrotnie większe od Francji, trzykrotnie od Anglii. Pod względem zaludnienia ustępowało jednak wyraźnie europejskim potęgom. Nad Sekwaną zamieszkiwało w drugiej połowie XVI wieku około 16 milionów ludzi. Nad Wisłą i Wilią — w przybliżeniu 7,5 miliona. Gęstość zaludnienia w Rzeczypospolitej była kilkukrotnie niższa od zachodnioeuropejskiej średniej. W całym kraju wynosiła około ośmiu osób na kilometr kwadratowy, nawet jednak w najbardziej rozwiniętych województwach centralnych pozostawała daleko w tyle za Francją, krajami niemieckimi, a już szczególnie Niderlandami.

Rozległa pusta przestrzeń była nieodłączną cechą Rzeczypospolitej. Pewne wyobrażenie o niej dają szczegółowe mapy XVI-wiecznego kraju, jakie przez ostatnie pół wieku przygotowywała specjalna pracownia Polskiej Akademii Nauk. Projekt dobiegł końca w roku 2021 i plany wszystkich województw koronnych są już dostępne publicznie. Widać na nich, jak duże dystanse dzieliły dobra panów herbowych. Nawet blisko serca kraju — na przykład w województwie sandomierskim — często zdarzało się że dana wioska szlachecka miała w odległości 5 kilometrów tylko dwie czy trzy inne osady. Ponieważ zaś nie w każdej wsi stał dwór i folwark, to nągminnie dochodziło do przypadków, gdy najbliższy szlachecki sąsiad żył w odległości 10 albo i kilkunastu kilometrów. Pola i łąki różnych właścicieli zwykle nie stykały się z sobą, a spotkanie z jakimkolwiek innym posesjonatem wymagało osiodłania konia lub wyprowadzenia bryczki, potem zaś podróży trwającej czasem godzinę, jeśli nie dłużej.

Jak podkreśla Maria Bogucka, „szeroki oddech przestrzeni” wpływał na mentalność. Nie mogło być inaczej. Samotność folwarku wzmagala potrzebę, by czynić z niego samowystarczalną machine. Nieobecność sąsiadów i reprezentantów władzy potęgowała poczucie wolności i niezależności, ale też indywidualność postaw: a więc tę słynną fantazję szlachecką. Przestrzeń wpływała ponadto na tendencję do izolowania się od reszty kraju, do pogardzania odległymi przecież i obcymi miastami czy wreszcie do sobkostwa i partykularyzmu w sferze politycznej^[57].

Typowy ziemianin gardził nie tylko miastem, ale też dworem królewskim, w jego przekonaniu pełnym intryg, niebezpiecznych wpływów zagranicy i pustych obietnic. Dajmy na to we Francji najwyższą ambicją każdego szlachcica było

dostać się w orbitę monarchy, zwrócić na siebie uwagę, a przez to pozyskać jakiś dumny tytuł albo intratny urząd. Nad Wisłą jednak — o czym pisał przekonująco Janusz Tazbir — „koncepcja jakiegoś polskiego Wersalu” była „myślą w najwyższym stopniu obcą i nienawistną”. Pałace królewskie, tak jak i całą Warszawę, przeciwstawiano najwyższemu ideałowi wiejskiej sielanki. I, zdaniem szlachciców, zawsze wypadały w tym porównaniu marnie. Wśród posesjonatów upowszechniło się przekonanie, że nawet sami władcy zazdrościli im stylu życia i dochodów. Mikołaj Rej twierdził, że Zygmuntovi Staremu zdarzyło się pożalić: „Ziemianin, który ma trzy folwarki, a w każdym tysiąc kóp [zboża] użyna, prawa nie ma [nad sobą], długi nic nie winien, lepiej się ma niżli król”. Czy takie słowa faktycznie padły z ust monarchy, trudno orzec. Na pewno jednak perfekcyjnie wpisywały się one w szlacheckie zachwyty nad własną kondycją i przyjętym sposobem bycia^[58].

Folwarki i krociowe zyski z handlu zbożem wzmocniły i uniezależniły średnią szlachtę. Zrodziły też jednak nie pierwszy i nie ostatni z wielkich paradoksów naszego ziemiaństwa. Zdobywszy bezpośredni wpływ na rządy i kontrolę nad resztą społeczeństwa, tysięczne rzesze nobilitowanych poczęły pogrążyć się w opinii, że najlepiej byłoby odciąć się od spraw publicznych, skupić na prywatnie i skromnych ambicjach, nieprzekraczających granic jednej czy kilku wiosek. Tendencja do izolowania się, do obśmiewania wszystkiego, co obce, i do walki tylko w wąskich, osobistych lub lokalnych interesach nie była oczywiście powszechna, nie stanowiła jedynej możliwej postawy. Stopniowo wrosła jednak w kulturę szlachecką. Przynajmniej po cichu oczekiwano, że pan będzie stawiać na pierwszym miejscu swoją umiłowaną,

„cnotliwą” wioskę — prywatne państwo ważniejsze od tego wspólnego. Konsekwencje dla całej Rzeczypospolitej były na dłuższą metę opłakane.

III. NARÓD PANÓW. JAK SZLACHTA UDOWADNIAŁA SWOJĄ WYŻSZOŚĆ I WYJĄTKOWOŚĆ?

Szlachcice najpierw zdobyli swoje niezwykle przywileje i bezkonkurencyjną pozycję w kraju, a dopiero później zaczęli głośno szukać uzasadnień takiego porządku. Kolejność zdarzeń może się wydawać zaskakująca, łatwo ją jednak wytłumaczyć.

W XV wieku, gdy niemal każda dekada przynosiła lawinowy przyrost uprawnień rycerstwa, dotkliwie brakowało jeszcze ludzi, zdolnych utrwać szlachecki punkt widzenia. Andrzej Wyczański wyliczył, że łącznie przez całe to stulecie nad Wisłą działało czterdziestu trzech pisarzy — a przynajmniej o takiej liczbie przetrwały jakiegokolwiek wzmianki. W ogółem wyjątkowo skromnym gronie aż 88 procent stanowili duchowni, a 58 procent — sami wykładowcy krakowskiego uniwersytetu. O autorach jednocześnie świeckich i szlacheckich jeszcze właściwie nie słyszano. Sytuacja zaczęła się nieznacznie zmieniać na początku kolejnego stulecia. Dopiero jednak druga połowa XVI wieku przyniosła prawdziwy przełom. W latach największej zbożowej prosperity już 61 procent

wszystkich autorów w Polsce stanowili szlachcice. I co najważniejsze, w zdecydowanej większości byli to nie kanonicy czy biskupi szczytający się herbem, ale ludzie świeccy, ziemianie. „Szlachta, zdobywszy monopol polityczny i ekonomiczny, zaczęła także sprawować rząd dusz” — komentował badacz tematu, Sławomir Baczewski. I tak miało pozostać aż do upadku pierwszej Rzeczypospolitej.

Poza zachwytemi nad rozkoszą wiejskiego życia i atakami na resztę społeczeństwa pierwsi ziemianie autorzy poświęcali ogrom uwagi także kluczowym pytaniom o to, kto faktycznie ma prawo mieć się za człowieka dobrze urodzonego, *bene natus*, i jakie konsekwencje niesie z sobą przynależność do rycerstwa. Słowem, jak pisze Baczewski, dopiero wówczas „zaczęto tworzyć ideowe zaplecze istniejącego stanu rzeczy”. Kształtowały się teorie mające na przyszłość potwierdzać pozycję warstwy uprzywilejowanej i dowodzić rzekomej wyższości szlachciców nad wszystkimi innymi ludźmi^[59].

W XVI wieku pamiętano jeszcze dość dobrze faktyczne korzenie statusu szlacheckiego. Jakub Przyłuski, prawnik i kompilator nieoficjalnego zbioru przepisów oraz przywilejów obowiązujących w Rzeczypospolitej, wyjaśniał w roku 1553, że szlachectwo oznacza „sławę imienia”. „Tych, którzy dzięki mądrości w sprawach boskich i ludzkich, dzięki sprawiedliwości, dzięki męstwu i wyjątkowej hojności zasłużyli się państwu i przynieśli pożytek całemu społeczeństwu, władcy, jako szafarze nagród i kar, mogą podnieść do godności szlacheckiej” — pisał Przyłuski. Komentarz był dość słuszny historycznie, ale z perspektywy samych szlachciców jednak dalece niewystarczający, a w nowej rzeczywistości — nawet niewygodny.



XVI-wieczni szlachcice. Rysunek Juliusza Kossaka na podstawie zachowanych materiałów z epoki.

Utwierdziwszy swoją władzę, szlachta z coraz większym sceptycyzmem oceniała prawo królów do decydowania o uszlachcaniu poddanych. Przyjęcie, że herb i dostęp do przywilejów powinny zależeć od woli monarchy, było przecież odbiciem pozycji, której nasi władcy w XVI wieku już nie posiadali. Taka wizja mogła też prowadzić do niebezpiecznych i nieakceptowalnych z perspektywy elity wniosków. Czy skoro król dawał szlachectwo, to mógł je także odebrać? Czy szlachta była zobowiązana do szczególnej wierności i posłuszeństwa, ponieważ zawdzięczała swą pozycję tronowi? Czy wreszcie, jeśli o statusie decydowała sława przodków, to potomkowie zasłużonych byli „szlachetni” w tym samym stopniu co oni? I czy sama nagroda za zasługi wystarczała do uzasadnienia pełnej władzy 6 procent społeczeństwa nad resztą?

Już Przyłuski, świadomy możliwych wątpliwości, podkreślał, że szlachectwo jest nie tylko owocem decyzji władcy, lecz także wartością dziedziczną. Dla wyjaśnienia swojego stanowiska przytoczył słowa rzymskiego poety Horacego. Ten w I wieku n.e. wyjaśniał, że „mężny rodzi męzne”: „buhaje i źrebce [ogierzy] dziedziczą swe szlachetne cechy od rodzica, a z orła, który krew swych ofiar chłepce, nie zrodzi się gołębica”. Przyłuski przyjmował, w myśl cytowanego utworu, że każdy, kto zasłużył sobie na szlachectwo, jest właśnie jak rasowy byk albo wierzchowiec: przekazuje następnie swoje zalety kolejnym pokoleniom, zapewniając, że każdy jego syn, wnuk czy prawnuk zachowa prawo do herbu^[60].

Wyjątkowe cechy stanu szlacheckiego, odróżniające jego przedstawicieli od reszty społeczeństwa, najchętniej wyrażano słowem cnota. Był to termin od początku niedookreślony, a z czasem tylko coraz bardziej mglisty. Dla części autorów

cnota oznaczała w pierwszej kolejności męstwo, waleczność. Dla innych — uzdolnienie do sprawowania władzy albo też sposób życia właściwy szlachcie. W każdym razie zgadzano się, że bez cnoty szlachectwo jest niemożliwe. I vice versa: że tylko szlachcic może się wykazywać prawdziwą cnotą, a przez to tylko on zasługuje na wolność i przywileje.

W drugiej połowie wieku XVI, i z rzadka na początku kolejnego stulecia, zdarzało się, że rzecz była ujmowana zdroworozsądkowo. Odzywały się głosy, że ludzie niskiego stanu, którzy okazują cnotę, są ze swej natury szlachetni, a więc zasługują na to, by włączyć ich do grona elit. Z drugiej strony, twierdzono też, że cnota wymaga wysiłku. Wawrzyniec Goślicki wykładał w 1568 roku, że „szlachectwo posiada wielką siłę”, bo „portrety i herby”, a także znane „blizny i rany” antenatów „zachęcają do naśladowania i rozślawiania cnót”, jakimi wykazali się przedstawiciele minionych pokoleń. Także Mikołaj Rej pisał, że szlachectwo, przynajmniej po części, zasadza się na „roztropnym ćwiczeniu” cnoty oraz jej okazywaniu. Niektórzy uważali nawet — najbardziej radykalnie — że szlachcic niecnotliwy, niezdolny do imitowania bohaterskich przodków, powinien być traktowany jak „dzikie zwierzę” czy wręcz relegowany z grona panów herbowych.

Takich postulatów nigdy nie doprowadzono do skutku. Ogółem intelektualne rozważania nad istotą i nietrwałością cnoty miały ograniczony oddźwięk. Profesor Aleksander Brückner stwierdził dosadnie, że były to tylko „frazesy humanistyczne, których na serio nie brano”[\[61\]](#). I chyba miał rację. Wśród szerokich mas szlacheckich już w XVI wieku kwitło konkurencyjne przekonanie, że szlachectwo to nie wartość rodzinna i umocowana historycznie, ale wprost

odwieczna i biologiczna — a przez to niezbywalna i niezależna od kaprysów władców. Polscy ziemianie stopniowo uwierzyli, że są zupełnie innymi ludźmi od swoich poddanych. Innymi, a przede wszystkim — lepszymi.

Szlachecki rasizm

Nawet zwolennicy ćwiczenia cnoty często wyrażali przekonanie, że szlachectwo ma głębszy, jakby magiczny albo sakralny wymiar. Mikołaj Rej pisał, że jest to „jakaś moc dziwna”, tkwiąca w człowieku. Jeden z najbardziej wpływowych autorów szlacheckich, Bartłomiej Paprocki, podkreślał z kolei, że każdy *bene natus* posiada „wszczepione zarodki” — a więc przychodzi na świat mądrzejszy, bardziej utalentowany, doskonalszy od nieszlachciców, zdolny do wyjątkowych czynów. Potem może ćwiczyć swoją „moc dziwną” i ją rozwijać. Ale podobne ćwiczenia u plebeja nic nie dadzą, bo nie ma on „wszczepionych zarodków” szlachectwa. W konsekwencji także ten szlachcic, który nie trenował się w cnocie, pozostawał człowiekiem lepszym od jakiegokolwiek plebejusza. Tak stworzyła go przecież natura.

„Zacni się rodzą z zacnych” — parafrazował Horacego kolejny polski autor schyłkowego renesansu, Mikołaj Sęp-Szarzyński^[62]. Podobnych nawiązań można odnaleźć więcej, stały się one wyjątkowo nośne zwłaszcza w stuleciu XVII. Wówczas wierzono już powszechnie, że poza męstwem czy zdatnością do rządzenia ludzie szlachetni przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie także przymioty fizyczne, korzystnie odróżniające ich od plebejuszy. Mieszczanie, a już szczególnie chłopci — z którymi szlachta stykała się na co dzień na

folwarkach, więc też bardziej interesowała się ich statusem — mieli odznaczać się naturalnie gorszą budową ciała, rysami twarzy, nawet niepańsko rozwiniętymi narządami wewnętrznymi.

W szlacheckim poradniku gospodarczym z XVII wieku można odnaleźć komentarz, że chłopci powinni się żywić podłym jadłem, bo tylko takie zostanie właściwie strawione przez ich, jakże odmienne od ziemiańskich, żołądki. W XVIII wieku, tym razem w traktacie medycznym, stwierdzono z kolei, że wieśniaka można poznać po budowie mózgu: bo kości jego czaszki naturalnie przyjmują kształt pługów i innych narzędzi rolniczych. Nie były to opinie odosobnione. Wacław Potocki poświęcił łącznie dziesiątki utworów na objaśnianie namacalnych różnic między szlachtą a poddanymi. Podkreślał z pogardą, że jak „po sierści” poznaje się konie, tak sam wygląd każdego chłopca zdradza, że „rodziła go suka”. A jeśli nie wygląd, to nieszlachecka woń ciała, bo „inaczej pachną szczenięta, a inaczej świnie” — niezależnie od tego, jak długo by się myły. Inny autor zwracał z kolei uwagę na „chamską kompleksję”, a więc karnację skóry właściwą dla ludzi nienobilitowanych[63].

Profesor Andrzej Zajączkowski twierdzi stanowczo, że rasizm stał się „oficjalną doktryną szlachectwa”. Także etnograf Michał Rauszer pisze, że nad Wisłą wytworzył się obraz stosunków społecznych, w których „chłopi byli postrzegani jako nieomalże »niższa rasa«”[64]. Nie każdy zgadza się z odnośnieniem takich terminów, rozpowszechnionych dopiero w czasach najnowszych i obciążonych bagażem pseudonaukowych twierdzeń z XIX i XX stulecia, do epoki nowożytnej. Trudno jednak zaprzeczyć, że w Pierwszej

Rzeczpospolitej rozumienie szlachectwa zostało stopniowo sprowadzone do idei czystości krwi.

Dowody rasowej czy też przynajmniej genealogicznej obsesji na punkcie odpowiedniego pochodzenia można mnożyć. Już w XVI wieku odzywała się w polskiej literaturze krytyka „mieszkańców”, spleciona z pochwałami rodzin legitymujących się „szczerą krwią”. Zawzięcie pisano o konieczności odcięcia się od ludzi, w których żyłach krążyła krew gorszego rodzaju. „Miałbym to sobie i domowi swemu za wielką hańbę i sromotę, by moja krew szlachecka miała przed chłopem i niewolnikiem kolana podginać” — można przeczytać w *Rozmowie Polaka z Litwinem o wolności* z 1564 roku^[65].

Sama istota szlachectwa zaczęła być rozumiana, jak komentował Sławomir Baczewski, jako przekazywanie z pokolenia na pokolenie doskonałej krwi, „nieskażonej plebejskimi przymieszkami”. Po to, by wykazać brak takiego „splugawienia”, od schyłku XVI wieku tworzone opasłe herbarze, następnie zaś rodowe drzewa genealogiczne. W pierwszych można było znaleźć wydumane listy antenatów poszczególnych wspólnot herbowych, sięgające początków państwa polskiego lub znacznie dalej. W drugich notowano przynajmniej członków trzech ostatnich pokoleń. Jeśli każdy był szlachcicem, także ich potomek mógł z ulgą i dumą twierdzić, że nosi w sobie „czystą” krew^[66].

Odzwierciedlenie typowego spojrzenia na sprawę można odnaleźć w pismach Łukasza Opalińskiego z połowy XVII stulecia. Podkreślał on znaczenie „zachowania narodu nieskazitelny i wolny od dopływu krwi obcej czy niewolniczej”, a więc — w polskim kontekście — chłopskiej. Szlachecki autor nie wyobrażał sobie właściwie rzeczy gorszej od związku przełamującego bariery stanowe. Nieślubne — czy

też po prostu nierówne — pochodzenie było w oczach Opalińskiego „haniebną zmasą”. Nawet ostrzej wypowiadał się Wacław Potocki. Pisał o „hybrydach”, ludzkich „mułach” łamiących swym istnieniem „boskie prawa”. Wieśniacy byli dla niego „skurwysynami, i z matki, i z baby”. O relacji jakiegokolwiek szlachcianki z chłopem twierdził, że to stało „wyżlicy z kondysem”, kundlem. Co zaś do dzieci z takich związków, nawet gdyby urodziły się legalnie, sugerował: „Lepiej zawczasu topić te szczenięta”. Inaczej bowiem skażenie krwi mogło sprawić, że „cała Polska zapełni się mieszańcami”^[67].

Na takim podkładzie rozwijały się popularne jeszcze w wieku XIX twierdzenia, że na wieść o małżeństwie między szlachcianką a włościaninem „Matka Boska płacze rzewnymi łzami”, świadoma, że wspaniała krew szlachecka „utonie w chłopskiej jusze”. Obawa przed utratą czystości odziedziczonej po przodkach była tak wielka i powszechna, że niekiedy przyjmowała prawdziwie absurdalne formy. Debatowano na przykład nad tym, czy czasem zatrudnienie chłopskiej mamki do karmienia szlacheckiego dziecka nie grozi skażeniem jego natury. Sebastian Petrycy, skądinąd uważany za wybitnego uczonego, pisał na przełomie XVI i XVII wieku, że niecnotliwi szlachcice to albo ludzie zdegenerowani częściowym pochodzeniem od plebejuszy, albo ofiary mleka chłopskiej opiekunki: „złego pokarmu”, który przeniknął do ich organizmu i skaził szlachetną naturę. Zarazem jednak szlachcice, interpretujący rzeczywistość wedle własnych potrzeb, tworzyli wygodne dla siebie wyjątki. Przewijały się na przykład twierdzenia, że wprawdzie cnotliwi panowie herbowi nie mogą się wiązać z chłopkami, ale mają pełne prawo wykorzystywać je seksualnie. Jak przypomina profesor Waldemar Kuligowski, pisano wręcz, że gwałt stanowi

dla poddanej przysługę: „poprawia” bowiem jej „rasę”, czyniąc z niej — na skutek styczności z dobrze urodzonym — minimalnie lepszego człowieka[68].

Mity początku

Rasowych teorii szlachectwa nie dało się pogodzić z prostym, historycznym wywodem dziejów stanu uprzywilejowanego. W XVII wieku twierdzenie, że stare rody szlacheckie zostały wyniesione do swojej rangi przez niegdysiejszych królów i książąt stopniowo więc zanikało, wreszcie zaś zaczęło brzmieć jak dziwny, niezrozumiały dowcip albo obelga zasługująca na wybatożenie tego, kto ośmielił się ją wygłosić.

W nowym, czysto szlacheckim rozumieniu świata przyrodzona cnota musiała mieć tak odległe korzenie, jakie tylko dało się wyobrazić. Dla jej wykazania chętnie odwoływano się do historii biblijnych. Według jednego wariantu wkrótce po wyjściu z raju potomstwo Adama i Ewy zostało podzielone na tych przeznaczonych do rządzenia i tych, którzy mieli być ich niewolnikami. Wacław Potocki tłumaczył, że wieczną karą dla synów Kaina, który ośmielił się zgładzić swego brata, było właśnie uczynienie z nich chłopów. Niewdzięczna praca na cudzej roli stanowiła niezbywalne piętno. A fakt pochodzenia od tak wstrętnego przodka miał tłumaczyć, dlaczego wiejskie masy, w przeciwieństwie do szeregów szlacheckich, składały się z ludzi „złych, nieposłusznych, awanturniczych”.

Inna interpretacja sięgała niemal do czasów biblijnego potopu i opowieści o tym, jak sławny Noe wynalazł wino i się upił. Nieprzytomny patriarcha został w bliżej nieokreślony

sposób poniżony przez najmłodszego syna, Chama. Gdy się obudził, z wściekłością przeklął potomstwo niegodziwca. Historia była chętnie wykorzystywana i komentowana przez całe średniowiecze, właściwie wszędzie gdzie dotarło chrześcijaństwo. W Polsce szlacheckiej wyciągano z niej łatwe do przewidzenia wnioski: Cham był przodkiem wszystkich chłopów, natomiast Jafet — który okazał ojcu szacunek — protoplastą ziemian. Odmienność tych dwóch „rodów” wynikała z woli Bożej, była nienaruszalna i trwała od całych tysiącleci.

Bartłomiej Paprocki, autor najbardziej wpływowego herbarza szlacheckiego, tworzący w ostatniej ćwierci XVI stulecia, zaprojektował nawet tarczę herbową według polskiego stylu, jaką rzekomo posługiwał się biblijny Noe: miały się na niej znajdować berło i dwa klucze. Sam Paprocki opowiadał się jednak za innymi, choć nie mniej odległymi genezami uprzywilejowania. Przytoczył wersję, w myśl której podział na szlachciców i chłopów nastąpił w trakcie budowy wieży Babel. Bardziej przemawiała do niego jednak inna interpretacja, a mianowicie że szlachectwo wymyślili... starożytni Egipcjanie. I że zaczęło się od „ludzi rycerskich” Anubisa i Macedy, z których pierwszy przyjął herb psa, drugi zaś wilka.

Trudno ocenić, jak poważnie typowi szlachcice przyjmowali podobne wywody i na ile w ogóle zastanawiali się nad ich realnością. Na pewno biblijna geneza wpłynęła na język. W Polsce, inaczej niż na Zachodzie, twierdzenia, że chłopci pochodzą od Chama, dały początek codziennej obeldze. To za ich sprawą każdego chłopca przezywano „chamem”, a o wieśniaczych obyczajach i sposobie życia mówiono, że są „chamskie”[\[69\]](#). Zarazem jednak starotestamentowe nawiązania nie wydawały się wystarczające. Brzmiały zbyt

uniwersalnie, nie pokazując, jak niegdysiejsza decyzja Noego czy budowniczych wieży Babel miała się do historii lokalnej i do narodzin ustroju Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Alternatywą, a często po prostu rozwinięciem teorii opartych na Biblii, były mity genezy budowane na podstawie literatury antycznej. Najpopularniejszy i najbardziej wpływowy okazał się mit sarmacki. Dzisiaj często pisze się o nim w sposób błędny, a przynajmniej dalece uproszczony. Wbrew pozorom Sarmacja nie pojawiła się w literaturze dopiero w czasach nowożytnych, nie była też myślowym wytworem polskich szlachciców. Jako pierwszy istnienie takiej krainy odnotował już Herodot — grecki podróżnik i pisarz z V wieku p.n.e., nie bez powodu nazywany ojcem historii. Twierdził on, że tajemniczy, koczowniczy lud Sarmatów mieszkał w dolnym biegu Donu i Wołgi, a więc dość daleko na wschód od dzisiejszej Ukrainy. Jego przedstawiciele mieli się posługiwać językiem scytyjskim i sąsiadować z Amazonkami. Wiele więcej Herodot — który przecież nigdy nie odwiedził wspomnianych regionów — nie był w stanie przekazać lub wymyślić. Zainspirował jednak swoich naśladowców.



Strony tytułowe łacińskiego (1517) i polskiego (1535) wydania *Traktatu o dwóch Sarmacjach, Azjatyckiej i Europejskiej* Macieja z Miechowa.

Za czasów rzymskich obszar przypisywany Sarmatom znacznie się rozszerzył i przesunął. Na dobre przyjęła się wersja odnotowana przez sławnego geografę Klaudiusza Ptolemeusza w II wieku n.e. Zgodnie z nią istniały dwie Sarmacie: poza Azjatycką, sięgającą Wołgi i Morza Azowskiego, także Sarmacja Europejska, której zachodnią granicę miała stanowić rzeka Wisła. Nazwa tej krainy przeniknęła następnie do literatury średniowiecznej. Na przykład francuski kronikarz Flodoard, tworzący w X wieku, twierdził, że Sarmaci to po prostu inna, starsza nazwa Słowian. Ze starożytnych wzmianek o Sarmacji zdawali sobie sprawę także autorzy polscy. Przy wielkim respedce, jakim darzono naukę klasyczną, trudno było pominąć ten termin, wiązany przecież

z terytorium, jakie po części zajmowało państwo Piastów i następnie Jagiellonów.

Jan Długosz w XV stuleciu wprost identyfikował Polskę z Sarmacją Europejską, o Karpatach pisał, że to Góry Sarmackie, a Bałtyk nazywał „morzem czy nawet oceanem Sarmackim”. Do tematu chętnie wracali autorzy doby renesansu, żyjący w czasach rosnącego zachwytu nad spuścizną antyczną. W XVI wieku wiązanie Rzeczypospolitej z Sarmacją stało się już dość powszechne, słów używano niemal wymiennie. Stopniowo przyjmowało się także twierdzenie, że mieszkańcy tej nowej Sarmacji są potomkami i spadkobiercami Sarmatów starożytnych. Należy jednak podkreślić, że rzecz była interpretowana bardzo różnie.

Nie istniał jeden wzorzec myślenia, bo też nikt nie widział na oczy prawdziwego, przedwiecznego Sarmaty ani nie miał na temat tego ludu potwierdzonych wiadomości. W gruncie rzeczy wielkie, coraz bardziej karkołomne wizje kreowano tylko na podstawie podpisu umieszczonego na mapach. Jak słusznie komentował badacz terminu, profesor Tadeusz Ulewicz, nazwa Sarmacji była „bogata i zmienna” znaczeniowo, poza tym zaś „kapryśna i niestała, jeśli idzie o jej zasięg terytorialny”.

Maciej z Miechowa w *Traktacie o dwóch Sarmacjach, Azjatyckiej i Europejskiej* z 1517 roku twierdził, zgodnie z tradycją, że Sarmacja Europejska sięgała do Wisły, a do jej mieszkańców zaliczył Rusinów, Litwinów i Moskali. Z nie do końca jasnych względów na liście ludów sarmackich pominął Polaków. Niektórzy sądzą, że powodem był bieg Wisły, który przecież wysuwał poza Sarmację całą Wielkopolskę i znaczną część Małopolski. Inni, jak Ulewicz, pisali, że może po prostu Miechowita chciał uniknąć powtarzania szczegółów

„oklepanych” i oczywistych. A faktycznie jednak wierzył, że Polacy to też dziedzice Sarmatów.

Kolejne dzieła nie dają już raczej powodów do podobnych wątpliwości. Twórcy XVI stulecia — od Josta Decjusza, przez Bernarda Wapowskiego, po Aleksandra Gwagnina — stopniowo budowali przekonanie, że sarmackie dziedzictwo to coś, co łączyło rozległą i zróżnicowaną pod względem językowym, obyczajowym oraz religijnym Rzeczpospolitą. Zmyślane sukcesy, jakie starożytni Sarmaci mieli odnosić w walkach z Rzymem i z innymi ludami koczowniczymi, zaczęto przytaczać jako powód do wspólnej dumy i fundament jednej tożsamości. Jak komentował Janusz Tazbir, mit o sarmackiej przeszłości stał się stopniowo wręcz swoistym uzasadnieniem istnienia „polsko-litewskiego *Commonwealthu*”. Dawał też wyraz ambicjom. Na przykład na nagrobku Zygmunta Augusta wyryto, że był nie tylko „Królem Polaków” oraz „Księciem i Panem Wielkiej Litwy”, ale też prawomocnym władcą „reszty Sarmacji” — a więc w domyśle ziem ruskich sięgających dalej na wschód.

Opowieść o sarmackich przodkach nie stanowiła żadnego ewenementu. Wprost przeciwnie. Właściwie w każdym kraju średniowiecznej, a potem renesansowej Europy intelektualiści próbowali szukać związków między historią lokalną a obrazem dziejów antycznych. Szczególną furorę zrobiły przeróbki *Eneidy* Wergiliusza, opowiadającej o powstaniu Rzymu. Między innymi we Francji, w Anglii i Bawarii twierdzono, że miejscowe dynastie i elity wywodziły się od uciekinierów ze zburzonej Troi. Taka koncepcja pojawiła się też na Litwie, choć nie zdobyła wielkiej popularności. Ogółem nikogo nie dziwiło, że na różnych dworach i w murach uniwersytetów starano się kształtować poczucie dumnego, odległego pochodzenia

poszczególnych narodów. Bajania o Sarmacji i dzielnych koczownikach, którzy niegdyś stawiali czoła Rzymianom, były kolejną taką, dość typową, próbą. Przynajmniej do czasu.

Mit sarmacki, przytaczany, by godzić i integrować mieszkańców wszystkich włości podległych Jagiellonom, nie był początkowo mitem szlacheckim. Do osób, które zrobiły najwięcej dla popularyzacji powiązań między Sarmacją a Rzeczpospolitą, zalicza się Marcina Kromera, autora traktatu *O pochodzeniu i dziejach Polaków* z 1555 roku. Twierdził on, że Polacy są ludem jednocześnie sarmackim i słowiańskim (tak jakby między tymi określeniami zachodził znak równości), który, wyszedłszy ze swych siedzib na wschodzie, przeprowił się przez Wisłę i osiedlił na ziemiach wcześniej zaliczanych do Germanii. Kromer nie widział jednak w dawnych koczownikach protoplastów warstwy uprzywilejowanej. Sam był mieszczaninem, sprzeciwiał się ziemiańskiej hegemonii i wyrażał pogląd, w myśl którego ogół mieszkańców kraju miał prawo do sarmackiego dziedzictwa. Taka wizja nie mogła jednak przyjąć się na dobre w sytuacji, gdy szlachta zdobyła monopol... na wszystko.

W literaturze ziemiańskiej stopniowo zaczęto pisać o Sarmatach jako o przodkach samych tylko szlachciców. Upowszechniała się teoria podboju. Zgodnie z nią warstwa uprzywilejowana pochodziła od dumnych koczowników, którzy przybyli nad Wisłę w zamierzchłej przeszłości, natomiast plebejusze byli potomkami miejscowej, ujarzmionej ludności. W roli zwycięzców obsadzano nie tylko Sarmatów. W obiegu były też inne warianty opowieści, wiążące polską szlachtę na przykład z Wandalami albo z Gotami. Zdarzało się nieraz nawet, że ten sam autor przypisywał panom herbowym kilka różnych genealogii. Do sprzeczności nie przywiązywano jednak

wagi. Liczył się nadrzędny wniosek: mit sarmacki, w swej ostatecznej formie, ugruntowanej w stuleciu XVII, miał integrować samą tylko szlachtę. Zgodnie z nim wszyscy panowie herbowi byli wolni i równi, bo pochodzili od ludzi, którzy podbili kraj i ustanowili nad nim swoją władzę. Chłopi i mieszczenie należeli zaś do całkowicie odrębnej grupy, o innej historii, której podległy status został rozstrzygnięty przed przeszło tysiącem lat. Słowem: były to dwa różne narody.

Pisanie o szlachcicach — i wyłącznie szlachcicach — jako o Sarmatach, a o kontrolowanym przez nich państwie jako o Sarmacji, stało się powszechne nie tylko w drukowanych książkach, ale też na przykład w mowach pogrzebowych, oracjach politycznych, prywatnych pamiętnikach czy na ziemiańskich nagrobkach. Szlachcice chętnie też nazywali różne rzeki czy lasy sarmackimi. Nawet polski klimat, zwłaszcza zaś typowy dla Rzeczypospolitej srogi mróz, zyskał miano sarmackiego. Historyk Stanisław Cynarski wyliczał, że w XVII stuleciu właściwie bez przerwy mówiło się o „sarmackim narodzie, krwi sarmackiej, animuszu sarmackim, wolności sarmackiej”. „Sarmacki” oznaczał już w tym czasie tyle samo co „szlachecki”. W przekonaniu samych panów herbowych słowo to można też było zrównać z przymiotnikiem „polski”[\[70\]](#).

Naród polski, naród sarmacki

Sarmacki mit genezy stał się z czasem wyjątkowy, bo chyba tylko w Polsce — jak tłumaczył chociażby Janusz Tazbir — taki wywód historii posłużył „do wytworzenia pojęcia narodu

szlacheckiego”. Ponieważ szlachcice uwierzyli, że jako jedyni są Sarmatami, to tak samo zaczęli też twierdzić, że tylko oni tworzą naród polski. Zgodnie z obowiązującą doktryną mieszczenie i chłopi — a więc jakieś 94 procent populacji! — Polakami nie byli, ale należeli do gorszego, podporządkowanego narodu plebejskiego. I rzecz dotyczyła nawet rodzin, które od stuleci zamieszkiwały na przykład pod Gnieznem albo w Krakowie i z dziada pradziada posługiwały się polszczyzną.

„Wyłączenie poza nawias narodu członków stanów niższych było zabiegiem absurdalnym” — podkreślała Maria Bogucka. Takie rozwiązanie budziło zresztą konsternację już w czasach nowożytnych. XVIII-wieczny podróżnik Hubert Vautrin wyjaśniał, że za Francuzów, Anglików czy Hiszpanów uważano „wszystkich mieszkańców tych państw”. Tylko w Rzeczypospolitej sprawa wyglądała inaczej, a Polakiem mógł się nazywać wyłącznie szlachcic.

Przyjęty sposób myślenia ułatwiał współpracę na szczytach władzy. Zgodnie z nim każdy szlachcic litewski czy ruski mógł zostać uznany za pełnoprawnego członka narodu politycznego, o ile tylko przyswoił sobie język i obyczaje nadwiślańskiej szlachty. Stąd wzięła się chętnie powtarzana formułka *gente Ruthenus, natione Polonus*, albo *gente Pruthenus, natione Polonus*. Zgodnie z nią szlachcicowi wolno było czuć się „z urodzenia” na przykład Rusinem lub Prusakim, ale „z narodu” — Polakiem. Nie było w takiej deklaracji sprzeczności. Zrównanie szlachectwa z narodowością wpłynęło ogółem na łatwość, z jaką polskie wzorce i mowa rozpowszechniały się na całym terytorium Rzeczypospolitej. To zjawisko, o którym nad Wisłą pisze się dzisiaj z dumą — bo przecież po naszymu mówiono w Wilnie, Kijowie, a w okresie

największych wpływów szlacheckiej kultury nawet w Moskwie. Na Wschodzie napór sarmackich wzorców wcale nie jest jednak oceniany pozytywnie. Współcześni badacze z Litwy czy Ukrainy przypominają, że wraz z popularyzacją „polskości” i „sarmackości” usuwane były lokalne wzorce, zanikał język i gubiły się, często bezpowrotnie, przejawy odrębnej tradycji.

Również na ziemiach etnicznie polskich „absurdalny zabieg” przyniósł ogrom jednoznacznie negatywnych, dalekosiężnych konsekwencji. Mieszczanie niekiedy uparcie próbowali podawać się za Polaków, choć najczęściej takim aktem nieposłuszeństwa towarzyszyły próby dołączenia do stanu szlacheckiego. Co do chłopów — jeśli jakiś nazwał się Polakiem, groziły mu chłosta, pęta albo pręgierz. Szlachta przez stulecia dokładała starań, by na wsi słowo Polak stało się synonimem pana. Odniosła sukces. Chłopstwo w swojej masie uważało się za „swoich”, „tutejszych”, oraczy „urodzonych do pług”, ale nie za członków tego samego narodu co ich właściciele. Wieśniacy postawili też znak równości między Polską czy polsnością a wyzyskiem pańszczyźnianym, jakiemu ich poddawano. Taki sposób myślenia przetrwał rozbiory i rzutował na losy podzielonego kraju w trudnym XIX stuleciu.

Zgodnie z dawną szlachecką nauką chłopci wciąż uważali, że niewiele łączy ich z panami. Trudno się dziwić, że w dniach rabacji galicyjskiej (1846) nie żał im było mordowanych szlachciców i ogałacanych dworów, a w okresie powstania styczniowego (1863–1864) na wsiach często mówiono, że „nasze”, a więc carskie, wojsko zwalcza rebelię „Polaków”. Dopiero XIX wiek przyniósł powolne i niełatwe narodziny nowoczesnej koncepcji polskiego narodu, obejmującego ogół ludności o miejscowych korzeniach i wspólnym języku.

Historyk Tadeusz Łepkowski oszacował, że jeszcze w roku 1870 zaledwie 30–35 procent wszystkich ludzi mówiących po polsku uważało się za Polaków. W 1918 roku, w chwili odzyskania przez Polskę niepodległości, było to wciąż 75–80, a nie 100 procent. Miliony chłopów przyjęły odrodzenie kraju nie z radością, ale ze strachem, że wraz z Polską wrócą też szlachecki dyktat i zniewolenie[71].

Jak można było zostać szlachcicem?

Polskie elity rozumiały, komentowały i przeżywały swoje szlachectwo na tysiące sposobów. Przy znanej wrogości wobec wszelkich odgórnych ograniczeń i nakazów stale też jednak wzbraniały się przed formalnym ujęciem tej podstawowej kategorii bycia.

Przez całą polską historię sformułowano na dobrą sprawę tylko jedną oficjalną, umocowaną prawnie definicję szlachectwa. W statutach Kazimierza Wielkiego, wydanych w połowie XIV wieku, można znaleźć wyjaśnienie, że szlachcicem jest ten, kto miał ojca szlachcica. Ujęcie było zwięzłe i oparte ściśle na rodowej, dziedzicznej interpretacji zjawiska. W konstytucji sejmowej z roku 1505 zasada została jeszcze zawężona. Przyjęto, że pełnoprawny szlachcic powinien mieć też matkę szlachciankę. Później, jak komentował profesor Józef Szymański, „do tej sprawy już nie wracano”. W każdym razie nie w aktach prawnych.

Pierwszey zacności z domu tego nie wynosi/
 Snać potomki ku wietsey/w tych to częściach wynosi:
 Jż nie tylko zacnymi w POLsiejce Senatory
 Połazal y godne z nich być Gubernatory.

Ⓒ Domy inſze ktore ida z tegoż zacnego domu Teczyńskich /
 náprzod Tárłowie y Żaklikowic.

Ocho z Scheke rowie maſ ſlas wny. Roku 1351.	Żakliká Tárlo maſ ſlawny. 1360.	Żakliká Rán cler Kronny z Miedygorza 1380.	Mikołay Żaklik Fá z Miedygo rza Podkáncler 137. 1386.	Dziętych Żaklik Fow potſtwo/ wSedomieſkiej siemi.
---	---------------------------------------	---	--	--



Andrzej Tárlo Kroy maſ Sice Fársowice y Wo drowniſi. 1470.	Jan Tárlo ſyn Andrzej. Biały cy Krolá Żyg muná maſ ſlas wny. 1550.	Gábryel ſyn An drzejow Káſice lan Kádſki O chmiſz Krolow wy Kátá. 1660.	Páwel ſyn An drzejow Sedzia Lwowſki. Koy ku. 1548.	Biſkup Prze myſki. 1540.
--	--	---	---	--------------------------------



Lukasz Dworzá nin Krolá Żyg muná. Roku 1548.	Stánſlaw maſ ſlawny Dworzá nin Krolowey Wegier. ſiſzedł bes potſk. 1558.	Kycybiskup Lwowſki 1558.	Andrzej Chora ży Sedomieſki/ Fihory użymal SiceFársow. po tym tylko dziewki/sofkały. 1570.	Jádwigá dziew Fá te Wſpowa ſka Stároſtina Kóſkiſka. 1570.
---	--	--------------------------------	--	---



Pány drugie teſſe mlode. 1578.	Jan Kroy teſy mał Czápke Cho raży Lwowſki. 1571.	Stánſlaw ſyn iego mlodicy niec podobny.	Anna Dánlo wiczowa chora żyna Lwowſka dziewka re ^o Jan ná. 1578.	
--------------------------------------	---	---	---	--



Ⓒ
 Jádwigá

Wybitne postacie rodu Tęczyńskich. Karta z *Gniazda cnoty* Bartosza Paprockiego. Wydanie z 1578 roku.

Definicja brzmi zaskakująco, bo choć zrodziła się w czasach wciąż silnej władzy królewskiej, to w ogóle nie brała pod uwagę możliwości, że do stanu szlacheckiego będą legalnie dołączać jakiegokolwiek nowe osoby. W wieku XIV, XV, a nawet przez większość stulecia XVI wciąż jednak zdarzało się to często.

Tradycyjną metodą wejścia do grona rycerstwa była nobilitacja z woli monarchy. Jeszcze Zygmunt August samowładnie uszlachcił 178 osób, często nadając im zupełnie nowe herby. To samo próbowali czynić jego następcy wybrani w wolnych elekcjach. Napotkali jednak na opór szlachciców: z jednej strony coraz silniej przekonanych o tym, że „cnoty” nie da się nabyć, z drugiej zaś wierzących, że jeśli ktoś powinien decydować o akcesie do grona nobilitowanych, to tylko ludzie, którzy już szczylic się herbem.

W 1578 roku przyjęto konstytucję stanowiącą, że odtąd „plebeje nie będą kreowani na szlachectwo”, a więc nobilitowani, inaczej jak „na sejmie”, za zgodą senatu i izby poselskiej. Oficjalnie król zachował prawo do nadawania herbów, ale jego decyzje wymagały zatwierdzenia. Na razie przepis nie był jednak zupełnie szczelny. Panowie zgodzili się, że monarcha może samodzielnie nadać szlachectwo na wojnie, gdy jakiś człowiek niskiego stanu wykaże „znaczne męstwo” w „poczynaniach i dzielności”. Z furtki faktycznie korzystano. Stefan Batory uszlachcił bez pośrednictwa sejmu 77 osób. Zygmunt III Waza — 150., tylko w pierwszych kilkunastu latach panowania. Nie były to liczby obiektywnie wysokie. Jeśli przyjąć, że w całej Rzeczypospolitej w 1600 roku żyło niespełna 500 tysięcy szlachciców, to decyzje obu królów zwiększyły ich grono o śmieszne pół promila. Nawet taki napływ obcych do grona Sarmatów, zakrawający na błąd

statystyczny, obrażał jednak dumę i poczucie wyjątkowości warstwy rządzącej.

W 1601 roku temat powrócił pod obrady sejmu. „Szlachty nowej zagęściło się bardzo wiele, coraz jej więcej rozmaitymi sposobami przybywa” — alarmowali posłowie. W związku z tym postanowiono zlikwidować wszelkie wyjątki. Odtąd ważna miała być tylko taka nobilitacja, którą sejm zatwierdził w konstytucji kończącej obrady.

Jednocześnie zamykano i inne akceptowane wcześniej sposoby zyskiwania szlachectwa. Tradycyjnie herb można było nie tylko otrzymać od króla, ale też zostać do niego zaproszonym przez członków danego rodu. W praktyce tak zwane adopcje herbowe stanowiły zwykle wstęp do formalnej, monarszej nobilitacji. W 1633 roku także one zostały jednak prawnie zakazane, tak by nikt nie próbował omijać władzy sejmu.

Druga połowa XVII stulecia przyniosła dalsze restrykcje. Konstytucja sejmowa z roku 1669 utwierdziła znaną już chyba wcześniej, ale nieskonkretyzowaną instytucję tak zwanego skartabellatu, a więc niepełnego szlachectwa. Odtąd nobilitowani mieli zyskiwać pełne przywileje, a przede wszystkim prawo do zajmowania urzędów dopiero w trzecim pokoleniu. Jeśli więc ktoś otrzymał herb, to dopiero jego prawnuk mógł się uważać za równego innym szlachcicom.

Restrykcje przyniosły zamierzony skutek. Liczba oficjalnych nobilitacji ogromnie spadła. Przez cały XVII wiek przeprowadzono ich sześćset pięć, w pierwszej połowie XVIII wieku, gdy działalność sejmów została sparaliżowana, zaledwie dwadzieścia. Szanse na uszlachcenie, zwykle więcej niż mizerne, rosły właściwie tylko w latach wojen obronnych. Wówczas zdarzało się, że uczestnicy sejmów zapominali

o obsesji na punkcie „czystości krwi” i zgadzali się na awansowanie majątnego mieszczanina, o ile ten w zamian obiecał wesprzeć budżet kraju. Przykładowo w roku 1654 niejaki Jan Słoniowski został uszlachcony, bo obiecał zasilić skarb kwotą 50 tysięcy złotych polskich. Dziś byłoby to ponad 6,5 miliona złotych, choć znane są też przypadki, gdy szlachectwo szło już za sumy odpowiadające obecnym 2 milionom. Instytucja na dobrą sprawę ma odpowiednik też w świecie współczesnym. Szlacheckie „obywatelstwo” sprzedawano, tak jak niektóre zachodnie kraje przyznają paszporty zagranicznym bogaczom, o ile ci zainwestują w nich swoją fortunę.

Ogółem w całej przeszło 300-letniej historii Rzeczypospolitej szlacheckiej z woli króla i następnie sejmu postanowiono o uszlachceniu zaledwie 2584 osoby. Duża część decyzji, z racji niemocy systemu politycznego, wcale jednak nie weszła w życie. Poza tym aż 46 procent znanych nobilitacji przypadło na czasy ostatniego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Prawdziwa suma była więc bliższa tysiącu osób. Dla porównania we Francji, jak podaje profesor Harvardu John Shovlin, tylko w XVIII wieku nobilitowano 10 tysięcy mężczyzn. A przecież nie był to wcale kraj słynący z łatwej drogi awansu społecznego.

Oprócz nobilitacji istniała jeszcze druga formalna ścieżka do polskiego herbu — indygenat. Była ona jednak zastrzeżona dla przybyszy z zagranicy. „Nobilitacja to nadanie szlachectwa plebejuszowi, a indygenat to nadanie szlachectwa polskiego cudzoziemcowi, pod warunkiem że ten posiadał już szlachectwo zagraniczne” — wyjaśnia różnicę historyk Jerzy Michta. O indygenat ubiegano się, by móc sprawować nad Wisłą urzędy lub kupować posiadłości ziemskie. Od

1601 roku także w tych sprawach ostatnie słowo należało do sejmu.

Łącznie w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej skromne 451 osób zdołało wystarać się o indygenat. Nic dziwnego, że u schyłku XVIII stulecia pewien niemiecki książę, cytowany przez sarmackiego gawędziarza Henryka Rzewuskiego, miał stwierdzić, że „łatwiej jest w Niemczech o udzielne rządy, niż w Polsce o szlachectwo”. Podobnie jak w wypadku nobilitacji szanse były największe w latach kryzysu: rzecz jasna w zamian za odpowiednio sówite opłaty i zobowiązania[72].

Czy można było stracić szlachectwo?

Obawy przed utratą szlachectwa były najsilniejsze w początkach epoki nowożytnej, gdy status uprzywilejowany próbowano jeszcze wiązać z faktycznym praktykowaniem „cnoty” przejętej po przodkach.

Konstytucja z roku 1505 objaśniała, że aby zachować prawa przynależne szlachcie, należało prowadzić życie osiadłe w dobrach wiejskich według przyjętego obyczaju panów herbowych[73]. Takie zastrzeżenie mogłoby stanowić wstęp do oczyszczenia stanu z osób pozbawionych posesji. W praktyce jednak uwaga kolejnych sejmów skupiła się nie na drażliwej dla wielu biedniejszych rodzin kwestii posiadania, ale na trybie życia, jaki mógłby skalać pana herbowego i podważyć jego cnotę.

Wielokrotnie — między innymi w latach 1550, 1633, 1677 — izba poselska układała oficjalne listy zakazanych zawodów. Rzecz sprowadzała się do zajęć miejskich. Panu herbowemu nie wolno było trudnić się jakimkolwiek rzemiosłem,

wytwórstwem, ale też na przykład medycyną. Spośród tak zwanych wolnych zawodów aprobatę, zresztą ograniczoną, znajdował wyłącznie fach prawniczy.

W świetle przyjętych konstytucji już samo porzucenie ziemi i zamieszkanie w mieście miało odbierać szlachcicowi jego status. Reguła obowiązywała formalnie aż do roku 1775, wcale jej jednak szeroko nie egzekwowano ani nawet nie próbowano interpretować w radykalny sposób[74]. Wystarczy stwierdzić, że w województwie krakowskim w latach 60. XVI wieku aż 15 procent szlachciców żyło w miastach, głównie w Krakowie. Obwieszczenia sejmów służyły raczej dyscyplinowaniu panów herbowych i wykpiwaniu wyrzutków, którzy przekroczyli przejęte normy postępowania. Przede wszystkim jednak zakazane zajęcia przypominały o różnicach między ludźmi obdarzonymi cnotą a ponoć zepsutym mieszczaństwem[75].

Stanisław Orzechowski wyjaśniał w roku 1566, że ludność miast nie zasługiwała na szlachectwo ani prawa, bo praktykowała „rzemiosła niewolnicze”, wymagające, by „ciało samo sobą robiło” — a więc związane z wysiłkiem fizycznym. To zaś w oczywisty sposób „plugawiło” organizm. Jak dosadnie, ale też przekonująco skomentował Sławomir Baczewski, szlachecki publicysta przejawiał wiarę w „fizyczną, omalże kastową nieczystość” ludzi innych niż ziemianie. Określenie wydaje się tym bardziej słuszne, że podobnie jak w dawnych Indiach, również w XVI-wiecznej Polsce wierzono, że swojej kasty nie można opuścić.

Mieszczanin czy chłop był urodzony do pracy, co wykluczało wyzbycie się „splugawienia”. Co innego szlachcic, który zboczył z drogi i zajął się fachem miejskim. Jak pisał chociażby Aleksander Brückner, w praktyce twierdzono, że

„kto miejskie prawa przyjmie, traci szlachectwo, ale wraca doń znowu, jeśli pożegna miasto”. W XVII wieku jakiegokolwiek potępienie zajęć niegodnych szlachcica stało się zresztą czystą retoryką. Wtedy wierzono już, że istotą szlachectwa jest czysta krew, a nie osobista cnota^[76].

IV. OZNAKI CNOTY. CO PANOWIE HERBOWI ROBILI, BY ODRÓŻNIĆ SIĘ OD PLEBEJUSZY?

Legalne i potwierdzone przez sejm akty nobilitacji nie budziły zaufania wśród szeregów szlacheckich. Typowy pan herbowy doszukiwał się w nich machlojek, szachrajstw; wierzył, że dokumenty nowych szlachciców są nagminnie fałszowane, a ich status — wątpliwy. To był jednak problem o nikłej skali. Sen z powiek spędzało ziemianom zjawisko o wiele szersze, pokątne, a w ich opinii też stanowiące śmiertelną groźbę dla biologicznej czystości elit. Chodziło o wszystkie przypadki, gdy ludzie niskiego stanu wkradali się, „wśrubowywali”, w szeregi szlachty nieoficjalnie. Jednego dnia byli chłopami lub mieszczanami, kolejnego twierdzili już, że są z dziada pradziada herbownikami.

Dla ludzi zaradnych, zdeterminowanych, a przede wszystkim już posiadających większy majątek i mających za sobą bliską styczność ze szlachtą, nielegalne wejście w jej szeregi nie nastroczało wielkich trudności, zwłaszcza na początku epoki nowożytnej. Jak podkreślał profesor Włodzimierz Dworzaczek, „osobliwe drogi awansu”, opisywane w źródłach, „nie są na

pewno ani wyssane z palca, ani przejaszkrawione”. Uzurpowanie szlachectwa zdarzało się nagminnie, z lepszym lub gorszym skutkiem.

Co oczywiste, polscy panowie nie nosili dowodów osobistych z adnotacją o swoim szlachectwie. Ale przecież nad Wisłą nie istniał też jakikolwiek urzędowy rejestr rycerzy, heroldia. O tym, czy ktoś należał do elity, w praktyce przesądzała kontrola towarzyska i sąsiedzka. Mówiąc krótko: szlachcicem był ten, kogo uważano za szlachcica, kto miał krewnych również uważanych za szlachciców i kto potrafił przekonać otoczenie, że wywodzi się od szlachty.

W rozległym, zróżnicowanym i słabo zaludnionym kraju niekiedy wystarczyło przenieść się do innego województwa i podawać za szlachcica z tak odległych terenów, że nikt nie był władny ocenić prawdziwości twierdzeń. Wielu spryciarzy na tym poprzestawało. Przyjeżdżali w dane strony z workami srebra, kupowali posiadłość, potem zaś prowadzili życie ziemiańskie, bacząc, by nie zwracać na siebie przesadnej uwagi i nie prowokować pytań. Rozwiązanie bywało skuteczne. Nad „wśrubowanym” stale wisiała jednak groźba zdemaskowania. Gdyby fałszywość statusu wyszła na jaw, mógł się obawiać, że dowolny szlachecki zawadiaka rozsiecze go szablą, nie ponosząc za swój czyn jakichkolwiek konsekwencji. Przede wszystkim jednak uzurpator stale liczył się z tym, że straci ziemię i majątek.

Fałszywe podawanie się za szlachcica stanowiło przestępstwo obciążone karą konfiskaty mienia. Zgodnie z konstytucją z 1589 roku połowa zajętego majątku miała zawsze przypadać „delatorowi” — a więc temu, kto wykrył nadużycie, zdemaskował oszusta i postawił go przed szlacheckim sądem. Był to wariant tak zwanego „prawa kaduka”, w praktyce

realizowany nawet wcześniej. Rozwiązanie skłaniało szlachtę do podejrzliwości i donosicielstwa. Stało wręcz u podstaw dość odrażającego biznesu, któremu oddawała się liczna biedota herbowa. Zamiast czerpać dochody z ziemi, ci hreczkosieje całą uwagę skupiali na poszukiwaniu szlachciców albo fałszywych, albo tylko niezdolnych potwierdzić swą rangę. Szantażowali ich, kazali się okupywać, a jeśli nie dostali wystarczającego haraczu, stawali przed sądem, licząc, że proces doprowadzi do korzystnej dla nich konfiskaty^[77].

Wśród podejrzanych charakterów marzących o intratnych „kadukach” był między innymi Walerian Nekanda Trepka — drobny szlachcic małopolski, urodzony w latach 80. XVI stulecia i zmarły w 1640 roku. Trepka z dumą pieczętował się herbem Topór, twierdził, że w prostej linii wywodzi się z najstarszego, najbardziej cnotliwego rodu szlacheckiego robiącego karierę już od czasów legendarnego Lecha, co założył Gniezno. Sam był jednak tylko zbiedniałym awanturnikiem, bez perspektyw, ale za to ze skrajnie rozwiniętym poczuciem wyższości nad plebejami. Na ile wiadomo, nigdy nie prowadził gospodarstwa ziemiańskiego, źródła nie odnotowują też żadnej jego aktywności politycznej. Przez wiele lat mieszkał w Krakowie, należał do gołoty ocierającej się stale o ponoć zepsutych mieszczan. W myśl reguł ogłaszanych przez sejmy prowadził egzystencję, która stawiała pod znakiem zapytania jego szlachectwo. W swoim statusie Trepka nie dostrzegał jednak jakichkolwiek braków, a jego największą pasją, nawet obsesją, było tropienie uzurpatorów — „chamów”, którzy podawali się za herbovníków.

Na podstawie plotek, donosów i poszukiwań w aktach sądowych Trepka spisał opasłą, odręczną księgę znaną jako *Liber generationis plebeanorum* (Księga rodów plebejskich) lub krócej: *Liber chamorum* (Księga chamów). Dzieło, choć z ostrożności opatrzone pseudonimem, nigdy nie ukazało się drukiem. Nic dziwnego. Na kartach *Księgi chamów* autor opisał łącznie dwa i pół tysiąca przypadków ludzi i rodzin, które jego zdaniem nie miały prawa do szlachestwa. Często chodziło o familie wpływowe politycznie oraz majątne. Trepka nie szczędził niewybrednych pogłosek, obrzydliwych inwektyw, oskarżeń, których ujawnienie mogłoby wprost zagrozić jego życiu.

Dokładne motywacje, jakie stały za tym olbrzymim (najnowsze wydanie ma ponad 500 stron) paszkwilem nie są wyjaśnione. Po części Trepka odreagowywał chyba własne kompleksy. Pozbawiony majątku ziemskiego, ale przekonany o swych wrodzonych przymiotach z wyjątkowym wstrętem spoglądał na ludzi, którzy nie mieli czystej krwi, a mimo to sięgali po pieniądze, pozycję, nawet — o zgrozo — herby. Według Włodzimierza Dworzaczka, który w latach 60. XX wieku zredagował pierwszą drukowaną edycję *Liber chamorum*, główny cel autora był jednak bardziej przyziemny i interesowny. Trepka stworzył jak gdyby instruktarz łatwego wzbogacenia. Zbierał plotki o uzurpatorach w nadziei, że albo sam zarobi na ich szantażowaniu i pozywaniu, albo pozwoli się obłowić swoim, rzecz jasna szlacheckim, czytelnikom. Chodziło, mówiąc krótko, o „kaduki”^[78].

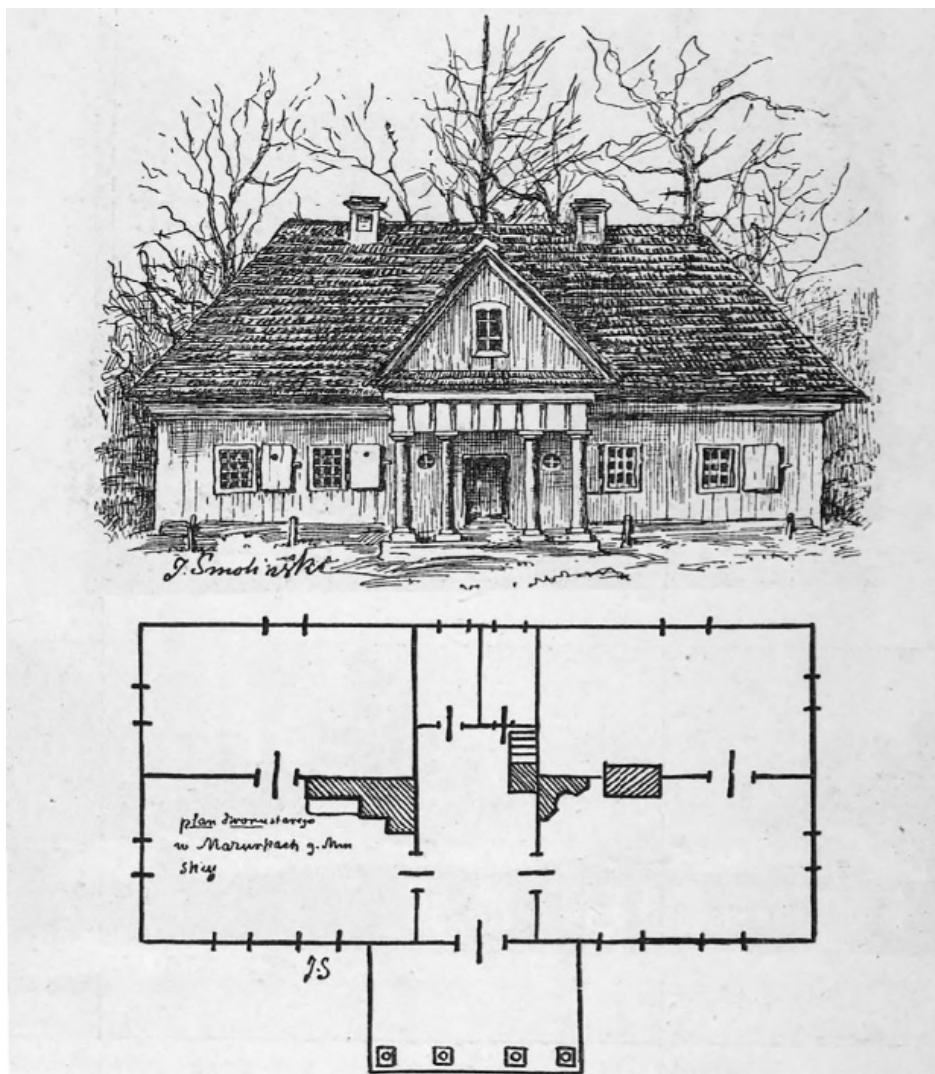
Nielegalni szlachcice na różne sposoby bronili się przed wszelkiej maści Trepkami. W najlepszej pozycji byli ci, którzy mogli liczyć na protekcję dworu królewskiego lub posiadali majątek zbyt wielki, aby można im było zagrozić. Bonerowie,

bankierzy Zygmunta Starego, nie zabiegali o formalną nobilitację ani indygenat, a mimo to kupowali posiadłości ziemskie, nawet zamki, i sprawowali najwyższe urzędy państwowe, zastrzeżone dla dobrze urodzonych. Podobnie było z Mniszchami, których zawrotna kariera zaczęła się u boku Zygmunta Augusta, między innymi od wyszukiwania kochanek odpowiadających monarszemu gustowi. I oni nie udokumentowali, że są obdarzeni cnotą, a mimo to swobodnie sięgali po stołki senatorskie. Nawet bardziej jaskrawy jest przykład Łukasza Górnickiego. Uchodził on za czołowego ideologa szlacheckiego. W swoich pismach, w tym w niezwykle wpływowym *Dworzaninie* z 1565 roku, przekonywał, że „szlachectwo to rozpalona pochodnia”, która pobudza człowieka do cnoty, a zarazem źródło doskonałości. Natura zapewniała bowiem, że szlachcic w każdych okolicznościach będzie poczynać sobie lepiej od kogoś nisko urodzonego. Problem w tym, że Górnicki jednocześnie przekonywał, iż szlachectwo dziedziczy się po przodkach i... sam uzurpował sobie do niego bezpodstawnie prawo. Był synem ubogich mieszczan. Ponieważ jednak na dworze Zygmunta Augusta czuł się nieswojo wśród szlacheckich dworzan, zaczął samowolnie posługiwać się herbem Ogończyk. Dopiero po fakcie wyprosił u króla legalizację takiego oszustwa^[79].

Dobrym zabezpieczeniem dla ludzi garnących się do szlachectwa tylnymi drzwiami mogła być też opieka magnacka. Walerian Nekanda Trepka twierdził, że tylko Lubomirscy z Wiśnicza poręczyli za sześćdziesięciu czterech swoich plebejskich dworzan, którzy tym sposobem zyskali akceptację jako szlachcice. Nikt przecież — a przynajmniej nikt poza zuchwalcem pokroju Treпки — nie poważyłby się zarzucać kłamstwa możnowładcy siedzącemu na dziesiątkach

czy setkach wiosek^[80]. O poręczycieli można się też było starać wśród szeregowej szlachty. Czasem, gdy prawdziwość statusu miał rozgłaszać herbownik z jakiegoś podupadłego zaścianka, wystarczyło odpłacić mu się kożuchem albo parą dobrych butów.

Walkę z fałszywymi ziemianami prowadzono, wykorzystując „naganę” czy też „przyganę” szlachectwa. Był to mechanizm prawny sięgający średniowiecza, zgodnie z którym każdy szlachcic był władny podważyć status innego pana herbowego, ten zaś miał obowiązek oczyścić się z zarzutu, przedstawiając odpowiednią liczbę świadków o niepodważalnym szlachectwie. Wymagano różnej liczby poręczycieli, zależnie od okresu i regionu. W Małopolsce i Wielkopolsce w XVI wieku zwyczaj nakazywał powoływać dwóch świadków ze strony ojca, dwóch ze strony matki oraz dwóch ze strony babki ojczystej. Jeśli oskarżony nie zdołał się oczyścić, był uznawany za plebeja. Jeśli jednak nagana została odrzucona, na oskarżyciela nakładano karę pieniężną.



Mały dworek szlachecki w Mazurkach na Polesiu. XIX-wieczny rysunek Józefa Smolińskiego.

Do nagan dochodziło w różnych okolicznościach. Według badacza tematu Władysława Semkowicza często proces wynikał nie z uzasadnionych podejrzeń, ale z sąsiedzkiej kłótni. W gniewie jeden szlachcic przezywał drugiego chłopem albo mówił, że urodził się z kundyski, ten zaś czuł, że honor nakazuje mu oczyścić niesłusznie splamiony klejnot. Kiedy indziej zarzuty stawiano dla doraźnej korzyści. Jeśli dwóch szlachciców procesowało się na przykład o przebieg granicy, a jeden z nich pragnął przedłużyć postępowanie, mógł wysunąć wobec konkurenta zarzut plebejskiego pochodzenia. Proces wstrzymywano do wyjaśnienia kwestii, bo przecież żaden plebej nie miał prawa występować przed szlacheckim sądem ziemskim lub podkomorskim. Szlachectwo naganiano też po to, by uniknąć wysokiej grzywny za zabójstwo. Ponieważ zgładzenie szlachcica było wyceniane dużo drożej niż uśmiercenie chłopca albo mieszczanina, zdarzały się wypadki, że cyniczny zbrodniarz podważał prawość pochodzenia ofiary. W razie sukcesu suma, jaką kazano mu płacić, mogła spaść nawet kilkunastokrotnie. Poza tym przeprowadzano nagany w celu przejęcia majątku ziemskiego. Znamcy zagadnienia zgadzają się jednak, że ogromna część, jeśli nie większość nagan, miała charakter zupełnie fikcyjny. Procedurę służącą tropieniu i karaniu fałszywych szlachciców wykorzystywano po to, by pokątną drogą dostać się w szeregi stanu rycerskiego.

Fałszywy szlachcic pragnący wykazać, że jest pełnoprawnym *bene natus*, sam prowokował postępowanie przeciwko sobie. Rzecz można było przeprowadzić z pompą i rozmachem. Ściągało się wówczas całą grupę przekupionych członków danego rodu, którzy gremialnie kłamali przed sądem, że

oskarżony jest ich ukochanym, choć może dawno niewidzianym i żyjącym w dalekich stronach krewniakiem.

Istniał też jednak wariant prostszy i skrajnie bezczelny. Plebejusz podający się za rycerza wynajmował zaufanego człowieka, który zgłaszał naganę. Zanim jednak dochodziło do procesu, oskarżyciel odwoływał skargę. Oświadczał, że popełnił błąd albo że kierował się złością. Ochłonawszy, przekonał się jednak, że naganiany jest bez wątpienia szlachcicem. Na koniec płacił grzywnę za fałszywą napaść na cudzy klejnot, natomiast do akt sądowych wpisywano adnotację, iż naganiany oczyścił swe szlachectwo. Na przyszłość taka notatka w urzędowej księdze mogła stanowić skuteczny oręż w walce z jakimikolwiek niepozorowanymi oskarżeniami.

Koszt przeprowadzenia całego proceduru mógł być bardzo różny. Według Trepki niekiedy wykosztowywano się tylko na beczkę piwa dla świadków. I pewnie mogło tak być, zwłaszcza gdy zeznawali jacyś chudopachołkowie uchodzący za szlachciców, ale robiący na roli i na co dzień niewiele się różniący od chłopów.

Z fałszywymi naganami próbowano walczyć, sejmy zaostrzały przepisy i zamykały furtki. Nie były to jednak działania skuteczne. Jak wyjaśnia Włodzimierz Dworzaczek, nawet w XVIII stuleciu, u samego schyłku epoki sarmackiej, wciąż zdarzało się, że „zmowne” nagany pozwalały wkradać się do warstwy uprzywilejowanej^[81].

Biologiczne odmienności

Farbowany szlachcic, który nie chciał, by zdemaskowano go jako nielegalnego imigranta do stanu uprzywilejowanego, musiał stale dbać o to, aby wyglądać i zachowywać się jak na pana przystało. Także od prawdziwych szlachciców wymagano, by swoim strojem, każdym słowem i obyczajem dzień w dzień dowodzili dobrego urodzenia.

Nieprzypadkowo Mikołaj Rej pisał, że szlachectwo to swoisty „dekret”, który nakazuje zachowywać się... „jak na szlachcica przystało”. Sławny poeta nie dookreślił, co kryło się za takim nakazem. Według Sławomira Baczewskiego najwidoczniej rzecz po prostu nie wymagała wyjaśnień. Zdanie „żyj jak szlachcic” miało zaś w sobie w XVI stuleciu „tę samą oczywistość” co dzisiaj zwrot „zachowuj się jak człowiek”. Też go nie rozwijamy, bo każdy rozumie, o co chodzi[82].

Na problem można jednak spojrzeć inaczej. Rej nie tłumaczył, czego wymaga się od szlachciców, ponieważ była to wiedza zastrzeżona właśnie dla samej szlachty. Zakładano, że każdy prawdziwy *bene natus* zostanie nią obdarzony przez rodziców, że wsiąknie w model szlacheckiego życia w okresie młodości spędzonej w majątku ziemskim. Jeśli ktoś nie rozumiał, jak bytują, zachowują się i myślą szlachcice, to najwidoczniej nie był jednym z nich.

Tropiciele plebejów pokroju Waleriana Nekandy Trepki z uporem maniaka podkreślali, że nisko urodzonego da się rozpoznać już na pierwszy rzut oka. Wypada podkreślić, że różnice biologiczne, na jakie zwracali uwagę, wcale nie zawsze były owocem ich uprzedzonej fantazji. Polscy chłopci epoki największego ucisku pańszczyźnianego faktycznie odbiegali z wyglądu od panów, nawet bardzo. Źródłem odmienności nie było jednak pochodzenie z podbitego narodu plebejskiego ani piętno Kaina bądź Chama. Na sylwetki przez stulecia wpływał

tryb życia, dostęp do żywności, konieczność bądź nie pracy fizycznej. Fryzyczyk Ulrich von Werdum pisał w drugiej połowie XVII wieku, że Polacy, a więc polscy szlachcice, są co do zasady „silni” i „dłudzy”, czyli wysocy. Francuz Hubert Vautrin zachwalał z kolei, że panowie herbowi z Rzeczypospolitej to ludzie „biali, rumiani, zwykle wysokiego wzrostu, o gładkiej skórze, fizjonomii łagodnej”. Dla porównania na temat nadwiślańskich chłopów nagminnie opowiadano, że mają ciała skarłałe, zgięte ku ziemi, oczy zapadnięte, a chód powolny. „Kasty mieszkańców Polski wywołują wrażenie, jakby należały do różnych gatunków” — skwitował Vautrin. Tak było faktycznie. Z głodu i wycieńczenia[83].

Na polskim gruncie nie próbowano jak dotąd podejmować na szerszą skalę porównań antropologicznych pomiędzy szczątkami szlachciców a kośćmi chłopskimi. Badania prowadzone za granicą, zwłaszcza na materiale antycznym i średniowiecznym, pozwalają się jednak domyślać, że wieśniacy byli średnio o przynajmniej kilka centymetrów niżsi od swych właścicieli. Bardzo wiele mówi zresztą też przykład współczesny, koreański. Według danych z początku XXI wieku mężczyźni z Korei Południowej mają średnio niespełna 171 centymetrów wzrostu. Ich sąsiedzi z północy — od 75 lat podporządkowani brutalnemu reżimowi Kimów, narażeni na głód i żyjący w o wiele gorszych warunkach — są przeciętnie o 5 centymetrów niżsi[84].

Na gorsze pochodzenie wskazywała „kompleksja”, bo chłopci, harujący na słońcu przez kilkanaście godzin na dobę, mieli zawsze bardziej ogorzałe, spalone twarze[85]. Spracowane dłonie też uchodziły za chłopskie, w końcu szlachcic nie oddawał się „plugawym” ręcznym robotom, a poza tym chętnie

nosił rękawice. Domniemanego „chama” mogły demaskować nawet stopy. Nie każdy wieśniak był w stanie sobie pozwolić choćby na najprostsze trzewiki, a jeśli już je posiadał, to nie wkładał ich do dowolnego brudnego zajęcia, grożącego wytarciem obuwia. W efekcie wieśniacze stopy były zgrubiałe, schodzone, pokryte modzelami. Tylko szlachcic zawsze opuszczał dom w butach — od XVIII stulecia tradycyjnie wysokich, najlepiej nowych i niereperowanych, tak że mawiano, iż „poznać było pana po cholewach”^[86]. Szlachciców poznawano też po... słomie w butach. Jak opowiadał Francuz Gaspard de Tende w drugiej połowie XVII stulecia, w Polsce „szlachta pospolita, a nawet wytworni panowie, co kilka dni wsypywali do butów pociętą słomę, zastępującą im wyściółki i skarpetki”. Było to postępowanie w pełni zgodne z modelem życia szlacheckiego, ale zaskakujące z perspektywy Paryża. Jeszcze w drugiej połowie XVIII wieku Jędrzej Kitowicz, najlepszy kronikarz obyczajów epoki saskiej, potwierdzał, że nawet „najwięksi panowie, senatorowie, hetmani” używali wiechcia, a więc właśnie słomy, do butów. Do zadań ich służących należało zaś „co dzień kłaść panu w buty świeże wiechcie, strzygąc słomę” do rozmiaru obuwia. Obyczaj zarzucono dopiero na przełomie wieków. W XIX stuleciu szybko zaś zapomniano o tym, jak rzecz dawniej wyglądała. W 1859 roku profesor Zygmunt Węclewski otwarcie naśmiewał się już z „pociesznych” anegdot Gasparda de Tende, któremu najwidoczniej zachowanie chłopów pomyliło się z postępowaniem szlachty. Wtedy też słomę wystającą z butów zaczęto uznawać — zupełnie ahistorycznie — za oznakę wiejskiego wstecznictwa, braku ogłady, hołdowania „chamskim” obyczajom^[87].

O szlacheckości lub plebejstwie mogły również świadczyć zmiany chorobowe bądź chroniczne przypadłości. Już w średniowieczu na przykład podagra, a więc dna moczanowa, uchodziła za chorobę królów i elity. Cierpiący na nią nieszczęśnicy często zupełnie tracili zdolność chodzenia, ich opuchnięte kończyny powiększały się nawet dwukrotnie. O objawach pewien angielski lekarz z XVIII stulecia pisał: „Ból przypomina ten powodowany przez przestawienie kości. Z każdą godziną staje się coraz silniejszy. Tak dotkliwy, że chory nie jest w stanie znieść ciężaru ubrań ani drgań, jakie wywołuje osoba poruszająca się żwawo po pokoju”. A jednak nieraz zdarzało się, że szlachcice, którzy nabawili się podagry, przyjmowali diagnozę z zadowoleniem, nawet dumą. Choroba miała w końcu źródła cywilizacyjne — cierpieli na nią ludzie unikający ruchu i wysiłku fizycznego, jedzący w nadmiarze, nieoszczędzający alkoholu[88].

Swoistą oznakę szlactwa mógł też stanowić chociażby syfilis. Ta choroba weneryczna od XVI wieku była w Polsce najprawdziwszą plagą. Lekarz Wojciech Oczko, zatrudniony na dworze Stefana Batorego, twierdził wręcz, że tak zwany „przymiot spospolitował się tak” bardzo, że trudno wręcz było znaleźć człowieka, który na niego nie cierpiał. A przynajmniej trudno go było znaleźć w pałacu królewskim, rezydencji magnackiej, domu patrycjusza miejskich albo dworze ziemiańskim. Chłopów uważano jednak za najmniej dotkniętych tą przypadłością[89].

Maria Bogucka do schorzeń właściwych polskim wieśniakom zaliczała między innymi krzywicę i anemię. Z kolei dla szlachciców typowe miały być jeszcze „apopleksje” (a więc wylewy i zawały serca), problemy z wątrobą, trzustką

i nerkami, a poza tym wszelkie trudności gastryczne — od refluksu po wrzody^[90].

Wśród fizycznych oznak uprzywilejowania wyjątkowo czytelną była jeszcze tusza. Spotykało się niekiedy niskich herbowników albo szczególnie postawnych chłopów. Otyły wieśniak stanowił jednak widok niewyobrażalny. Z kolei chudzi szlachcice zdecydowanie znajdowali się w mniejszości, a nawet budzili obawę. Stąd narodziło się zresztą określenie „chudopachołek” na herbownika bez znaczenia i majątku potrzebnego, by nabrać tuszy.

Okazałe brzuszysko uchodziło za dowód zamożności. Tylko człowiek bogaty mógł pozwolić sobie na to, by jeść do syta, bez obaw, że na przednówku przyjdzie mu głodować. Beztroski szlachcic, gardzący pracą, po zjedzeniu mógł też zasiać w bezruchu albo uciąć sobie drzemkę, nie kłopotząc się spalaniem kalorii. Ulrich von Werdum komentował, że Polacy byli ogółem „grubawi”. Zwrócił poza tym uwagę, że nad Wisłą rzadko widywało się ludzi w podeszłym wieku. W odniesieniu do samej szlachty pamiętnikarz wyciągał niewątpliwie słuszny wniosek, że ta źle się żywiła i za dużo wychylała kielichów, a przez to „żywotność spalała”. Jego słowa znajdują potwierdzenie w dzisiejszych badaniach nad staropolską dietą. Według szacunków typowy szlachcic pochłaniał dziennie od 5 do 7 tysięcy kalorii. Więcej, niż byłoby trzeba górnikowi na przodku, a przecież mowa o ludziach, którzy wprost obsesyjnie unikali wysiłku. Warto przytoczyć też słowa Françoise de Motteville, francuskiej damy dworu, która w 1646 roku obserwowała wjazd orszaku polskich szlachciców i magnatów do Paryża, przybywających po nową małżonkę króla, Ludwikę Marię Gonzagę. Postura panów znajd

Wisły otwarcie ją z szokowała. „Na ogół są tak grubi, że aż człowieka mdli” — rzuciła na kartach pamiętnika[\[91\]](#).

Szlachecka czupryna i sarmacki wąs

Oczekiwano, że szlachcic będzie mieć ciało niezniszczone harówką, ale też, że będzie dbać o wygląd zgodny z obyczajem. Dużą wagę warstwa uprzywilejowana przywiązywała do fryzur. Pan herbowy, w przeciwieństwie do poddanego, miał dostęp do ostrej brzytwy i lusterka, mógł poświęcać czas na regularne pielęgnowanie włosów i zarostu. Poza tym jako człowiekowi niepracującemu fizycznie łatwiej przychodziła mu dbałość o higienę. Znaną przypadłością polskich chłopów był tak zwany kołtun, w Europie nazywany powszechnie *plica polonica*, kołtunem polskim. Był to, jak wyjaśnia historyk medycyny Zdzisław Gajda, „zwój włosów skłębionych, pogmatwanych, nierozczesywanych”, który stopniowo, za sprawą wydzieliny gruczołów łojowych i brudu, zamieniał się w gęstą, nieprzepuszczalną skorupę. Wieśniacy bali się odcinać kołtuny w przekonaniu, że może to prowadzić do ślepoty, pomieszania zmysłów, a nawet nagłej śmierci[\[92\]](#).

Obawy przed kołtunem i fakt, że bujne, nieuporządkowane strąki były kojarzone z chłopami, pozwala zrozumieć kierunek, w jakim rozwijały się nad Wisłą elitarne fryzury. Jak wyjaśniał Zygmunt Gloger, autor klasycznej *Encyklopedii staropolskiej*, już od średniowiecza długie włosy uznawano za „oznakę krótkiego rozumu”. Krytykowano też „trefienie”, rozczesywanie włosów i zaplatanie warkoczy, jako że w opinii rycerstwa były to praktyki właściwe niewiastom.

Popularność zyskiwały ułożenia włosów krótkie, inspirowane zwyczajem żołnierskim. Stopniowo za typową fryzurę szlachecką zaczęło uchodzić tak zwane wysokie cięcie polskie, nazywane też podgoloną czupryną albo łaszczówką. Popularna legenda mówiła, że modę zapoczątkował Samuel Łaszcz — głośny awanturnik z początku XVII stulecia, skazany 270 razy na banicję lub obłożony infamią i przechwalający się, że nieskutecznymi wyrokami podbije sobie wierzchni ubiór. W rzeczywistości zwyczaj miał swoje korzenie jeszcze w średniowieczu, a w stuleciu XVI poczęli go promować ludzie bardziej wpływowi i na pewno bardziej szanowani od Łaszcza.

Wysokie cięcie polskie oznaczało, że część lub większość głowy, a zwłaszcza jej boki, golono (stąd inny termin: „podgolony łeb”), na szczycie pozostawiano zaś czuprynę, często przybierającą kształt podłużnego pasa, zbliżającego się formą nawet do współczesnych irokezów. Takie ułożenie włosów widać między innymi na portrecie hetmana Stanisława Koniecpolskiego (zm. 1646). Tę odmianę czupryny nosił też potężny kanclerz Jan Zamoyski (zm. 1605), wreszcie wariant uczesania przyjął Jan III Sobieski. Przynajmniej od połowy XVII wieku łaszczówki były już, jak komentował Władysław Łoziński, „regułą szlachecko-polskiej elegancji”. Uważano je za element narodowego stylu, dlatego pani de Motteville, oglądająca uroczysty wjazd Sarmatów do Paryża w 1646 roku, skrupulatnie odnotowała: „Pod futrzanym kołpakiem mają ogolone głowy, tylko na czubku zostawiają mały kosmyk włosów, który zwisa im do tyłu”.



Typowa czupryna szlachecka na portrecie Stanisława Koniecpolskiego z końca XVIII stulecia. Zgodnie z modą na ogolonej głowie pozostawiono tylko podłużny pas włosów.

Wysoko podgolonej czuprynie powinien był towarzyszyć zadbany zarost, stanowiący dowód męskości, dojrzałości, ale też szlacheckiego wyrafinowania. Świetną ilustrację tego, jak bardzo nie ufano gołowąsom, stanowi anegdota opowiadana na temat wojewody bełskiego i krakowskiego Andrzeja Tęczyńskiego (zm. 1588). Według zapewne zmyślonej historyjki już jako 17-letni młodzieniec ośmielił się on skrytykować leciwych doradców monarchy. Miał mówić mądrze, ale wyśmiano go, bo jeszcze nie doczekał się bujnego zarostu. Gdy król mimo to zaprosił Tęczyńskiego do grona senatorów, ten udał się na pierwsze obrady ze sztucznymi, „przyprawionymi” brodą i wąsami. Po tym, jak zadano mu pierwsze pytanie, potrząsnął rekwizytem i szyderczo rzucił: „brodo, mów!”.

Szczególnie ceniono w szeregach szlacheckich wąsy, najlepiej bujne, sumiaste, tak by ich krańce dało się podkręcać, co uchodziło za gest właściwy panom. Jędrzej Kitowicz podkreślał w drugiej połowie XVIII wieku, że „kto się nosił po polsku”, ten obowiązkowo musiał też „utrzymywać wąsy, nie mogąc ich golić bez wystrychnięcia się na błązna”.

„Ogół narodu bród nie nosił, tylko wąsy, odpowiedniejsze charakterowi rycerskiemu” — komentował z kolei Zygmunt Gloger. Poniekąd słusznie, należy jednak podkreślić, że gusta nie pozostawały statyczne. Odmienności mogły dotyczyć kwestii zupełnie drobnych, na przykład Mikołaj Rej pisał, że jedni herbownicy wąsa „na dół głaskali”, inni „w górę jeżyli”. Ale i brody raz zyskiwały uznanie, kiedy indziej je traciły. Jan Kochanowski poświęcił ich odmianom cały żartobliwy wierszyk, pisząc, że mogą u gęby „wisieć jak wałkownica”, być przykrojone „jak prochownica”, róg do przechowywania prochu strzelniczego, albo przywodzić na myśl na zmianę a to „nożyce”, a to „końską kosę”. W kolejnych stuleciach

zapożyczano coraz to nowe warianty uczesania z Hiszpanii, Niemiec, Francji. O wszystkim decydowała moda. Podobnie było i ze szlacheckim ubiorem^[93].

Pańska moda

W polskiej świadomości utrwalił się konkretny obraz garderoby właściwej sarmatom. Pisze się, że tak zwany strój narodowy składał się z kontusza, żupana oraz wzorzystego, tkanego pasa, nazywanego często słuckim (od Słucka na obecnej Białorusi, gdzie wyrabiano takie akcesoria). W rzeczywistości typowy komplet odzieży miał więcej elementów. Na spód szlachcic wkładał lnianą koszulę oraz spodnie. Te drugie, dobrze widoczne, ilekroć siadano, ale też często bagatelizowane, mogły wiele powiedzieć o statusie właściciela. Jędrzej Kitowicz wyjaśniał, że spodnie „nowe, czyste i bogate” świadczyły, iż ma się do czynienia z „panem” i „majątnym człowiekiem”. Z kolei „portki dziurawe, łatanne, wytarte” zdradzały osobnika „małego wątku”, a więc niskiej rangi.

Na koszulę oraz spodnie łądował żupan. Jak zwięźle wyjaśniała Maria Bogucka, była to „długa suknia z szerokimi ramionami i obszernymi górą, a zwężającymi się dołem rękawami”. Zapinało się ją na guzy, często bardzo wydatne. Latem można było nosić żupan lniany, białego koloru, zimą wełniany, w barwie popielatej lub brunatnej. To były jednak warianty przeznaczone dla mniej majątnego odbiorcy. Prawdziwe panisko wkładało suknię z aksamitu bądź jedwabiu, a zapinało ją połączanymi guzami.

Trzecią, wierzchnią warstwę ubioru stanowił kontusz. Można by go porównać do dzisiejszych kamizelek albo płaszczy. Jego najbardziej charakterystycznym elementem były rozcinane rękawy, które odrzucało się na plecy, odsłaniając część żupana.

Wokół opisanego zestawu narosło wiele nieporozumień. Nazwa polskiego stroju narodowego sugeruje pewną niezmienność stylu, ugruntowaną w odległej tradycji. Takie określenie zrodziło się jednak dopiero u samego schyłku XVIII wieku, w dobie Sejmu Czteroletniego, gdy konkretna garderoba urosła do rangi patriotycznego symbolu. Wcześniej pisano nie o stroju „narodowym”, ale co najwyżej „polskim”. Za etykietą kryły się zresztą przeróżne odmiany i kombinacje odzieży.

W XVI wieku powszechne były nad Wisłą narzekania na niezwykłą gotowość, z jaką szlachcice przejmowali zagraniczne trendy. Mikołaj Rej uznał skłonność do naśladownictwa wręcz za polską cechę narodową. Polak miał się odróżniać od przedstawicieli innych nacji tym, że ledwie ujrzał coś nowego i dziwnego, a już po trzech dniach sam chodził w takim stroju. Na zjawisko zwracali uwagę także obcokrajowcy. Na przykład Aleksander Gwagnin — przybysz z Italii, obdarzony polskim indygenatem w 1571 roku — wyjaśniał, że strój polski to faktycznie zbiór odzieży zapożyczanej to od Włochów, to od Francuzów, Hiszpanów, Niemców, Czechów czy wreszcie Węgrów i Tatarów. Owocem była wielka różnorodność, charakteryzująca całą wczesną epokę szlachecką.

Jak wyjaśniała prawdopodobnie najlepsza znawczyni tematu, profesor Irena Turnau, typowy komplet polskiej garderoby, z żupanem, kontuszem i pasem, zaczął się ujednolicać dopiero od lat 30. XVII wieku. Wciąż nie cichła

jednak krytyka obcych wpływów — na przykład Wacław Potocki grzmiał, że Polacy „wyrzekają się przodków”, „oblekając się” na ich wzgardę po cudzoziemsku. Poza tym z dekady na dekadę zmieniało się faktyczne znaczenie słów takich jak żupan czy kontusz. Modyfikowano kroje i zdobienia, często wręcz nie do poznania. Dajmy na to najstarszy zachowany kontusz — który wyjęto z grobu starosty czerwonogrodzkiego Stanisława Daniłowicza, zmarłego w 1636 roku — wcale nie miał jeszcze „wylotów”, rozciętych rękawów. Na wczesnym etapie popularne było też chociażby podbijanie kontuszy futrem, co czyniło z nich strój ciężki, wyraźnie zimowy.

W XVIII wieku ogólne reguły już się ustaliły, ale detalami niezmiennie żonglowano. Jędrzej Kitowicz wyliczał, że tylko za jego życia „kontusze aksamitne, atłasem podbijane” ustąpiły miejsca „żupanom bławatnym”, potem zaś „kontuszom sukiennym”, podszywanym materiałem tej samej barwy, w jakiej wykonano żupan. „Dalej weszły w modę kontusze bez podszewki sukienne, koloru pieprzowego, z żupanami aksamitnymi zielonymi. Znowu kontusze i żupany z jednakowego sukna, z grubym jak bicz furmański sznurem srebrnym lub złotym, to na koniec z brzegami dokoła kontusza suto haftowanymi, to z wycinanymi dokoła w ząbki albo w łuskę rybią brzegami”. „Niedługo ta moda trwała” — podkreślał Kitowicz, by nadal wymieniać zmienne warianty i gusta. Łącznie wersjom żupanów poświęcił jedenaście długich zdań.

Taka karuzela krawieckich przeobrażeń nikogo nie dziwiła, bo też polscy szlachcice stale żyli pod dyktat stylu. Moda nowożytna była zaś o wiele bardziej bezwzględna i kapryśna nawet od tej XXI-wiecznej. Dzisiaj celebrytka, która zdecyduje

się na kreację z minionego sezonu, naraża się co najwyżej na docinki na TikToku albo Instagramie, natomiast 300, 400 lat temu w zdolności do hołdowania trendom wyrażał się jednak status społeczny. Kto nie rozumiał, jaki jest obowiązujący fason, ryzykował, że zostanie wzięty za chudopachołka albo wręcz plebeja.



XVIII-wieczny strój polski. Czerwony kontusz z rozciętymi, odrzucanymi rękawami, przewiązany pasem. Pod spodem — jasny, zapewne jedwabny żupan. Portret Stanisława Antoniego Szczuki.

Moda obezwładniała i przytłaczała. Jan Chryzostom Pasek zalił się w swoim znanym XVII-wiecznym pamiętniku, że wszystkich zmian trendów, jakie zaobserwował, nie dałoby się spisać „na dziesięciu skórach wołowych”. Rok w rok szedł niepisany nakaz: „To psuj, to przerabiaj, albo na tandetę daj, a inne sobie spraw”. Jeśli zaś nie nadążysz za zmianami, „zaraz [cię] palcem pokażą” i wyszydzą.

Przykład szedł z góry i to właśnie było źródłem tej szaleńczej pogoni. Magnaci starali się wykazać strojem swe wyjątkowe bogactwo. Zamożni szlachcice podążali ich wzorem; średnie ziemiaństwo próbowało brać miarę z bogatszego, wszak stan uprzywilejowany miał być sobie równy. Wreszcie szlachta zbiedniała, zagrodowa, sięgała po modę średniaków, by wyraźnie pokazać, że odróżnia się od plebejów. Również mieszczenie, pomimo pańskich protestów, oblekali się w kontusze i żupany, zamawiali nawet ich nowe kroje. Leciwe warianty tych ubiorów widywano zresztą i w chłopskich chatach — choć raczej tylko u nielicznych majątniejszych gospodarzy, chcących dowieść, że wyprzedzają sąsiadów. I gotowych ryzykować gniew zwierzchności.

Styl się deprecjonował, zupełnie jak pieniądź tracący wartość na skutek inflacji. „Nie wiedzieli panowie”, wielcy magnaci, „jak się odróżnić od szlachty” — kwitował Kitowicz. Jakażkolwiek bowiem modę wymyślili, tę zaraz dało się zobaczyć wśród mas ziemiaństwa. Jeśli arystokrata obsadził sobie kontusz perłami, to podobnie czynił szlachcic, nawet gdy był zmuszony poobdzierać z pereł suknie należące do żony bądź córek. Jeśli magnat sięgał po diamenty, szlachcic się zapożyczał, byle nie pozostać w tyle. Ogółem — to już komentarz Paska — każda moda trwała tak długo, aż nie

rzuciło się na nią pospólstwo. Jeśli masy coś przyjęły, szlachta była zmuszona szukać nowej normy.

Co ważne, pogoni za stylem oddawali się głównie mężczyźni. Jak komentował nestor polskiej etnografii profesor Jan Bystroń, właśnie oni „hołowali modzie, lubowali się w świetności strojów i bogactwie klejnotów”. Szlachcianki, prowadzące życie względnie zamknięte, nieodwiedzające sejmików i rzadko bywające u sąsiadów, nie miały równie wielu okazji do popisywania się nowoczesnym strojem. Ale też mniej musiały się przejmować, czy nadążą za bieżącym kaprysem.

Wśród ciągłych przemian trwała cechą mody szlacheckiej było uznanie dla blichtru, kosztowności, przepychu. Uważano, że to, co modne, musi też być drogie, poza tym jaskrawe i rzucające się w oczy. Szlachcice cenili biżuterię, klejnoty, a przede wszystkim pierścienie. Kto ich nie nosił, nie mógł się podawać za prawdziwego obywatela. Z warstwą uprzywilejowaną próbowano też wiązać konkretne barwy lub materiały. Zwłaszcza odcienie czerwieni, w tym najbardziej wyrazisty karmazyn, uchodziły za godne i szlacheckie. Niezależnie od zakazów sięgali po nie jednak i patrycjusze. Ziemianie grozili, ordynowali kary, wreszcie, w akcie desperacji, ustanawiali specjalne taksy na barwione skóry i jedwabie. A jednak to, co w ich oczach było nadużyciem, nie ustawało. Przykładowo konstytucja sejmowa z 1606 roku piętnowała mieszczan, którzy nawet swojej służbie „barwy dawali” oraz „podłych” rzemieślników, co wazyli się zakładać szaty adamaszkowe. Jeden z posłów przytoczył też prawdziwie przerażający z jego perspektywy przykład kowala, co „w czerwonej aksamitnej kurcie” konie podkuwał. I swoim czynem podważał stylowość takiego ubioru[94].

Wychowany do cnoty

Walerian Nekanda Trepka był przekonany, że plebejusza da się łatwo rozpoznać po sposobie wypowiedzi. Pewien pan Śmiglecki był, jego zdaniem, chłopem, tylko podającym się za szlachcica, bo „mowę chłopską miał”. Podobny zarzut padł pod adresem jakiegoś Żarczyńskiego, który ponoć nie umiał ani prowadzić kulturalnej konwersacji, ani w ogóle składnie przemawiać do herbovníków. Na kartach *Księgi chamów* wielokrotnie powracał zarzut „szeplunienia”, seplenienia. Chodziło jednak o znacznie więcej niż tylko słabą dykcję czy chłopski akcent. Szlachcice posługiwali się zupełnie innym zasobem słownictwa niż poddani, odmiennie wyrażali myśli, mieli nawet nie własny kod kulturowy, ale wręcz szyfr, niemal niemożliwy do zrozumienia dla osób z zewnątrz.

Różnice wynikały przede wszystkim z wychowania i dostępu do edukacji. Szcątkowe dane, jakimi dysponujemy dla XVI stulecia, pozwalają się domyślać, że jakieś 2 procent chłopów potrafiło się własnoręcznie podpisać. Najwyżej kilka procent czytało — zwykle tylko proste teksty, a i ta umiejętność z dekady na dekadę stawała się coraz rzadsza. Wśród szlachty następował proces odwrotny. Stopniowo obcowanie z tekstem stało się jednym z wyznaczników przynależności do stanu. Nie trzeba było pisać i czytać, aby uznawać się za pana herbowego. Ale zdecydowanie wypadało. Nieprzypadkowo Trepka szydził z jakiegoś Bronickiego, że to pewnikiem chłop, bo „idiota, ni pisać, ni czytać nieumiejętny”[\[95\]](#).

Na początku drugiej połowy XVI wieku, podczas poboru nadzwyczajnych podatków, wymagano, by właściciele ziemscy

składali podpisy na swoich deklaracjach. Nie każdy jednak potrafił to zrobić. Dobrze zachowane zeznania z województwa krakowskiego wskazują, że poziom analfabetyzmu różnił się bardzo w zależności od pozycji majątkowej. Wśród ubogiej szlachty, mającej tylko herby, ale nie chłopów, około 1565 roku zaledwie 14 procent umiało zanotować swoje nazwisko. W gronie szlachty średniej odsetek osób piszących wynosił 42 procent. Wśród zamożniejszych panów herbowych — aż 87 procent.

Odręczne podpisy były wymagane także na dokumentach sądowych. Profesor Waclaw Urban przegrzebał zachowane akta sądu grodzkiego w Krakowie pochodzące z nieco późniejszego okresu — lat 1575–1590. „Jest to podstawa stosunkowo obiektywna, bo w grodzie zjawiał się każdy, kto miał sprawę do załatwienia, niezależnie od swej umiejętności pisania” — stwierdził historyk. Łącznie odnalazł około 2 tysięcy podpisów. Na tej podstawie ustalił, że pod koniec XVI stulecia pisało już 100 procent magnatów, 95 procent zamożnych szlachciców oraz 75 procent przedstawicieli średniego i drobnego rycerstwa. Dane dotyczą mężczyzn, ale w tym czasie także kobiety coraz częściej potrafiły obcować z tekstem. Pisało aż 85 procent magnatek i 45 procent zamożnych szlachcianek. Kronikarz Marcin Kromer potwierdził zresztą, że „dziewczęta z domów szlacheckich się uczyły”[\[96\]](#).

W dziedzinie edukacji, jak w niemal każdej innej, ziemiański dworek musiał być samowystarczalny. Nie istniał żaden system oświaty publicznej, zadanie przygotowania potomstwa do „życia jak szlachcice” spoczywało na rodzinie. Lekarz i filozof Sebastian Petrycy pouczał na początku XVII stulecia, że nikt nie zna lepiej „natury, obyczajów, dowcipu dziecięcego”

niż rodzice, którzy „ich urodzili, uchowali i odżywiali”. I którzy stanowili lepszy wzór do naśladowania niż jacykolwiek „doktorzy”. Takie sądy, częste w tej epoce, potwierdzały praktykę, zgodnie z którą edukacja była prowadzona w domu, a dziecko, tak długo jak to było możliwe, starano się izolować od świata zewnętrznego.



*Pierwsze ćwiczenia rycerskie. XIX-wieczny obraz Artura Grottgera z cyklu
Szkola szlachecka polskiego.*

Do siódmego roku życia dzieci szlacheckie — zarówno synowie, jak i córki — zwyczajowo pozostawały pod opieką matki. Potem ci pierwsi przechodzili pod nadzór ojcowski.

W wychowaniu przywiązywano zwykle wielką wagę do karności i posłuszeństwa względem głowy rodziny. Sebastian Petrycy zalecał, by dzieci „nie pieścić bez poważnej przyczyny” i karać je surowo, choć bez gniewu i zapalczywości. „Cześć dla ojca była wielka” — wyjaśnia pedagogka Edyta Kahl. „Dzieci nazywały go »panem ojcem«, na jego widok, na znak trwogi i szacunku, milkły. Nie mówiono głośno w jego obecności, nie odważano się w jego obecności siadać bez jego przyzwolenia”. Jak podkreśla badaczka historii edukacji, „zakaz ojcowski był nienaruszalny”. A gdyby jednak go pogwałcono, pan domu sięgał po różgę lub „pręt”. Bicie krnąbrnych synów było powszechnie akceptowaną praktyką wychowawczą. Mało kto się jej sprzeciwiał, choć odzywały się głosy — jak choćby Erazma Glicznera u schyłku XVI stulecia — że karane dziecko należy wyprowadzać do odosobnionego pokoju lub miejsca, tak aby „nikt ani nie widział, ani słyszeć nie mógł” odmierzania uderzeń. Tym sposobem mały szlachcic nie był upokarzany na oczach niżej urodzonej służby i pacholców, nie tracił godności.

Ojciec osobiście przekazywał synom rodowe legendy, objaśniał im, kogo przedstawiają portrety, obowiązkowo wieszane w dworkach, by wykazać uprzywilejowane pochodzenie. Młody szlachcic musiał być zdolny wyliczyć swoich przodków przynajmniej do trzeciego pokolenia i objaśnić „klejnot”, a więc szlachectwo, każdego z nich. Musiał też znać własne herb i zawołanie. Kto nie posiadał odpowiedniej wiedzy w tym zakresie, narażał się na szyderstwa, a nawet sądową naganę, grożącą wykluczeniem ze stanu, zwłaszcza jeśli jego opowieści nie znajdowały potwierdzenia w popularnych herbarzach. Czytelny przykład takiej kontroli wiedzy genealogicznej przedstawił w jednej ze

swoich fraszek Wacław Potocki. Bohaterem (a właściwie antybohaterem) utworu był żołnierz podający się za szlachcica. Zapytany o herb, „nie wiedział”, jak go nazwać, ale „kreślił przez figury”, że są na nim „trzy strzały w jednym sercu”. Potocki sprawdził te strzały w *Herbach rycerstwa polskiego* pióra Bartłomieja Paprockiego. „Nie było ich w księdze” — skwitował. A gdy rozmówca, teraz dopytany o „przezwisko szlacheckie”, a więc nazwę rodu, odparł: „Na Mazowszu”, wiedział już, że ma do czynienia albo z kłamcą, albo z człowiekiem, który zatracił resztki „cnotliwej” tożsamości.

Szlachecki młodzieniec miał poznawać swoje pochodzenie, ale też uczyć się wiadomości o urzędach i antenatach sąsiadów, tak aby nie urazić honoru jakiegokolwiek gościa. Pod okiem ojca był poza tym wprowadzany w rozrywki i zajęcia właściwe ziemianom. Ojciec nie tylko zabierał potomków na polowania, uczył ich strzelać z łuku czy jeździć konno, lecz także dbał na przykład o umiejętność gry w szachy i warcaby czy nawet o naukę tańca. Przede wszystkim jednak świecił przykładem. Tyle że niekoniecznie pozytywnym. Jak w XVI wieku komentował Andrzej Frycz Modrzewski (będący, czego łatwo się domyślić, plebejuszem), zwłaszcza zamożniejsi synowie ziemianscy „od lat najwcześniejszych” nasiąkali „pychą i hardością”, poza tym pręcej przywykali do miękkich „jedwabnych szatek”, niż uczyli się mówić. „Od maleńkości” mieli w głowach tylko „panowanie, wystawność, różnorodne biesiady, mściwą obraźliwość”. Słowem: ziemiańską pychę i beztroskę[97].

Edukacja ojcowska była praktyczna i niezobowiązująca. Nauki bardziej formalne powierzano zawodowcom. Zamożniejsi ziemianie, szczególnie ci obdarzeni licznym

potomstwem, chętnie zatrudniali prywatnych preceptorów, którzy zamieszkiwali w majątku i stale dbali o postępy podopiecznych. Taki nauczyciel domowy mógł liczyć w drugiej połowie XVI wieku na zarobki w kwocie około 3 złotych polskich miesięcznie. Dziś byłoby to 1300–1400 złotych. Niespełna 500 lat temu, podobnie jak dzisiaj, praca w oświacie nie pozwalała zbić fortuny. Ponieważ jednak belfrzy nie zarabiali zbyt wiele, wydatek dało się udźwignąć nawet w niewielkich folwarkach. Właściciel typowej, jednowioskowej posiadłości wydawał na preceptora około 20 procent własnych dochodów[98].

Synowie szlacheccy uczęszczali też niekiedy do szkół parafialnych, choć taki model edukacji uchodził za niegodny — wymagał przecież stałego kontaktu z plebejami. Poza tym szkoła miejska — a nie daj Boże: wiejska — nie mogła zapewnić małym szlachcicom tych umiejętności, których przede wszystkim od nich wymagano.

Ziemiańskie szczególne przywiązywali do sztuki oratorskiej. Wykształcony młodzieniec miał okazywać ogłędę poprzez kwieciste toasty czy powitania gości przybywających do folwarku, potem zaś — za sprawą przemówień wygłaszanych na sejmikach. Cenne dowody znaczenia takich tyrad przynoszą *silva rerum*, sylwy, a więc rękopiśmienne rodzinne księgi, w których szlachcice notowali ważne dla siebie wiadomości, instrukcje gospodarcze, dane o pochodzeniu rodziny czy wreszcie — wzory postępowania. Zachowało się wiele takich tomów, do których skrupulatnie wpisano nawet nie po kilka czy kilkanaście, ale dziesiątki formularzy przemówień i listów na różne okazje. Badacze tematu notują między innymi wzory podziękowań za prezenty otrzymane od sąsiadów (w tym konkretnie — chociażby za

pomarańcze czy szczenięta), zaproszenia na uczyty, polowania i zabawy, przemówienia kondolencyjne i pogrzebowe, podziękowania kierowane do rodziców. Często, wypada dodać, w księgach umieszczano przeróżne warianty zabezpieczające przed jakąkolwiek gafą. Na przykład w jednej sylwie mogły się znaleźć schematy przemówień nad grobem w odmiennych wersjach odpowiednich w razie śmierci ojca, matki, brata, siostry niezamężnej, siostry wydanej za mąż, bratowej i tak dalej, i tak dalej...[\[99\]](#)

Ceniono mowę ozdobną, naszpikowaną frazesami, ale też pełną obcych wtrętów. Jest faktem, że nie kto inny, a szlachcice uczynili z polszczyzny język literacki. Każdy zna słowa Mikołaja Reja, który z dumą oznajmiał „postronnym narodom”, że „Polacy nie gęsi, iż swój język mają”. Nie minęło jednak wiele czasu, a biegle posługiwanie się mową ojczystą przestało wystarczać szlachcicom jako symbol ich statusu. Zachodził proces podobny, co w wypadku ubrań czy fryzur. Gdy niemal każdy pan folwarczny potrafił już czytać i pisać, za szczyt kulturalnego wyrobienia poczęto uważać znajomość łaciny.

Ogółem kultura antyczna stanowiła prawdziwą fiksację polskiej szlachty. Sięgano do niej jednak wybiórczo i w bardzo konkretnym celu. Sarmaci wyrażali opinię, że są nie tylko spadkobiercami potężnego ludu wschodnich koczowników, ale też dziedzicami tradycji starożytnego Rzymu. Ustrój Rzeczypospolitej był w dość powszechnym przekonaniu ziemian kalką republiki rzymskiej — a więc ponoć najdoskonalszego z porządków. Uprzywilejowanie szlachty tłumaczono między innymi tym, że już założyciel Wiecznego Miasta, Romulus, „podzielił na dwa stany naród rzymski, to jest na plebejuszy i na senatorów”. Tak rzecz ujął Jakub Przyłuski, ale

podobnych tłumaczeń można by przytoczyć dziesiątki. Również dla koszmarnego wyzysku chłopów nad Wisłą znajdowano klasyczne uzasadnienie. Jak wytykał autor anonimowej broszury *Robak sumienia złego*, wielu panów herbowych uważało, że „wolno im wszystko czynić” z poddanymi, bo ci są „takimi niewolnikami, jak byli w Rzymie”.

Znajomość łaciny na swój sposób potwierdzała związek z antycznym imperium. Wśród magnaterii była niemal obowiązkowa, tak, że w całej Europie dziwiono się, iż Polacy biegle, a do tego powszechnie władają mową Cyncerona i Horacego. Zwykli szlachcice znali jednak nie tyle język łaciński, co raczej przeróżne frazesy i makaronizmy, którymi ochoczo wypełniali swoje teksty oraz przemówienia. Praktyka stała się powszechna w wieku XVII. Jej koronny przykład stanowią pamiętniki szlacheckiego żołnierza i awanturnika Jana Chryzostoma Paska. Na kartach dzieła trudno znaleźć strony pozbawione łacińskich wtrętów. Są ich łącznie setki, często wplatanych na siłę i bez szczególnego sensu. Pasek mógłby na przykład napisać o trupie na poboju, z którego rozciętego brzucha wylewały się wnętrzności, ale zamiast tego stwierdził: „*intestina* z niego wyszły”. Mógłby zanotować, że zdarzenia rozgrywały się we wnętrzu kraju, ale wolał oznajmić: *inter viscera*. A gdy szczególnie chciał się popisać wykształceniem, wyrzucał z siebie takie przeplatańce:

In decursu Augusti [pod koniec sierpnia] poszliśmy do Daniej na sukurs królowi duńskiemu, który uczynił *aversionem* [rozerwanie sił] wojny szwedzkiej u nas w Polsce. Nie tak ci to on podobno uczynił *ex commiseratione* [ze współczucia] nad nami, lubo ten naród jest *ab antiquo* [od dawna] przychylny narodowi polskiemu, jako dawne

świadczą pisma, ale przecie mając *innatum* [wrodzoną] przeciwko Szwedom *odium* [nienawiść] i owe zawzięte in *vicinitate inimicitias, nactus occasionem* [waśnie sąsiedzkie, wykorzystał okazję], za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić, wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał.

Trudno dzisiaj śledzić taki tekst bez posiłkowania się morzem przypisów. Ale równie trudno było to robić w dobie nowożytnej, o ile nie znało się szlacheckiej wariacji łaciny — tego osobliwego szyfru, który dla większości plebejów zdawał się czarną magią. Efekt był w pełni zamierzony. Ksiądz Benedykt Chmielowski, autor arcysarmackiej encyklopedii *Nowe Ateny*, wyjaśniał w wieku XVIII: „Dobrze jest mówić »okrutny to człek«, ale lepiej rzec *erudite* [z erudycją] »*Neronis saevitia* w tym człeku«. Nieźle jest mówić »strach zbiera«, [ale] przecieź wyborniej »*terror Panicus* albo *Pannonicus* serca ich opanował«”[\[100\]](#).

Na przełomie XVI i XVII wieku popularność zdobywała edukacja średnia, prowadzona w kolegiach jezuickich. W 1600 roku placówki te miały już w całym kraju około 2,5 tysiąca podopiecznych. Do łącznie kilku, a następnie kilkunastu szkół uczęszczała głównie szlachta. Pod okiem zakonników uczyła się łaciny, ale też podstaw greki czy niemieckiego. Poza tym młodym ziemianom wpajano obraz świata zgodny z hasłami kontrreformacji i coraz bardziej wrogi wobec wszelkich religijnych nowinek czy odstępstw.

Do kolegiów jezuickich trafiali chłopcy w wieku około 10 lat, mogli się tam uczyć do mniej więcej 17. roku życia. Ci pochodzący z zamożniejszych domów niekiedy jednak przerywali naukę i podejmowali studia wyższe. Panowała

opinia, że już 14-letni szlachcic może „z pożytkiem słuchać wykładów” i to nawet jeśli ma za sobą wyłącznie przygotowanie domowe. W latach 1580–1589 aż 30 procent studentów Akademii Krakowskiej stanowili młodzi ziemianie. Przez całe XVI stulecie na uczelnię zapisało się przynajmniej około 4 tysiące szlachciców, kolejne kilka tysięcy wyjechało zaś na uniwersytety zagraniczne, głównie włoskie. Jak jednak podkreślał Andrzej Wyczański, za wysokim udziałem nobilitowanych w gronie studentów nie szły namacalne rezultaty nauki.

Zamożni szlachcice często bardziej interesowali się możliwością zwiedzania obcych krajów, poznawania jadła, napitków i rozrywek niż nauką. Także w Krakowie podchodzili do nauki swobodnie, w myśl szlacheckich haseł o wolności i robieniu tego, na co przychodzi ochota, niezależnie od sztywnych norm czy oczekiwań. Tylko garstka szlachciców uzyskiwała tytuły magistrów czy bakałarzy. Większość zadowalała się wysłuchaniem paru albo parunastu wykładów, nie przystępowała jednak do egzaminów, przekonana, że nie ma potrzeby udowadniać przed kimkolwiek swych osiągnięć. Zdarzali się też wieczni studenci, wędrujący od uczelni do uczelni, ale nieskłonni formalizować swoją edukację. Na przykład sławny Jan Kochanowski, choć pochodził z bardzo rozrodzonego domu średniej szlachty (miał siedmiu braci i cztery siostry), spędził aż 14 lat na uczelniach w Krakowie, Królewcu i Padwie. Do majątku powrócił na wieść o śmierci matki, ale bez jakiegokolwiek dyplomu^[101].

Sarmacki savoir-vivre

Codziennym obyczajom, jakich oczekiwano od szlachty, można by z powodzeniem poświęcić osobną, i to wcale opasłą, książkę. Nie wystarczyło, że herbownik znał czystą polszczyznę i łacińskie wtręty. Musiał jeszcze wiedzieć, jak, kiedy i do kogo mówić, jakie wykonywać przy tym gesty, jaką przyjmować pozę. W świecie ziemiańskim obowiązywał rygorystyczny *savoir-vivre*: zbiór reguł towarzyskich nie tylko niepisany, ale też niezwykle złożony, zmienny, a po części do dzisiaj trudny do zrekonstruowania. Ten kodeks zachowań, jak podkreślał Janusz Tazbir, „obejmował właściwie wszystko” — tak więc zarówno kwestię odpowiedniego ułożenia pasa kontuszowego i doboru biżuterii, prowadzenia konwersacji, jak i kulturalnego zwracania się do rozmówców oraz respektowania tradycji towarzyszących świętom i uroczystościom rodzinnym. Kto go nie rozumiał, ten podważał własne szlachectwo. Dlatego Walerian Nekanda Trepka bez wytchnienia piętnował w swojej *Księdze chamów* „prostaków” i ludzi „grubego obyczaju”.

Kwestią niemałej wagi było to, czy rozmówcy należy podać rękę, skłonić się przed nim, nachylić się do uścisku. Powitania oddawały hierarchię, nawet niewinne dygnięcie mogło więc zdradzić, że jedna ze stron czuje się mniej godna od drugiej. Między równymi sobie szlachcicami szeroko przyjęte były gesty serdeczne, wprost familiarne. W XVII wieku Szymon Starowolski pisał w *Reformacji obyczajów polskich*, że w przeciwieństwie do innych narodów Polacy „zwykli się przy powitaniu obłapiać, aby tą powierzchowną ceremonią wzajemny pokazywać sobie afekt przyjacielski”.

Błąd łatwo było popełnić w kwestii całowania. Było rzeczą powszechnie przyjętą, że w rękę całowano panny, matrony, poza tym mężczyzn starszych i godniejszych od siebie. Na

nogach składało się pocałunki rodzicom, z przykłąku. Wespazjan Kochowski instruował w XVII wieku, że syn powinien klękać przed matką na jedno kolano, córka na oba. W relacjach szlachecko-szlacheckich, między równymi, cmoknięcia były jednak sferą ryzykowną. Przynajmniej w stuleciu XVI panowała opinia — utrwalona przez encyklopedystę Jana Protasowicza — że obcałowywanie się przy powitaniu to maniera „prostaków”, którą herbownicy zdążyli już zarzucić[\[102\]](#).

Sprawą równie ważną, czy nawet ważniejszą, bo powracającą nieustannie w całej konwersacji, były zaimki i zwroty grzecznościowe. Dzisiaj rzecz prezentuje się czytelnie. Można używać formy oficjalnej i zdystansowanej „pan/pani” albo bardziej bezpośredniej, zdradzającej bliskość — „ty”. Jak wyjaśniał Gerald Stone, brytyjski badacz osobliwości dawnej polszczyzny, taki podział był typowy także dla nowożytnych języków Europy Zachodniej. W Rzeczypospolitej szlacheckiej sytuacja prezentowała się jednak o wiele bardziej zagmatwanie.

W zwrotach wyrażał się porządek społeczny. Per „ty” szlachcice mówili tylko do ludzi, których uważali za siebie podległych — chłopów, rzemieślników. Odezwanie się tak do kogoś równego było formą obrazy, plamiło honor i wołało o pomstę. Nawet szlacheccy małżonkowie, właściwie do samego końca epoki, używali względem siebie zwrotów grzecznościowych, przynajmniej gdy ktokolwiek mógł ich usłyszeć.



Pocałunek polski. Figurka z porcelany saskiej na rysunku z początku XX wieku.

W wieku XVI w stosunku do osób o równym lub wyższym statusie powszechna była forma „wasza miłość”. Nie utrzymała się ona jednak długo. W modzie na zwroty następował ten sam proces co w każdej innej pogoni za trendami. Ludzie niższego stanu stopniowo brali wzór z elity, zaczęli mówić do siebie nawzajem w taki sam sposób co ziemianie. W efekcie herbownicy czuli się zmuszeni szukać coraz bardziej dumnych, wyrafinowanych określeń, nadal odcinających ich od plebsu. Proces postępował tym szybciej,

im bardziej także wielcy panowie chcieli się odróżnić językowo od zwykłych szlachetków.

Gdy „wasza miłość” już nie wystarczało, zaczęto mówić „wasza miłość Pan”, w skrócie — „waszmość pan”. Od tego rzecz przeszła do „waszmości mościwego pana”. Podobnie określenie „wielmożny” zamieniano z czasem na „jaśnie wielmożny”. Od popularnego równościowego zwrotu „panie bracie” przechodzono z kolei do „mości panie bracie”. Stopniowo standardem stały się złożone wiazanki, które dzisiaj brzmią wprost absurdalnie, ale w wieku XVIII stanowiły wyraz kultury i szacunku. Pisano więc chociażby: „Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju” albo „Wasza Miłości Mój Miłościwy Panie Dobrodzieju”. Przy tak długiach określeniach nie było innego wyjścia, jak tylko używać skrótów. Pełne formy trafiały do nagłówków listów, ale w tekście pisano już na przykład „JWWPan”, „WWMMPan Dobr.” albo „WWMMPani Dobr.”. Czasem z tyloma literami, że aż trudno rozwinąć je w sensowny sposób.

Także w mowie potocznej postępowało skracanie. Już wytarte zwroty — odrzucone przez magnatów, a następnie szlachtę — przyjmowały coraz prostsze warianty, jak „asan”, „mospan” albo „waćpan”. Pojawiała się złożona i płynna gradacja. Jedne zwroty uważano za wyjątkowo przymilne, inne tylko za grzeczne, kolejne za neutralne, równościowe albo wręcz oschłe i nacechowane dystansem. Czasem to, co pierwotnie było wyrazem szacunku, stawało się wręcz określeniem obraźliwym. Jeśli na przykład w XVIII wieku jeden szlachcic usłyszał od drugiego, że jest „waszecią” albo „waścią”, czuł się, jakby zdzielono go po twarzy. „Waszeć”, choć pochodziło od „waszej miłości”, stało się bowiem

u schyłku epoki tym, czym na jej początku było „ty”. Tak mówiono do plebejuszy, aby wyrazić swoją wyższość.

Dopiero po upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, gdy zaczął kruszeć stary porządek społeczeństwa, zwroty wreszcie uległy faktycznemu uproszczeniu czy wręcz swoistej demokratyzacji. Pierwszy przypadek użycia krótkiej formy „pan”, bez żadnych ozdobników i rozwinięć, pochodzi z drugiej połowy XVIII wieku, można na niego natrafić w prywatnym liście aktorki Antonii Prusinowskiej skierowanym do zamożnego szlachcica. Na początku wieku XIX, jeśli wierzyć wydanemu wówczas słownikowi polszczyzny, wciąż pisano na przykład „WMMMPan Dobr.”, ale wymawiano tylko „pan”. Przed połową stulecia proste „pan”, zarówno w mowie, jak i piśmie, było już standardem. Wystarczy powiedzieć, że na kartach sławnego *Pana Tadeusza*, wydanego w roku 1834, określenie „waść” występuje 35 razy, „waszeć” — 25, „waćpan” — 10, ale „pan” — 1289 razy. „Kraj nasz odrzucił w ostatnich czasach *waszmość* i *waćpana*, lecz w miejscu *oni* lub *wy* ukazało się nagle we wszystkich ustach krajowych krótkie, znaczące *pan* i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju i przez wszystkie klasy, w zwrocie do wyższych, do równych i nawet do niższych” — podsumowano zachodzący proces w roku 1874 na stronach „Biblioteki Warszawskiej”[\[103\]](#).

Sztuka ucztowania, sztuka umierania

Kluczowym sprawdzianem towarzyskiego wyrobienia były uczy. W polskich dworach XVI czy XVII stulecia, inaczej niż w zachodnioeuropejskich „gabinetach” i salonach arystokratycznych, o statusie nie świadczyła jednak

powściągliwość w konsumpcji, znajomość nowinek ze świata poezji i nauki czy wyrafinowana grzeczność względem partnerów w rozmowie^[104]. Sarmackie spotkania były głośne, huczne, suto zakrapiane. Sztuka polegała na tym, by swoją cnotę wykazywać w oparach alkoholu, wśród nieograniczonego obżarstwa i przy rozbuchanych emocjach.

O klasie gospodarza świadczyło samo zastawienie stołu. Obowiązkowy był chociażby obrus. Znany jest nawet przypadek, że polski poseł wysłany do Moskwy w drugiej połowie XVII stulecia obruszył się na widok gołego stołu i wytknął przyjmującemu go kniaziowi brak respektu dla tradycji.

Goście byli sadzani według starszeństwa i rangi, co w warstwie obsesyjnie przekonanej o powszechnej równości stale nastroczało kłopotów. Za oznakę chamstwa, a więc plebejstwa, mogła zostać uznana zarówno niezdolność do właściwego uszeregowania przybyszy, niesłuszna walka o dobre miejsce, jak i przesadna gotowość do zajęcia nieuprzywilejowanej pozycji przy stole. Ani po wejściu do domu, ani nawet po zasiadnięciu do biesiady nie ściągano nakryć głowy. Odruch „czapkowania” uchodził za gest chłopski, symbolizował gotowość do podporządkowania się gospodarzowi. Gość, który, minąwszy próg, bezwiednie unosił rękę ku czołu, ewidentnie szlachcicem nie był, nie zasługiwał na równe traktowanie. Wyjątek robiono tylko pod warunkiem, że obie strony jednocześnie sięgnęły do czapek i wzajemnie je przed sobą uchyliły. Czupryny odkrywano poza tym podczas toastów. Te sypały się bez końca, sprawiając, że spotkania towarzyskie zamieniały się w swoistą gimnastykę. Kolejny obyczaj nakazywał wstawać do każdego przemówienia wygłaszanego przy stole. „W ten sposób, w czasie spełniania

toastów trzeba wstawać i siadać, siadać i znowu wstawać, i tak to idzie do końca uczty” — narzekał Hubert Vautrin w XVIII wieku. Reguła znalazła też odzwierciedlenie w popularnym frazesie: „Gospodarz u stołu takie prawo daje, kto pije, czapki rusza, a pijąc, powstaje”.

Kielich służący danemu toastowi podawano sobie z rąk do rąk, kolejno pił z niego każdy zaproszony. Ostatni z winszujących albo ten, kogo uhonorowano przemową, często po odebraniu naczynia ciskał je o ziemię, strzelał do niego albo nawet rozbijał je o własne ciało. „Miało to oznaczać, że nikt nie jest godzien pić już z kielicha, w którym spełniono czyjeś zdrowie lub też który otrzymano z dostojnej czy też drogiej ręki” — wyjaśniał Jan Bystron. Znany jest list Jana Karola Chodkiewicza, w którym ten donosił żonie: „Stłukłem szklanicę o głowę, a król rzecze »panie hetmanie, nie tłuczcie tej głowy, bardzo nam na niej zależy«”. Jeśli tak postępował bohater wojenny stanowiący wzór dla żołnierzy, podobnych zachowań tym bardziej należało się spodziewać po szeregowych szlachcicach pragnących zaimponować sąsiadom. Praktyka szokowała obcokrajowców jako pokaz zupełnie zbędnej rozrzutności. Guillaume de Beauplan, goszczący w Rzeczpospolitej w połowie XVII stulecia, wspominał, że słyszał o uczcie, gdzie „wytłuczono samych szklanek za sto talarów”, czyli równowartość dzisiejszych 40 tysięcy złotych. Jeszcze bardziej raził go jednak fakt, że na każdym spotkaniu podawano potrawy „w potwornych ilościach”. Istotnie, szlacheckiej biesiady nie można było uznać za udaną, jeśli nie obejmowała przynajmniej ośmiu czy dziesięciu dań i jeśli nie trwała do późnej nocy. Zasady gościnności wykluczały przedwczesne przerywanie zabawy, a już na pewno wypraszenie przybyszy. Zresztą pan domu mógł podważyć

swój status nie tylko skąpstwem czy niecierpliwością, ale też najdrobniejszym aktem służalczości. Trepka wyśmiał na przykład pewnego Zbijewskiego, który, wstając od stołu, wymawiał się: „Mam potrzebę odejść”. Prawdziwy szlachcic nie sugerowałby przecież nawet, że wymaga zgody na wizytę w wychodku albo zaczerpnięcie świeżego powietrza.



Szlachecka biesiada. XIX-wieczna ilustracja do *Pamiętników* Jana Chryzostoma Paska.

Autor *Księgi chamów* za dowód plebejstwa uznał nawet z pozoru zupełnie niewinne zaproszenie do spożycia: „Jedźże w[asz]m[ość], nie jadłbyś tego doma [w domu]”. Taki zwrot sugerował przecież, że rozmówca jest zbyt biedny, aby żywić się na poziomie. Gdyby jednak gospodarz milczał, tym bardziej by sobie zaszkodził. Obowiązkiem wydającego ucztę była „przynuka”, a więc natarczywe zachęcanie przybyłych,

aby jedli i pili bez umiaru. Jeśli gospodarz nie nalegał, goście mieli wręcz obowiązek jeść oszczędnie i z niechęcią. „Przynukę” należało jednak wygłaszać w odpowiedni sposób. Znając takie wertepy obyczaju, trudno się dziwić, że farbowani szlachcice najbardziej obawiali się właśnie demaskacji podczas uczt, gdy śledzono wszelkie ich słowa i gesty[105].

Inny trudny moment próby następował przy prośzeniu o rękę szlacheckiej córki. Należało wówczas przemawiać i zachowywać się w ustalony sposób, a rodzice potencjalnej panny młodej z orlą czujnością wypatrywali jakichkolwiek niedociągnięć. Czasem, jak notował Trepka, dochodziło do gaf prawdziwie spektakularnych. Niejaki Śmiglecki podobno zapomniał się przy upragnionej pannie i nagle w jej obecności zbeształ służącego: „Matyjasku, skurwysynku, nie wycosałeś [wyszorowałeś] mi połtek [portek]”. Kiedy indziej nieszlachectwo dawało o sobie znać, bo amant nie wiedział, jak wyglądają swaty wśród nobilitowanych, i zachował się tak, jak było to przyjęte w mieście lub zagrodzie. Na przykład pewien Storc wysłał pannie Morawieckiej „wieńce na półmisku, drugim przykrywszy”. We dworze takiego obyczaju nie znano, zaraz więc został okrzyknięty chamem[106].

Osobny zbiór reguł towarzyszył chrzcinom, ślubom, nawet polowaniom (gdy obowiązkowe było chociażby odpowiednie użycie rogów i trąbek, a po skończonej nagonce wypadało podać towarzyszom bigos)[107]. Szczególnym pokazem sarmackiej obyczajowości był jednak niemal każdy pogrzeb szlachcica, choćby średnio sytuowanego. Właściwie tylko biedacy chowali zmarłych od razu, nazajutrz lub dwa dni po zgonie. Wśród panów było rzeczą zwyczajną, że ciało wystawiano na pokaz, tak, by mogli je odwiedzać krewni i przyjaciele tego, kto odszedł. Z pochówkiem zwlekano przez

tygodnie, a niekiedy miesiące, czekając, aż zjadą się goście, i przygotowując imponująco huczne uroczystości. Idealny pogrzeb szlachecki był ceremonią wielodniową, pełną zbytku i ostentacji, po części wyraźnie teatralną. Marcin Matuszewicz, zamożny ziemianin, ale jednak nie magnat, opowiadał na kartach XVIII-wiecznego pamiętnika, że w związku z pochówkiem ojca sprowadził do odprawiania nabożeństw nie jednego czy kilku księży, lecz łącznie... 474 duchownych. Oficjalne stypy trwały dwa dni, ale wielu gości zabawiło w majątku znacznie dłużej. Matuszewicz był zmuszony zapożyczyć się u brata, aby godnie pożegnać „nieodżałowanego, najukochańszego” ojca „dobrodzieja”. „Ekspens [wydatek] miałem na stoły, trunki dla gości i ludzi ich, wszędzie ile można było dając, częstując. Oprócz tego dla zakonników w miasteczku stojących, dla ludzi ich chleby, leguminy, piwa, oleje, śledzie, a dla koni obroki i siana dawać kazałem” — wyliczał.

Kto mógł sobie pozwolić, kupował zmarłemu ojcu czy bratu trumnę z najdroższych materiałów. Krzysztof Opaliński notował, że w XVII stuleciu przyjęły się trumny cynowe i srebrne, tak piękne, że w porównaniu z nimi marnie wyglądały nawet relikwiarze na kości świętych przywożone z Rzymu. W przekonaniu, że nieboszczyk powinien być zdolny uczestniczyć w obrzędzie i podziwiać, wspólnie z zebranymi, przepych wydarzenia, często na wysokości jego twarzy umieszczano specjalne szklane okienko.

Od schyłku XVI stulecia, a zwłaszcza w wieku XVII, obowiązkowym elementem obrządku stały się tak zwane portrety trumienne. Był to wytwór kultury unikalny dla Rzeczypospolitej, nieznanany gdziekolwiek indziej w Europie. „Na zachodzie popularny był wówczas wyidealizowany, upozowany

portret dworski. W Polsce modela traktowano bardzo realistycznie, czasami wprost brutalnie. Nie ukrywano blizn, brodawek czy połamanych nosów” — wyjaśnia badaczka sztuki nowożytnej Dorota Spychalska. Portrety trumienne malowano najczęściej na blachach cynowych lub miedzianych. Ich twórcami byli anonimowi rzemieślnicy cechowi, zapomniani przez historię. Dzieła przybijano na czas uroczystości do trumny, zwykle w nogach, tak by były dobrze widoczne dla żałobników. To wyznaczało kształt typowego portretu: najczęściej sześćo-, rzadziej ośmioboczny. Po pogrzebie podobizny chętnie pozostawiano w świątyni, o ile nieboszczyk był jej dobrodziejem. W efekcie do dzisiaj zachowała się znaczna ich liczba, głównie w zbiorach kościelnych. Jedną z największych kolekcji portretów trumiennych dysponuje Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Obejmuje aż pięćdziesiąt cztery egzemplarze.

Portrety trumienne, mniej lub bardziej udane, malowano nawet dla chudopachołków. Na pogrzebie zamożnego szlachcica to jednak nie mogło wystarczyć. W kościołach wznoszono imponujące aranżacje, ozdabiane rzeźbami, drogimi materiałami, dziesiątkami świec oraz — nieodzownie — herbami zmarłego i jego przodków. Niektórzy, wzorem królów i magnatów, urządzali nawet osobliwe spektakle, w trakcie których aktor symbolizujący zmarłego wjeżdżał do świątyni na koniu, po czym zwał się z jego grzbietu na posadzkę pośrodku nawy głównej, przed przystrojonym katafalkiem. Jak łatwo się domyślić, takie przedstawienie nie zawsze kończyło się dobrze. Znane są przypadki, gdy spłoszony wierzchowiec tratował i ranił uczestników ceremonii. A jednak nie rezygnowano z *pompy funebris*, skrajnej pogrzebowej ostentacji. Ta stanowiła jak gdyby zwieńczenie całej

obyczajowości szlacheckiej. I świetnie korespondowała ze znanym zamiłowaniem polskich ziemian do wszelkiej przesady[108].

Jak podkreślała Maria Bogucka, kultura warstwy uprzywilejowanej nad Wisłą była ogółem wyjątkowo ekspresyjna. Ceniono w niej ponad miarę szumne gesty i wprost teatralne zachowania. Do jakiegoś stopnia praktyka życia wymuszała wyrazistość. Na przykład podczas głośnych, kłótliwych i chaotycznych obrad sejmików, gdzie nie dysponowano przecież żadnym nagłośnieniem, szlachcic pragnący zabrać głos nie mógł ograniczyć się do ustnej przemowy. Ci, co stali dalej, nie dosłyszeliby jego słów. Konieczna więc była wyraźna gestykulacja, czy to z wykorzystaniem rąk, czy nakrycia głowy, czy wreszcie szabli albo rekwizytów, jak choćby kopii wstrętnych przemawiającemu dokumentów lub decyzji królewskich, które chętnie rozsiekano na strzępy na oczach zebranych.

Ekspresyjność sięgała jednak znacznie dalej. Szlachcic świadomy swej godności miał obowiązek nie chodzić, ale kroczyć — z jedną dłonią na rękojeści broni, drugą wspartą pod bok. Ceniono okazywanie skrajnych emocji. Ziemianie płakali więc rzewnie przy lada okazji, „kiwali obuchami”, bronią, podczas obrad politycznych, w kościele wyszarpywali szable podczas Ewangelii, by pokazać, że są gotowi bronić wiary. Poza tym, jak notował Charles Ogier w pierwszej połowie XVII stulecia, na widok Eucharystii bili się nie tylko w piersi, lecz także „w usta, czoło, policzki”. Ceniono też uderzanie głową o posadzkę, z kolei w dniach Wielkiego Postu — samobiczowanie. Oczywiście publiczne, bo spektakl szlacheckości musiał się rozgrywać na widoku[109].

Nazwiska szlacheckie

Szlachcice bardzo dbali o to, aby we wszelkich aktach i pismach wzmiankowano ich w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości co do pozycji, jaką zajmowali w społeczeństwie. Wykształcił się zmienny na przestrzeni wieków, ale zawsze czytelny dla ludzi danego czasu zbiór określeń. O chłopach pisano chociażby, że są „pracowici” (*laboriosus*). Nie była to ocena zachowania, a tym bardziej pochwała, lecz etykieta stanowa, umieszczana przed imieniem (np. pracowity Adam, czyli — Adam będący chłopem). Mieszczan określano jako „sławetnych” (*famatus*). Tylko przed imionami herbowników wolno było zaznaczać, że są „urodzeni” czy też „szlachetni” (*generosus, nobilis*)[\[110\]](#).

Takie formuły wydawały się szczególnie ważne, wręcz nieodzowne, w okresie przed upowszechnieniem nazwisk. Dzisiaj aż trudno sobie wyobrazić, że sama idea posługiwania się nazwiskiem zakiełkowała w Europie stosunkowo niedawno, a zadomowiła się na dobre przed zaledwie kilkoma pokoleniami. Oczywiście już od starożytności zdawano sobie sprawę, że jedno imię nie zawsze wystarcza do wyszczególnienia osoby, zwłaszcza jeśli jest to imię popularne w danym miejscu i czasie. Używano więc przezwisk, tworzonych od cech fizycznych, walorów umysłowych, wykonywanego zawodu albo miejsca pochodzenia. Adam, który pracował jako kowal, był nazywany, a jakże, Kowalem. Szymon, który się jąkał, mógł być Jąkałą, chyba że bardziej zwracano uwagę na przykład na jego tuszę, i stawał się Grubasem. Takie przydomki łatwo ulegały zmianie, na przykład jeśli ktoś porzucił zajęcie, to tracił też związane z nim

określenie, a jeśli popadł w starcze otępienie, nie nazywano go nadal chociażby Mądralą. Z wielu przezwisk nadawanych żartobliwie za młodu po prostu wyrastano, inne przylepiały się do człowieka, tylko jeśli zdołał dotrwać sędziwego wieku. Względnie rzadko zdarzało się dziedziczenie przydomków. Ojciec mógł być przecież Chudy, ale jego syn — już niekoniecznie. Nieco bardziej stabilne były tak zwane imiona odojcowskie. Wojciecha, syna Jana, przez całe życie dało się nazywać Janowicem. Ale już jego syn zmieniał miano na Wojciechowica.

Nazwiska różniły się od przezwisk tym, że przyjmowano je na stałe, posługiwano się nimi oficjalnie, przede wszystkim zaś przekazywano je z pokolenia na pokolenie. Każdy syn Duponta sam też był Dupontem, a Müllera Müllerem, czy tego chciał, czy nie. Najwcześniej nazwiska zaczęły się pojawiać na ziemiach karolińskich około 800 roku. Do dzisiaj nie wyjaśniono przekonująco, co stało u podstaw tego zjawiska. Po części pewnie wzrost liczby ludności, po części kurczący się zasób imion — bo Kościół nakazywał chrzcic dzieci tylko na pamiątkę świętych. Rolę odegrała też chyba narastająca dbałość o utrzymanie więzi rodzinnych. Jak podkreślał znawca tematu, profesor Józef Matuszewski, bez dziedzicznych nazwisk trudno było śledzić genealogię i dbać o zachowanie pamięci o przodkach. Wreszcie znaczenie, jak w każdej innej dziedzinie, odgrywała i moda.

Do Polski nazwiska dotarły ze sporym opóźnieniem. Pierwsze, nieliczne, notuje się około 1400 roku. Na szeroką skalę weszły jednak do użycia dopiero na początku epoki nowożytnej, w wieku XVI. Przez długi czas uważano je za dodatkową oznakę przynależności do elity — nazwiskami posługiwali się szlachcice, ale nikt poza nimi. Potem jednak

wypadki poczęły podążać dobrze znanym torem. Nazwiska były hołubione, widziano w nich wyznacznik statusu. Ponieważ zaś nie istniał i nie mógł istnieć formalny zakaz ich używania, stopniowo zaczęli je przyjmować też członkowie niższych stanów.

U schyłku XVI stulecia już niemal wszyscy szlachcice posiadali ustalone, stabilne nazwiska. Zaniknęły, wcześniej częste, przypadki, gdy jeden herbownik posługiwał się kilkoma etykietami albo gdy nazwisko zmieniało się z pokolenia na pokolenie. W wieku XVII nazwiska upowszechniły się wśród mieszczaństwa, najpierw najbogatszego, potem nawet u brukowej biedoty. Na wsiach proces przebiegał z większym opóźnieniem. W wielu regionach kraju chłopi przyjęli nazwiska dopiero w wieku XVIII albo i później. Także wśród polskich Żydów dziedziczne nazwiska pojawiły się szeroko nie wcześniej niż w dobie upadku Rzeczypospolitej. Cały proces, od powstania pierwszych polskich nazwisk do objęcia tak zwaną dwuimiennością ogółu społeczeństwa, zajął sporo ponad 400 lat.



Portret trumienny nieznanego szlachcica z Mazowsza o inicjałach SK SP.
Obraz wykonany na cynie ok. 1690 roku.

Typowe nazwisko szlacheckie nawiązywało do głównego źródła dumy każdego pana herbowego: jego posiadłości ziemskiej. W średniowieczu o ludziach dzierżących własne wioski mówiono na przykład: „Jan, pan na Kucharach” albo „Jan z Kuchar”. Na Zachodzie podobne formy dały początek specjalnym przyimkom łączącym imię z nazwiskiem, które stopniowo zostały zastrzeżone wyłącznie dla nobilitowanych. Jeśli we Francji doby nowożytnej ktoś nosił nazwisko z „de”, na przykład Jean de Mésil, niechybnie był szlachcicem, z rodziny pierwotnie posiadającej właśnie majątek Mésil. Podobnie w Niemczech tylko szlachta mogła rościć sobie prawo do szacownego „von”. W Polsce ewolucja języka poszła

jednak w innym i, jak miało się okazać, bardzo niewygodnym dla herbowników kierunku.

Nazwiska ziemian najchętniej urabiano, dodając do miejscowości końcówkę -ski. W ten sposób Jan z Kuchar stawał się Janem Kucharskim, Wincenty z Granowa — Granowskim. Nazwiska zakończone na -ski (lub ewentualnie, choć mniej chętnie, -cki) szybko zaczęły uchodzić za najbardziej polskie i szlacheckie — wyrażała się w nich w końcu podstawa uprzywilejowania danej osoby. Ponieważ jednak nazwiska przyjmowano oddolnie i bez nadzoru jakiegokolwiek oficjalnej instytucji, rodziło się całe zatrzęsienie wyjątków. Chyba od początku większość szlachciców nosiła nazwiska zakończone na -ski lub -cki, ale zdecydowanie nie wszyscy. Rozwiązania nietypowe, niezgodne z wiodącym zwyczajem, okazywały się tym częstsze, że na swój sposób wyrażała się w nich wolność. Nikt przecież nie mógł zabronić panu przyjęcia takiego miana, jakie sobie wymyślił. Pełno było na przykład niewątpliwie szlacheckich, bardzo starych nazwisk „zwierzęcych”, jak Chrząszcz, Lis, Dzik, Łoś czy Zając. Także przewiska albo codzienne przedmioty mogły dać początek szlacheckim nazwiskom. Wystarczy przypomnieć chociażby pamiętnikarza Jana Chryzostoma Paska — nie zaś Paskowskiego.

Już u schyłku XVI wieku, gdy pierwsi mieszczenie, a w odosobnionych przypadkach i chłopci przyjęli modę na nazwiska, szlachta poczęła z rosnącą rezerwą spoglądać na wszelkie warianty bez dumnych trzech liter na końcu. Autor *Księgi chamów* o niemal każdym takim nazwisku pisał, że zdradzało plebejskość rodziny, sugerowało, że dochrapała się ona herbu nielegalnie. Zającami czy Paskami w jego opinii mogli być tylko ludzie niskiego stanu, szlachcic wymagał

końcówki -ski. Pan Walerian formułował przy okazji dość wstrętne żarty, na przykład twierdził, że jakiś Golian był tak nazwany z uwagi na parchy, grzybiczne narosty na głowie, które wymuszały nieustanne golenie. Nie krytykował tylko... samego siebie. Nazwisko Trepka, choć nie miało -ski ani -cki i nie wywodziło się od nazwy miejscowości, wyjątkowo brzmiało dla niego zupełnie w porządku.

Narastająca fiksacja na punkcie trzech, ponoć szlacheckich, liter sprawiła, że w XVII wieku herbownicy zaczęli masowo zmieniać swoje miana. Czajkowie stawali się Czajkowskimi, Łapowie — Łapińskimi. Trend objął nawet najmożniejsze, najbardziej szacowne rodziny senatorskie. Etnograf Jan Bystron wskazywał chociażby przykład Kisieli, którzy choć zajmowali urzędy wojewodów i obejmowali starostwa, to czuli, że lepiej im będzie jako Kiślańskim. Także przy formalnych nobilitacjach, gdy tworzone nową szlachtę, nadawano nazwiska zakończone na -ski bądź -cki, jak Feliński, Trecki czy Pleszkowski. Stary zwyczaj nakazywał przy okazji zakupić odpowiednią miejscowość. Coraz częściej jednak nazwiska odrywały się od tego oczekiwanego źródła. Mogły mieć dowolną formę i genezę, byle kończyły się w dumny sposób. Dlatego Krzysztof Opaliński szydził w połowie XVII wieku, że zgodnie z modą można by ukuć choćby formę Skicki, a więc zbitkę wymarzonych końcówek -ski i -cki. Takie nazwisko faktycznie zresztą powstało i wciąż jest używane. W 2022 roku nosiło je w Polsce 101 osób.

Panowie wyrażali nie tylko przekonanie, że nazwiska zakończone na -ski są najbardziej szlacheckie, ale też starali się zarezerwować je dla siebie. Kampania była z góry skazana na porażkę. Niemieckie „von” czy francuskie „de” dało się obwarować ograniczeniami, bo postawione przed nazwiskiem

miały w epoce nowożytnej tylko jedno znaczenie — wyrażały szlachectwo. Z końcówką -ski rzecz wyglądała inaczej. Pełniła ona w języku różne funkcje, nie można było wykluczyć jej z codziennych zastosowań. O właścicielu Konar mówiono Konarski, ale przecież kowal z tej miejscowości, zapytany, kim jest, też odpowiadał: kowalem konarskim. Jak podkreślał profesor Matuszewski, wystarczyło podmienić małą literę na dużą, a przymiotnik stawał się nazwiskiem. Podobnie: Sułkowskim był pan na Sułkowicach, ale i wieśniak z tej wioski był przecież chłopem sułkowskim[111].

Plebeje chętnie i pomimo oburzenia szlachciców przyjmowali nazwiska zakończone na -ski i -cki, a nie tylko takie urobione od przymiotników lub przedmiotów. Robili to oczywiście ci, którzy pragnęli wkraść się do warstwy uprzywilejowanej. Walerian Nekanda Trepka złorzeczył, że synowie Matrasza robią z siebie Matraszowskich, a potomkowie Lorkówny — Lorkowskich. Na temat etymologii innych, jego zdaniem, kłamliwych nazwisk szlacheckich miał nawet gorsze zdanie. Opowiadał na przykład, że Fabrycki wziął się od sfabrykowania szlachectwa, Weszłowski od wesz, które łowił, a Jaszczyński... od szczania, oddawania moczu. To wszystko były, rzecz jasna, bzdury. Wulgarnie wywody autora *Księgi chamów* świetnie odzwierciedlają jednak rosnące oburzenie szlachty, bezradnej wobec utraty monopolu na upragnione końcówki[112].

W wieku XVIII nazwiska ze -ski lub -cki były już dość powszechne wśród mieszczaństwa. Na wsiach rozprzestrzeniły się jednak dopiero w następstwie upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, gdy panowie folwarczni stopniowo tracili kontrolę nad ludem i nie mogli dłużej batożyć każdego, kto powążył się określać w nieodpowiedni sposób. W XIX stuleciu Kowale masowo stawali się Kowalskimi, Garnarze Garnarskimi.

Kucharscy nie oznaczali już dawnych panów na Kucharach, ale Kucharzy, którzy chcieli przydać sobie nieco chwały. Pewne regiony, jak choćby zachodnia Małopolska, okazały się względnie odporne na ten proces. W innych jednak, jak na Mazowszu, wszelcy wiejscy Wilcy zamienili się w Wilkowskich, a Sikory w Sikorskich.

Językoznawca Stanisław Rospond przed laty próbował ocenić skalę zjawiska, opierając się na księgach adresowych. Jak stwierdził, w Warszawie na początku XX wieku notowano tylko 3 Kowali, ale aż 236 Kowalskich. Z kolei pod literą „B” aż 30 procent wszystkich osób nosiło nazwiska zakończone na -ski[113]. Praca Rosponda o nazwiskach szlacheckich ukazała się we wczesnym PRL-u, gdy brakowało kompleksowych danych, a analiza statystyk nasycała poważnych trudności. Dzisiaj rzecz wygląda inaczej. Każdy może ściągnąć podstawowe dane z bazy PESEL, obejmującej łącznie ponad 40 milionów żyjących osób. Wynika z nich, że najpopularniejszym nazwiskiem nad Wisłą w roku 2022 był Nowak (niemal 203 tysiące kobiet i mężczyzn), ale już na drugim miejscu znalazł się Kowalski. Takie nazwisko noszą 136 972 osoby i raczej nikła część z nich ma wśród antenatów szlacheckich właścicieli wioski Kowale czy Kowalów. Ogółem wśród dwudziestu obecnie najpopularniejszych nazwisk dwanaście kończy się na -ski. Najciekawsze dane przynosi jednak analiza całej bazy. Jak się okazuje, obecnie w polskim społeczeństwie, które w sporo ponad 90 procentach wywodzi się od „plebejów”, aż 32 procent kobiet i 31 procent mężczyzn posługuje się nazwiskami ze -ski lub -cki. Walerian Nekanda Trepka musi przewracać się w grobie wobec tej największej chyba w naszej kulturze uzurpacji reliktyw szlachectwa[114].

V.
POSŁUSZEŃSTWO.
MIEJSCE KOBIET W SZLACHECKIEJ
RZECZYWISTOŚCI

Panuje opinia, że szlachcianki cieszyły się w Polsce wyjątkowo korzystną pozycją, której mogły (a nawet musiały) zazdrościć im nobilitowane panie z zagranicy. Mężowie traktowali je po partnersku, zdawali się na ich rady, mówili o nich: „najbliżsi przyjaciele”. Jakby tego było mało, kobiety wpływały też na rozstrzygnięcia polityczne i samodzielnie sprawowały władzę w wielkich majątkach ziemskich[115].

Wymienione szczegóły nie są może wprost fałszywe, ale na pewno dalece przejaskrawione. Frazesy o przyjaźni i partnerstwie nie oznaczały w wieku XVII albo XVIII tego samego co dzisiaj. Pozycja polskich kobiet z warstwy uprzywilejowanej była lepsza niż na przykład niemieckich, ale już zestawienie z Węgierkami, Francuzkami czy Angielkami nie wypada równie korzystnie. Jeśli z kolei za punkt odniesienia przyjmujemy czasy obecne — wciąż przecież zmagające się z nierównością płci na każdej niemal płaszczyźnie — swoboda nowożytnych kobiet wypadnie wprost

karykaturalnie. Znając realia życia dawnych szlachcianek, o kobietach z innych warstw nie wspominając, trudno traktować pochwały modelu obowiązującego w Pierwszej Rzeczypospolitej inaczej niż jak szkodliwego mitu albo wręcz kiepskiego dowcipu. Co zaś do wpływów politycznych — nie należy mylić osiągnięć nielicznych jednostek, obdarzonych wyjątkowym majątkiem lub znajdujących się w zupełnie nieszablonowej sytuacji, z kondycją typowych białogłów szlacheckich.

Ogólnie rzecz biorąc, szlachectwo było w Polsce domeną mężczyzn. Zawsze myślano i pisano o nim w kontekście tej jednej płci. Wszelkie przywileje stanowe były skierowane do mężczyzn. W powszechnym przekonaniu tylko mężczyzna mógł okazywać szlachecką cnotę, często utożsamianą wprost — nomen omen — z męstwem. Tylko on mógł dawać wyraz etosowi rycerskiemu, choć oczywiście o wiele częściej robił to, potrząsając szablą i każąc się portretować w zbroi, nie zaś podczas faktycznej służby wojskowej. To w linii męskiej przekazywano nazwiska, herby, nazwy rodowe, zawołania — wszelkie hołubione oznaki szlachectwa. Wyłącznie mężczyźni mieli obowiązek bronić szlacheckiego honoru, oni udowadniali swe szlachectwo lub kwestionowali uprzywilejowanie innych. Rekwizyty kultury sarmackiej też były, niemal bez wyjątku, obiektami męskimi. To nie przypadek, że za polski strój narodowy uznano komplet z żupanem i kontuszem noszony przez panów, a za fryzurę szlachecką — męską podgalaną czuprynę. Szlachecki styl życia podobnie był w całym swym zakresie dostępny tylko mężczyznom. To oni jedli i pili bez umiaru, roztrzaskiwali kielichy o głowy, błyszczeli rozrzutnością. W wielu przypadkach szanująca się szlachcianka wprost nie miała prawa do takich zachowań.

Pani okazująca szlachecką fantazję mogła uchodzić za niebezpieczną ekscentryczkę, a sięgająca po piwo i wódkę na równi z mężczyznami — za niepoprawną pijacznę. Wreszcie tylko mężczyzna miał przywileje polityczne. Kobiet nie dopuszczano do żadnych urzędów państwowych, nie mogły też brać aktywnego udziału w sejmikach ani posłować na sejm walny.

Przykłady splątania szlacheckości z męskością można by wymieniać o wiele dłużej. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że szlachectwo mężczyzn uważano za przyrodzone i aktywne. Kobiety były zaś szlachciankami jakby przez bliskość i skojarzenie. Przynależały do stanu za sprawą ojców i mężów, ale nie mogły — jak komentowała Maria Bogucka — w żaden sposób wykazać swej cnoty lub przysłużyć się ojczyźnie. Ich naczelnym zadaniem było wydawać na świat kolejnych mężczyzn szlachciców^[116].

Białogłowy nie tylko nie były, ale nawet nie mogły być członkiniami najwyższej warstwy niezależnie od mężczyzn. W wizji historycznej to męskie zasługi, głównie wojskowe, zapewniały herb. W wersji mitologicznej — Noe podzielił na szlachtę i chłopów swoich synów, nie córki. W praktyce politycznej zaś wyłącznie mężczyzna mógł zostać uszlachcony. Nie zdarzało się to legalnie często, ale w odniesieniu do kobiet nie zdarzało się w ogóle. Przez całą historię przedrozbiorowej Polski nie nobilitowano ani jednej białogłowy. Sam pomysł, że taka decyzja mogłaby zapaść, wydałby się ówczesnym elitom całkowicie nonsensowny.

Takie rozumienie szlachectwa było też nierozzerwalnie związane z postrzeganiem roli i miejsca białogłowy w rodzinie oraz życiu codziennym. W Polsce nigdy nie rozwinęła się na pełną skalę znana z Zachodu antykobieca kampania,

podważająca człowieczeństwo przedstawicielek rzekomo słabszej płci i stawiająca pod znakiem zapytania ich predyspozycje umysłowe. I u nas panował jednak niemal powszechny pogląd, że kobiety powinny być posłuszne i podporządkowane mężom. Mogły zaskarbić sobie przyjaźń lub szacunek małżonków, mogły być traktowane przez nich po partnersku i nazywane „najbliższymi przyjaciółmi”. Decyzja w tej kwestii należała jednak do mężczyzny — władcy domu i głowy rodziny.

Ogółem pozycja szlachcica była silna z racji samego statusu, urodzenia, przywilejów. Od początku był wolny, równy i dumny. Pozycja szlachcianki w dworze każdorazowo była jednak uzależniona od jej zaradności, pracowitości, ogłady, determinacji i od tego, czy trafiła na wyrozumiałego partnera, czy też na domowego tyrana. Nie brakowało pań domu szanowanych i wpływowych. Można by też długo wymieniać przykłady szlachcianek, które doradzały mężom w ważkich sprawach, nawet politycznych. Żadna jednak nie otrzymywała takiego statusu z automatu, bo nie była mężczyzną.

Do grobowej deski

Kobiety nie były w Polsce całkowicie wykluczone z dziedziczenia nieruchomości. Prawo nie zakazywało im też posiadania ziemi. Przyjęte normy dalece jednak ograniczały takie przypadki. Jeśli szlachcic miał synów i córki, to folwarki i grunty dzielił między tych pierwszych, drugim zaś pozostawiał przede wszystkim ruchomości. Przypadki dziedziczenia gospodarstw przez córki szlacheckie dotyczyły głównie jedynaczek. Nawet wtedy jednak zwykle nie

sprawowały one faktycznej władzy nad majątkiem, a przejmowali ją ich mężowie[117].

Ślub uważano nie za jedną z możliwości, ale wprost za obowiązek szlachcianki, a już zwłaszcza posesjonatki. Badania demograficzne prowadzone w ostatnich dekadach wykazały, że w miastach nowożytnych było o wiele więcej „singli”, niż dawniej sądzono. W Warszawie w XVIII stuleciu ponad jedna czwarta dorosłych kobiet była niezamężna. Na wsiach też około jednej dziesiątej chłopek praktykowało to, co w nauce określa się mianem „celibatu definitywnego”. W przypadku córek szlacheckich staropanieństwo akceptowano jednak właściwie tylko w przypadku ciężkiej choroby lub deformacji ciała. Mikołaj Rej komentował, że stan wolny jest, w przeciwieństwie do małżeńskiego, z samej swej natury „obmierzły” i „swawolny”, godny potępienia. Taki pogląd był powszechny. Panowało oczekiwanie, że każda panna zostanie wydana za mąż lub ostatecznie odesłana do klasztoru. A że żeńskich wspólnot modlitewnych było nad Wisłą względnie niewiele, to przytłaczającej większości dziewcząt zostawała tylko pierwsza droga. No chyba że ubodzy rodzice nie byli w stanie zapewnić im posagu. Wówczas biedna szlachcianka mogła spędzić całe życie na służbie u innej pani[118].

O ślubie decydowali rodzice. Obyczaj nie wymagał od nich pytania córki o zdanie, przeważały nie względy osobiste czy tym bardziej uczuciowe, lecz interesy. Małżeństwa stanowiły układy majątkowe i towarzyskie. Zawierano je, by uporządkować sprawy sąsiedzkie albo związać się z bardziej wpływową rodziną i z pomocą córki podnieść „zacność” własnego domu. Chodziło też, by zacytować XVI-wieczne kazanie kościelne adresowane do szlachty, o zdobycie

„potężniejszych przyjaciół i powinowatych”. Oczywiście przyjaciół dla ojca aranżującego związek, nie dla panny młodej.

Niektórzy autorzy zwracali uwagę na znaczenie zgodności między małżonkami, dominowało jednak przekonanie wyrażone przez Mikołaja Reja. Pisał on, że człowiek, który się „z miłości ożeni”, nie zwracając bacznej uwagi na pieniądze, będzie skazany na swary i kłopoty, bo przecież „między głodnymi niedługo miłość trwa”. Poza tym zaś w związku zawartym z racji uczuć „byle mucha” może zburzyć pozorną harmonię^[119].

Matrymonialny pragmatyzm sprawiał, że mężczyźni zwalniali samych siebie z obowiązku dochowywania wierności żonom. Było niemalże tradycją, że szlachcic podczas wypadów do miasta odwiedzał zamtuzy i rozmyślnie stykał się z tak krytykowanymi we wszelkiej literaturze sarmackiej doczesnymi brudami życia. Także do miejsc, gdzie obradowały sejmiki i sejmy, obok tłumów szlachciców zawsze ściągały tabuny prostytutek, słusznie liczących na łatwy zarobek. Wreszcie nierzadkie były i przypadki, gdy ziemianie dawali upust żądzy nawet bez opuszczania majątków. Zmuszali do uległości chłopki pańszczyźniane, gwałcili służące zatrudnione we dworze, nic sobie nie robiąc z protestów^[120].

Szlachcianki nie mogły oczywiście liczyć na podobną swobodę, na to, że społeczeństwo będzie patrzeć na ich życie intymne przez palce. Wysoko urodzoną kobietę obowiązywała absolutna czystość, nie licząc tego, co działo się w małżeńskiej alkowie. Powszechnie godzono się też z opinią, że mąż ma prawo najsurowiej karać żonę, która przyprawiła mu rogi, a także jej kochanka, choćby ten sam był szlachcicem. Szczególnie brutalny epizod zreferował Jan Chryzostom Pasek

na kartach swoich *Pamiętników*. Opowiedział o mieszkającej na Wołyniu pani Falbowskiej, która przy okazji każdego męzowskiego wyjazdu pilnie zapraszała na igraszki sąsiada Iwana Mazepę — przyszłego dyplomatę, kawalera Orderu Orła Białego i hetmana wojska zaporoskiego. Gdy rzecz się wydała, obrażony mąż schwytał Mazepę i, niewiele robiąc sobie z jego wysokiego urodzenia, rozebrał go do naga, przywiązał na leżąco do końskiego grzbietu, „gębą do ogona, a do głowy tyłem”, wybatożył go kańczugiem, strzelił mu kilka razy koło głowy z broni palnej, a na koniec pognął w takim stanie do domu, by cała służba i poddani zobaczyli swego pana ze śladami po chłóście i w Adamowym stroju. O karze wymierzonej niewiernej połowicy Pasek nie ośmielił się już opowiadać w podobnych detalach. Stwierdził, że to „się nie godzi”, ale z półsłówek wyraźnie wynika, że Falbowska cierpiała nie mniej, a może nawet bardziej od Mazepy^[121].



XVI-wieczne małżeństwo szlacheckie. Rysunek Juliusza Kossaka na podstawie zachowanych materiałów z epoki.

Niekiedy na ślubnym kobiercu stawali ludzie równi sobie wiekiem, o wiele częściej jednak mężowie byli wyraźnie starsi od żon. O ile szlacheccy kawalerowie czekali z ożenkiem przeciętnie do 30. roku życia, to dziewczęta starano się wydawać za mąż około dwudziestki. W wieku XVI średnia była nawet niższa: według skąpych danych, jakimi dysponujemy, mogła wynosić mniej niż 18 lat. Zdarzały się zresztą, i były społecznie akceptowane, już związki 12- czy 13-letnich szlachcianek. Wierszowane epitafium takiej przedwczesnej inicjacji pozostawił XVII-wieczny poeta Jan Andrzej Morsztyn. Pisał o panience, która w dwunastym roku życia zdążyła przejść wszystkie etapy: „była dzieckiem, dziewczęciem, była panną gładką, szła za mąż, porodziła i umarła matką”[\[122\]](#).

Większą samodzielność w sprawie zamążpójścia kobieta zyskiwała dopiero przy kolejnych podejściach. Zależnie od własnej zaradności i stanowiska rodziny, szczególnie zaś braci, wdowa mogła zdecydować o zaniechaniu nowego związku i samodzielnym przejęciu odpowiedzialności za gospodarstwo, przynajmniej do czasu usamodzielnienia synów. Mogła też wybrać sobie męża lub przynajmniej mocniej wpłynąć na to, o czym postanowią krewniacy. Granice jej swobody w dużym stopniu wyznaczał kontrakt małżeński ze zmarłym. W zamian za posag wnoszony przez rodziców żony otrzymywały od mężów oprawę wdowią, a więc część majątku, jaki obowiązkowo im przekazywano w razie zgonu pana, niezależnie od innych zapisów. Duża oprawa i korzystny testament mężowski pozostawiały pani pole manewru na przyszłość.

Ogółem panowała uzasadniona opinia, że żadne kobiety nie miały pozycji tak silnej, jak właśnie wdowy. Świetnie ilustruje ją wierszyk, zachowany w szlacheckim *silva rerum* z XVII

stulecia. W kolejnych wersach anonimowy autor wymieniał, na co mogą liczyć panny, na co mężatki, wdowy i na co wreszcie ubezwłasnowolnione staruszki, „baby”. I tak na przykład pannom należał się „wóz, rydwan mężatkom, karoca wdowom, a ta[cz]ki babom”. Panny mogły też sięgać po chleb, mężatki po okazalszy kołacz, wdowy po rarytasy w rodzaju marcepanu, baby zaś — tylko po skórki, resztki. Podobnie z trunkami: miód był wedle wiersza dla panien, zwykłe wino dla mężatek, małmazja, wino luksusowe, dla wdów, a dla bab... pomyje.

Małżeństwa zawierano „do grobowej deski”. Rozwody czy też, mówiąc formalnie, kościelne unieważnienia małżeństw, były znane wśród bogaczy, magnatów. Furtka, chętnie wykorzystywana przez ludzi najmożniejszych, była jednak niemal niedostępna dla średniej czy tym bardziej uboższej szlachty. Piotr Guzowski, który przeanalizował dane o przeszło tysiącu polskich małżeństwach szlacheckich doby nowożytnej, ustalił, że 98,6 procent związków zakończyło się zgonem jednego z małżonków, a tylko 1,4 procent — rozwodem.

Częste choroby, trudy życia i znaczące różnice wieku sprawiały, że małżeństwa chłopów lub mieszczan trwały w wielu przypadkach zaledwie kilka lat, po czym żeniono się lub wychodzono za mąż po raz kolejny. Takie historie nie były oczywiście ewenementem i wśród szlachty. Można wspomnieć przypadek niejakiego Stanisława Druszkiewicza, który w roku 1659, jako mężczyzna niemal 40-letni, poślubił 14-letniego podlotka, bo czuł, że po kilkuletniej „alteracji zdrowia” jest już bliski śmierci, i chciał mieć pewność, że ktoś go godnie pochowa. Ogółem nie brakowało szlachcianek, które przed własną śmiercią grzebały nawet nie dwóch, ale trzech albo i czterech mężów. Statystyczne stadło ziemiańskie wcale

jednak nie było krótkie. Z nowych badań demograficznych wynika, że w wiekach XVI i XVII trwało średnio aż 18 lat, a w XVIII stuleciu — już 24 lata. Ćwierć wieku z człowiekiem, z którym było się zwykle tylko dlatego, że tak postanowili rodzice[\[123\]](#).

Kobiety, które zawierały ślub jako właścicielki prywatnego majątku, mogły formalnie nadal nim zarządzać, choć znów decydująca była tu najczęściej wola męża. W większości regionów kraju paniom pozwalano też występować przed sądem w sprawach posesjonackich, co do zasady jednak tylko jeśli mąż wyraził aprobatę albo towarzyszyli im inni mężczyźni opiekunowie. Zawsze też małżonek musiał zatwierdzić akt sprzedaży majątku przez partnerkę, choćby dobra zostały w całości przez nią wniesione. Bez jego podpisu transakcja nie dochodziła do skutku. Jak zauważyła Maria Bogucka, zdarzało się, że również mężowie, sprzedając ziemię, zaznaczali, że robią to zgodnie z wolą żony. Tyle że postępowali tak z własnej woli, a nie przymuszeni prawem lub towarzyską normą. Bardziej zresztą chodziło im o powstrzymanie ewentualnych roszczeń powinowatych niż o podkreślenie pozycji ślubnej[\[124\]](#).

Poczet mizoginów

Wielu spośród najśłynniejszych polskich intelektualistów doby nowożytnej wypowiadało się wylewnie na temat potencjału, roli i możliwości kobiet. Ludzie, na których cześć wciąż nazywa się ulice, skwery oraz szkoły i którzy często mają swoje pomniki w wielu miastach, wyrażali o białogłowach opinie wyjątkowo nieprzychylnie i wsteczne nawet na tle epoki.

Andrzej Frycz Modrzewski — do dziś ceniony za trzeźwą ocenę niedociągnięć ustroju, krytykę szlacheckiej samowoli i obronę ciemniezonych chłopów pańszczyźnianych — o kobietach miał do powiedzenia, że rodzą się one do kądzieli, powinny się trzymać blisko domu, a ich nienaruszalną podległość względem mężczyzn ustanowił sam Bóg Wszechmogący. Tytuł odpowiedniego rozdziału w jego traktacie *O poprawie Rzeczypospolitej* z 1551 roku to: *Kobiety nie powinny mieszać się do spraw publicznych*. Zgodnie z nim Modrzewski perorował, że każdy mężczyzna, który wspiera się w działalności publicznej sugestiami żony, okrywa się hańbą[125].



Portret trumienny Zofii Wiktorii z Moraczewskich Zarębiny. Obraz z kościoła w Chwałkowie w Wielkopolsce, 1701 rok.

XVII-wieczny erudyta i polihistor Szymon Starowolski, uczczony własną ulicą w Tarnowie, przekonywał, że z woli natury samice wszelkich gatunków niezmiennie ustępują samcom. „Tak też i między ludźmi zawsze gorsza jest białogłowa, aniżeli mężczyzna” — brzmiała konkluzja. Główną przywarą drugiej płci miała być niezdolność do zachowania umiaru, powściągliwości, co brzmi oczywiście kuriozalnie na tle norm kultury szlacheckiej. Nowożytni szlachcice brylowali przecież właśnie we wszelkiej przesadzie i ekspresji. U nich był to jednak przywilej stanu. U kobiet podobna wylewność stanowiła oznakę grzesznej natury. Ot, typowy przykład podwójnych standardów[\[126\]](#).

Piotr Skarga, na którego cześć Sejm Rzeczypospolitej ogłosił rok 2012 oficjalnie „rokiem księdza Piotra Skargi” i któremu w całym kraju poświęcono dziesiątki ulic, placów i pomników, był radykalnym apologetą szlacheckiej wyższości, wrogiem tolerancji religijnej, ale też klasycznym mizoginem. O kobietach pisał, że są „proste” i „słabe”, w związku z czym powinny się posłusznie oddawać pod władzę mężów, a także okazywać względem nich „bojaźń”. Ci przecież rodzili się „z większym rozumem, z większą siłą”. „Nie dopuszczam, aby niewiasta mężowi rozkazywała, ale w milczeniu ma pozostawać” — kwitował Skarga. Jedyłą drogę do zbawienia w przypadku kobiet widział zaś w „rodzeniu dzieci”, potomstwa[\[127\]](#).

Utwory wyraźnie wymierzone w kobiety i podważające ich walory można znaleźć także w dorobku wiodących ideologów

i dziejopisarzy szlacheckich: Wacława Potockiego, Wespazjana Kochowskiego czy Bartłomieja Paprockiego. Ten ostatni uchodzi wręcz za największego polskiego seksistę XVI stulecia. Odrębne dzieło (o ile na określenie rzeczy tak odstręczającej można użyć tego słowa) poświęcił metodom fizycznego torturowania żon, jego zdaniem potrzebnym, by utrzymać białogłowy w karności. Nie wahał się sugerować szlachcicom, by związane partnerki wieszali na piecu i okładali kijem bez umiaru. Sugerował, żeby fizycznie badać, który rodzaj drewna zada kobiecie więcej bólu; „by stłukłszy o nią sto kijów”, zagrzebać ją „w końskim gnoju”. By ręki nie żałować, bo białogłowy są „węzowej natury”, trzeba je „mocno smarować” po łędźwiach, „dosięgać dziewiętej skóry”. „Jedno kij, tę recepturę miej na nią za pasem / Żeby się nie warcholiła — przykładaj jej czasem” — kwitował^[128].

Naukowcy nie są zgodni, czy takie sugestie znajdowały szeroki oddźwięk. Przemoc domowa, zwłaszcza zaś przemoc w gronie elit niezależnych od zewnętrznej władzy i obsesyjnie broniących swej prywatności, wymyka się metodom badawczym. Z jednej strony można przytaczać wypowiedzi podróżników, którzy dziwili się, że Polacy rzadziej od obcokrajowców okładali żony. Z drugiej — instruktarz Paprockiego to niezupełny wyjątek. Z XVII stulecia zachowały się też na przykład wiersze, w których mężczy autorzy wyliczali ponoć podsłuchane litanie żalów gnębionych żon. W jednym z tych utworów maltretowana ofiara wyznaje, że pan domu pobił ją „srodze”. Rozmówczyni odpowiada na to, że jej mąż też, ilekroć się rozgniewa, traci kontrolę, rzuca wszystkim, co wpadnie mu w ręce. Znane są poza tym konkretne, historyczne przykłady. Chociażby żona magnata Mikołaja Ossolińskiego, Katarzyna ze Starołęskich, przez lata znosiła

katusze, była systematycznie poniżana, bita, kopana, zamykana w odosobnieniu, jakby była więźniarką. Wreszcie nie wytrzymała — jej losy, w przeciwieństwie do doświadczeń innych ofiar, przebiły się do szerszej świadomości, bo w desperacji Katarzyna uknuła spisek na życie męża sadysty^[129].

Z całą pewnością można stwierdzić, że szaloną popularność zdobył inny utwór Paprockiego poświęcony kobietom. Jego *Dziesięcioro przykazań męzowskich* wznawiano w XVI i XVII stuleciu aż osiem razy, każda edycja rozschodziła się jak ciepłe bułeczki. Niektórzy specjaliści twierdzą, że wywody trafiały na podatny grunt, ale mimo wszystko nie traktowano ich poważnie. Inni — jak Kazimierz Bartoszewicz, historyk i publicysta zmarły w 1930 roku — podkreślali, że „sama niezwykła poczytność” traktaciku „przemawia dostatecznie za tym, że jego treść odpowiadała zapatrywaniom” przedstawicieli najwyższego stanu.

Paprocki pouczał odbiorców, niekoniecznie jeszcze osobiście obeznanych z instytucją małżeństwa, że nawet rycerz nawykły do wojny i zasłużony w starciach z „okrutnymi” poganami, napotka na wyzwanie, gdy przyjdzie mu „to zwierzę” — a więc kobietę — „ukrócić i woli swej nauczyć”. Aby ułatwić im proces, opisywany niczym tresura, zgodnie z tytułem sformułował dziesięć naczelnych wskazówek, jakie panowie mieli obowiązek wpajać połowicom.

Po pierwsze, w myśl wywodu najślawniejszego heraldyka nowożytnej Rzeczypospolitej, należało uświadomić białogłową o znaczeniu pobożności. Miłość do Wszechmogącego wyrażała się zaś w prosty sposób: kobieta bogobojna miała być posłuszna panu dobrodziejowi, zgodnie z niebiańskim nakazem. Po drugie, żona miała nieustannie „brać wzór”

z męża i miłować go tak „jak własne ciało”. Jej obowiązkiem było też zachowywać w tajemnicy wszystko, co działo się w domu, ukrywać wszelkie niesnaski małżeńskie. Po trzecie, Paprocki zakazywał kobietom słuchania jakichkolwiek porad wychodzących od ich matek lub innych żeńskich krewnych. Prawda i słuszna nauka płynęła tylko od męskiej głowy rodziny. Po czwarte, jakby przecząc sobie, autor zaznaczył, że żona ma przejmować wyłącznie dobre, pozytywne przykłady. Jeśli mąż „zboczył z drogi”, jej nie wolno było również tego czynić. Piąte przykazanie dotyczyło cnoty milczenia. Kobieta miała odzywać się nie wtedy, gdy naszła ją na to ochota, ale wyłącznie, gdy zachodziła taka potrzeba. W końcu tylko zła żona „wymówić się musi, a swej głupiej [o]powieści nigdy nie udusi”. Kolejne trzy reguły tyczyły się życiowego horyzontu białogłowy. Miała ona dbać o dom, „o mleku tylko, o kądzieli gadać”, trzymać się z daleka od wszelkich spraw przynależnych mężczyznom i nie zatruwać sobie głowy jakąkolwiek niepotrzebną — bo przecież zastrzeżoną dla silniejszej płci — wiedzą. Dziewiąte przykazanie dotyczyło sprawy skromności ubioru. Stroić się mieli mężowie, nie żony. Im „pstrociny”, pierścienie i obrażające Boga zbytki były niepotrzebne. Wreszcie polecenie dziesiąte. Paprocki stanowczo ordynował kobietom, by nie popychały mężów do gniewu, a w razie gdyby mąż już się rozzłościł — by „nie hukały” na niego. Kilka dodatkowych wskazówek padło jeszcze w zamknięciu, posłowiu, najwidoczniej formuła dekalogu okazała się dla autora zbyt restrykcyjna. Na ostatek krytykował przypadki, gdy żony ośmielały się w czymkolwiek poprawiać swoich panów („A nade wszystko proszę pilnie, miła żono, gdy ja rzeknę: »golono«, nie mów ty: »strzyżono«”). Pouczał też kobiety, by na wezwanie mężów przybiegały do

łóżka „ochędoźnie”, a więc czysto, schludnie, aby w pościeli nie zaległo się żadne „plugastwo”. Niewiasty miały poza tym okazywać „uczciwość i wstyd”. Dopiero jeśli spełniły absolutnie wszystkie polecenia, wolno im było marzyć o tym, że z pomocą boskiej opatrności poznają miłość mężowską^[130].

Białołowa idealna

Obok toksycznych wywodów Paprockiego istniały też prace o wprost przeciwnym zabarwieniu. Andrzej Glaber w książeczce z roku 1535 dedykowanej pewnej wpływowej magnatce przekonywał, że dziewczęta mają bardziej „prędką” umysł od chłopców, a płęć żeńska ogółem nie ustępuje męskiej w swych predyspozycjach. Łukasz Górnicki, autor głośnego *Dworzanina polskiego* z 1565 roku, pominął damy w głównej części tekstu i wyjaśnił, że Polki są zbyt mało wymowne i wyzwolone, by towarzyszyć mężom w biesiadach, jakie opisywał. Na marginesie podkreślił jednak, że „mężczyzna nie jest bardziej człowiekiem niż białołowa”, poza tym zaś „białołowa wszystko to umieć może, co mężczyzna”, a nawet ma pewne cenne przewagi nad niby bardziej „czerstwym” i silnym panem małżonkiem. Podobnych wywodów, odnotowujących nie tylko przyrodzoną równość kobiet, ale nawet dopuszczających ich wyższość w wybranych dziedzinach, można by wymienić znacznie więcej. Ich wpływ na realia życia szlachcianek był jednak dalece ograniczony.

Przez całą epokę w gronie średniej szlachty dominował model kobiety podporządkowanej, karnej, niemieszającej szyków mężowi. Jak słusznie podkreślał historyk Andrzej

Wyrobisz, taki wzorzec kreowali „niemal wyłącznie mężczyźni i przedstawiciele Kościoła”. Podobnie jak o istocie szlachectwa czy uprawnieniach ludzi nobilitowanych, tak też o roli i pozycji kobiet pisali w 99 procentach przypadków panowie, nie zaś panie. I robili to ściśle „w interesie Kościoła i brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego”.

Z wykreowanym kodeksem żeńskich zachowań godziły się, chcąc nie chcąc, nie tylko żony właścicieli pojedynczych folwarków, ale i wielkie panie, obdarzone majątkiem i szczycące się świetną edukacją. Wystarczy przytoczyć przykład Franciszki z Wiśniowieckich Radziwiłłowej — żony Michała Kazimierza „Rybeński” Radziwiłła, płodnej pisarki i pierwszej kobiety nad Wisłą, która zabrała głos w dyskusji o statusie płci żeńskiej. W spisany po francusku w pierwszej połowie XVIII stulecia traktacie *Du mariage* (O małżeństwie) Wiśniowiecka stwierdziła, że Bóg dał mężczyznom więcej mądrości i uzdolnień niż kobietom, a w stadle powinni oni, zgodnie z tradycją, odgrywać rolę wiodącą. Jedyne wymaganie, jakie ośmielała się im stawiać, to by starali się kierować w swej władzy nad żonami miłością i sprawiedliwością[131].

Od żon oczekiwano pokory, zrozumienia, że zajmują drugie miejsce za mężem. Jakub Kazimierz Haur, autor bardzo popularnej na folwarkach księgi *Ekonomika ziemiańska generalna*, wydanej w drugiej połowie XVII stulecia, podkreślał, że dobra połowica „umie znosić” humory męża, szanuje go, „słucha go we wszystkim, a woli jego nie sprzeciwia się w niczym”. Krzysztof Krasieński podobnie zalecał, by małżonka „czciła, szanowała i miłowała” męża. Poprzez posłuszeństwo względem jego władzy okazywała przecież własną mądrość[132].

Zarazem polska kultura szlachecka wymagała od kobiet tego, co w przypadku mężczyzn rodziło dyshonor — faktycznego wysiłku i pracy. Ziemianie preferowali życie niespieszne, pełne relaksu, ale też rozrywek czy nawet swawoli. Mogli je prowadzić, bo codzienne obowiązki zrzucali na chłopów pańszczyźnianych, najemnych zarządców majątków, ale też na żony.

Jan Mrowiński, autor pierwszego w historii Polski drukowanego poradnika małżeńskiego, wydane w 1561 roku, pouczał, że żona „nie ma być gadatliwa, nie ma się po gospodach tułać, wieści a nowin nosić, nie ma próżnować”. Słowem: nie ma robić nic z tego, co składało się na upragnioną egzystencję typowego herbownika. Jej rola polegała na tym, by „ustawicznie przy dziatkach i czeladzi w domu być”. Podobnie Jan Kochanowski notował, że dobra żona to ta, która „strzeże w domu porządku”, pilnuje, by nie dochodziło do żadnych szkód. Także Wacław Potocki, gdy pisał o własnej, świeżo zmarłej połowicy, chwalił ją za to, że „światem się nie parała”, a od żartów, „lekkich myśli”, strojów, zabawy i biesiady zawsze była daleka. Skupiała się na jedynym, co ważne: „cichym” i pilnym prowadzeniu gospodarstwa^[133].



XVI-wieczne mężatki wysokiego stanu. Rysunek Juliusza Kossaka na podstawie zachowanych materiałów z epoki.

Lista obowiązków tradycyjnie składanych na barki pani domu była bardzo długa. Zameężna szlachcianka odpowiadała za służbę, zwłaszcza zaś za jej żeńską część, a więc kucharki, sprzątaczkę, pomocnicę. Anzelm Gostomski na kartach XVI-wiecznego poradnika gospodarowania wyjaśniał, że aby wywiązać się z zadań, pani domu powinna każdą rzecz umieć wykonać osobiście, a w razie potrzeby nauczyć zatrudniane dziewczęta, co i jak mają czynić, i karać je, jeśli nie sprostają wyzwaniu. W konsekwencji to ona brała odpowiedzialność za porządek, pranie, za to, by codziennie na stół trafiło odpowiednie jedło (czyli takie, jakiego życzył sobie małżonek), za konserwację żywności na zimę, za wyrób i ewentualnie sprzedaż sera, śmietany, masła, za dworskie kurniki, obory, sady i ogródek, w tym uprawę ziół przeznaczonych do domowej apteczki.

Stanisław Słupski instruował w roku 1618, że dobra żona powinna dbać poza tym o przygotowanie płócien, o szycie, o zapobieganie „kłopotom wszelkim domowym”. Nie wolno jej było „siedzieć próżno”, beczynnie. „Nie tylko w kuchni będzie, ale i oborze, w chlewach, w piekarni, i w każdej komorze. Nie tylko w gumnie, gdy młóć w stodole, ale też nie leni się i bieże [pędzi] w pole, dogląda swego, biega i pracuje” — wyliczał poeta. Władysław Jeżowski, w nieznacznie późniejszym utworze, nakazywał też pani domu dbać o cieleta, kury i gęsi, „pod owieczki stare podsadzać jagnięta”, pilnować strzyżenia wełny. Jakub Kazimierz Haur zalecał z kolei, że każda żona pana folwarcznego powinna „poczuwać się”, aby w izbach panował porządek, „w pokoju wszelka wygoda”, a w piwniczkach i spiżarniach — dostatek, pozwalający przetrwać nawet najdłuższą zimę.

Zadań przybywało jeszcze, ilekroć mąż wyruszał na sejmik, do sąsiadów, by wypić i się wyszaleć, albo na łowy. Kobieta, jako domatorka, opuszczająca folwark głównie w związku z uroczystościami rodzinnymi lub religijnymi, pod nieobecność pana dobrodzieja przejmowała często pełną kontrolę nad wszystkim. Ona faktycznie zarządzała majątkiem, przez tygodnie albo i miesiące. Ona też odpowiadała za opiekę nad dziećmi — zawsze tymi najmłodszymi, ale gdy nie było głowy rodziny, nad całą gromadką pociech. Wreszcie, w razie choroby małżonka, ona miała go pilnie, wytrwale pielęgnować.

Jeżowski podkreślał wręcz, że właśnie cała ta praca stanowi formę „przystojnej zabawy”, właściwej dla żony. Rozrywką miało dla niej być tuczenie indyków i kapłonów, suszenie chust, uszczęśliwianie małżonka. No i chyba przede wszystkim — przedzenie. Pod krótką i obsesyjnie powtarzaną wzmianką o „kądzieli” kryły się nie tylko włókna umocowane na kołowrotku, ale też wszelkie inne roboty kobiece. Termin na dobre zadomowił się w języku polskim, wciąż go powtarzamy, nawet nie zdając sobie sprawy ze znaczeń leżących u jego genezy. Mówi się przecież, że genealogia w linii męskiej to pochodzenie „po mieczu”, a w żeńskiej „po kądzieli”. Czyli: albo po mężczyźnie, którego jedynym, i to fikcyjnym, obowiązkiem była wojaczka, albo po kobiecie, która miała stale dbać o gospodarstwo i „warować” dom „od szkody”[\[134\]](#).

Zdarzało się, że komentatorzy, choćby Krzysztof Opaliński, piętnowali panie, które aż ponad miarę „się rachowały z włodarzami i pisarzami, folwarki objeżdżały, gospodarstwo prowadziły, jeździły, rozkazywały”. Przeważał jednak osąd, że podczas gdy mężczyzna jest stworzony do okazywania cnoty — czymkolwiek by ona była — to kobieta najlepiej nadaje się

właśnie do gospodarowania. Aktywność w tej dziedzinie akceptowano, bo przecież białogłowy nie robiły konkurencji mężczyznom, ale wyręczały ich w tym, co uchodziło za przykre, mozolne i uciążliwe.

O tym, jak wysoce ceniono damski zarząd, dobrze świadczą przypadki majątków obejmujących wiele folwarków lub dzierżawionych, a więc takich, gdzie konieczne było zatrudnianie osobnego zarządcy, stale zastępującego właścicieli rezydujących w innym miejscu. W wybranych regionach kraju zdarzało się, że nawet od jednej trzeciej do ponad połowy wszystkich takich najemnych zarządców stanowiły kobiety. Angażowano je tym chętniej, że przyjęty obyczaj pozwalał im płacić dużo niższe stawki niż mężczyznom. Na początku XVII stulecia w województwie sandomierskim typowa pensja dworki czy też ekonomki wynosiła około 130 groszy miesięcznie, czyli równowartość dzisiejszych 1100 złotych. Poza tym otrzymywała też mieszkanie, wyżywienie, odzież. Mężczyzna, ekonom, na takim samym stanowisku mógł zarabiać nawet o ponad 50 procent więcej[135].

Zaradna pani domu, zwłaszcza jeśli była skazana na częstą absencję męża, mogła sobie wyrobić w folwarku niebagatelną pozycję. Jak podkreślała Maria Bogucka, ogółem rola białogłowy w rodzinie staropolskiej „była ogromna”. Na dobrą sprawę bez szlacheckiej gospodyni żaden folwark nie mógł funkcjonować sprawnie. Obecność umiejętnej żony była w dużym stopniu warunkiem dobrych zarobków i wysokiego standardu życia. Dla porównania to, czy w gospodarstwie przebywał „patriarcha” i czy interesował się domowym grajdołem, miało znaczenie wielokrotnie mniejsze[136].

Właśnie ta codzienna pracowitość, to skupianie się na „kądzieli”, stało za znaczną częścią, jeśli nie większością, przypadków, gdy mężowie chwalili połowice, określali je po partnersku, nazywali je najdroższymi przyjaciółmi. Byli im wdzięczni, bo robiły za nich. Jeżowski stwierdził zresztą wprost: żonka to „przyjaciel prawy” właśnie dlatego, że bierze na siebie wszystkie domowe „zabawy”[\[137\]](#).

VI.
PRYWATA.
APOGEUM SOBIEPAŃSKIEJ WŁADZY
I PAŃSTWO Z PAPIERU

Wygasnięcie każdej kolejnej dynastii dawało polskiej szlachcie okazję do pomnożenia wpływów i wyszarpania nowych przywilejów politycznych. Proces, tak wyraźny już po śmierci ostatniego koronowanego Piasta i ostatniego Andegawena, doszedł do skrajności, gdy po czterech pokoleniach u władzy zakończyła się historia dynastii Jagiellonów. Tym razem nie było ani zaskoczenia, ani nadziei na to, że los w ostatniej chwili uda się odmienić. Zygmunt August, panujący samodzielnie od 1548 do 1572 roku, żenił się trzy razy, ale i tak nie doczekał żadnego legalnego potomstwa. Ostatnia połówica, Katarzyna Habsburżanka, podobnie jak poprzednie niezdolna urodzić następcy tronu, obrzydła królowi tak bardzo, że zmusił ją do ucieczki z kraju. Twierdzono nawet, być może słusznie, że zlecił na nią zamach. U schyłku życia jedna z monarszych kochanek, Barbara Gizanka, ogłosiła wprawdzie, że urodziła Zygmuntowi Augustowi córkę, ale chyba tylko on sam wierzył w jej słowa. Powszechny był osąd, że dziecko miało innego ojca, monarcha

natomiast był bezpłodny. Szlacheccy posłowie na sejm pozwalali sobie nawet na otwarte kpiny: „Jakie to potomstwo, jeśli królowa sto mil od króla?”[\[138\]](#).

Przez cały schyłek panowania Zygmunta Augusta, coraz bardziej schorowanego i rozchwianego emocjonalnie, przygotowywano się do nieuniknionego wstrząsu. Właśnie wtedy, w obliczu kresu dynastii, dotąd nietrwała, personalna unia Polski i Litwy została zamieniona w unię realną, zresztą przy stanowczym oporze najpotężniejszych panów drugiego państwa. Dlatego w odniesieniu do czasów po roku 1569 pisze się zwykle nie o Rzeczpospolitej szlacheckiej, ale Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Zresztą nie najtrafniej, bo przecież w myśl ideologii politycznej polskiej elity do władzy był dopuszczony jeden naród — nie polski, nie litewski, lecz szlachecki. W samym akcie unii, przyjętym w Lublinie, też pisano nie o Rzeczpospolitej Obojga Narodów, ale „wspólnej Rzeczpospolitej, która się z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła”.

Urzędy, dostojęstwa, przepisy sądowe i wojsko pozostały odrębne, ale odtąd szlachta z Korony Królestwa Polskiego i z Wielkiego Księstwa Litewskiego zbierała się na wspólnych sejmach, wspólny miał być także wybór władców wynoszonych na tron w jednej ceremonii, na wzgórzu wawelskim w Krakowie. Przedstawiciele litewskiej elity włączono w skład odtąd jednolitego sejmu, który miał zwyczajowo obradować w Warszawie. Szlachta z prowincji koronnych zachowała jednak w parlamencie bezwzględną przewagę. Po roku 1569 w senacie zasiadało stu czterdziestu dygnitarzy, a do izby poselskiej wybierano stu dwudziestu siedmiu deputowanych. W pierwszym gremium 81 procent członków było przedstawicielami Polski, w drugim — 61 procent.

U kresu rządów jagiellońskich wyraźnie rozdzielono skarb koronny, a więc państwowy, od królewskiego, czyli należącego prywatnie do monarchy. Utwierdzono kilka ogólnych reguł wyznaczających funkcjonowanie sejmu. Król zaczął być traktowany nie jako uczestnik obrad, ale wprost odrębny, trzeci stan (czy też trzecia izba parlamentu), obok izby poselskiej i senatu. Doszło do ujednoczenia wielu odrębnych przepisów, jakie wcześniej obowiązywały w poszczególnych prowincjach Polski. Ustanowiono stałą, choć nieliczną, armię. Na Litwie wprowadzono sejmiki ziemskie i dygnitarstwa na wzór polskich, a także jednolite sądownictwo dla wszystkich szlachciców. W Koronie przeprowadzono z kolei jeszcze rewindykację licznych królewskich dóbr państwowych, nieprawnie zagarniętych przez możnowładztwo. Wszystko to działo się pod naciskiem średniej szlachty, która w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta osiągnęła bezprecedensowy, największy w całych dziejach kraju wpływ na faktyczne funkcjonowanie Rzeczypospolitej[139]. Na fali reform, często obdarzanych wspólną, choć dość zwodniczą etykietą ruchu egzekucyjnego, nie rozstrzygnięto jednak sprawy najważniejszej. Dopiero po śmierci ostatniego Jagiellona — który od dawna zanosił się kaszlem, cierpiał na ostrą kamicy nerkową, znosił powikłania syfilityczne i wreszcie odszedł w wieku niespełna 52 lat — zaczęto debatować o zasadach wyboru kolejnego monarchy i o regułach działania państwa pod nieobecność króla. Rozmowy były pełne zamętu, pospieszne, ścierały się w nich nie tylko sprzeczne poglądy, ale też grupy nacisku, często dysponujące albo prywatnymi armiami, albo pokątnym wsparciem z zagranicy. Wreszcie postawiono na model jednocześnie niezwykle, szczególnie

podatny na manipulacje i... doskonale odwzorowujący ambicje oraz dumne przekonania polskich panów herbowych.

Polski tron od dawna był elekcyjny. W roku 1573 ustanowiono jednak elekcję wolną. Oznaczała ona, że do udziału w głosowaniu na króla był uprawniony osobiście każdy szlachcic bez wyjątku. Wybory odbywały się niemal zawsze na rozległych polach na Woli pod Warszawą. Panowie stawiali się *viritim*, a więc „mąż w męża”. Nie typowano deputacji, reprezentantów — jeśli ktoś tylko dysponował herbem, to mógł przyjechać i opowiedzieć się za tym lub innym kandydatem. Zwolennicy rozwiązania twierdzili, że jest ono najbardziej demokratyczne i sprawiedliwe ze wszystkich możliwych. Chociażby potężny kanclerz Jan Zamoyski oznajmił dosadnie, że „wybieramy króla osobiście”, bo wśród szlachciców „nikt żadnego rządu nie uznaje, jeżeli mu się sam dobrowolnie nie poddał, a przynajmniej nie głosował, kiedy większość innego króla wybrała”.

W toku chaotycznych przepychanek nie wprowadzono ścisłych zabezpieczeń, które gwarantowałyby na przyszłość uczciwe liczenie głosów i określanie wyniku elekcji. Może zresztą nie dałoby się tego zrobić, biorąc pod uwagę podnoszone zewsząd — idealistyczne, ale też zupełnie nierealne — postulaty, by króla wybierać jednomyślnie, dopiero gdy wszyscy zebrani zaakceptują jednego kandydata. Z pozoru zgodzono się przynajmniej na zasadę głosowania województwami, a więc odrębnego ustalania stanowisk poszczególnych regionów kraju. W praktyce jednak rzesze szlachty z obszarów najbliższych Warszawie, głównie zaś tabuny mazowieckiej biedoty herbowej, były zdolne skutecznie zakrzyczeć nielicznych przybyszy z odległych prowincji. Samych Mazowszan stawiało się na polu elekcyjnym często

i po 10 tysięcy, jeśli nie więcej. Dla porównania na przykład z Prus Królewskich podczas drugiej wolnej elekcji w roku 1575, przyjechały... dwie osoby. Poza tym szybko stało się standardem, że wielcy panowie ściągali na wybory w asyście prywatnych oddziałów zbrojnych, nawet z armatami, jakby szykowali się do bitwy. Zagranicznym dyplomatom nikt z kolei nie bronił rozdawać na lewo i prawo kiełbasy wyborczej. „Tam dają, darują, sypią, leją, częstują, obiecują” — relacjonował Jan Chryzostom Pasek elekcję, w której miał okazję osobiście brać udział. Wśród morza namiotów, często ciągnących się po horyzont, dochodziło do bijatyk, pojedynków, pijackich burd. Koniec końców najmniej dbano o demokrację. Jak podkreślał historyk Marek Borucki, francuski królewicz Henryk Walezy wygrał w pierwszej elekcji, mimo że z pewnością nie cieszył się poparciem większości szlachty. Przy kolejnych podejściach wcale nie było lepiej. Nawet osobisty sekretarz Stefana Batorego przyznawał, że ten został królem w 1575 roku „raczej za sprawą śmiałości jednego stronnictwa, niż powagą senatu i za ogólną zgodą szlachty”. Z kolei przy trzeciej elekcji, w 1587 roku, skłócone koterie wybrały dwóch różnych królów. Zygmunt III, ogłoszony w pośpiechu monarchą przez prymasa pod naciskiem zaledwie garstki wyborców, dopiero po fakcie zyskał sobie szersze poparcie. Zresztą zanim przekroczył Bałtyk, do kraju wtargnął jego konkurent, Maksymilian Habsburg, też uważający się za prawomocnie wybranego króla.

Ogółem wypada powątpiewać, czy którykolwiek z władców Rzeczypospolitej Obojga Narodów zasiadł na tronie przy faktycznym, świadomym poparciu większości uczestników elekcji, a tym bardziej większości szlachty. Nie zmienia to jednak faktu, że wolne elekcje stanowiły ostatni, może nawet

największy, krok milowy w dziejach szlacheckiego światopoglądu, idei politycznych i wpływu na władzę. Jak słusznie podkreślał historyk literatury Stanisław Baczewski, właśnie po wprowadzeniu powszechnego wyboru monarchów umysły herbowników zostały na dobre i dogłębnie „przeorane mniemaniem, że stan rycerski jest prawdziwym”, wyłącznym „suwerenem i dziedzicem Rzeczypospolitej”^[140].

Szlachta w pełni uświadomiła sobie swoją potęgę. Wprawdzie niemal nikt nad Wisłą nie wyobrażał sobie, że państwo mogłoby funkcjonować bez króla, ale przyjęte opinie o roli monarchy ogromnie się zmieniły. Coraz częściej i wyraźniej podkreślano, że w Polsce to nie *rex est lex*, ale *lex est rex*. A więc: prawo jest prawdziwym królem, a monarcha ma wyłącznie realizować powierzone sobie zadania i pilnować, by obowiązujące przepisy były respektowane. „Króla nie panem, a tylko sprawcą Rzeczypospolitej zwać musimy” — komentował szlachcic z Lubelszczyzny Jerzy Lemka. Często były nawet komentarze, że monarchów powołuje się w pierwszej kolejności po to, by strzegli wolności i przywilejów szlacheckich. Mieli być „wiernymi stróżami” i „patronami” obowiązującego porządku, ewentualnie „ojcami” (a w razie sporu ze szlachtą: tylko ojczymami) narodu politycznego. Nigdy jednak suwerenami.



Pole elekcyjne na Woli na obrazie Bernarda Bellotta z 1778 roku.

Uważano, jak podkreśla historyk kultury politycznej Edward Opaliński, że każdy król „był zobowiązany do szczególnej wdzięczności wobec całej szlachty za wybranie go na tron”. Poza tym miał też obowiązek, jak twierdzili szlachcice, stale słuchać się narodu. Każdy władca, począwszy od Henryka Walezego, musiał złożyć listę zobowiązań wobec wyborców, określaną mianem *pacta conventa*. Kazano mu też zaprzysiąc zbiór artykułów regulujących ustrój Rzeczypospolitej. Obligował się między innymi, że będzie respektował przywileje i wolności szlacheckie, że co dwa lata zwoła zwyczajny sejm walny, który będzie obradować przez sześć tygodni, że nie będzie używać tytułu dziedzica ani podejmować ważnych kroków politycznych bez zgody stanu panującego. Historyk Marek Borucki nazwał te tak zwane artykuły henrykowskie pierwszą polską konstytucją

w dzisiejszym, nowoczesnym rozumieniu. Stanisław Baczewski twierdził jednak, że były one raczej rodzajem kajdan nałożonych na ręce monarchy[141].

Przekonanie, że król w pełni zależy od szlachty, miało dalekosiężne konsekwencje. Po 1573 roku herbownicy jawnie podkreślali, że są uprawnieni do wypowiedzenia królowi posłuszeństwa, o ile ten sprzeniewierzy się zobowiązaniom. Bardzo dbano o to, by władca i członkowie jego rodziny nie nabywali ziemi na terenie Rzeczypospolitej i nie próbowali gromadzić majątku niezależnego od zakusów waćpanów. Elita twierdziła, że ma święte prawo współdecydować o małżeństwach monarchów, a nawet o wychowaniu królewskich synów, mimo że tron nie był dziedziczny. Wymuszano też kolejne przywileje, utwierdzające pełen dyktat herbowników. Kluczowa decyzja zapadła za panowania Stefana Batorego. Sąd królewski, dotąd stanowiący ostatnią instancję w sprawach dotyczących szlachty, został zastąpiony przez trybunały obsadzone przez samych ziemian: Główny Koronny, zbierający się w Piotrkowie i Lublinie, oraz Litewski, obradujący na przemian w Mińsku i Nowogródku. Tym samym władca przestał być najwyższym sędzią, stracił jedną z głównych prerogatyw od niepamiętnych czasów wiązanych z rangą monarszą[142]. Za panowania Zygmunta III Wazy (1587–1632), a zwłaszcza po zbrojnym buncie przeciw tronowi, nazywanym rokoszem sandomierskim, nawoływania do tego, by króla traktować jak statystę, jeszcze przybrały na sile. Ograniczono wówczas nawet uprawnienia najjaśniejszego pana w sprawach międzynarodowych, do których uprzednio szlachta niemal się nie mieszała. Na przykład od roku 1611 władca nie mógł już wypowiadać jakichkolwiek wojen bez zgody sejmu[143].

Na początku XVII stulecia w kręgach średniej szlachty twierdzono, że królowi należy się „godność” czy też szacunek, senatowi „powaga”, natomiast izbie poselskiej „najwyższa władza”, *summam potestatem*. A i z tym szacunkiem bywało różnie. Monarchów traktowano z respektem, ale raczej teatralnym i pozornym. Poza tym zaś mało konsekwentnym. Gdy Stefan Batory zbyt głośno zaczął się dopominać, że nie chce być królem malowanym, jeden z szeregowych posłów szlacheckich, Mikołaj Kazimierski, nie bał się ustawić go do pionu. Podczas obrad sejmowych wprost stwierdził, że to on, wspólnie z resztą szlachty, „wybiera królów i obala tyranów”. A tym samym — on jest źródłem faktycznej władzy^[144].

Tekturowa rzeczywistość

Formalne ograniczenia i restrykcyjne, niepozostawiające pola manewru obyczaje polityczne były ważne, ale nie najważniejsze. Słabość polskich królów, coraz wyraźniejsza z upływem dekad, została nie tylko zasyta w ideologii szlacheckiej, ale też wpisana w samą konstrukcję ustroju i kraju. Rzeczpospolita była państwem z papieru. I dokładnie tego oczekiwał naród polityczny.

Ogółem państwa średniowieczne i nowożytne przynajmniej do wieku XVIII nie pełniły tych wszystkich funkcji, które dzisiaj uznajemy za oczywiste. Administracja centralna nie organizowała służby zdrowia i edukacji, nie wypłacała emerytur, nie utrzymywała dróg ani mostów publicznych. Poza tym państwo przednowoczesne czy też, jak mawiano dawniej, feudalne (ten zbyt ogólnikowy i niejasny termin raczej wyszedł już z użycia) nie dysponowało gęstą siecią urzędów ani

wielkimi kadrami posłusznych biurokratów. Było dalece uzależnione od współpracy i dobrej woli elit oraz władz lokalnych.

W mniejszym lub większym stopniu sytuacja wyglądała tak w całej Europie. W Polsce model doprowadzono jednak do skrajności. Poza tym, gdy gdzie indziej państwa rosły w siłę, przejmowały nowe zadania i skupiały władzę w centrum, nad Wisłą uparcie trzymano się tradycyjnego porządku^[145]. Nie mogło być inaczej, bo szlachta konsekwentnie odmawiała finansowania niby to należącej do niej, a na pewno całkowicie przez nią kontrolowanej Rzeczypospolitej. Zwolnienie od opodatkowania na dobre wrosło w sarmacką ideologię. Wśród szlachciców absolutnie powszechne było przekonanie, że człowiek prawdziwie wolny musi być też wolny od jakichkolwiek opłat.

Jak wyjaśnia badaczka staropolskiej skarbowości Anna Filipczak-Kocur, w latach pokoju główne skarbcze państwowe, koronny i litewski, nie miały zasadniczo żadnych dochodów. Pewne kwoty — z ceł nakładanych na mieszczan, z wydobycia soli, z dzierżawy dóbr ziemskich — trafiały do skarbu nadwornego, znajdującego się w dyspozycji króla. Były to jednak zawsze środki niewystarczające, a monarchowie, chronicznie rozrzutni i przyzwyczajeni do życia w luksusie, tonęli w długach. Wystarczy wspomnieć, że Władysław IV Waza u schyłku życia był winien łącznie 4,5 miliona złotych polskich. Jest to kwota odpowiadająca 600 milionom w dzisiejszych złotówkach. Nic dziwnego, że zdarzało się nawet, iż służba dworska miała problem z zakupem opału do zamku albo z pozyskaniem jadła potrzebnego na stół monarszy. Warszawscy kupcy nie chcieli bowiem dotować

dworu bez nadziei, że kiedykolwiek zobaczą obiecane pieniądze.

Podatki zbierano tylko jeśli zgodził się na to sejm, król zawsze musiał o nie prosić, a często wprost błagać. Szlachta, przekonana, że jakiegokolwiek wsparcie państwa jest jej zbędne i że to, co dzieje się na dworze, jej nie dotyczy, zażarcie stawiała opór, mimo że sama nie była obciążona opłatami. Podatek pogłówny, a więc uiszczany od każdej głowy, nawet szlacheckiej (choć z wyłączeniem dzieci i starców), uchwalano wyłącznie w chwilach największego zagrożenia. Wszystkie przypadki, gdy do tego doszło, można wymienić na palcach dwóch rąk. Jak podaje historyk Michał Kopczyński, opłatę uchwalano zawsze w związku z wojnami — albo w ramach przygotowań do nich, albo po to, by spłacić narosłe zobowiązania wobec żołnierzy. Pogłowne zbierano więc w roku 1497 (wyprawa na Mołdawię), 1520 (ostatnia wojna z Krzyżakami), 1662 (potop), 1673, 1674 i 1676 (wojna turecka). Uchwała o podatku zapadła jeszcze w roku 1590, wobec zagrożenia ze strony Porty Otomańskiej. Kiedy jednak do spodziewanej inwazji nie doszło, szlachta nakazała odwołać pogłowne i zniszczyć przygotowane rejestry[146].

Działalność państwa była ogółem niesamowicie wąska. Z klasycznych badań Romana Rybarskiego wynika, że w XVII stuleciu od 70 do nawet 95 procent całego skarbu koronnego wydawano na armię. Poza tym jedyną znaczącą pozycją w budżecie było przyjmowanie zagranicznych poselstw i wysyłanie własnych. Z zasobów nadwornych finansowano z kolei głównie bieżące funkcjonowanie otoczenia królewskiego. Blichtr, jadło, muzykantów i gwardzistów[147]. Poza tym należałoby wspomnieć jeszcze o kosztach funkcjonowania sejmu, choć te były księgowane różnie,

zależnie od epoki. Delegaci wybierani do izby poselskiej otrzymywali dietę, nazywaną „strawnym”. Jak wyliczył Wacław Uruszczak, w pierwszej połowie XVI stulecia wypłata wynosiła od 12 do 48 złotych polskich na osobę. W tym okresie złoty polski był jeszcze pieniądzem bardzo mocnym, po przeliczeniu na dzisiejszą walutę otrzymamy więc sumy całkiem imponujące. Poseł dostawał za udział w jednym, kilkutygodniowym sejmie równowartość dzisiejszych niemal 30 tysięcy złotych. Zajęcie było, co tu dużo mówić, intratne dla szlachciców, a zarazem — bardzo obciążające dla państwa. Przykładowo w roku 1531 aż 5 procent wszystkich podatków publicznych przeznaczono właśnie na strawne dla posłów^[148].

Na dobrą sprawę bezpośrednia władza króla obejmowała jego dwór, nie sięgała jednak poza Kraków czy Warszawę. W całym kraju za organy administracji centralnej można by uznać właściwie tylko starostwa grodowe, ulokowane w głównych ośrodkach poszczególnych ziem i powiatów. Starosta odpowiadał za utrzymanie zamków i umocnień, pełnił pewne funkcje policyjne, kierował sądem grodzkim, poza tym prowadził księgi notarialne. Przede wszystkim jednak był zarządcą i dzierżawcą królewskich ziem, bardziej skupionym na tym, by wyciągać z nich należyty zysk dla samego siebie niż na realizowaniu woli tronu. W Koronie w drugiej połowie XVI wieku były łącznie sześćdziesiąt cztery grody starościńskie. Każdy zatrudniał zaledwie po kilku urzędników. Według Andrzeja Wyczańskiego wszystkie, w całej Polsce, mogły oferować trzysta, czterysta stanowisk, oczywiście obsadzanych przez szlachtę. I na tym kończyła się państwowa nomenklatura.

Ten tani, ograniczony, wprost fasadowy kraj mógł funkcjonować tylko w takim zakresie, na jaki w danym

momencie zgadzała się szlachta, i to głównie szlachta w rozumieniu czysto lokalnym. Państwo nie miało policji, więc w razie jakiegoś rozruchu chłopskiego albo napadów bandyckich starosta mógł tylko zwołać do pomocy miejscowych herbovníków i liczyć, że ci stawią się na miejscu we właściwej sile. Państwo nie miało też aparatu skarbowego, więc to szlachcice, oddolnie, wybierali spośród siebie poborców podatkowych i kontrolowali (lub nie) ich pracę. Nie istniał też aparat pozwalający egzekwować wyroki sądów albo nawet najsurowsze polecenia władzy. W Warszawie król miał gwardzistów, ale w terenie tylko sami panowie mogli skłonić innych panów do podporządkowania się regułom, o ile w ogóle je akceptowali^[149].

Niezależnie od tego, jakie wizje snuł król, albo nawet jakie decyzje zapadały na sejmie, niczego nie dało się zrealizować, jeśli nie zgodzili się na to szeregowi ziemianie oraz potężni możnowładcy, trzęsący wybranymi regionami. Najwyższą władzą w Polsce nie był ani monarcha, ani parlament. Tak naprawdę rządziły sejmiki, zresztą zwykle w sposób dalece nieformalny. Po unii lubelskiej na obszarze całego kraju zbierało się około siedemdziesięciu sejmików ziemskich. Zjazdy przedsejmowe, służące wybraniu członków izby poselskiej, odbywały się tylko na wezwanie króla, w praktyce mniej więcej raz w roku, bo przed potopem tak często były zwoływane sejmy. Po obradach parlamentu gromadzono sejmik relacyjny. Posłowie zdawali wówczas raport z powziętych decyzji, a zebrani mogli rozliczyć ich z tego, czy dochowali wierności otrzymanym instrukcjom. Poza tym na sejmikach relacyjnych obradowano w sprawach, których nie udało się zatwierdzić na sejmie i które posłowie brali „do braci” — a więc właśnie do decyzji lokalnego zgromadzenia.

Były jeszcze stałe, coroczne, sejmiki deputackie, gdzie wybierano sędziów Trybunału Głównego. Niekiedy potrzeba wymuszała organizację sejmików nadzwyczajnych albo gospodarczych. Wreszcie organizowano i sejmiki elekcyjne. Dochodziło na nich do selekcji kandydatów na członków lokalnych, szlacheckich sądów ziemskich: sędziów, podsędków, pisarzy. Każdorazowo zgromadzenie wskazywało cztery osoby na dany urząd, spośród których król wybierał jedną. Stanowiska były dożywotnie, więc sejmiki elekcyjne odbywały się zupełnie nieregularnie i raczej rzadko.



Ziemie Rzeczypospolitej na mapie autorstwa Wacława Grodeckiego z lat 70. XVI wieku.

Ogółem w każdym roku w każdym regionie zwoływano przynajmniej trzy, a niekiedy cztery sejmiki. W całym kraju

odbywało się więc ponad dwieście takich zgromadzeń. Z ich działalnością, a szczególnie ze zgromadzeniami wyborczymi, wiązała się ogromna papierologia. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że żadne przedsięwzięcie państwowe nad Wisłą nie generowało podobnej masy dokumentów i nie angażowało urzędników w porównywalnym stopniu co sejmiki. Historyczka Urszula Augustyniak szacuje, że przed każdym sejmem walnym kancelarie, litewska i koronna, wysyłały łącznie kilka tysięcy listów przeznaczonych dla magnatów, dygnitarzy, lokalnych panów, aktywnych działaczy sejmikowych. Monarcha przedstawiał w nich swe plany i zarysowywał oczekiwany temat obrad sejmowych. Na każdy sejmik trafiała też oficjalna instrukcja królewska, zwykle przedstawiana przez zaufanego wysłannika dworu. Poza tym konieczne było rozwieszenie, rozwieszenie i rozgłoszenie wezwań do udziału w obradach w ustalonym terminie. Jeśli nie zrobiono tego wystarczająco wcześnie i z właściwym rozmachem, mogło się zdarzyć, że na sejmik przybywała ledwie garstka panów. Wreszcie, gdy sejm dobiegł końca, kancelarie kolportowały po kraju druki powziętych konstytucji sejmowych oraz uniwersały wzywające na sejmiki relacyjne.

Na obradach, najczęściej prowadzonych w kościołach, a więc jedynych budynkach zapewniających wystarczająco dużo przestrzeni, nie obowiązywało kworum, wciąż nie było też ścisłych zasad deliberacji. Sejmiki bywały wyjątkowo burzliwe, zwłaszcza że każdy przychodził uzbrojony w szablę, a często i broń palną, nikt natomiast nie dozował dostępu do alkoholu, nawet w trakcie rozmów. Dlatego zresztą starano się zaczynać posiedzenia rano, póki wszyscy byli w miarę trzeźwi. Poza tym senatorowie, jako jedyni prawnie zobowiązani do udziału, przeprowadzali świty, hajduków, a nawet całe oddziały

wojskowe, by tym sposobem wzmocnić siłę własnego stanowiska. Naprawdę poważne incydenty mimo wszystko nie były jednak częste, przynajmniej nie w okresie względnego pokoju. Wyliczono, że od schyłku XVI do połowy XVII wieku dochodziło do nich na niewiele ponad 1 procencie sejmików. W Ostrowi Mazowieckiej w 1645 roku zdarzyła się najprawdziwsza bitwa, było trzech zabitych i pięćdziesięciu rannych. Na sejmiku kijowskim w tym samym roku odnotowano „krwi rozlanie”, w Proszowicach dwukrotnie u schyłku XVI stulecia nastąpiły strzelaniny, z kolei w Raciążu w 1615 roku zamordowano służących kanclerza wielkiego koronnego, bo ten ośmielił się głośno wzywać do zaakceptowania nadzwyczajnych podatków. Ogółem jednak dyskutowano głośno, zaczepnie, ale zwykle bez sięgania po klingę i pistolet.

Oddawano głosy i podejmowano decyzje, przede wszystkim jednak ucierano lokalną opinię w ważkich sprawach. Sejmiaki stanowiły dla społeczności szlacheckiej może nie jedyną, ale najlepszą okazję, by sprecyzować poglądy, wyrazić poparcie albo skonsolidować opór. Od tego, jak potoczyły się na nich dyskusje i w jakiej atmosferze panowie wracali do domów i pałaców, zależała rzecz najważniejsza. W kraju pozbawionym jakiegokolwiek aparatu nacisku na koniec to każdy szlachcic z osobna decydował, czy w granicach prywatnego majątku podporządkuje się decyzjom, czy uczciwie opłaci podatki i pomoże zebrać je od poddanych, czy też będzie kręcić, kombinować i grać na zwłokę^[150]. Władysław Czapliński twierdzi, że jeśli szlachty nikt nie był w stanie przymusić do uiszczenia zobowiązań, to „należy docenić dobrowolność jej ofiar” na rzecz państwa. Mniejsza nawet o to, że chodziło o podatki uchwalane przez szlachtę na rzecz szlacheckiego

państwa. Trzeba jednak podkreślić, że w świetle twardych liczb typowy magnat czy ziemianin robił absolutnie wszystko, by wymigać się od obciążeń, a przynajmniej je ograniczyć i opóźnić. Dokładał też starań, by zmniejszyć podatki ściągane od swoich poddanych, bo wtedy sam mógł zedrzeć od nich więcej pieniędzy, albo wprost zagarnąć do prywatnej skarboxy część zainkasowanych poborów. Gdy na przykład w 1690 roku zbierano podatek podymny, a więc od każdej chałupy, w powiecie kowieńskim nagle wyparowała niemal połowa faktycznie istniejących domów. I jak podkreślał historyk Henryk Lulewicz, nadużycia były największe w dobrze prosperujących, bogatych majątkach szlacheckich i magnackich. Nawet więcej mówi historia podatków pogłównych pobieranych także od szlachty. W roku 1662, gdy uchwalono je po raz pierwszy w tym stuleciu, udało się zebrać pokaźną sumę przeszło 2,5 miliona złotych polskich. Każdy kolejny pobór przynosił jednak coraz gorsze rezultaty, bo też szlachta wynajdywała kolejne sposoby migania się od obowiązku. W 1676 roku jedna transza pogłównego przyniosła już tylko 1 milion złotych — o 60 procent mniej, i to mimo że podstawa opodatkowania wcale nie uległa zmianie[151].

Fasadowe zaangażowanie

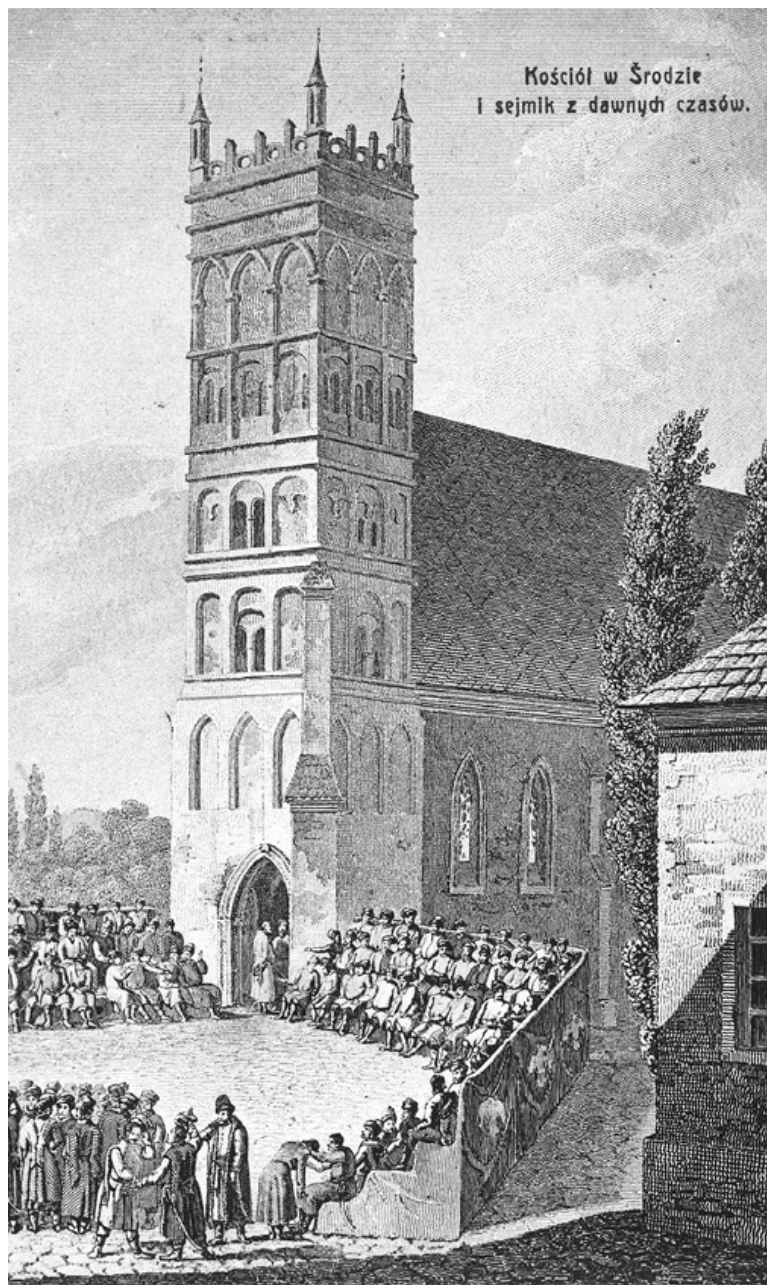
Edward Opaliński, ogółem odmalowujący szlachecką kulturę polityczną w cieplejszych barwach, niż to robi większość badaczy, twierdzi, że panowie herbowi, przynajmniej do połowy XVII stulecia, traktowali obowiązki publiczne poważnie, a służbę państwu uważali za szczytne zajęcie i nakaz moralny. Poniekąd była to postawa zrozumiała:

państwo uchodziło przecież za własność szlachty, a interes Polski oznaczał dla sobiepanów tyle samo co interes szlachecki^[152]. Rzut okiem na znane liczby znów jednak zmusza do zastanowienia się, na ile szczytne deklaracje, podnoszone w pismach politycznych i na różnych obradach, miały się do rzeczywistości.

Każdy szlachcic szczyił się, że ma prawo wybierać królów. Pisano wręcz, że wolna elekcja to niemalże „podstawa i fundament wszystkich swobód naszych”. Nie znaczy to jednak wcale, że każdy typowy szlachcic istotnie fatygował się na pole elekcyjne. Szacowanie uczestników poszczególnych wyborów nastęcza ogromnych trudności. W źródłach historycznych zawsze chętnie szafowano wielkimi liczbami. Średniowieczni kronikarze pisali o bitwach, w których brało udział choćby i pół miliona rycerzy, nowożytni natomiast o setkach tysięcy ofiar każdej zarazy, nawet jeśli dotknięte nią regiony nie miały tak licznej populacji. Także gremialność udziału w elekcjach była częstokroć zawyżana. Badacze ostrożnie przyjmują, że wybory królów gromadziły od kilkunastu do ponad 50 tysięcy uprawnionych, a więc mężczyzn obdarzonych herbem. Przykładowo w roku 1573, gdy wybrano Henryka Walezego, na pola pod Warszawą przybyło może 40–50 tysięcy uprawnionych, za to w roku 1575, po szybkiej ucieczce króla z powrotem do Francji, już tylko jakieś 12 tysięcy. W tym czasie w Rzeczpospolitej żyło w przybliżeniu 170 tysięcy dorosłych szlachciców, a więc takich w wieku co najmniej 14 lat. To zaś oznacza, że frekwencja wyborcza wynosiła od 7 do 25–30 procent. Wyraźnie wyższa była chyba tylko w 1669 roku, gdy po raz pierwszy koroną obdarzono nie zagranicznego dynastę, ale lokalnego magnata, a więc członka narodu szlacheckiego,

Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Nawet wtedy jednak zdecydowana większość uprawnionych pozostała w domach^[153].

Biorąc pod uwagę ogromny wysiłek, jaki wiązał się z przyjazdem na elekcję, liczby i tak imponują, a nawet wydają się nierealistycznie wysokie. Trzeba jednak pamiętać, że elekcja była co do zasady wydarzeniem rzadkim i niezwykłym. Nie licząc urywkowych epizodów, jak rządy Walezego i Wiśniowieckiego, szlachcice słusznie oczekiwali, że tylko raz na kilka dekad — a może nawet ledwie raz w życiu — będą mieć okazję brać w niej udział. Zupełnie czym innym była bieżąca aktywność publiczna, na której zasadzała się faktyczna działalność państwa.



Sejmik szlachecki w Środzie Śląskiej. Obrady przed gmachem kościoła ukazane na XIX-wiecznej grafice.

Udział w sejmiku nie wymagał odrywania się na długie tygodnie od gospodarstwa, nie generował dużych kosztów, a zwykle wiązała się z nim podróż na dystans mniejszy niż 100 kilometrów. Poza tym sejmiki dawały okazję do spotkania sąsiadów, do zabawy i zaczerpnięcia wiedzy o świecie. Właśnie na nich robiono też lokalne kariery, starano się o tytuły i urzędy, zwłaszcza te najcenniejsze, a więc sądowe. Typowy ziemianin miał wiele powodów, by wybrać się na sejmik, i to nawet niekoniecznie politycznych. Ale czy rzeczywiście realizował „moralny nakaz” i brał udział w życiu publicznym?

Szczegółowe badania wykazały, że nawet najważniejsze sejmiki, organizowane w dużych i ludnych prowincjach, zbierały skromną liczbę szlachty. W sejmiku średnim, gdzie wspólnie obradowali panowie z województw poznańskiego i kaliskiego, zwykle brało udział od kilkudziesięciu do 200 osób. Sejmik województwa krakowskiego, w Proszowicach, gromadził około dwustu panów, sejmik lubelski mniej. W sejmikach na Mazowszu, gdzie okręgi były węższe, frekwencja wynosiła co do zasady ledwie kilkadziesiąt osób. Ogółem można szacować, że na typowy sejmik przybywało tylko od kilku do maksymalnie kilkunastu procent uprawnionych. W całym kraju w obradach przedsejmowych mogło brać udział zwykle 5–10 tysięcy osób. Taki więc był faktyczny poziom zainteresowania sprawami publicznymi w najwyższej warstwie^[154].

„Szlachta polska nie chciała się zgodzić, by w polityce i podejmowaniu najważniejszych decyzji wyręczał ją król lub grupa dygnitarzy i urzędników” — kwitował przed laty historyk Jarema Maciszewski. „Nie chciała równocześnie ponosić ciężarów na rzecz państwa, uszczuplać swoich niemałych dochodów, brać na siebie rzeczywistej

odpowiedzialności za to, co się dzieje lub dzieć się może w kraju”[\[155\]](#). Nic dodać, nic ująć.

VII. PANOWIE BRACIA. FIKCJA SZLACHECKIEJ RÓWNOŚCI

„Szlachcic jednołanny równy jest panięciu” — stwierdził Piotr Zbylitowski około 1600 roku. „Szlachcic, który poczciwy by siedział w ogrodzie, równy kasztelanowi, także wojewodzie” — pół wieku później zanotował Władysław Jeżowski, pośród swoich wywodów o zabawach i zajęciach ziemiańskich. Wciąż jeszcze nie był to zgrabny bon mot, który można by rzucać przy lada okazji. Frazes bardzo jednak przypadł do gustu ziemianom. Powtarzano go, przerabiano i wygładzano. Przed schyłkiem XVII stulecia przyjął znaną dzisiaj formę: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. A w wieku kolejnym należał już do najpopularniejszych sarmackich przysłów[\[156\]](#).

W krótkiej rymowance zamykał się jeden z najważniejszych postulatów polskiej szlachty. Przekonanie o tym, że każdy herbownik, niezależnie od statusu majątkowego i zasług przodków, posiada takie same prawa i przywileje, uchodziło za „źrenicę wolności”. Był to, jak twierdzono, kolejny fundament ustroju i warunek funkcjonowania Rzeczypospolitej.

W sensie czysto formalnym równości szlachciców nigdy nie zburzono. Tak w wieku XVI, jak i XVIII pan jednej wioski, podobnie jak najbogatszy arystokrata, miał dostęp do urzędów, cieszył się nietykalnością osobistą i majątkową, mógł wybierać posłów, a nawet kandydować na króla w wolnej elekcji. Na samym początku epoki nowożytnej krezusi i dygnitarze podejmowali jeszcze jawne próby zakwestionowania takiego porządku rzeczy. W 1501 roku klika potężnych senatorów bez powodzenia usiłowała odebrać szlachcie średniej prawo do współudziału we władzy. W 1537 roku padł z kolei pomysł, by stan uprzywilejowany formalnie podzielić na szlachtę wyższą i niższą. Każdy z antyrównościowych projektów upadał jednak z kretesem. Średniacy roznosili propozycje uchwał na szablach; grozili, że tak samo są gotowi rozsiec pomysłodawców znienawidzonej reformy. Stopniowo temat zaczął zanikać. W XVII wieku, jeśli komuś zdarzyło się choćby zasugerować, że nie każdy szlachcic jest równy, widziano w tym nawet nie obelgę, ale... oczywisty lapsus. Gdy na przykład poniewczasie zauważono, że w tekście konstytucji sejmowej z 1690 roku znalazła się wzmianka o „szlachcie mniejszej”, parlament zgodnie wydał wprost spektakularne sprostowanie. „Za zgodą wszystkich stanów to słowo”, a więc wyraz „mniejsza”, zniesiono i zdelegalizowano, bo przecież „w równości mniejszego i większego” szlachcica „nie ma”[\[157\]](#).

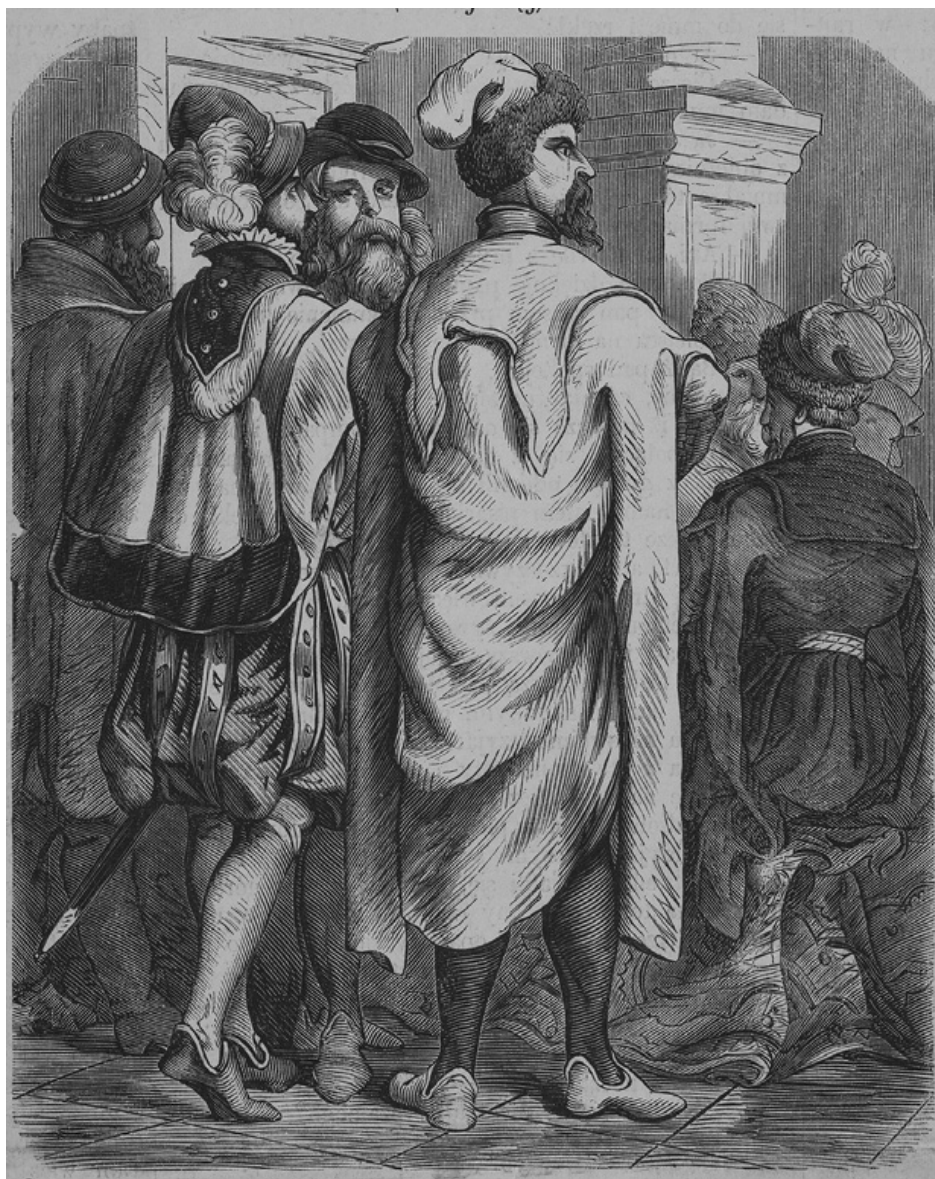
Z ideą równości przestano walczyć, bo na dobre wrosła ona w szlachecki ogląd świata, stała się kategorią, którą nie tylko rozumiano, ale też przeżywano uczuciowo. Im jednak szeregowi szlachcice głośniej krzyčili o *aequalitas*, im usilniej się zachwycali, że nic nie dzieli ich od dygnitarzy, tym w praktyce coraz bardziej oddalali się od panisk, karmazynów.

Karmazyni i średniacy. Co odróżniało magnata od zwyczajnego szlachcica?

W wieku XVI i na początku XVII postulat równości miał jeszcze pewne znaczenie praktyczne. Szeregowa szlachta zażarcie walczyła o wprowadzenie przepisów zakazujących jednoczesnego zajmowania różnych czołowych urzędów, a tym samym gromadzenia całej władzy w rękach garstki ludzi. Nie wolno było na przykład dzierżyć buławy hetmańskiej i pieczęci kanclerskiej albo kierować dwoma starostwami grodowymi. Poza tym oprotestowywano, początkowo nawet skutecznie, próby tworzenia tak zwanych ordynacji — możnowładczych latyfundiów, które w przeciwieństwie do innych majątków szlacheckich nie były dzielone przy dziedziczeniu na części, lecz przekazywane w całości jednemu spadkobiercy. Posłowie nie chcieli zapewniać bogaczom szczególnego traktowania. Przede wszystkim jednak bardzo zależało im na tym, by oddalić ryzyko budowy prywatnych państw o nieposkromionej skali^[158].

Ogółem średnie rycerstwo sprzeciwiało się wszelkim próbom zabetonowania panujących układów. Nad Wisłą łatwość awansu wewnątrz elity długo pozostawała dużo większa niż na przykład we Francji, w państwach habsburskich czy w Rosji. Nie można było marzyć o karierze od pucybuta do milionera, ale już pokonanie dystansu dzielącego szlachcica kilkuwioskowego od pana latyfundiów złożonego z setek miejscowości znajdowało się w sferze prawdopodobieństwa, takie historie istotnie się zdarzały. Przykładowo sławny hetman Stanisław Żółkiewski odziedziczył po przodkach

dwadzieścia jeden wsi, ale w przededniu śmierci posiadał ich na własność już niemal dwieście, a kolejne sto pięćdziesiąt dziewięć dzierżawił od króla.



XVI-wieczni magnaci. Rysunek Juliusza Kossaka na podstawie zachowanych materiałów z epoki.

Jak podkreślał profesor Jarema Maciszewski, aż do schyłku renesansu nie było w Polsce zjawiska kanclerskich, marszałkowskich czy podskarbiowskich dynastii. Na szczytach władzy trwała ciągła rotacja. Jedne rodziny traciły blask i wpływy, inne sięgały szczytu. Sukces jakiegoś herbownika, nawet wyjątkowo obrotnego, nie gwarantował jeszcze, że awansu dostąpi cała familia. Kariery rodzin bywały zresztą krótkie. Najświetniejsze nazwiska XVI wieku, jak Drzewieccy, Jazłowieccy, Zaklikowie czy Szydłowieccy, w stuleciu kolejnym zeszły już z areny, o wielu zupełnie zapomniano.

Z grupy możnowładców można było wypaść, stając się na powrót średnim czy bogatym szlachcicem. Można też było zacząć jako szlachcic, a w pewnym momencie awansować na karmazyna. Granica między szlachtą, choćby zamożną, a magnaterią, a więc najwyższym szeregiem elity, nie była ustalona ani sztywna. Tę płynność należałoby zresztą uznać za jedną z najważniejszych cech szlacheckiego ustroju i naczelnym symptom równościowych haseł.

Tylko w przybliżeniu podaje się, że magnateria stanowiła jakieś 4 procent ogółu szlachty. O precyzję trudno, bo przecież nie była to kategoria oficjalna, sztywna. Nikt nie ogłaszał człowieka możnowładcą, nie nadawał mu w związku z tym specjalnego tytułu. Nawet słowo magnat, szczególnie popularne w odniesieniu do najwyższej szlachty XVI i XVII stulecia, a urobione od łacińskiego *magnus*, oznaczało po prostu pana „wielkiego”. Z kolei karmazyn: kogoś, kto mógł sobie pozwolić na noszenie najdroższego stroju o tej właśnie barwie.

Niektórzy badacze sugerowali, że za członków grupy należałoby uznawać właścicieli przynajmniej dziesięciu wiosek. To jednak kryterium dalece ryzykowne. Wartość wsi

przedstawiała się przecież różnie, czasem jedna ludna, rozległa osada dysponująca dobrym gruntem przynosiła dochód większy niż pięć podupadłych wiosek z błotnistymi ugorami, położonych z dala od spławnych rzek. Znaczenie miały też lokalne stosunki. Jeśli w jakimś województwie spotykało się latyfundia złożone z setek wiosek, to pan posiadający ich dziesięć uchodził siłą rzeczy za średniaka. Już jednak w regionach, gdzie własność była rozdrobniona, a szlachta zbiedniała, posiadanie kilku majątków pozwalało wysunąć się wyraźnie przed sąsiadów.

Magnatów cechowało często znakomite wykształcenie, skłonność do otaczania się tabunami służby i dworzan, chęć ukazywania na różne, mniej lub bardziej oficjalne sposoby, oznak swej wyjątkowości. W powszechnym odczuciu o przynależności do warstwy najlepiej świadczyło jednak sprawowanie wysokich urzędów. Popularne frazesy o równości nieprzypadkowo wzmiankowały kasztelanów i wojewodów, a więc notabli, których głównym przywilejem była obecność w składzie senatu. Faktycznie senat był jak gdyby organem możnowładztwa. Często jednak dopiero dołączenie do jego szeregów otwierało nowe ścieżki wzbogacenia i sprawiało, że średni szlachcice stawali się magnatami. Poza tym liczba urzędów była ograniczona — tak więc nie brakowało różnych magnatów, którzy wcale senatorami nie byli^[159].

Kres równościowych złudzeń. Oligarchia magnacka

Niejasności zaczęły zanikać, gdy w XVII wieku Polska pogrążyła się w kryzysie gospodarczym. Najpierw zmagano się

z radykalnym ochłodzeniem klimatu, w nauce funkcjonuje nawet określenie mała epoka lodowcowa. Potem do kurczących się plonów, tragicznych klęsk głodu, plag szarańczy i nawracających epidemii dołączyły wojny. Okrojone, powolne, niedofinansowane państwo szlacheckie okazało się zupełnie niezdolne do odparcia serii buntów i inwazji. W latach 50. XVII stulecia niemal całe terytorium Rzeczypospolitej znalazło się w rękach wrogów: Szwedów, Moskali, Siedmiogrodzian, Brandenburczyków, zrewoltowanych Kozaków. Skala katastrofy była iście apokaliptyczna. Gdy wrogów wreszcie wyparto, Polska i Litwa znajdowały się w ruinie. W wielu regionach ubyło nawet ponad 50 procent populacji. Największe miasta, jak choćby Kraków czy Warszawa, były łupione po kilka razy, inne, dajmy na to Gniezno, spalono niemal do gołej ziemi. Do zupełnej ruiny doprowadzono także tysiące wsi, zarówno w majątkach królewskich, duchownych, jak i prywatnych — szlacheckich. Ogółem szacuje się, że populacja kraju skurczyła się o jakieś 30 procent, z dziesięciu do siedmiu milionów. Tylko w niewielkiej części był to skutek utraty rozległych, ale bardzo słabo zaludnionych terytoriów na wschodzie. Jak podkreślał chociażby Andrzej Wyczański, „to były tylko straty ludnościowe”, materialnych było „jeszcze więcej”. Rzeczpospolitą ogołocoło z całego bogactwa. O koszmarnych skutkach wielkiego kryzysu XVII stulecia dla gospodarki i ludności, a zwłaszcza dla chłopstwa, pisałem szeroko w książce *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*. Tutaj wystarczy stwierdzić, że państwo szlacheckie na dobrą sprawę nigdy nie podniosło się z upadku. A nawet, że nie było już dosłownie Rzeczpospolitą szlachecką[160].

W obliczu ogromnych grabieży, ubytku chłopstwa i ogólnego regresu większość ziemian nie była w stanie się otrząsnąć i powrócić do dawnego życia. Epoka wiejskiej, folwarcznej sielanki i łatwych zysków bezpowrotnie dobiegła końca. Typową reakcją było zaostrenie ucisku, podnoszenie wymaganej pańszczyzny do prawdziwie absurdalnego poziomu, wyszukiwanie coraz to nowszych i bardziej bezwzględnych sposobów łupienia poddanych. Wieśniacy z drugiej połowy XVII stulecia i z wieku XVIII byli już jednak tak zniszczali i przetrzebieni przez wojny oraz epidemie, że nie dało się wycisnąć z nich nawet skromnej fortuny, przynajmniej nie w skali jednej czy dwóch wiosek.

Po potopie drobna i średnia szlachta — bezradna wobec wyzwań, pozbawiona kapitału potrzebnego na odbudowę, świadoma, że ziemia daje coraz mniejsze plony — zaczęła na masową skalę pozbywać się majątności. Folwarki i grunty odkupywali, często za bezcen, magnaci. Wielcy panowie też ponieśli straty w toku wojen, ale relatywnie najmniejsze. Jeśli ktoś posiadał sto wiosek rozrzuconych po kraju, to zwykle przynajmniej część z nich uniknęła zagłady i wciąż przynosiła dochody. Poza tym karmazyni skuteczniej od kogokolwiek innego obławiali się na niemocy państwa i zagarniali dochody z dóbr królewskich.

Zjawisko upadku średniej szlachty i wzrastania w siłę karmazynów przybrało prawdziwie monumentalną skalę. Dla przykładu można przytoczyć dane o dobrach szlacheckich w województwie lubelskim. W połowie XVI wieku 54 procent prywatnej ziemi w regionie należało do małych i średnich majątności, a więc takich, które uprawiały do 100 łanów ziemi (odpowiednik maksymalnie dziesięciu czy może kilkunastu wiosek). Na duże majątki, obejmujące od 100 do 500 łanów,

przypadało 30 procent gruntów. Z kolei na te największe — powyżej 500 łanów — 16 procent. Dla porównania w wieku XVIII mała i średnia własność obejmowała już tylko 10 procent ziemi, duża 40 procent, a największa — 50 procent. Panujące stosunki uległy nawet nie zachwianiu, ale odwróceniu. I podobnie rzecz wyglądała niemal w całym kraju.

Wyliczono, że w przededniu upadku Rzeczypospolitej aż 43 procent szlachciców nad Wisłą należało do gołoty. Byli to ludzie pozbawieni jakiegokolwiek, choćby najskromniejszego, majątku ziemskiego. Dwa stulecia wcześniej ta sama grupa stanowiła wąski margines, tak nieliczny, że aż trudny do oszacowania[161].



Podupadłe zabudowania folwarczne w Bienicy w dawnym powiecie oszmiańskim. Fotografia z początku XX wieku.

Grono średniej szlachty skurczyło się niepomierne i straciło na znaczeniu. Magnateria przeżywała natomiast okres największego triumfu. Przed potopem majątki liczące setki wiosek stanowiły rzadkość. Po nim — najpotężniejsze rodziny dysponowały już nie setkami, ale tysiącami miejscowości, bezpośrednio kontrolowały całe połacie kraju, a poza tym nie musiały się już obawiać utraty wpływów. Nie była to dawna, płynna i niestabilna magnateria. Od drugiej połowy XVII stulecia najwyższa elita elit nad Wisłą zaczęła się przekształcać w arystokrację: nienaruszalną, powiększającą swoje majątki z pokolenia na pokolenie i zamkniętą, niedopuszczającą w swe szeregi nowej krwi.

Potoccy, Czartoryscy czy Branicki żyli w blichtrze i luksusie, o jakim nawet królowie mogliby tylko marzyć. Zachowywali się też wprost jak udziałnicy księżęta albo nawet mali monarchowie. Mieli pałace śmiało rywalizujące z warszawskimi rezydencjami Wazów i ich następców, otaczali się prywatnymi dworami złożonymi z setek osób, utrzymywali tysięczne wojska, powoływali własne trybunały sądowe i stanowili kodeksy regulujące życie setek tysięcy poddanych. Jak słusznie kwituje historyk prawa Waldemar Bednaruk, ta nowa wierchuszka „żyła w zupełnie innym świecie niż reszta społeczeństwa” szlacheckiego. A jednak w świetle prawa nawet najpotężniejsi królewicze wciąż stali na równi z szaraczkami, czyli szlacheckimi biedakami, którzy mogli sobie pozwolić tylko na szary, wełniany żupan.

Równość szlachecka od drugiej połowy XVII wieku była już tylko fikcyjnym parawanem. Średnia szlachta przypominała o niej, by zamaskować własną słabość i kompleksy. Chudopachołkowie popierali skrajny egalitaryzm, bojąc się, że zostaną obdarci z przywilejów i zrównani z chłopami. Tylko

hasła równości czyniły z nich pełnoprawnych szlachciców. Co zaś do samych arystokratów — ci doskonale wiedzieli, że zasada jest martwa i w praktyce ich nie dotyczy. W nowej rzeczywistości najwięksi panowie zdobyli pełen monopol na władzę, skutecznie uzależnili też od siebie szerokie rzesze szlacheckie, co w XVI wieku byłoby zupełnie nie do pomyślenia. Fakt, że ostentacyjnie odwoływali się do idei równości, tylko zresztą ułatwiał im podporządkowywanie słabszych herbowników. Prawdziwe myśli największych panisk w tym temacie wyjątkowo trafnie wyraził hrabia Zygmunt Krasiński niedługo po upadku państwa szlacheckiego. W prywatnym liście do angielskiego przyjaciela stwierdził: „Wierz mi i wiedz, że poza arystokracją nie ma w Polsce nic. Ani zdolności, ani świątłych umysłów, ani poświęcenia. My tylko stanowimy Polskę”.

W krajach zachodnich także następował proces gromadzenia ziemi i umacniania najwyższej elity. We Francji, w Wielkiej Brytanii czy Prusach szeregową szlachta miała jednak pole manewru. Zamiast z coraz większym trudem wegetować na wsi, mogła robić karierę urzędniczą albo oficerską w wojsku. Nad Wisłą architekci państwa szlacheckiego postarali się jednak, by nie powstały żadne struktury zdolne wchłonąć biedniejszą część stanu uprzywilejowanego, zapewnić jej zajęcie i dochód. Stałe wojsko niemal nie istniało, administracja państwowa była rachityczna i śmiesznie mała. Z kolei szukanie pracy w mieście uważano za hańbę. Niektórzy liczyli, że poszczęści im się na dworze królewskim, ale to była ścieżka wąska, trudno dostępna, mało ceniona. W praktyce więc dziesiątki tysięcy herbowników były skazane na to, by wieszać się u pańskiej, magnackiej, kłamki. Szaraczkowie najmowali się na urzędników w prywatnych

dobrach, na hajduków w gwardiach królowiąt, wreszcie na służących arystokratów. Wielu też ochoczo przyjmowało pieniądze za przysługi polityczne — za to, że będą wykrzykiwać wolę magnatów na sejmikach, oddawać głosy zgodne z wolą swego patrona, a blokować pomysły idące pod prąd interesom latyfundiów. Inni słuchali arystokratów już tylko ze strachu albo w nadziei, że zostaną dostrzeżeni i spłynie na nich łaska tego czy innego Ossolińskiego albo Radziwiłła. W świetle prawa nic się nie zmieniło, polski system polityczny zastygł właściwie w formie przyjętej na początku XVII wieku. W praktyce jednak, jak twierdzi większość badaczy tematu, demokracja szlachecka ustąpiła nowemu, nieformalnemu ustrojowi: oligarchii magnackiej, w której gwar przeciętnych szlachciców został zupełnie zagłuszony przez głosy garstki wielkich panów.

Równość pozostała ideą podnoszoną w kontekście Rzeczypospolitej, narodu szlacheckiego. Nikt jednak nie śmiał wspominać o niej w granicach magnackich państw w państwie. Duma szlachcica, tak wyraźna w zetknięciu z królem, dworem i dygnitarzami państwa, gasła, gdy przyszło mu wystąpić przed obliczem niby to równego mu stanem arystokraty. Przed monarchą herbownik nie klęczał, nie płaścił się. Mógł go szanować, ale przecież czuł, że jest jak gdyby jego pracodawcą — że on, wraz z resztą braci, wyniósł króla do władzy i on, przynajmniej pozornie, może go obalić. W zetknięciu z panami latyfundiów przyjęły się zupełnie inne, z pozoru wprost niepojęte, normy zachowań. Niby to pyszni i przepojeni godnością szlachcice padali na twarz, obcałowywali dłonie i kolana, nawet lizali buty magnatów. Wyrzekali się też tak hołubionej wolności. Wstąpiwszy na służbę, szlachcic musiał liczyć się z tym, że niezadowolony

pan go spoliczkuje albo nawet każe go okładać lagą lub różgą jak niesforne dziecko. Karany herbownik pocieszał się co najwyżej świadomością, że będzie bity po szlachecku: na kobiercu i bez mówienia na „ty”, które do reszty by go poniżyło. Ogółem jednak, niezależnie od takich obyczajów oraz od szumnych równościowych haseł, prosty szlachcic był dla arystokraty tym samym co „plugawy cham”, chłop, dla szlachcica[162].

Jak chart bez ogona. Tytułomania szlachecka

Zagraniczni podróżnicy z niemałym zdziwieniem notowali, że nad Wisłą, w gronie szlachty, nie używało się wszystkich tych tytułów, które pozwalały odróżniać i szeregować elity w innych krajach. Nie było więc, jak wyliczał Guillaume de Beauplan w połowie XVII stulecia, „książąt, markizów, hrabiów i baronów”[163]. Brak jakichkolwiek formalnych rang i tytułów arystokratycznych pozostał do samego upadku Rzeczypospolitej naczelnym symbolem szlacheckiej równości. Reguła była jednak wybitnie niewygodna zarówno dla panisk, jak i nawet dla każdego średniaka, który pragnął wysunąć się przed sąsiadów. Obchodzono ją zatem chętnie, powszechnie i — paradoksalnie — przy pełnej akceptacji ogółu szlachciców.

Opór budziły tylko zupełnie jawne próby łamania panującej normy. Przedstawiciele najmożniejszych rodów, niezdolni zdobyć wywyższenia nad Wisłą, wypraszała albo kupowali tytuły arystokratyczne od zagranicznych władców, najchętniej od cesarzy rzymskich, niemieckich. W ten sposób książętami zostali Radziwiłłowie (już za panowania Zygmunta Starego), a potem też między innymi Lubomirscy, Konięcpolscy,

Jabłonowscy czy Ossolińscy. Zdobywano również tytuły margrabiowskie, a w wieku XVIII, gdy o najbardziej elitarne rangi było już trudno, głównie hrabiowskie. Tymi ostatnimi zadowalali się chociażby Potoccy czy Rzewuscy. Sejmy wielokrotnie — dajmy na to w latach 1638, 1641, 1673 — przypominały w konstytucjach, że wszelkie takie wyróżnienia są zakazane. Akceptowano wyłącznie rangę książęcą starych rodów litewskich, głównie tych wywodzących swą genezę od Giedyminów, a więc od przodków dynastii jagiellońskiej. Na takiej podstawie książętami tytułowali się chociażby Czartoryscy. W praktyce jednak żadne pretensje średnich szlachciców nie mogły powstrzymać samowoli karmazynów. Zakazy ponawiano właśnie dlatego, że pozostawały puste i nieskuteczne^[164].

Szeregowy pan folwarczny czy nawet bogaty ziemianin, będący w posiadaniu kilku, kilkunastu albo choćby kilkudziesięciu wiosek, nie mógł nawet marzyć, że ktoś ogłosi go hrabią. Trudno było mu też przeczyć własnym postulatom i otwarcie kwestionować zasadę szlacheckiej równości. Wciąż pragnął jednak wyróżnienia i uświetnienia. Jak komentował badacz tematu Józef Matuszewski, „życie musiało znaleźć z tej sytuacji wyjście”.

Zamiast o tytuły arystokratyczne szlachcice ubiegali się o rangi urzędnicze. I to starali się o nie z obsesyjnym uporem, często na walce o stołki skupiając całą swą publiczną działalność. W nauce przyjął się wprost termin: tytułomania szlachecka. I słusznie. „Piękna rzecz szlachcicowi urząd” — nie bez powodu podkreślał Wacław Potocki w XVII wieku. Stulecie później Ignacy Krasicki diagnozował z kolei, że ziemianin dysponujący samym tylko nazwiskiem czuje się goły i potrzebuje jakiegoś tytułu, by „okryć zelżywą nagość”. Także

Adam Mickiewicz, gdy w pierwszej połowie XIX wieku pisał w *Panu Tadeuszu*, że szlachcic bez urzędu jest jak „chart bez ogona”, niewątpliwie oddawał pogląd powszechny wśród ziemian.

W przytłaczającej większości przypadków nie ubiegano się o prawdziwe stanowiska związane z określonymi zadaniami, - władzą czy choćby zarobkiem. Rzeczpospolita nie wykształciła administracji państwowej, nie istniały więc tak liczne urzędy, by zadowolić aspiracje choćby drobnego ułamka stanu uprzywilejowanego. Starostwa grodowe stopniowo zostały zastrzeżone dla magnatów i najbogatszych panów, podobnie jak dygnitarstwa senackie. Zwyczajni szlachcice musieli więc mierzyć niżej. Nie mogli być książętami, baronami, markizami czy choćby wojewodami, ale ranga stolnika, łowczego czy podstolego znajdowała się w zasięgu przynajmniej tych najzaradniejszych i najlepiej ustosunkowanych.

Na poziomie lokalnym czy też, jak wówczas mówiono, „ziemskim”, rzeczywiste kompetencje wiązały się głównie z trzema stanowiskami sądowymi: sędziego, podsędka i pisarza ziemskiego. Poza tym ważną rolę odgrywał podkomorzy, kierujący odrębnym sądem rozstrzygającym spory graniczne między szlachcicami. O te właśnie stołki starano się więc najusilniej, a kariera w sądzie ziemskim często stanowiła furtkę do kariery politycznej i wyboru na posła sejmowego.

Poza tym istniał długi katalog urzędów czysto figuranckich, ważnych wyłącznie z racji prestiżu i historycznej tradycji. Ich liczba była różna w poszczególnych regionach. Odmienne ustalano też ich hierarchię. Ta była rzeczą najważniejszą, bo w czytelny sposób okazywała, kto jest mniej, a kto bardziej ważny w społeczności. Samo zajmowanie jednego z tych

urzędów gwarantowało wywyższenie. Pierre des Noyers, sekretarz królowej Ludwiki Marii Gonzagi, słusznie komentował: „Urzędnicy, których jest wielkie mnóstwo w każdym województwie, mają pierwszeństwo przed szlachcą inną z jakiegokolwiek domu pochodzącą”. Ustalano też jednak kolejność w gronie utytułowanych. Hierarchia była różna w poszczególnych województwach, ziemiach czy powiatach, odmiennie też układano ją dla Korony, odmiennie dla Litwy. Spójne listy zostały ustalone przez sejm dopiero w 1763 roku. Wówczas w poszczególnych ziemiach koronnych kolejność kształtowała się następująco: 1. Podkomorzy, 2. Starosta grodowy, 3. Chorąży, 4. Sędzia ziemski, 5. Stolnik, 6. Podczaszy, 7. Podśudek, 8. Podstoli, 9. Cześnik, 10. Łowczy, 11. Wojski większy, 12. Pisarz ziemski, 13. Miecznik, 14. Wojski mniejszy, 15. Skarbnik.

Historykom zdarzało się twierdzić, że tylko sam król był władny rozdawać nad Wisłą kilkanaście tysięcy różnych fikcyjnych stanowisk ziemskich. W rzeczywistości było ich na pewno mniej. Andrzej Wyczański szacował, że w samej Koronie takich stołków uzbierało się w XVI stuleciu około 900. Jeśli ktoś zdołał zdobyć jeden z nich, to często z dumą kazał o sobie mówić już nie po imieniu i nazwisku, ale tylko z wykorzystaniem tytułu. Przystawał być na przykład Marcinem Kątskim, a stawał się panem podstolim przemyskim. Ślady takiego podejścia doskonale widać w literaturze z XVIII czy XIX stulecia, gdzie wielu bohaterów występuje niby to anonimowo jako rejenci, podczaszy i sędziowie.

Łącznie wszystkich oficjalnych tytułów w całej Rzeczpospolitej mogło być kilka tysięcy, podczas gdy mężczyźni ze stanu uprzywilejowanego żyło w kraju od niespełna 250 do

400 tysięcy. Z ogromnym niedoborem radzono sobie na różne fantazyjne, a często wprost absurdalne sposoby. Herbownicy bez najmniejszego wstydu ubiegali się o urzędy dla ziem, które odpadły od granic państwa, i nie było żadnych nadziei na ich odbicie. Pod naciskiem szlachty powstawały nowe hierarchie tytułów w coraz mniejszych regionach. Poza tym chętnie przyjmowano tytuły prywatne od magnatów. Jeśli nie można było zostać koniuszym ziemskim, to istniała alternatywa w postaci zatrudnienia się u jakiegoś Potockiego czy Lubomirskiego i wystarania o bycie jego koniuszym, podskarbidem czy choćby marszałkiem. W użyciu znajdowały się poza tym tytuły kościelne. Było ich zresztą sporo, bo biskupstwa zatrudniały nad Wisłą większą rzeszę różnych urzędników niż cała administracja państwowa. Wszystko to jednak i tak nie mogło zaspokoić potrzeb stanu szlacheckiego.

W XVIII stuleciu tytułomania nasiliła się już do takiego stopnia, że masowo zaczęto przekazywać tytuły dzieciom. Jeśli syn sędziego ziemskiego nie miał żadnego własnego tytułu, kazał się określać sędzicem. Syn podstolego był z kolei podstolicem, a chociażby łowczego — łowczycem. Zjawisko budziło zdziwienie zagranicznych komentatorów, na przykład Francuza Huberta Vautrina. Naigrywano się z niego też nad Wisłą, choć na żarty i docinki pozwalali sobie, rzecz jasna, głównie ci szlachcice, którzy sami weszli już na wyższy stopień uprzywilejowania. Jędrzej Kitowicz drwił z tego, że zaroilo się od „stolnikiewiczów, cześnikiewiczów, cywunowiczów i tam dalej rozmaitych cyców”. Ignacy Krasicki ustami bohatera jednej ze swoich powieści podkreślał z kolei niezwykłość tej polskiej tradycji: „W naszym podobno tylko kraju jest ten przykład, iż ojców nie tylko majątności, ale i tytuły urzędowe chcemy przez sukcesję dziedziczyć. Gdzie indziej syn

Gubernatora nie jest Gubernatorowiczem, Feldmarszałka — Feldmarszałkowiczem. U nas Komornik, Burgrabia, Regent napełnia kraj Komornikiewiczami, Burgrabicami, Regentowiczami”. A przecież na tym rzecz się wcale nie kończyła. Syn wojewody nazywał się wojewodzicem, ale do niegdyśszego tytułu aspirowali także i wnukowie. Każdy mógł kazać mówić o sobie: wojewodzicowic. Czasem tworzono zbitki wybitnie nonsensowne. Dajmy na to słowo sędzic, bardzo popularne, po łacinie było zapisywane jako *iudicida*. A taka zleпка oznaczała w istocie... sędziobójcę. Z kolei o podstolicach żartowano, że w przeciwieństwie do ojców weszli nie pod stoły, lecz pod stolce.

Niezależnie od drwin i napomnień typowy szlachcic używał odziedziczonych i powykręcanych językowo tytułów z wielką dumą, wręcz pychą. Zachowały się setki dokumentów, w których, w kontekście całkowicie oficjalnym, jest mowa o pisarzewicach, miecznikowicach czy wojskowiczach. Niejaki Kajetan z Grabu Grabski podpisał się w 1773 roku: „Stolnikowicz braclawski, na Miłosławiu z przyległościami pan dziedziczny”. Ignacego Potockiego ze Złotego Potoka w 1722 roku przedstawiono z kolei przy okazji ślubu jako „Jaśnie Wielmożnego Generałowicza Artylerii”. Czasem tytuły były wprost podwajane. W 1737 roku w pewnym dokumencie sądowym była więc mowa o Antonim kasztelanu krzywińskim synu kasztelana krzywińskiego. Istne masło maślane. Ale przecież żaden środek nie wydawał się nazbyt buńczuczny i nonsensowny, gdy chodziło o odróżnienie się od innych szlachciców i wykazanie, że wśród równych braci jest się jednak równiejszym[165].

VIII. WARCHOLSTWO. PRZESTĘPCZOŚĆ, ANARCHIA I POGARDA DLA PRAWA

Warchoł — mówiono u schyłku średniowiecza o kłótni, swarze, awanturze. W wieku XVI wyraz nabrał szerszego znaczenia. Odnoszono go już nie tylko do zdarzeń, lecz także do ludzi, nieodmiennie szlachciców. Warchołami byli nazywani wichrzyciele, pieniacze, kłótnicy. Wszyscy ci sobiepanowie, którzy opowiadali się za „diabelską wolnością”. „Bez prawa żyć, na zwierzchność nie zważać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do grzechu, do zabijania i wydzierania” — pisał o takim podejściu kaznodzieja Piotr Skarga^[166]. Żaden szlachcic nie godził się, by nazywano go warchołem, ale przecież nie chodziło o zjawisko marginalne. Tendencja do udowadniania swojej racji aż do upadłego, do ignorowania poleceń płynących z zewnątrz, do awantur i okazywania samowoli była powszechna. Na niej poniekąd zasadzała się polska kultura szlachecka.

Rozwarcholenie ziemian znajdowało upust na różnych polach. Przez długi czas najwyraźniejsze i najbardziej rażące

było w sądach. Ogółem szlachcice uwielbiali obnosić się ze swoim szacunkiem dla prawa i praworządności. Z dumą powtarzali: „Prawo u nas nie dyskutuje, ale rozkazuje”. Nawoływania do obrony waćpańskich wolności szły natomiast zwykle w parze z frazesami o strzeżeniu i zachowywaniu właściwego prawa^[167]. Bezwzględnej wierności przepisom ustanawianym przez stan rycerski oczekiwano jednak od królów i nieszlacheckich poddanych. Sami szlachcice przede wszystkim wierzyli, że mają przywilej procesować się z każdym innym nobilitowanym o wszystko i niezależnie od tego, po której stronie leżała prawda. Dla nich prawo było nie nakazem, ale jednak głównie dyskusją.

Prowadzenie sporów sądowych stało się dla wielu ziemian wprost swoistą rozrywką, jeśli nie sportem. Procesy wyznaczały bieg relacji sąsiedzkich i rodzinnych, pozwalały się dorobić, zemścić albo choćby wyżyć. Toczono je niekiedy w sprawach ważnych, ale często w zupełnie trywialnych. Wystarczy wspomnieć chociażby jednego z najślawniejszych szlacheckich wieszczów XVI stulecia, Mikołaja Reja. Księgi sądowe przechowały około pięciuset zapisów o wystąpieniach poety, człowieka całkiem majątnego, przed trybunałami: zarówno w roli oskarżyciela, pozwanego, spadkobiercy, jak i wierzyciela czy wreszcie dłużnika. Ponad siedemdziesiąt notatek dotyczy samych sporów z sąsiadami. Jak komentowała badaczka tematu Stanisława Paulowa, poeta żył w niezgodzie „prawie ze wszystkimi”. Sądzone go, gdy ukradł innemu szlachcicowi zboże z młyna, gdy wyłowił ryby z cudzego stawu, gdy wreszcie zrabował cztery roje pszczoł jakiemuś chłopu, bo skłócił się z jego panem. Sam Rej z kolei pozwał nawet teścia, i to za niezwrócenie pożyczonej książki.

Stanisława Paulowa kwitowała, że pisarz był „typowym pieniaczem”. Choć równie dobrze można by stwierdzić, że był po prostu typowym szlachcicem. Trudniej byłoby wskazać znanych bohaterów stanu szlacheckiego, którzy się namiętnie nie procesowali, niż takich, co stawali przed sądem bez przerwy. Przykładowo Jan Kochanowski też był uwikłany w liczne postępowania, zdarzyło mu się chociażby walczyć z władzami miejskimi Poznania o 2 złote polskie, dziś równowartość około 1200 złotych. Z kolei własnego stryja poeta z Czarnolasu pozwał o niegospodarność, bo jego zdaniem niewłaściwie opiekował się oddanymi w dzierżawę młynem i kuźnią^[168].

Prawo dla wybranych

Szlachta była sądzona według zasad nie tylko bardzo odmiennych od dzisiejszych, ale też dalece odbiegających od norm, jakie już przed wiekami obowiązywały szeroko rozumianych plebejów. Nie dotyczyły jej tak ściśle zwoje praw, restrykcji i precedensów, co mieszkańców miast. Szlachcice nie musieli się też obawiać dochodzeń w swojej sprawie, tortur ani najsurowszych kar na ciele, przed jakimi drżeli nisko urodzeni przestępcy.

Od schyłku XVI stulecia wszystkie procesy herbowników toczyły się przed sądami obsadzonymi przez innych przedstawicieli najwyższego stanu. Za pewien wyjątek można by uznać co najwyżej sąd sejmowy, któremu nadal przewodniczył król, ale nawet w tej instytucji o wyrokach współdecydowali senatorowie i posłowie, a w sprawach dotyczących samego władcy zupełnie wykluczano go

z orzekania. Poza tym procesy sejmowe były rzadkie: zgodnie z nazwą toczyły się tylko w czasie trwania sejmu i wyłącznie w sprawach o zbrodnie stanu lub o czyny szczególnie bulwersujące ogół waćpanów[169].

Podstawę szlacheckiego wymiaru sprawiedliwości stanowiły sądy ziemskie. Zwłaszcza we wczesnym okresie, w wieku XVI i w pierwszej połowie XVII, masowo wnoszono do nich sprawy niemal każdego rodzaju. Procesy ziemskie dotyczyły więc zarówno kradzieży, napadów na dom, zniewag, sąsiedzkich kłótni, jak i choćby morderstw.

Sąd ziemski miał charakter poniekąd sąsiedzki, towarzyski. Od powołanych do niego urzędników nie wymagano wykształcenia prawniczego. Więcej nawet: obycie z przepisami i z kulturą prawną stanowiło naturalną przeszkodę w staraniach o wybór. Szlachta nie ceniła bowiem palestry, a od sędziów czy podsędków oczekiwano przede wszystkim, że będą ludźmi dojrzałymi, zaufanymi, szanowanymi w społeczności. Nic dziwnego, że XVIII-wieczny pamiętnikarz Marcin Matuszewicz, zaangażowany osobiście w liczne procesy, a przez jakiś czas pracujący w sądzie, nie wstydził się napisać o swoim „wielkim przyjacielu” orzekającym w procesach: „W sądzie i prawie był nie praktyk”. Autor dodał zresztą beztrąsko: „Ja także prawa nie rozumiałem”. Konsekwencji łatwo się domyślić. Jak tłumaczy badacz szlacheckiego wymiaru sprawiedliwości Adam Moniuszko, w codziennej działalności trybunałów to nie przepisy były zwykle najważniejsze, ale lokalne zwyczaje i „praktyka sądowa”. A więc często po prostu widzimisię sędziów.

Sąd ziemski nie miał swojej siedziby, nie obradował też stale. Urzędnicy wybrani na sejmikach elekcyjnych zbierali się na tak zwane roki czy też roczki, dwa lub trzy razy do roku.

Objężdżali wówczas poszczególne powiaty, podejmując w każdym lokalne sprawy. Sąd nie dysponował też jakimkolwiek aparatem śledczym czy prokuratorskim. Ogółem chyba najważniejszą cechą szlacheckiego wymiaru sprawiedliwości był niemal zupełny brak dochodzeń. Poza bardzo nielicznymi wyjątkami wszystkie sprawy były podejmowane z powództwa prywatnego. Nawet w razie morderstwa czy ciężkiego zranienia do procesu dochodziło tylko wówczas, jeśli ktoś — świadek, poszkodowany, krewny zabitego — złożył skargę. I to on był następnie zobowiązany przekonać sędziów do swych racji. Pieniactwo było w pewnym sensie nieodzowne, a nawet cenione. Kontrola społeczna szlachty opierała się bowiem w ogromnym stopniu na donosicielstwie, nagradzanym gdy „delator” zdołał dowieść, że oskarżony dopuścił się czynu zakazanego.

Ponieważ nie było dochodzeń czy też, jak mawiano w czasach nowożytnych, inkwizycji, toteż szlachcic nie musiał się obawiać brutalnych przesłuchań ani tortur, typowych w sądach miejskich. Jędrzej Kitowicz wzmiankował w dobie saskiej, że ogółem „tortur nie stosował nigdy żaden sąd szlachecki”. W sprawach gardłowych, a więc zagrożonych karą śmierci, w ostateczności oddawano herbowników w ręce katów miejskich, by ci wyciągnęli z nich zeznania. Zdarzało się to jednak niezwykle rzadko. Przywileje stanowe skutecznie chroniły zatem panów przed aresztowaniem, więzieniem bez wyroku, nawet przed jakąkolwiek rewizją w prywatnym majątku.

Od wyroków sądów ziemskich przysługiwały odwołania, choć za te trzeba było zapłacić tak zwany „kocz”. Kwota podlegała zwrotowi, jeśli szlachcic zwyciężył w drugiej instancji. Apelacje kierowano do trybunałów: Głównego Koronnego i Litewskiego.

Także to nie były sądy profesjonalne. Deputaci nie byli prawnikami, nie wymagano od nich nawet elementarnego wykształcenia. Nie dawano im też okazji do zdobycia wiedzy drogą praktyczną. Kadencja sędziego trybunalskiego trwała zaledwie rok, a o ponowny wybór można się było ubiegać dopiero po upływie czterech wiosen. Takie rozwiązanie miało, w intencji szlacheckich prawodawców, gwarantować niezależność instytucji, chronić ją przed naciskami i przekupstwem. Efekt był wprost odwrotny od zamierzonego.

Historyk Zbigniew Góralski podkreślał, że „w dawnej Polsce pisarze i publicyści mówili o sądownictwie w sposób wyłącznie negatywny”. Komentarz jest przesadzony, ale tylko nieznacznie. Szlachcicom zdarzało się chwalić sądy, o ile przed nimi zwyciężali, albo cieszyli się, że mają w trybunałach wpływowych znajomych. To były jednak wyjątki. Ogółem nagminnie skarżono się na niefachowość, niemrawość, chwiejność i zmienność decyzji, wreszcie na rażącą stronniczość.

Pewien anonimowy XVIII-wieczny komentator twierdził, że we wszelkich sądach szlacheckich rządzili „Bachus i Wenera”: „Tam bowiem pijatyka, burdy, tam w miejscu biblioteki butelka i niezmyte talerze po hultajskim bigosie, a między tymi pęki porozrzucanych papierów, tak dobrze zmasane i zlane tabaką, trunkami i sosami, że je po tym przeczytać trudno”. O urzędnikach sądowych autor pisał, że często „ledwie czytać i pisać umieją”. Może wyolbrzymiał, ale przecież powszechne były przynajmniej komentarze, że „sędziowie nie znali prawa wcale”.

O niezależności sądów ziemskich w ogóle nie mogło być mowy. Członkowie składu orzekającego otrzymywali wynagrodzenie za swoją pracę od procesujących się stron.

Jego wysokość nie była z góry ustalona, często się o nią targowano, co dawało okazję do nadużyć i potajemnych układów. Nawet większe znaczenie miały powiązania sąsiedzkie i rodzinne. Było stanem oczywistym, wręcz oczekiwanym, że sędzia nie będzie zbyt surowo oceniać swoich współrodowców albo przyjaciół. W sądach ziemskich nie obowiązywały wprawdzie żadne kadencje, urząd był dożywotni lub sprawowano go do chwili przyjęcia innej godności, ale i tak członkowie składu czuli się zobowiązani wobec swych wyborców. Jeśli na przykład stołek udało im się zdobyć dzięki protekcji jakiegoś magnata, ten mógł być spokojny o to, że na sali procesowej nie spotka go krzywda. Wreszcie dochodziło i do jawnych aktów przekupstwa, choć te podnoszono głównie w kontekście pracy Trybunału Głównego — gdzie wyroki były ostateczne i nieodwołalne, a gra często toczyła się o znacznie wyższą stawkę. Wacław Potocki gorzko komentował w jednej ze swoich fraszek, że przed rozprawą należało wziąć z sobą do sądu „więcej pieniędzy, niż miało się szkody”. Sowita łąpówka zapewniała bowiem przychylność ludzi mających decydować o przebiegu sprawy. Wespazjan Kochowski porównał z kolei sądy do... wesel albo imienin. Bo także na takie okazje nie wypadało przychodzić bez hojnych prezentów.



Szlachcic w drodze do trybunału i w drodze powrotnej po przegranym procesie. Rysunek XIX-wieczny.

Orzecznictwo sądu ziemskiego było nieobliczalne. Często zresztą nie dało się nawet przewidzieć, czy rozprawa w ogóle dojdzie do skutku. Roczki sądowe odwoływano w razie nieobecności któregośkolwiek z sędziów. Przepisy dopuszczające zastępstwo rodziły się z opóźnieniem i oporem, co na dobrą sprawę paraliżowało szlachecki wymiar sprawiedliwości. Ogrom problemów wiązał się też z dorywczością pracy urzędów. Obawy przed procesami i wszelkimi, choćby zupełnie nieuzasadnionymi, roszczeniami, skłaniały sobiepanów, by każdą ważną transakcją, umowę czy porozumienie wpisywać do ksiąg prowadzonych przez sądy. Na przykład w wielkopolskich archiwach do dzisiaj zachowało się około 3 tysięcy takich urzędowych poświadczeń... transakcji chłopami. A więc sprzedawania lub oddawania poddanych

przez szlachciców innym szlachcicom, tak jakby ci byli przedmiotami, nie zaś ludźmi. W sądach ziemskich księgi były jednak dostępne tylko podczas roczków lub bezpośrednio po nich. Wobec braku stałej siedziby urzędu słusznie obawiano się też o to, gdzie i w jakich warunkach przechowywano akta. Nieustanną bolączką była wreszcie zupełna zależność sądów ziemskich od społeczności szlacheckiej i od innych urzędów. Instytucje te nie miały strażników zdolnych doprowadzać oskarżonych lub zatrzymywać skazańców. Nie prowadziły również więzień, gdzie można by osadzać przestępców po wyroku^[170]. Gwarantami realizacji decyzji sądowych byli tylko sobiepanowie z danego regionu. Jeśli na przykład jakiś warchoł przegrał, ale odmówił zwrotu skradzionych dóbr, opuszczenia nieprawnie zajętej posiadłości czy też zapłaty grzywny, zwycięzcy postępowania mogli wspólnie z sąsiadami zorganizować legalny napad, „zajazd”, na jego majątek. Formalnie, zanim doszło do zajazdu, należało uzyskać od sądu kilka dekretów. Jak wyjaśniał badacz tematu Dominik Golec, najpierw zapadała decyzja o „intromisji”, a więc w sprawie własności dóbr. Jeśli skazany nie podporządkował się jej dobrowolnie, dekret ponawiano, dwa, trzy, czasem nawet cztery razy. Gdy i to nie pomogło, sąd podejmował decyzję o „rumacji” — była to zapowiedź użycia przemocy. Potem, w razie nieustającego oporu, postanawiano o usunięciu z dóbr, wreszcie, na ostatnim etapie, o siłowej egzekucji. Sam napad w celu wykonania wyroku miał się odbywać przy asyście lokalnych urzędników. Pamiętnikarz Marcin Matuszewicz opowiadał, że brać szlachecka chętnie brała udział w takich „aktach wykonania prawa”. Po części pewnie dlatego, że nadarzała się okazja do w pełni legalnej bijatyki. Ale oficjalnie ponieważ waćpanowie wierzyli, iż

w przyszłości także inni panowie wesprą ich w razie problemów z wyegzekwowaniem jakiegoś wyroku^[171].

Chroniczna słabość sądów wywołała skutki może nie zaskakujące, ale na pewno znamienne i dalece sprzeczne z hasłami szlacheckiej swobody. W sytuacji, gdy trybunały powoływane przez samych herbowników nie spełniały ich wymagań, zaczęto na masową skalę rezygnować z nich na rzecz innej instytucji, na którą typowy szlachcic nie miał żadnego wpływu: sądów grodzkich. W starostwach grodowych działały odrębne trybunały, z pozoru przeznaczone głównie dla szlachty nieosiadłej oraz do sądzenia najcięższych wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu. Oficjalnie nic jednak nie zabraniało starostom przyjmować jakichkolwiek innych spraw.

W sądzie grodzkim mógł orzekać sam starosta albo robili to wyznaczeni przez niego urzędnicy. Instytucja działała stale, miała niewielkie, ale jednak zawodowe i wynagradzane kadry. Główne posiedzenia, roki starościńskie, odbywały się co sześć tygodni, ale poza tym co dwa tygodnie organizowano kwerele, na których urząd decydował w sprawach szczególnie pilnych. Księgi grodzkie, w przeciwieństwie do ziemskich, były dostępne zawsze, tylko z wyjątkiem świąt i niedziel. Łatwo więc było dokonać do nich wpisu, pozyskać potrzebne poświadczenia albo przeprowadzić kwerendę. Codzienna praktyka oczywiście nie do końca odpowiadała teorii, także w grodach dochodziło do licznych nadużyć. Jak na warunki Rzeczypospolitej sądy grodzkie działały jednak względnie sprawnie. Ponieważ zaś chodziło o kwestie autentycznie ważne dla szlachciców, o ich majątki, interesy i perspektywy, a nie o mgliste kwestie wielkiej polityki, frazesy odkładano na bok. I typowy ziemianin chętnie oddawał się pod władzę sędziego,

którego nie wybrał i który od niego nie zależał. Zwykle okolicznego magnata czy też jego reprezentanta. W każdym razie człowieka, który faktycznie był władny wydać terminowy wyrok i który w razie potrzeby miał jakiegokolwiek środki, by go wyegzekwować. Już w drugiej połowie XVII wieku w wielu regionach sądy ziemskie zupełnie zawiesiły działalność. Pozostały po nich tylko dumne, zawsze cenione i upragnione tytuły[172].

Szlacheckie kary

W czasach średniowiecznych oraz nowożytnych wierzono, że porządek i spokój da się zagwarantować tylko dzięki bezwzględnej surowości kar. Tak było w każdym razie w miastach. Przestępców nie pozbawiano wolności, bo przecież utrzymywanie więzień generowałoby koszty dla władz. Poza tym nie zrodziły się jeszcze pomysły na resocjalizowanie zbrodniarzy. Areszt trwał zwykle do czasu procesu. Jeśli doszło do skazania, przestępca tracił jakąś część ciała: rękę, nos albo uszy. Ewentualnie wypalano mu piętno w widocznym miejscu, tak by dla każdego było jasne, że ma do czynienia z odstępcą. W wypadkach recydywy lub wyjątkowo ciężkich przestępstw stosowano karę śmierci — nawet wymyślną, połączoną z szarpaniem ciała, ćwiartowaniem. Wszystko po to, by przestrzec innych rzezimieszków czy bandytów oraz by zapewnić makabryczną rozrywkę gawiedzi[173].

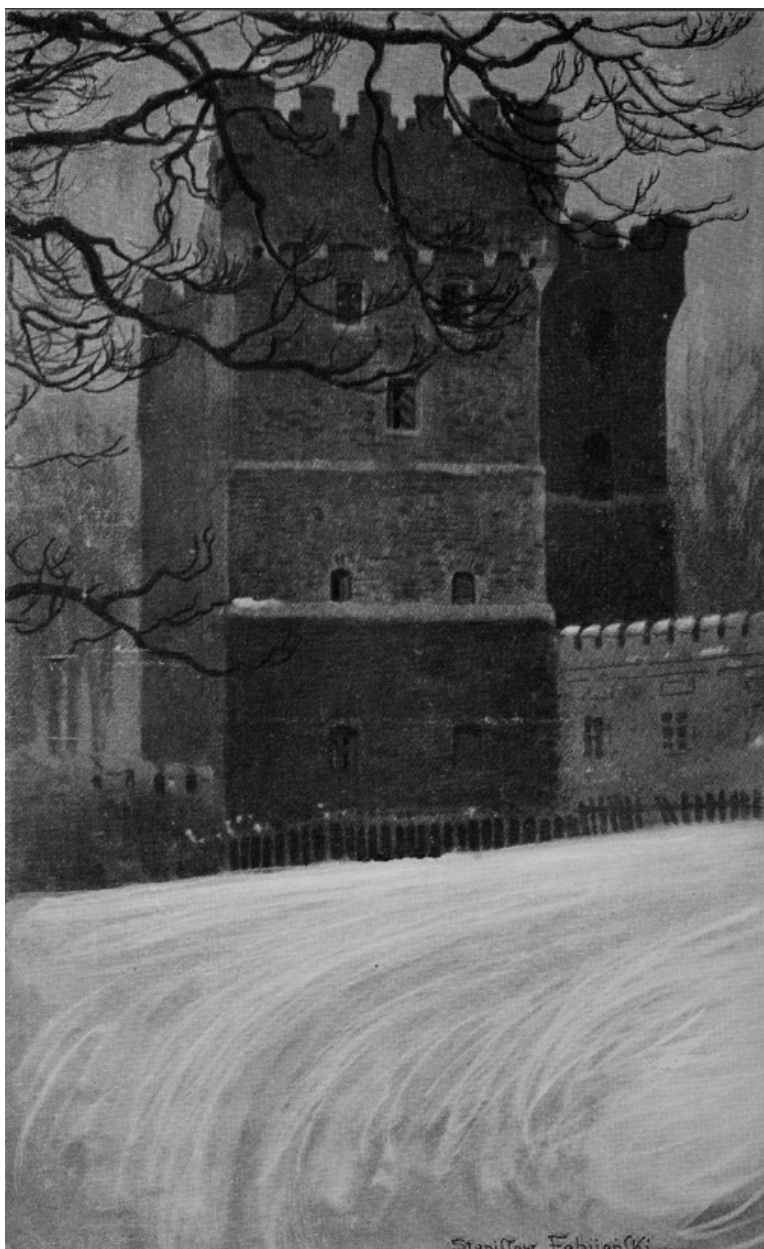
Plebejusz, którego posądzono o kradzież, zwłaszcza nocną, o napad albo morderstwo, miał wszelkie powody, by się obawiać o swoje ciało i życie. W świecie szlacheckim rzecz postrzegano jednak zupełnie inaczej. Nawet wyjątkowo

obmierzone czyny, o ile nie zaburzały ogólnego porządku i nie były wymierzone przeciw państwu lub zwłaszcza przeciw Bogu, były oceniane z perspektywy pieniężnej. Jeśli szlachcic okradł, pobił, zranił albo zabił drugiego szlachcica, to ten lub jego krewni ponieśli stratę, którą należało wynagrodzić. Nie obowiązywała reguła „oko za oko, ząb za ząb”. Jeśli już, to: grzywna za oko, grzywna za ząb.

Szlachciców niemal nigdy nie karano cielesnie, a przypadki orzekania wobec nich kary śmierci należały do ewenementów. Jeszcze rzadsze były faktyczne egzekucje herboowników. Kara miecza — nazywana tak, bo szlachciców tracono w sposób „honorowy”, właśnie mieczem, a nie na przykład poprzez powieszenie, spalenie lub utopienie — była stosowana w razie schwytania na gorącym uczynku, w sytuacji niewątpliwej umyślności czynu, gdy oskarżony nie wykazał skruchy, gdy wreszcie nie miał nic na swoją obronę, a może przede wszystkim wtedy, gdy nie miał odpowiednich powiązań rodzinnych ani silnych patronów zdolnych się za nim wstawić. Przykładowo w roku 1596 w Trembowli szlachcic Paweł Ciemierzyński podał do sądu grodzkiego innego szlachcica, Stanisława Łoboskiego, za to, że ten jego krewniaka „gwałtownie, umyślnie, nie mając żadnego zajścia i przyczyny”, zamordował. Trybunał przychylił się do jego wniosku o karę śmierci. W przytłaczającej większości przypadków rzecz załatwiano jednak inaczej.

Obowiązywały konkretne stawki głów szczyzny, a więc pieniężnej grzywny za zabójstwo. U schyłku XVI stulecia za zgładzenie szlachcica przez szlachcica płacono standardowo 384 złote polskie, a więc równowartość około 160 tysięcy złotych w dzisiejszej walucie. Właśnie o te pieniądze toczyły się procesy. Poza tym szlacheckich morderców skazywano na

pozbawienie wolności, ale to była kara dodatkowa i niekoniecznie dotkliwa. Standardowo odsiadka trwała zaledwie rok i 6 tygodni. W razie zabójstwa z użyciem broni palnej — 2 lata i 12 tygodni, wtedy też orzekano dwa razy wyższą główszczyznę.



Baszta złodziejska na Wawelu w Krakowie na obrazie z początku XX wieku. W czasach nowożytnych znajdowało się w niej więzienie starościńskie, w którym skazańcy — w tym szlachcice — odbywali karę wieży.

Szlachcice byli osadzani w wieży przy siedzibie starostwa. Każdy gród musiał ją obowiązkowo posiadać, wiele z tych konstrukcji istnieje zresztą do dzisiaj. Na przykład na wzgórzu wawelskim w Krakowie złoczyńców skazanych przez sąd grodzki trzymano w baszcie wciąż nazywanej Złodziejską. Każda taka wieża dzieliła się co do zasady na dwie części. Sprawcy drobniejszych przestępstw trafiali do wieży górnej — do pomieszczeń ogrzewanych, wyposażonych w okna, zabezpieczonych przed wilgocią. Morderców sadzano z kolei w wieży dolnej, pod ziemią, na głębokości przynajmniej 12 stóp i obowiązkowo na samym dnie lochu — *in fundo*. Tam było zimno, mokro, ciemno i ciasno. Łukasz Górnicki komentował, że trudno było w takich warunkach przetrwać rok, a co dopiero dłużej. Teoria rozmijała się jednak nieraz z praktyką, przynajmniej gdy chodziło o szlachtę. Jak zwykle pieniądze i układy towarzyskie okazywały się ważniejsze od wyroków. Starostowie, zobowiązani utrzymywać wieże na własny koszt, strzec więźniów i ich karmić, nagminnie starali się unikać tego obciążenia. Wydawali więc decyzje możliwie łagodne albo szli na układy ze skazańcami. W zamian za łapówki lub tylko z racji pokrewieństwa, szacunku i innych powiązań zapewniali im lepsze, czasem wręcz luksusowe warunki odsiadki. Wystarczy zacytować pamiętnikarza Jana Poczobuta-Odlanickiego, który trafił do wieży w drugiej połowie XVII wieku. Tyle że była to nie wieża, ale „piękna stancja, z wolnym chodzeniem do kościoła”. Poza tym połowę zasądzonego wyroku anulowano na skutek „uproszenia” trybunału.

Za pojmanie innego szlachcica karano grzywną i osadzeniem w wieży na czas trzy razy dłuższy, niż trwało bezprawne zniewolenie. Dla zranień sejmy uchwały z kolei złożone

taryfikatory. U schyłku XVI wieku taksa za „ranę siną”, a więc zasadniczo za guzy i siniaki, a nie zranienia, wynosiła niespełna 10 złotych polskich, równowartość dzisiejszych 4 tysięcy złotych. Za „ranę krwawiącą” 32 złote polskie, za wybicie zęba podobnie, ale już za ucięcie palca lub „dużą ranę krwawą na twarzy” — 48 złotych polskich. Były to sumy odpowiadające nawet niespełna 20 tysiącom w naszych pieniądzach. Gdy zaś doszło do „ochromienia” kończyny, utraty wzroku, nosa, ręki lub nogi, zasądzano aż połowę główszczyzny obowiązującej przy morderstwie. Walka sądowa była ogółem warta świeczki, chodziło o kwoty, które nawet w budżetach właścicieli folwarków mogły zrobić zauważalną różnicę.

Typowy awanturnik szlachecki czy też nawet typowy szlachcic z pewnością liczył się z tym, że od czasu do czasu przyjdzie mu przełknąć porażkę sądową i zapłacić grzywnę. To nie takich kar się obawiano. O ile plebeje bali się o życie, o tyle panowie folwarczni, którzy w skrajnym stopniu naruszyli mir lub zaszli za skórę społeczności — drżeli na myśl o utracie tego, co było im najbliższe i co decydowało o ich statusie. A więc nie głowy, lecz majątku ziemskiego.

Za najcięższe przestępstwa publiczne, a także za ignorowanie wyroków i niepłacenie zasądzonych grzywien oraz główszczyzn, sądy orzekały wobec herbowników kary konfiskaty majątku, banicji, czyli wygnania z kraju, oraz infamii. Sankcje te były, przynajmniej oficjalnie, najgorszym, co mogło spotkać waćpana. Infamis tracił cześć i prawa publiczne, w skrajnych przypadkach uważano go wprost za martwego, a jego żonę za wdowę. Każdy inny szlachcic miał poza tym prawo bezkarnie zabić infamisa, mógł też oczekiwać w zamian udziału w jego majątkościach. W praktyce wszystko

jednak zależało od pozycji skazanego. Nie brakowało banitów i infamisów, którzy albo po czasie wracali do kraju, albo wprost śmiali się w twarz sądom. Jak komentuje Adam Moniuszko, „wydaje się, że wobec zbyt częstego orzekania tej kary traciła ona w praktyce na swej ostrości”. I to do takiego stopnia, że ludzie, którzy ośmielali się napadać na infamisów lub ich zabijać zgodnie z zapadłym wyrokiem, mogli się niekiedy obawiać, że sami zostaną potraktowani jak mordercy^[174].

„Zdumiewający” bilans

Czy przestępczość oraz przemoc wśród szlachty była zjawiskiem rzadkim i nietypowym, czy wprost przeciwnie — zupełnie powszechnym? Do niedawna na takie pytanie brakowało jednoznacznej odpowiedzi, a temat budził w nauce spore kontrowersje. Przytaczano wyrywkowe źródła i komentarze, nie było jednak ścisłych liczb, pozwalających wyciągnąć miarodajne wnioski.

Oczywiście, w powszechnej wyobraźni zadomowił się obraz szlacheckich zajazdów, awantur oraz walk w obronie splamionego honoru. Dla jego ugruntowania bardzo wiele zrobili pisarze XIX stulecia, zresztą zwykle o ziemiańskim pochodzeniu. Na samym początku XX wieku ukazała się też popularnonaukowa praca Władysława Łozińskiego pod tytułem *Prawem i lewem* demaskująca niezwykle nasilenie wojen wewnętrznych, zbrodni, napadów, zemst rodowych i waśni sąsiedzkich na XVII-wiecznej Rusi Czerwonej. Przez długi czas była to jedyna zwarta publikacja rzucająca światło na przestępcze skłonności polskich herbovníków. Historycy

podchodzili do niej jednak z rezerwą. Wielu starało się podważyć może nie rzetelność autora, ale na pewno kompletność ujęcia, jakie zaprezentował. Komentowano, że Łoziński zajął się regionem pogranicznym i pogrążonym w szczególnej anarchii, a opisane przez niego historie wcale nie odzwierciedlały sytuacji panującej w całym kraju. Gdzie indziej typowi szlachcice mieli w dalece większym stopniu kierować się cnotą, szacunkiem do braci, praworządnością, umiłowaniem pokoju w stosunkach wewnętrznych. Na dowód przytaczano chociażby komentarze obcokrajowców, chwalaących Rzeczpospolitą jako państwo bezpieczne, po którym dało się podróżować bez obaw o zdrowie i sakwę^[175].

Faktyczny obraz rzeczy udało się ustalić dopiero na początku XXI wieku dzięki szczegółowym badaniom ksiąg sądowych, zwłaszcza grodzkich. Prowadził je bodaj najlepszy znawca staropolskiej przestępczości doktor Marcin Kamler — najpierw w aktach z ziemi sieradzkiej, położonej w centrum kraju i cechującej się podobnymi układami społecznymi co główne prowincje, potem też między innymi w materiałach z Poznania, Krakowa, Lublina, Wielunia czy Brześcia Kujawskiego. Wnioski, jak sam przyznawał, okazały się „zdumiewające”.

Kamler badał księgi wyrywkowo, cokolwiek innego wymagałoby bowiem pracy nie jednego historyka, ale całego zespołu. Mimo to odnalazł imponującą liczbę wzmianek o przeróżnych szlacheckich aktach przemocy. Przykładowo w grodzie sieradzkim tylko w ciągu niespełna trzech dekad XVII stulecia złożono niemal 3 tysiące skarg na zranienia, których dokonali herbownicy. Daje to, bagatela, ponad sto spraw rocznie. Miejscowi waćpanowie dopuścili się też 168 odnotowanych zabójstw — średnio sześciu na rok, tylko

w jurysdykcji tego jednego urzędu grodzkiego. „Wziąwszy pod uwagę fakt, że [badane] powiaty nie były szczególnie rozległe i niezbyt gęsto zaludnione, należy się zgodzić, iż jest to liczba ogromna” — kwitował historyk.

Co najważniejsze, kwerendy prowadzone w innych regionach przyniosły bardzo podobne rezultaty. W grodzie krakowskim czy poznańskim natężenie spraw było mniejsze niż w Sieradzu, ale już w ziemi łęczyckiej — wyraźnie większe. Ogółem, jak oceniał Kamler, niemal wszędzie przemoc szlachecka stanowiła „zjawisko masowe”. Średnio w jednym sądzie grodzkim rozpatrywano rocznie jakieś trzy, cztery sprawy o morderstwa popełnione przez szlachciców. Faktycznych zbrodni było oczywiście więcej: postępowania wdrażano przecież tylko po wniesieniu prywatnej skargi, nie zawsze winny był znany i dało się mu wytoczyć proces, zdarzały się też, chyba dość często, przypadki pozasądowych, nieformalnych ugód między sprawcami i rodzinami zabitych. Co więcej, mordowanie własnych poddanych nie było czynem zabronionym, więc takich zbrodni w ogóle nie odnotowywano ani nie piętnowano. Tak czy owak, można spokojnie szacować, że w skali kraju w sądach grodzkich i ziemskich prowadzono przynajmniej trzysta, czterysta procesów o morderstwa dokonane przez szlachciców w ciągu każdego roku. W ciągu dekady — 3–4 tysiące. Liczba porażająca, jeśli wziąć pod uwagę, że odnosi się do względnie wąskiego stanu, który liczył w tym czasie nie więcej niż jakieś 200 tysięcy dorosłych mężczyzn. Nic dziwnego, że na sejmikach i w pismach politycznych nieustannie narzekano na powszechność morderstw. Dajmy na to Piotr Skarga piętnował przypadki, gdy sprawiedliwości unikali nawet szlachcice mający na sumieniu „sto głów”. Może i przesadzał, ale czy bardzo? Z liczb wynika,

że przynajmniej kilka procent wszystkich szlachciców było mordercami. A kilkadziesiąt procent awanturnikami, bo spraw o pobicia i zranienia notowano w sądach średnio niemal dwadzieścia razy więcej niż tych o morderstwo.

„Szlachta raniła się i zabijała głównie między sobą” — podsumowywał Kamler. W 66 procentach procesy toczyły się o krzywdy, jakie jedni szlachcice wyrządzili innym. W przypadku samych morderstw było to aż 75 procent. Reszta to morderstwa mieszczan albo cudzych chłopów.

Do krwawych zająć dochodziło najczęściej na wiejskich drogach, w odosobnieniu. Standardem nie były, wbrew temu, co mogłaby sugerować literatura piękna, honorowe pojedynki czy choćby jawne bójki, z otwartą przyłbicą i na równej stopie. Nagminnie zdarzały się napaści z ukrycia — szlachcic chował się wraz z pachołkami wśród drzew i z oddali strzelał do upatrzonej ofiary na przykład z rusznicy. Poza tym organizowano ataki czysto bandyckie. Dla przykładu można przytoczyć historię Stanisława Rosczeskiego, który w 1607 roku wraz z krewniakami i służącymi wystąpił przeciwko innemu szlachcicowi, Janowi Piotrachowskiemu. Rzec miała miejsce w ziemi sieradzkiej, na drodze prowadzącej do miejscowości Otok. Piotrachowski, niczego nieświadomy, jechał na wózku z jednym tylko chłopcem. On spokojnie „spał i drzemał”, a jego towarzysz powoził. Aby ich wypatrzeć i przechwycić, organizatorzy napadu wysłali na trakt „dziewkę z psami”. Sami zasadzili się w borze, w dwóch grupach, tak by łatwo osaczyć ofiary i uniemożliwić im ucieczkę. Atak był ekspresowy — obeszło się bez gróźb, przemów, połajanek. Rosczeski wypadł na drogę i począł strzelać z rusznicy. Piotrachowski nawet chyba nie zdążył się obudzić, a już leżał na ziemi cały we krwi, ze śmiertelnymi

ranami postrzałowymi. Szlacheccy bandyci „pieniędzy przy nim szukali i macali, a nie znalazłszy, szablę od niego odpasali i dwa pułhaki”, a więc dwie sztuki broni palnej, „wzięli”. Aby ukryć zajście, sprawcy zamierzali zamordować także woźnicę. Zdzielili go po głowie i byli przekonani, że legł trupem. Chłopak tylko jednak udawał martwego. W efekcie sprawa mogła trafić na wokandę.

Wiele napadów, czy to w przypiływie emocji, czy też z premedytacją, urządzano także w gospodach i na targowiskach. Do niebezpiecznych bójek dochodziło poza tym w prywatnych dworach, na przykład przy okazji suto zakrapianych biesiad. Zdarzały się również liczne napaści na dwory — albo w celach czysto rabunkowych, albo pod płaszczykiem egzekwowania sprawiedliwości. Jak podkreślał historyk Dominik Golec, „znakomita większość” szlacheckich zajazdów odbywała się bez dekretów sądowych, bez wsparcia urzędów. Były to zwyczajne rozboje, nawet jeśli sprawcy twierdzili, iż mają dobry powód, by dręczyć sąsiada. W ich toku ogałano dwory, raniono mieszkańców, niszczone sprzęty, uprowadzano zwierzęta, palono zabudowania gospodarcze, niszczone plony, a często też mordowano, porywano albo chociaż grabiono chłopów, by tym sposobem dodatkowo uprzykrzyć się ich właścicielowi.

O skali procederu dobrze świadczą dane z województwa brzeskokujawskiego. W księgach grodzkich i ziemskich tego względnie niewielkiego regionu udało się namierzyć wzmianki o 420 zajazdach przeprowadzonych od schyłku XVI wieku do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej. W każdym roku dochodziło do średnio czterech takich zdarzeń. A w każdym razie o takiej liczbie wiadomo — należy pamiętać, że nie każda sprawa była zgłaszana, poza tym zaś akta sądowe sprzed

stuleci nie zachowały się w komplecie, są dalece wyrywkowe. Na przykład w Sieradzkim zajazdy były nawet częstsze. Na początku XVII stulecia tylko w księgach grodzkich notowano ich niemal osiem rocznie.

Dokładne motywacje sprawców krwawych przestępstw zwykle pozostają nierozpoznane. Niemal wszystkie szlacheckie skargi sądowe zawierały zapewnienie iż, ofiara została napadnięta, poraniona, zelżona lub zabita „bez żadnej przyczyny i owszem niewinnie”. Historyk Paweł Klint komentuje, że frazes stał się tak powszechny, iż zaczęto go wprost uważać za nieodłączny element formularza, bez którego trudno było sobie wyobrazić dokumenty procesowe. Normą było poza tym, że oskarżeni sami czuli się ofiarami. W odpowiedzi na pozwy składano kontrpozwy, zarzucające kłamstwa i przeinaczanie faktów — bo na przykład pan Skicki czuł, że to pan Kowalski napadł na niego, nie zaś że sam był napadającym, i to „bez żadnej przyczyny”.

W rzeczywistości do najbrutalniejszych sporów dochodziło zwykle na tle kłótni sąsiedzkich i rodzinnych. Najbardziej kryminogenne okazywały się środowiska szlachty drobnej, częściowej, zagrodowej. Im ciaśniej mieszkało, im więcej zależało od przebiegu miedzy i podziału praw do lasów, stawów czy pastwisk, tym większa była gotowość, by niesnaski załatwiać z szablą w dłoni. Krew gotowała się w szlachcicach, gdy nie spłacano im udzielonych pożyczek, gdy pazerny sąsiad kradł chrust z nie swojego kawałka lasu czy wreszcie gdy, niby to przypadkiem, przesuwał kamienie graniczne i przyorywał krawędź zagarniętego pola. Nie puszczano płazem także decyzji spadkowych, jeśli te były nie po myśli danego syna czy brata.

Nie znaczy to oczywiście, że szlachta średnia albo zamożna pozostawała bez winy. Przestępstwa panów na pełnoprawnych folwarkach miały jednak inną skalę i charakter. Nie wynikały z desperacji i przesadnej bliskości człowieka, do którego odczuwało się szczególną antypatię. Były o wiele bardziej cyniczne, a często też szerzej zakrojone. Na przykład łowczyzna łączycka Anna Stokowska w 1603 roku złożyła skargę na dwóch panów, którzy najechali należący do niej bór, wyrąbali, bagatela, kilkaset drzew, i wywieźli je do swych majątności. Z kolei starosta grabowski Marcin Zaremba wprowadził sam nie brudził sobie rąk krwią, ale w 1606 roku zarzucono mu, chyba słusznie, że zlecił morderstwo pewnego herbownika, który załaził mu za skórę. Można też przytoczyć historię z Podkarpacia. Kasztelan przemyski Jan Fredro, zmarły w roku 1591, w testamencie pozostawił swojej żonie rozległe dobra na prawach dożywocia — miała więc nimi zarządzać aż do własnej śmierci. Decyzja bardzo się nie spodobała synowi Pawłowi. Ten w ramach protestu zaczął najeżdżać matczyne folwarki, grabić jej chłopów, więzić służących. Wreszcie przystąpił nawet do oblężenia rodzicielki, która przez kilka dni ukrywała się w otoczonym dworze, niepewna, czy wyrodney hultaj nie każe go puścić z dymem wraz z mieszkańcami.



Pojedynek na szable. Ilustracja do XIX-wiecznej powieści *Pamiętki starego szlachcica litewskiego*.

Spory nieraz ciągnęły się przez lata, wręcz pokolenia. Na wrogie napaści i zamachy odpowiadano tym samym, spirala przemocy tylko się nakręcała. W każdym regionie były też rodziny szczególnie agresywne, których członkowie raz po raz stawali przed sądem w krwawych sprawach. W ziemi sieradzkiej Marcin Kamler zidentyfikował kilkadziesiąt rozjątrzonych rodzin. Chociażby Wężykowie herbu Wąż pojawiają się w aktach jako sprawcy i ofiary siedemdziesiąt razy, Zalescy herbu Dołęga — pięćdziesiąt dziewięć razy, a Zabłoccy herbu Białynia — pięćdziesiąt trzy razy^[176]. Zarazem jednak nie brakowało i zbrodni przypadkowych, pozbawionych jakiegokolwiek uzasadnienia, zasadzających się tylko na rozpiekaniu szlachciców, ich pysze i poczuciu bezkarności. Wiele odnotował ich i pochwalił Walerian Nekanda Trepka w swojej *Księdze chamów*. Konkretnie historie były zapewne zmyślane i przeinaczone, jak to u Treпки. Ogólny obraz musiał jednak odpowiadać rzeczywistości. Autor opowiadał natomiast z rozmówaniem chociażby o nieudanych powitaniach na traktach, gdy jeden szlachcic kłaniał się drugiemu, ten zaś odczuwał zniewagę albo nabierał podejrzeń, że ma do czynienia z uzurpatorem tylko udającym herbownika. Dajmy na to jakiś pan Kozik, napotkawszy krewkiego pana Pieczonkę, nie zachował się z właściwą godnością, a na widok gniewnej miny rozmówcy rzucił zbyt swobodnie: „Przecież mnie nie będziesz krajał”. Chwilę później leżał już bez życia, zarąbany szablą.

Dla uzasadnienia incydentów i zbrodni ochoczo opowiadano o splamionym honorze. Jak komentował historyk Władysław Czapliński, poczucie godności było rozwinięte u polskich szlachciców w stopniu niezwykle wysokim, silniej niż w innych krajach. Niemal identyczny wniosek wysunął też Janusz

Tazbir. Duchowny i urzędnik sądowy Antoni Sebastian Dembowski miał zaś pełną rację, gdy w 1749 roku pisał, że nad Wisłą: „Nie masz miasteczka, pałacu, kościoła, nie masz wsi, domu i klasztoru zgoła, nie masz posiadki, karczmy ani dworu, gdzie by nie miano coś za Punkt Honoru”[\[177\]](#).

IX.

ZŁOTA WOLNOŚĆ. WIELKI MIT DEMOKRACJI SZLACHECKIEJ

O szlacheckim parlamentaryzmie pisze się często z dumą jako o wielkim, choć zaprzepaszczonej osiągnięciu przedrozbiorowej Polski. Można się spotkać z opiniami, że ustrój Rzeczypospolitej, stawiający na czele sztukę kompromisu, a do tego promujący równość, swobodę i tolerancję, stanowił wręcz prototyp nowoczesnej demokracji. I że jako taki powinien być dzisiaj doceniany oraz podziwiany.

Wśród zachwytów nad złotą wolnością szlachecką nieuchronnie powraca pytanie o to, czy historia mogła się potoczyć inaczej. Publicyści zastanawiają się, dlaczego polska demokracja wyrodziła się i zdegenerowała. Takie ujęcie sprawy prowadzi do nieuniknionych zafałszowań. Sugeruje, że istniał jakiś okres szczytowy, w którym państwo sobiepanów funkcjonowało sprawnie, sejm działał konstruktywnie, a ogół szlachty faktycznie brał odpowiedzialność za ojczyznę i realizował szczytne ideały. Dopiero gdy ten złoty wiek polskiej polityki dobiegł końca, system miał zacząć kruszeć.

W rzeczywistości jednak nie było żadnego etapu idylli. Według Jaremy Maciszewskiego tylko sejmy z ostatniej dekady

życia Zygmunta Augusta, a więc z lat 60. XVI wieku, miały prawdziwie pozytywne skutki, działały z rozmachem i w sposób korzystny dla państwa. Nawet te zgromadzenia, nazywane sejmami egzekucyjnymi, toczyły się jednak na tle wielkiego konfliktu między szlachtą średnią a magnaterią. Nie były zgodne i uporządkowane, zrealizowały też ledwie część zamierzeń. Poza tym zajmowały się na równi sprawami ważkimi i zupełnie trywialnymi. Jak podkreślała badaczka zagadnienia i biografka ostatniego Jagiellona, Anna Sucheni-Grabowska, postulaty naprawy kraju i umocnienia ustroju mieszały się z wezwaniami do zreperowania konkretnego mostu albo do zniesienia lokalnego cła, które w danym powiecie szczególnie doskwierało szlachcie^[178].

Inni badacze dość pozytywnie wypowiadają się jeszcze o obradach parlamentu toczonych przez kolejne kilkadziesiąt lat, do lat 40. XVII wieku^[179]. Spotkania izby poselskiej odbywały się wciąż bez szczególnych przeszkód. Z oporem i niemrawo, ale jednak zatwierdzały najkonieczniejsze podatki, okazywano na nich zwykle szacunek królowi. Różne burdy i ekscesy były częste: na przykład w roku 1616 skarżono się na sprowadzanie prywatnych magnackich pułków wojskowych, które próbowały zastraszać posłów, a także na praktykę wpuszczania do izby różnych pachołków, zakrzykujących prawnie wybranych członków parlamentu. Od lat 30. XVII wieku ciągle powracały narzekania na pijanych deputowanych, których była „siła” i którzy w stanie pełnego zamroczenia usiłowali „aklamacje czynić”. Zdarzyło się, że pijani reprezentanci z Korony wszczęli kłótnię z posłami z Litwy, bo ci zasiedli na ławce, którą upatrzili dla siebie awanturnicy. Nieraz też ogół posłów opuszczał miejsce obrad, pozostawiając pijaków samych, co

w oczywisty sposób zaburzało pracę sejmu. Wreszcie, dochodziło nawet i do bójek. Wszystko to, choć rażące i częste, nie blokowało jednak całkowicie parlamentu, nie było też jednak tak, że sejmy z czasów pierwszych pięciu królów wybranych w wolnej elekcji przyniosły jakiś wymierny, szczytny skutek, a przecież wygenerowały spore koszty. Ich dorobek legislacyjny był obfity, ale ilościowo, nie zaś jakościowo. Historyk Andrzej Korytko oszacował, że tylko w pierwszej połowie XVII stulecia wydano 2100 konstytucji sejmowych. Szukając sukcesów parlamentu, był jednak w stanie wskazać głównie jego funkcję „kulturotwórczą” czy „integrującą”. Sejm miał znaczenie, bo dawał okazję panom z całego kraju, by się spotkać, podjąć rozmowy, zapoznać się z sytuacją innych regionów. Poza tym „stabilizował pokój”, ponieważ szlachta niemal zawsze sprzeciwiała się jakimkolwiek konfliktom zbrojnym. Nie ma za to mowy o cennych osiągnięciach w dziedzinie stanowionego prawa^[180]. Tych nie było i nawet nie mogło być. Cokolwiek innego stałoby przecież w jawnej sprzeczności z ideologią, jakiej hołdowało polskie ziemiaństwo.

Tragiczne obsesje polskiej szlachty

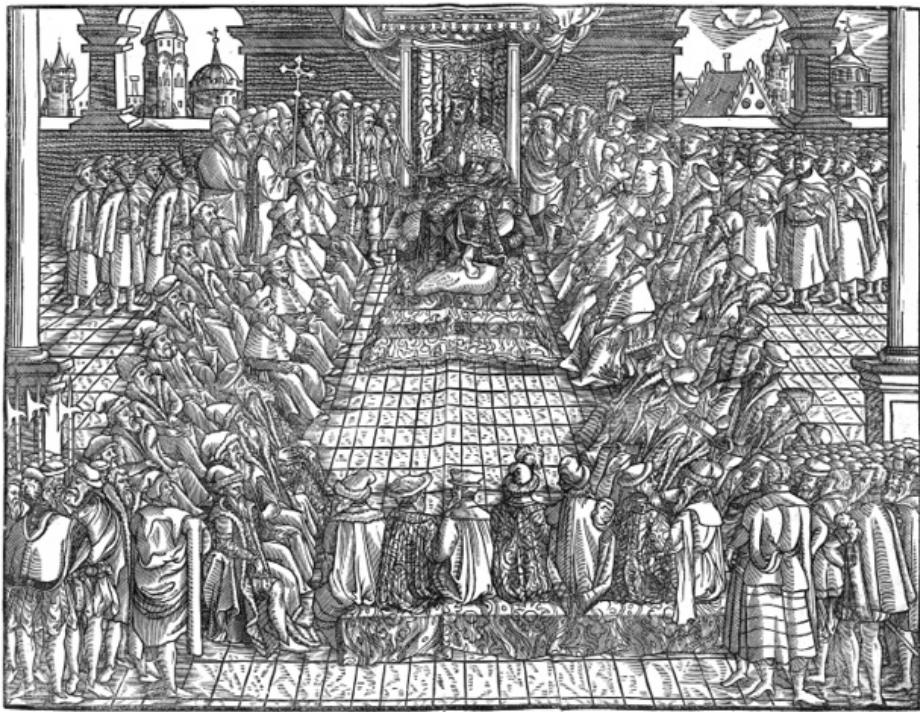
Niemoc sejmu, zauważalna już w wieku XVI i zupełnie jawna w stuleciu XVII, narastała w tym samym czasie, gdy wyraźnie zwiększono kompetencje izby poselskiej. Szlachecy deputowani zyskali nowe narzędzia kontrolowania poczynań króla, a nawet senatorów^[181]. Tylko z pozoru ten splot słabości z rosnącą siłą brzmi paradoksalnie. W rzeczywistości stanowił on odbicie szlacheckiego oglądu świata. Herbownicy

wierzyli bowiem, że sejm nie ma niczego poprawiać ani ustanawiać, lecz tylko chronić już istniejący ideał i hamować poczynania dworu oraz „małych tyranów”, a więc różnych królewskich doradców i dygnitarzy.

Nasilała się megalomania stanu uprzywilejowanego. Szlachcice nie tylko w coraz większym stopniu wierzyli we własną, wrodzoną wyjątkowość, ale też w to, że Rzeczpospolita jest krajem doskonalszym od każdego innego. Starosta stawiszyński Andrzej Pierzchliński w 1615 roku trafnie wyraził ogólny pogląd. Na lokalnym sejmiku mówił, że za sprawą przywilejów szlacheckich polscy panowie mieli lepiej od tych we Włoszech, Francji, Anglii czy Szkocji. Polak bowiem zawsze oddychał pełną piersią, obcokrajowiec nie miał natomiast prawa ani się o cokolwiek upominać, ani nawet „tchnąć”, swobodnie nabrać powietrza do płuc. Raz po raz powtarzano, że „nie masz pod słońcem świata narodu tak wolnego jak Polska”. Przy okazji zaś tak spokojnego, szczęśliwego, cieszącego się pokojem. Fala samozachwytu wzmogła się zwłaszcza w pierwszej połowie XVII wieku, gdy znaczna część Europy była pogrążona w krwawym zamęcie religijnym, a wojna trzydziestoletnia, toczona głównie na obszarze Rzeszy niemieckiej od 1618 do 1648 roku, przyniosła największe straty w ludziach i najbardziej dotkliwe zniszczenia w całych dotychczasowych dziejach kontynentu. Nadwiślańscy herbownicy żyli w pełnym przekonaniu, że im samym podobna katastrofa nie grozi. I że pokój oraz dostatek są efektami perfekcyjnej „złotej” wolności^[182].

Już w drugiej połowie XVI stulecia jakiegokolwiek reformy dało się przeprowadzać co najwyżej pod płaszczykiem egzekucji, a więc przy ciągłym powtarzaniu, że chodzi wyłącznie o egzekwowanie starych praw i wolności, o oczyszczenie

systemu z wszelkich obcych mu patologii. W XVII wieku nawet taka argumentacja nie trafiała już do przekonania szlachty. Sejmiki stawały okoniem, ilekroć choćby przebąkiwano o konieczności wprowadzenia poprawek ustroju lub nieznanych wcześniej procedur. Wyraźny tradycjonalizm, zakrapiany szacunkiem dla przodków i podziwem dla wszystkiego, co dawne oraz pokryte patyną, był oczywiście zjawiskiem typowym dla różnych, nomen omen, tradycyjnych ustrojów. Nad Wisłą konserwatyzm posunięto jednak do skrajności. Jan Żabczyc, występujący się różnym małopolskim rodom magnackim, trafnie wyrażał opinię ogółu, gdy w 1615 roku pisał: „Nie masz większego upadku w Rzeczypospolitej, niż wynalazek nowych praw”.



Obrady sejmu walnego za panowania Zygmunta Augusta. Drzeworyt z 1570 roku.

Przyjął się pogląd, że obrona wolności i nienaruszalnego ustroju jest ważniejsza nawet od obrony państwa. I że sejm ma w pierwszej kolejności dbać właśnie o to, by wszystko zostało po staremu. Jeśli takie było założenie, to należy przyznać, że przynajmniej w jednej dziedzinie demokracja szlachecka odniosła pełen sukces. Stanisław Staszic miał przecież słuszną rację, gdy w przededniu rozbiorów pisał: „Polska [jest] dopiero w wieku piętnastym. Cała Europa już wiek osiemnasty kończy”. Faktycznie zakonserwowane czy wprost zabetonowane rozwiązania, którymi rządziła się Rzeczpospolita u samego schyłku epoki nowożytnej, o wiele bardziej pasowały do realiów schyłku średniowiecza[183].

Jakiegokolwiek zmiany, odpowiedzi na nowe okoliczności i wyzwania blokowano także z powodu kolejnej wielkiej obsesji stanu szlacheckiego. Panowie rozpływali się w zachwytach nad wyższością nadwiślańskiego modelu, ale zarazem stale obawiali się wszelkich przedsięwzięć własnych królów. Nawet jeśli monarchów szanowano, to nigdy nie darzono ich zaufaniem. Jeden ze szlacheckich publicystów politycznych początku XVII wieku podkreślał, że wśród polskich władców nie było żadnego, który by stale nie zamyślał „o zgwałceniu praw i swobód naszych”. Podobnie twierdził ogół, czasem tylko robiąc drobne wyjątki dla szczególnie lubianych suwerenów. Walka z dążeniami do zaprowadzenia *absolutum dominium*, a więc władzy absolutnej, stanowiła trzon ideologii politycznej polskich elit. To właśnie strach przed tyranią nakazywał szlachcom okrajać kolejne prerogatywy tronu, blokować naprawę dóbr państwowych, z których dwór czerpał środki na utrzymanie, osłabiać znaczenie urzędów i ścinać do minimum rozmiar stałej armii państwowej[184].

Obawy nie były, należy podkreślić, bezpodstawne. W naturze władzy królewskiej, nawet przy elekcyjności tronu, faktycznie leżało dążenie do umocnienia swej pozycji, do mnożenia wpływów i bogactwa oraz do tłamszenia wszelkiego sprzeciwu. Każdy król, od Stefana Batorego po Jana Kazimierza Wazę, próbował obłaskawiać sejm, omijać zwyczaje i przepychać nowe przepisy tak, by polepszyć swoje stanowisko względem szlachty. Każdy też bez wahania przyjąłby władzę absolutną, gdyby mu ją zaoferowano. Rezerwę panów herbowych broniących założenia, że losy państwa powinny zależeć nie od jednego człowieka w koronie, ale od szerokich rzesz najwyższego stanu, łatwo zrozumieć. Tragedia złotej wolności polegała jednak na tym, że herbownicy blokowali inicjatywy tronu, nie oferując niczego w zamian. Szlachta nie wykształciła własnej władzy wykonawczej, nie przekazała obowiązków odebranych królowi w inne ręce. Alternatywą dla rządów królewskich okazał się nierząd. A sławne słowa Wacława Potockiego — „Nierządem Polska stoi” — przez wielu sobiepanów były odczytywane nie jak krytyka, lecz najwyższa pochwała stanu rzeczy. Bo przecież „Polska nie rządem stoi, jeno wolnością szlachecką”[\[185\]](#).

Pułapki swobody. *Liberum veto*

Od przeszło stulecia panuje opinia, że naczelną przyczyną kryzysu i upadku demokracji szlacheckiej była zasada jednomyślności. Nie jest to prawdą. *Liberum veto*, a więc uprawnienie każdego pojedynczego uczestnika sejmu do zerwania i unieważnienia całych obrad, nie stanowiło źródła

katastrofy, ale tylko symptom, nawet symptom uboczny, słabości ustroju.

Należy stanowczo podkreślić, że polscy szlachcice znali i rozumieli ideę głosowań większościowych. W ten sposób zapadały chociażby wyroki deputatów, sędziów Trybunału Głównego Koronnego. Przyjęto się nawet określenie na głosowania większością, że to decyzje podejmowane sposobem sądowym. Po sądowemu rozstrzygano rzecz zwłaszcza wtedy, gdy doprowadzenie dyskusji do finału wydawało się absolutnie nieodzowne, a brak konkluzji groził anarchią lub ośmieszeniem organu.

W sytuacji, gdy zażarta walka polityczna krępowała lokalne zgromadzenia, stopniowo wprowadzano większościowy wybór posłów sejmowych przez sejmiki. W 1598 roku regułą oficjalnie przyjęto na Mazowszu, w 1611 roku w województwach sieradzkim i krakowskim, w 1613 na całej Litwie. Badacz zagadnienia Zdzisław Ilski wyliczył, że ostatecznie aż 65 procent wszystkich sejmików ziemskich w Rzeczypospolitej głosowało większością [\[186\]](#).

Rozwiązanie uznano za nieodzowne, ale nie budziło ono zadowolenia, a tym bardziej dumy. Od samego zarania demokracji szlacheckiej najwyższej ceniono zgodę. Był to jeden z tych uświęconych terminów, które przepełniały sobiepanów pychą i paraliżowały ich, ilekroć zachodziła obawa wystąpienia przeciwko jakiegokolwiek „żrenicy wolności”. Tak jak nie wolno było podważać równości czy cnoty, tak też nie godziło się kwestionować, że demokracja szlachecka jest oparta na powszechnej zgodzie. Kto ośmielał się to czynić, ryzykował, że bracia uznają go za „wyrodka”, nawet zdrajcę, który „nie kocha wolności”.

Ogół szlachty wierzył, że kluczowe decyzje powinny zapadać zgodnie, a więc jednomyślnie. Fakt wypracowania kompromisu uważano za „znak łaski bożej”, a wspólną decyzję pozbawioną sprzeciwu — za rzecz najbardziej „chwalebna”. Takie podejście nie było w żadnym razie unikatem, nie cechowało wyłącznie naszych herbowników. Nie zrodziło się też wcale w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej. Umiłowanie zgody nawiązywało do idei odziedziczonej po średniowieczu i znanej w całej Europie. Maksyma przypisywana cesarzowi Bizancjum Justynianowi głosiła, że „co wszystkich podobnie dotyczy, przez wszystkich winno być zatwierdzone”. W średniowieczu hasło znalazło wyraz w aklamacjach, a więc zwyczaju gremialnego akceptowania różnych decyzji i wyborów przez zgromadzony tłum poddanych. Nie była to oczywiście ścisła procedura, nikt nie sprawdzał, czy aby na pewno każdy z zebranych wydał z siebie pochwalny okrzyk. Opornych zagłuszano i ignorowano, o ile tylko wyraźna większość popierała decyzję. Także w Rzeczypospolitej szlacheckiej do idei zgody długo nie podchodzono z przesadnym formalizmem.

Już w czasach jagiellońskich obowiązywała zasada, wprawdzie niezapisana w jakimkolwiek prawie, ale znana każdemu, że decyzje izby poselskiej, a przynajmniej finalne konkluzje jej obrad muszą zapadać jednogłośnie. Podobnie wymagano wspólnej zgody wszystkich stanów sejmujących. Bez niej nie mogło być mowy o wydaniu konstytucji. To jednak wcale jeszcze nie oznacza, że od zawsze twierdzono, iż opór jednego posła albo grupy deputowanych powinien niweczyć starania całej izby. Obrady posłów polegały na konfrontowaniu opinii i ucieraniu stanowisk. Przede wszystkim zaś chodziło w nich o szukanie takiego kompromisu, który w mniejszym czy większym stopniu zadowoli każdego, przez reprezentantów

żadnej ziemi nie zostanie natomiast odebrany jako zdeptanie jej interesów. Prawo do wyrażenia własnej opinii i zdania odrębnego uchodziło za ekspresję wolności. Ceniono burzliwe przepychanki i kłótnie. Ideał zakładał jednak, że koniec końców oporni ustąpią i zgodzą się nawet na to, co nie szło po ich myśli. Jak tłumaczy Edward Opaliński, „uważano, że jeśli na forum parlamentu wytworzy się w jakiejś kwestii zgodne stanowisko, wówczas obowiązkiem nieprzekonanych powinno być podporządkowanie się woli większości”.

Założenia zgody były szczytne. Chodziło o to, by uniknąć aktów wszelkiej tyranii i nie tłamsić grup szlachty mniej licznych, ale przecież równie wolnych, co wszyscy herbownicy. O tym pisze się często. O wiele rzadziej jest natomiast wzmiankowana kwestia najważniejsza. Mianowicie w polskich realiach obsesyjne dążenie do osiągnięcia kompromisu i jednogłośności było po prostu nieodzowne. Przy całej skrajnej słabości państwa tylko osiągnięcie zgody dawało jakąkolwiek — zresztą ograniczoną — nadzieję na to, że powzięte decyzje faktycznie zostaną wprowadzone w życie, a nie zignorowane.

W praktyce nieraz zdarzało się, że sprzeciw jednak był zgłaszany i podtrzymywany albo że część posłów w proteście opuszczała obrady. W wieku XVI takie postępowanie nie prowadziło jednak do unieważnienia całego sejmu. O ile opór był ograniczony, przechodzono nad nim do porządku dziennego. Zarazem jednak liczono się z tym, że region, który odrzucił kompromis, nie wywiąże się z przyjętej konstytucji, albo przynajmniej — że zostanie ona masowo zlekceważona przez szeregowych ziemian, których posła zakrzyczano^[187].

Dążenie do zgody nie stanowiło wady demokracji szlacheckiej. Prawdziwy problem miał charakter

instytucjonalny, systemowy. Polski sejm był skazany na to, że się zdegeneruje i wyrodzi, bo nigdy nie uregulowano jego funkcjonowania. W XVI wieku stany sejmujące nie zadbały o ogłoszenie ścisłych przepisów ani ograniczeń; nie ustanowiono też wówczas żadnych formalnych zabezpieczeń zapewniających, że parlament będzie w stanie działać nawet w warunkach kryzysu. W XVII wieku, gdy jakiegokolwiek sugestie reform były uznawane za atak wymierzony w złote wolności szlacheckie, na umacnianie systemu było już z kolei zbyt późno.

Obrady izby poselskiej na dobrą sprawę nie wyszły poza etap ząbkowania. Tak u schyłku średniowiecza, jak i przez wszystkie kolejne stulecia nie miały porządku, nie opierano ich na jakimkolwiek regulaminie. Zamiast procedur były tylko obyczaje. Posiedzeniami nikt nawet nie kierował. Od lat 60. XVI wieku obierano marszałka, obowiązkowo innego na kolejnych sejmach. Nieraz wiązały się z tym kłótnie oraz opóźnienia, chociaż faktyczna władza tego urzędnika była prawie żadna. Marszałek sejmu nie decydował o przebiegu dyskusji, nie mógł uciszać ani dyscyplinować posłów. Miał tylko prawo podsumować przebieg spotkań, a nawet w tym często go ograniczano. W efekcie obrady poselskie przebiegały, jak komentował historyk Zbigniew Góralski, „nurtem spontanicznym”. Inni badacze piszą wprost, że na dobrą sprawę organizowano nie posiedzenia, ale „luźne, nieskrępowane dyskusje”. Czasem wśród sporów i żywiołowej wymiany zdań udawało się znaleźć punkty zbieżne, konsensus. Wtedy przygotowywano projekt konstytucji, a wszystko, co wciąż budziło opór albo wprost niezrozumienie, pozostawiano do czasu kolejnego sejmu.

W takim systemie ważne sprawy mogły czekać w zawieszeniu przez lata. Nic nie zmuszało posłów, by podjęli decyzję, opowiedzieli się za czy też przeciw lub chociaż jasno wyrazili zdanie większości. Naczelną cechą izby poselskiej, a w konsekwencji całego sejmu, zawsze był chaos^[188]. Parlament nie mógł działać sprawnie. Jednak aby działał w ogóle, potrzebna była wysoka kultura polityczna deputowanych, a poza tym — by użyć terminu, jakim szafują politolodzy — wysoka karność obywatelska. Wykształciły się różne nieformalne rozwiązania, bez których gremium, liczące finalnie od 180 do 190 osób, nigdy nie doszłoby do porozumienia. Panował na przykład zwyczaj, że posłowie ziem mniej ludnych i wpływowych orientowali się na przedstawicieli głównych województw i prowincji. Oddawali im głos, odnosili się do ich postulatów, pozwalali im wieść prym, jeśli nie stało to w jawnej sprzeczności z wolą ich regionu. Dla porządkowania obrad wielkie znaczenie miały też decyzje sejmików ziemskich. Każdy poseł przyjeżdżał na sejm z instrukcją. Zdarzało się, że były to dokumenty niezwykle długie i zawiłe. Często zawierały nawet i sto kilkadziesiąt spraw, które chciano przedstawić sejmowi. Lokalne posiedzenie mogło wymagać od posła absolutnej wierności instrukcji, ale mogło też polecić mu, żeby „nie kontradyktował zgodzie” — a więc nie hamował kompromisów. Jeszcze w pierwszej połowie XVII stulecia w dobrym guście były właśnie instrukcje względnie otwarte, pozwalające swobodę działania i dążenie do zgody. Nigdy jednak nie zapisano w prawie, że takie być muszą^[189].



Awantura sejmowa na obrazie Jana Czesława Moniuszki pt. *Liberum veto*.

Sukces obrad zależał od tego, czy posłowie będą mieć wykształcenie i odpowiednią ogładę. Od tego, czy do izby trafi wystarczająco wielu doświadczonych, niejako zawodowych, deputowanych, zdolnych wpoić nowicjuszom właściwy tryb działania. Ale i od poziomu uświadomienia całej społeczności szlacheckiej zbierającej się na sejmikach ziemskich. To oddolnie decydowano przecież, czy do Warszawy pojedzie rozpijaczony warchoł, czy utalentowany i skuteczny mówca, pragnący szukać zgody. I czy którykolwiek z nich będzie mieć zapewnione właściwe pole działania.

Takie ramy demokracji szlacheckiej zrodziły się w czasach doskonałej prosperity gospodarczej, stabilności państwa, rozkwitu kultury, względnego pokoju. I zupełnie nie przystawały do jakichkolwiek innych okoliczności.

Wśród bardzo nielicznych ścisłych reguł sejmowania był nakaz dotyczący długości obrad. W artykułach henrykowskich zapisano, że każdy sejm zwyczajny ma trwać sześć tygodni.

Potem uściślono jeszcze sposób liczenia tego okresu. Parlament miał być zamykany w tym samym dniu tygodnia, w którym nastąpiło jego otwarcie. To zaś oznaczało, że cała sesja trwała 43 dni. „Była to obligatoryjna długość obrad, do której przywiązywano niezwykłą wagę” — podkreśla historyczka prawa Izabela Lewandowska-Malec. Limit służył dyscyplinowaniu zebranych. Miał, jako jedyne ograniczenie, hamować skłonność do gadulstwa i zbędnych peror. Trzymanie się harmonogramu też wymagało jednak kultury i świadomości obywatelskiej. Nagminnie zdarzało się więc, że tuż przed końcem terminu wciąż nie ustalono żadnych wniosków. Nie zawsze na finale udawało się odwrócić bieg rzeczy. Już za panowania Zygmunta III Wazy, a więc w latach 1587–1632, sześć sejmów rozeszło się bez powzięcia jakichkolwiek uchwał. Zjawisko przybrało jeszcze na sile za czasów Władysława IV Wazy. Ratunkiem mogło być prolongowanie obrad za zgodą posłów. Nie istniała jednak w tej kwestii ścisła procedura, wszystko zależało od dobrej woli reprezentantów ziemiaństwa. A praktyka pokazała, że zawsze wielu deputowanych śpieszyło się do domów, stawiało powrót z sejmu ponad sprawy państwa^[190].

Niektórzy badacze twierdzą, że XVII stulecie przyniosło „rozchwianie systemu wartości” polskich szlachciców. Ale rzecz da się przecież ująć o wiele prościej. Załamanie klimatu, nasilający się kryzys gospodarczy i postępujące ubożenie szlachty sprawiały, że sobiepanowie nawet mniej niż wcześniej myśleli o ideach i interesach ogółu. Pochwała kompromisu, tolerancji i szacunku, przychodząca z łatwością, gdy każdemu było dobrze, ustępowała miejsca krzykactwu i nawoływaniom do rozwiązań skrajnych. Gdy zagrożone były osobiste dochody właścicieli folwarków, na kraj spadały kolejne zarazy, powodzie

i klęski głodu, a wojny, toczone wbrew woli szlachciców, przybierały coraz gorszy obrót, chętniej niż kiedykolwiek szukano winnych, prowokatorów; wszędzie dopatrywano się spisków i zamachów na złote wolności. Słowem, zwyciężał populizm. Trafnie pisał o tym anonimowy publicysta z czasów Zygmunta III Wazy. W druku *Proteus i Tyrezyjas polski* przedstawił niby to instruktarz, a w rzeczywistości krytykę coraz popularniejszego sposobu dochodzenia do władzy. „Naprzód jedź na sejmiki, bierz z sobą sąsiadów. Nie przepuszczaj świętym, nie folguj królowi” — wyliczał. Bezwzględne atakowanie i opluwanie każdego miało pewnikiem sprawić, że roztrzęsione rzesze drobnych ziemian i szaraków „wybiorą cię posłem”. Na tym rzecz się jednak nie kończyła. Populista pragnący utrzymać się przy korycie, a więc zagwarantować sobie ponowny wybór, miał tak samo postępować również w trakcie obrad sejmowych. Gdy wypływał temat praw i swobody, on miał wołać „pełną gębą”, „wrzeszczeć w uszy obie” o tym, jak kocha wolność. Potem miał zaś „wylać swój jad”, oddawać się słowolejstwu, zatrważać ludzi, „siać dziwne nowiny”, grozić buntami oraz potajemnymi zjazdami. I ciągle liczyć na to, że gdy ktoś inny poniesie krzywdę, to on coś sobie „zerwie”, skorzysta i zarobi[191].

Warcholstwo, wcześniej powszechne w życiu lokalnym, w sądach i prywatnych konfliktach, na dobre zadomowiło się na szczytach władzy. Oczywiście z takim zjawiskiem mierzono się nie tylko w tej epoce i nie tylko w Rzeczypospolitej. U nas jednak nikt nie był w stanie pohamować degrengolady. Dawniej, w wieku XVI, zwłaszcza w jego pierwszej połowie, nadużycia, ekscesy, próby testowania granic tego, co dopuszczalne i przyzwoite, usiłowali powściągać królowie.

W wieku XVII nie mieli już jednak koniecznej ku temu władzy czy choćby nieformalnego autorytetu.



Wspólne obrady izby poselskiej i senatu za panowania Jana III Sobieskiego. Drzeworyt z lat 90. XVII wieku.

Już w 1592 roku zdarzyło się, że grupa posłów głośno obaliła pomysł prolongowania obrad i rozjechała się do domów, faktycznie zrywając sejm. W 1597 roku część deputowanych 43. dnia po prostu opuściła Warszawę, a inni nie dali się przekonać do kontynuowania posiedzeń w pomniejszonym gronie. W 1637 roku, gdy po raz pierwszy za panowania Władysława IV Wazy doszło do tego, że sejm rozszedł się, nic nie uchwalwszy, jeden ze świadków wydarzeń, kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł zanotował bez większych emocji: „Cóż dziwnego? Często w czasie pokoju sejmy były zrywane. Dopiero gdy czasem położenie stawało się trudne i nieprzyjaciel sięgał nam

karku, dokonywała się powszechna zgoda. A gdy strach minął, wolne umysły burzyły się i nie chciały przystosować się”. Trudno o trafniejszy komentarz.

Dwa lata później pojedynczy poseł Jerzy Lubomirski odmówił przedłużenia obrad, bo podobno zabraniała mu tego instrukcja sejmikowa. Przekonał reprezentantów Mazowsza i obrady zakończyły się fiaskiem. Wreszcie w 1652 roku poseł z Upity w ziemi trockiej, Władysław Siciński, rzucił krótkie: „Ja nie pozwalam na prolongację” i natychmiast wyszedł z izby. Nie szukał poparcia, nie dyskutował. „Zdezorientowani posłowie nie wiedzieli zrazu, jak się mają zachować” — komentował profesor Zbigniew Wójcik. Wreszcie postanowiono, wbrew dawnym tradycjom i sposobom dochodzenia do zgody, że jeden wolny sprzeciw, *liberum veto*, też jest ważny i że w takim razie sejm należy rozwiązać.

Zajście było żywo komentowane i potępiane. Kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł nazwał Sicińskiego „najgorszym z ludzi”, ganił go za to, że „wystawił Rzeczpospolitą na pośmiewisko losu”. Inny uczestnik wydarzeń stwierdził nawet ostrzej, że oto „sejmowi requiem zaśpiewano”. „Żeby tylko nie było to zarazem requiem Polski” — dodał. Ale przecież o szoku wcale nie mogło być mowy. Sprawy zmierzały w takim, a nie innym kierunku od dawna[192].

Do ostatecznego upadku szlacheckiej kultury politycznej doszło po potopie szwedzkim, w drugiej połowie XVII stulecia i na początku wieku XVIII. Był to okres kryzysu edukacji, zaniku piśmiennictwa i sztuki oratorskiej, zawężających się stale horyzontów umysłowych. Niektórzy badacze kwestionują skalę intelektualnej katastrofy, jaka wówczas nastąpiła. Na przykład jedna z pierwszych polskich encyklopedii, *Nowe*

Ateny Benedykta Chmielowskiego, wydana w roku 1745, nie jest już jednoznacznie wyśmiewana z uwagi na wzmiankę o tym, że jaki jest koń, „każdy widzi”. Coraz częściej komentuje się, że autor przejawiał jednak całkiem zdroworozsądkowe podejście, był uczciwy wobec czytelników, pisał wprawdzie o różnych absurdach, ale zwykle podkreślał, że nie są one potwierdzone i niekoniecznie sam w nie wierzy. Nie przekonywały go chociażby argumenty o istnieniu mitycznych feniksów albo ludzi z tak wielkimi uszami, że potrafili okrywać nimi całe ciała. Ci drudzy jego zdaniem mogli być co najwyżej jakimś rodzajem „małp albo koczokodanów”[\[193\]](#). Nie da się jednak zaprzeczyć, że właśnie po serii krwawych wojen i w obliczu wyniszczenia kraju tryb życia publicznego zaczęły wyznaczać ksenofobia, obskurantyzm, ciemnogród. W nowej rzeczywistości nikt się już nie dziwił zaściankowym nawoływaniom w rodzaju „bij Francuza, bij, wzięwszy dobry kij” albo wierszom, jak następujący: „W Rzeczpospolitej nie masz nic gorszego, niż gdy cudzoziemca przyjmą za swojego”. Uprzedzenia stały się powszechne, zresztą także wobec krajanów i innych szlachciców[\[194\]](#).

Potop, a więc kataklizm, z jakim Rzeczpospolita nie miała do czynienia nigdy wcześniej, nie otrzeźwił panów herbowych. Wprost przeciwnie. Gdy dwór królewski zaproponował nowe reformy, licząc, że w chwili upadku uda się je przeprowadzić, doszło wprost do wojny domowej — rokoshu Lubomirskiego — w obronie starego porządku. Ogół szlachty żywił przekonanie, że może i na skutek wrogich najazdów i okupacji umarły miliony ludzi, zaś tysiące miejscowości zamieniono w zgliszcza, ale przecież Rzeczpospolita przetrwała. Widocznie więc złota wolność wymagała tylko dalszego hołubienia[\[195\]](#).

W 1668 roku pojedynczy poseł znów udaremnił prolongowanie obrad sejmu. Tym razem nikt nawet nie próbował go przekonywać, nie zastanawiał się nad konsekwencjami. W 1669 roku, przy okazji koronacji Michała Korybuta Wiśniowieckiego, po raz pierwszy zerwano sejm, jeszcze zanim minął obowiązkowy okres deliberacji. Z wcześniejszych konstytucji i precedensów jasno wynikało, że takie stosowanie *liberum veto* nie jest dozwolone, ale przecież posłowie tego czasu niewiele wiedzieli o zwyczajowych lub formalnych normach i jeszcze mniej się nimi przejmowali. Znany moralista szlachecki Andrzej Maksymilian Fredro zachwycał się, że *liberum veto*, którym coraz chętniej szafowano, to „rozumna broń w ręku rozumnych i cnotliwych” panów. W rzeczywistości była to raczej broń w rękach magnatów, którym paraliż sejmów był często na rękę i którzy teraz mogli blokować obrady tylko dzięki skaptowaniu lub przekupieniu pojedynczych krzykaczy.

Od czasu Sicińskiego i jego wolnego sprzeciwu do śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego w 1673 roku bez uchwał rozeszło się dziesięć sejmów — a więc ponad 40 procent wszystkich. Po wstąpieniu na tron Jana Sobieskiego w roku 1674 nastąpiła chwilowa poprawa, ale od lat 80. XVII stulecia obrady znów nagminnie zrywano. Po sławnej odsieczy wiedeńskiej rzecz dotyczyła już większości sejmów. Gdy zaś koronę oddano w ręce królów z dynastii Wettynów, faktyczna działalność parlamentu niemalże zamarła. Za długich, trzydziestoletnich rządów Augusta III (1733–1763) tylko dwa razy udało się doprowadzić obrady do finału. A właściwie jeden raz, bo drugi przypadek dotyczył ceremonialnego sejmu koronacyjnego. Zresztą, nawet kiedy posłowie się zbierali, kultura obrad wołała o pomstę do nieba. Nic dziwnego, że

angielski dyplomata George Woodward zachwycał się w 1729 roku oglądanym posiedzeniem polskiego parlamentu: „Cieszę się, że mogłem widzieć ten bałagan, bowiem myślę, że na całym świecie nie ma niczego podobnego”.

W sytuacji, gdy w centrum nie dało się podejmować żadnych decyzji, Rzeczpospolita jako państwo istniała już głównie na mapach. Nastąpiła, by zacytować historyka prawa Bogusława Leśnodorskiego, „pełna decentralizacja suwerenności”. Faktyczna, bieżąca władza na dobre przeszła w ręce sejmików ziemskich. Tam teraz uchwalano podatki, a nawet organizowano lokalne skarbcze czy wojska. W obliczu duszącej przewagi magnatów nie były to jednak, po staremu, zgromadzenia reprezentujące średnią szlachtę. Na dobre przyjęła się prosta zasada: „kto najmożniejszy, ten najwolniejszy”. A więc: ten ma dyrygować resztą[196].

X. POSPOLITE RUSZENIE. DLACZEGO SZLACHTA NIE CHCIAŁA WALCZYĆ ZA POLSKĘ?

Lista szlacheckich przywilejów i uprawnień była długa, a przez stulecia stale przybywało na niej pozycji. Co do obowiązków — tych nie trzeba nawet wyliczać. Formalnie na polskich panach herbowych ciążyło tylko jedno bezwzględne zobowiązanie, od którego w świetle prawa nie mogli się wymigać. W zamian za swój status szlachcic miał bronić ojczyzny^[197].

Na pierwszy rzut oka można by odnieść wrażenie, że elita bardzo poważnie podchodziła do takiego ciężaru. Dość typowy komentarz wyraził u schyłku XVI stulecia anonimowy autor traktatu *Naprawa Rzeczypospolitej do elekcji nowego króla*. Pisał z emfazą, że każdy syn szlachecki rodzi się jako *miles regni*, żołnierz królestwa. Nawet nie od kołyski, ale od pierwszego oddechu jest przeznaczony do „konia, zbroi, szabli”. Z racji samego pochodzenia zawsze jest też gotowy i chętny stawać orężnie w obronie „potrzeb matki swej Rzeczypospolitej”. Łukasz Górnicki na kartach *Dworzanina polskiego* podobnie przekonywał, że życiowym powołaniem

człowieka wysokiego stanu jest „rzemiosło rycerskie” i zdobywanie sławy za sprawą „męstwa” oraz „siły”.

Chętnie rozpisywano się o tym, że obecność szlachty jest gwarantem bezpieczeństwa kraju i podstawą jego potęgi — bo przecież to panowie zdobywali ziemie, odpierali najazdy i zasiewali strach w sercach wrogów. Nieobce szlachcicom było także przekonanie, że właśnie zasługi wojenne uzasadniały ich samowolę i wszechwładzę w innych dziedzinach. Andrzej Frycz Modrzewski, nieodmiennie krytyczny wobec najwyższego stanu, komentował w połowie XVI wieku, że według szlachciców służba zbrojna uprawniała ich do kreowania wszelkich przepisów, do dręczenia chłopów i mieszczan, wreszcie nawet do morderstw plebejów. Wszystko, na co pozwalali sobie Sarmaci, miało być nagrodą — według Modrzewskiego „haniebną” — za „męstwo”[\[198\]](#).

O tym, że ideał żołnierski czy też rycerski nie był domeną pisarzy politycznych, ale znajdował poklask wśród rzesz szlacheckich, dobrze świadczą chociażby portrety ziemian — te zwykłe, wieszane we dworach, ale i trumienne. Panów chętnie przedstawiano nie tylko w żupanach i kontuszach, lecz także w rynsztunku wojennym. Jeszcze lepszy przykład stanowią rzeźby nagrobne, wykonywane na zlecenie szczególnie zamożnych szlachciców i magnatów. W XVI wieku, jeśli ktoś zlecał dla siebie (lub dla zmarłego krewnego) taki posąg czy też płaskorzeźbę, niechybnie wybierał wyobrażenie wojskowe. Postać przedstawiano w pełnej zbroi, zakutą w metal od stóp do głów, tylko ze ściągniętym szyszakiem, dla ukazania twarzy. Andrzej Wyczański, który swego czasu pochylił się nad tym zagadnieniem, zwrócił jednak uwagę, że zbroje z nagrobków nie wyglądały wcale tak, jak te, które noszono na polu bitwy. Były to rekwizyty paradne czy wręcz

fantastyczne, istniejące raczej w wyobraźni artysty niż w rzeczywistości. „Nawet jeśli szlachcic podobną zbroję posiadał, co należało do rzadkości, wątpliwe, by miał kiedykolwiek okazję albo ochotę ją przywdziać” — komentował Wyczański. Powszechne szlacheckie zamiłowanie do wojaczki było bowiem taką samą fikcją jak opisany rynsztunek[\[199\]](#).



Pospolite ruszenie u brodu. Obraz Józefa Brandta.

Szlachcice wychwalali własne męstwo i zbrojne zasługi przodków, podkreślali — jak pewien autor z drugiej połowy XVI wieku — że przy lada okazji są gotowi „gardło”, a więc życie, „dla rzeczy pospolitej [od]dać”. Te pyszałkowane pohukiwania stały jednak w jawnej sprzeczności z drugim, rustykalnym i sobkowskim ideałem: wizją spokojnego, bezpiecznego i beztroskiego życia w majątku ziemskim. Jak ostro stwierdził badacz szlacheckiej literatury Sławomir Baczewski, mamy tu do czynienia wprost ze „swoistą schizofrenią”. Szlachcice jednocześnie widzieli w sobie dzielnych rycerzy i wzywali do zarzucenia rycerskich zajęć oraz niebezpieczeństw na rzecz relaksującej wiejskiej egzystencji. Pierwsza postawa była popularna w słowie, piśmie, rzeźbie. Druga nie tylko znajdowała wyraz w kulturze, ale była też realizowana w życiu, na masową skalę[200].

Już w XV wieku typowy szlachcic spoglądał niechętnie na perspektywę obowiązkowej służby zbrojnej. W wieku XVI — gdy ostatecznie ugruntował się pełen dyktat panów herbowych nad resztą społeczeństwa — postawą dominującą stał się pacyfizm. Ziemianin względnie zamożny, obdarzony własnym majątkiem, kochał się w idei męstwa, ale brzydził wojną, a już zupełnie był przeciwny jakimkolwiek wyprawom zaczepnym. Jan Kochanowski niewiele przesadzał, gdy pisał, że właściciele folwarków oddawali stare przyłbice na gniazda dla kwok, a ojcowskich mieczy używali jako pogrzebaczy lub przekuwali je na narzędzia rolnicze. Podobnie Piotr Skarga narzekał, że wielu niby to rycerzy nie umiało „na konia wsiąść i osiodłać go i do potrzeby przyprawić”. Komentarze trącą fikcją, ale tylko dlatego, że miecze i przyłbice, choć nieużywane do celu, jaki im zamierzono, dobrze nadawały się na scenografię. Herbownik zdawał sobie sprawę, że lepiej na ich tle opowiadać

o — prawdziwych lub zmyślonych — bojach antenatów, niż chować zaśniedziały rynsztunek w kurniku. Co zaś do jazdy konnej, trudno było się bez niej obyć w codziennej egzystencji. Czym innym była jednak wycieczka stępem do sąsiada, z pomocą służby stajennej, czym innym zaś użycie konia w kampanii wojskowej albo tym bardziej na polu bitwy.

Zanik potencjału zbrojnego szlachty nie był ogółem dla trzeźwych obserwatorów tajemnicą. Andrzej Frycz Modrzewski, nigdy niemiarkujący słów, rzucił bezkompromisowo, że szlachta straciła zdolność do obrony kraju, a tym samym należałoby przemyśleć sens dalszego istnienia stanu uprzywilejowanego. Żaden apologeta herbów, cnoty i czystej krwi nie wygłosiłby podobnego komentarza. Ale to nie znaczy, że sami ziemianie nie rozumieli problemu. Rozumieli, natomiast odnosili się do niego w sposób jasno wskazujący, że nie byli zdolni pogodzić się z sytuacją. Na przykład Mikołaj Rej w jednym z utworów przyznał, że stan obrony państwa jest ogółem naganny. W innym dał jednak wyraz panującemu mitowi i stwierdził z dumą, że polskie wojsko jest zdolne pobić dowolnego wroga. Zupełnie jakby jedna opinia nie przeczyła drugiej[201].

Kupą, mości panowie

Obowiązek obrony ojczyzny przez szlachtę znajdował wyraz w instytucji nazywanej pospolicym ruszeniem. Nie była ona polskim unikatem, przynajmniej nie pierwotnie. W średniowieczu zupełnie powszechnie panował model, w myśl którego każdy właściciel ziemski miał obowiązek na własny koszt stawiać się osobiście na wyprawach zbrojnych,

zwykle wraz z niewielkim oddziałem, poczem. Była to podstawa całej sztuki wojennej przez kilka stuleci. O ile jednak zwoływanie rycerstwa do walki z wrogiem zdawało sprawdzian w wiekach XII czy XIII, o tyle u schyłku epoki uchodziło już za rozwiązanie archaiczne.

Jak komentował profesor Jarema Maciszewski, w XV stuleciu „rycerstwo w całej Europie zeszło z pól bitewnych”, zastępowane przez armie złożone z płatnych żołnierzy zaciężnych. Ci też byli często szlachcicami, ale nie wysyłanymi do boju z doskoku, w ramach powszechnego nakazu, lecz bijącymi się z własnej woli. Słowem — byli zawodowcami, dla których wojaczka stanowiła karierę. W nowym systemie za obowiązek ogółu szlachty osiadłej uważano nie osobiste stawiennictwo z koniem i bronią w miejscu zbiórki, ale opłacanie podatków potrzebnych do werbunku wojska. Armie nowożytne w efekcie często były mniej liczne, lecz o wiele lepiej wyszkolone, uzbrojone i zdyscyplinowane — przynajmniej jeśli mowa o dyscyplinie w trakcie bitwy.

Niknąca wartość tak zwanych wypraw powszechnych, *expeditio generalis*, wyszła w Polsce na jaw równie wcześnie, co w krajach ościennych. Była już mowa o kamieniu węgielnym Rzeczypospolitej szlacheckiej — przywileju z roku 1454, wymuszonym nie gdzie indziej, a w obozie pospolitego ruszenia, gdy zebrani zagrozili, że bez walnych ustępstw króla nie przystąpią do walki z Krzyżakami. Wypada uzupełnić drugą część tej historii. Przywilej cerekwicki został wydany 15 września. Trzy dni później armia polska, złożona w zdecydowanej większości z mas szlacheckich, przystąpiła do bitwy ze słabszym liczebnie wojskiem zakonnym. Po stronie polskiej było 16 tysięcy jazdy i przynajmniej kilkuset żołnierzy

piechoty. Po stronie krzyżackiej — jakieś 15 tysięcy wszystkich zbrojnych. Była to jednak armia zawodowa. Siły polskie dały się oflankować, niewyćwiczeni szlachcice łatwo wpadli w panikę i rzucili się do ucieczki. Wobec powszechnej rejterady także król był zmuszony uchodzić z pola bitwy. Zginęło co najmniej 3 tysiące osób, w tym kilku naczelnych dowódców, trzystu rycerzy dostało się do niewoli. Dla porównania wojsko zakonne straciło tylko stu żołnierzy. Jak podkreślał najlepszy badacz tematu, profesor Marian Biskup, równie straszna klęska nie zdarzyła się nigdy wcześniej w burzliwych dziejach relacji polsko-krzyżackich. Po bitwie ani jednak nie odwołano przywilejów, na które szlachta nie zdołała przecież zapracować orężem, ani nawet nie wprowadzono radykalnych reform zbrojnych.

Na Zachodzie podobne porażki dawały zwykle impet potrzebny, by zastąpić rycerstwo wojskiem zaciężnym o stabilnym finansowaniu. W Polsce też podejmowano, zwłaszcza w stuleciu XVI, próby zmierzające w takim kierunku. Wszystkie spaliły jednak na panewce. Szlachta nie zgadzała się ani na to, by płacić stałe podatki na wojsko, ani na uiszczanie takich podatków przez swych poddanych, ani nawet na wprowadzenie możliwości zamiany obowiązku osobistego udziału w walce na opłatę pieniężną. Jakby tego było mało, sejm i sejmiki ukróciły wszelkie próby unowocześnienia pospolitego ruszenia. Instytucja ta wrosła w polski ustrój, zachowując archaiczne, skamieniałe reguły rodem ze średniowiecza. Wciąż były one w mocy w wieku XVIII, a nawet później. Pospolite ruszenie zwoływano bowiem jeszcze w powstaniu kościuszkowskim, następnie zaś w czasach Księstwa Warszawskiego (początek XIX stulecia), by wesprzeć zawodowe wojsko napoleońskie^[202].

Pospolite ruszenie mógł zawezwać tylko król za radą panów, a od drugiej połowy XV stulecia za aprobatą sejmującej szlachty. Robił to, rozsyłając tak zwane wici. Nie jest całkiem jasne, co pierwotnie kryło się za tym słowem. Za wici mogła służyć wiązka gałęzi albo pęk powrozów, ewentualnie specjalna laska. W każdym razie jakiś symbol kary, niby to różgi, grożącej temu, kto nie usłucha wezwania. W dobie nowożytnej w praktyce wiciami był jednak po prostu odpowiedni dokument królewski z pieczęcią. Marcin Kromer w wieku XVI uważał wręcz, że nazwa wici wzięła się od przywiązywania tych proklamacji wiciami, powrozami, do wysokich żerdzi, tak by były z daleka widoczne. Wici kierowano do kasztelanów i wojewodów z poszczególnych obszarów kraju. Ci mieli obowiązek zadbać, aby ich ludzie objechali „miejsca zwykłe”, gdzie chętnie gościła szlachta lub gdzie przebywali szlacheccy służący. Tam rozgłaszano wezwania i przybijano ich kopie.

Obyczaj nakazywał rozsyłać wici trzykrotnie, każde kolejne po upływie dwóch tygodni, tak że cały proces zajmował miesiąc. „Pierwsze wici oznajmiały o grożącym niebezpieczeństwie i były niejako zapowiedzią spodziewanej wyprawy pospolitego ruszenia” — tłumaczy historyk Leszek A. Wierzbicki. „Powtórne, czyli drugie wici, potwierdzały potrzebę udziału szlachty w wojnie i wymagały od niej należytego przygotowania się na wyprawę. Wreszcie trzecie, a zarazem ostatnie wici, oznaczały konieczność zebrania się ziem, powiatów i województw na miejscu odbywanych zwyczajowo sejmików”. Stopniowo stało się swoistą normą, że dla zaoszczędzenia czasu królowie wydawali jednocześnie pierwsze i drugie wici. W 1653 roku zdarzyło się nawet, że Jan Kazimierz Waza wydał wici tylko raz: „pierwsze za drugie

i ostatnie trzecie”. Takie rozwiązanie musiało jednak budzić opór szlachty i nieunikniony zamęt, nie pozostawiało bowiem niemal żadnego czasu na przygotowania[203].

Pospolite ruszenie obowiązywało przez wieki, ale nigdy nie udało się określić precyzyjnie, kto i w jakim zakresie ma obowiązek w nim uczestniczyć. Statuty Kazimierza Wielkiego nakazywały, by do walki stawiał się osobiście nie każdy szlachcic, ale tylko każdy posesjonat — ten, kto posiadał dobra ziemskie na prawie rycerskim. Odnośny przepis zawierał poza tym zastrzeżenie, wygodne dla herbovníków, że szlachcic ma obowiązek przybyć na wyprawę, „jak najlepiej potrafi”. To, ilu ludzi poza sobą samym przyprowadził właściciel danego folwarku czy kompleksu dóbr, zależało więc od jego woli, ewentualnie od nacisku lokalnej społeczności. Pan jednej wioski mógł przyjechać na przykład w towarzystwie dwóch pachołków, a właściciel dziesięciu osad — z całą grupą uzbrojonych krewniaków i ciżby. Ale formalnie nic nie broniło temu drugiemu też stawić się tylko z dwojgiem ludzi, albo w pojedynkę, mimo że był prawdziwym bogaczem. Próby rachowania wartości dóbr i wiązania obowiązków z dochodami albo ilością posiadanej ziemi, zostały ukrócone. Marcin Kromer mógł więc słusznie ubolewać nad samowolą, która, w połączeniu z „upadkiem karności i zaufania”, przynosiła niemałe „szkody i krzywdy całej Rzeczypospolitej”.

Niejasne były też reguły osobistego stawiennictwa. W wybranych przypadkach posesjonat mógł zamiast siebie wysłać zastępcę, „zachodźcę”. Lista dopuszczanych wyjątków z czasem rosła. W XVI wieku przyjmowano, że uciec od służby w pospolitym ruszeniu mogą chorzy (o ile dostali zwolnienie od króla lub wojewody), urzędnicy państwowi, duchowni posiadający prywatną ziemię, poza tym zaś małoletni i starcy,

choć nie wskazano ścisłej granicy wieku, kwalifikującej do tych grup. Pojawiały się tylko nieoficjalne wytyczne. Na przykład Jan Ostroróg twierdził, że w pospolitym ruszeniu powinni brać udział ludzie mający co najmniej 20, ale nie więcej niż 60 lat.

Należy też dopowiedzieć, że ogólne zasady, praktykowane w Wielkopolsce i Małopolsce, nie wszędzie udało się wprowadzić w życie. Szlachta z regionów, w których dominowały zaścianki i gdzie ubodzy szaraczkowie własnoręcznie uprawiali spłachetki ziemi, żadną siłą nie była zdolna wystawiać żołnierza w rynsztunku z każdego gospodarstwa. Gdy na przykład w roku 1567, w obliczu „gwałtownej potrzeby” wojennej, wyprawę powszechną próbowano zwołać w ziemi bielskiej na Podlasiu, na miejsce zbiórki ściągnęły masy biedaków bez zbroi, a nawet bez koni, nie mówiąc o zapasach. „Niedługo po przybyciu znaczna część pospolitaków zaczęła głodować” — pisze historyk Emil Kalinowski. Z konieczności na Mazowszu, Podlasiu i w części województwa lubelskiego utwierdziła się reguła, w myśl której na pospolite ruszenie przybywał nie każdy właściciel ziemski, ale najczęściej jeden zbrojny na każde 10 łanów (około 170 hektarów) gruntu. W praktyce więc jeden na kilka lub nawet kilkanaście domostw chudopachołkowskich.

Za zignorowanie wici groziły najsurowsze konsekwencje. We wczesnym okresie można spotkać się ze wzmiankami o obowiązujących karach śmierci albo utraty szlachectwa. W praktyce jednak ci, którzy uchylali się od udziału w pospolitym ruszeniu, musieli się liczyć nie z egzekucją, a z utratą majątku ziemskiego. Podobnie jak w przypadku nagany szlachectwa, prawa nie egzekwowała władza zwierzchnia, pozbawiona skutecznych narzędzi nacisku. Robili

to inni szlachcice. Delator, czyli donosiciel, mógł liczyć na połowę lub nawet całość skonfiskowanych dóbr, nie brakowało więc interesownych ciekawskich, chętnych kontrolować, czy sąsiedzi wywiązują się z obowiązków. W konsekwencji na zbiórki przybywano gremialnie, a po rozpuszczeniu pospolitego ruszenia równie gremialnie zgłaszano się do wojewodów i kasztelanów po pisemne zaświadczenia o odbyciu służby. Badacz tematu, profesor Karol Łopatecki, twierdzi wręcz, że wydawanie takich dokumentów należało do „najważniejszych zadań” wspomnianych urzędników^[204].

Samo przybycie na zbiórkę jeszcze nie oznaczało, że szlachcic faktycznie weźmie udział w kampanii. Zgromadzeni przystępowali do tak zwanego popisu, podczas którego sprawdzano ich uzbrojenie i gotowość do walki. Kontrola nie zawsze dawała korzystne rezultaty. Na przykład w roku 1497, podczas popisu prowadzonego w ziemi wiskiej, spośród 404 przybyłych szlachciców połowę zwolniono z obowiązku, bo zupełnie nie nadawali się do wojaczki. Wielu odesłano do domów z powodu wieku, chorób, inwalidztwa, ale aż 46 procent dlatego, że okazali się zbyt biedni, by zapewnić sobie broń i zaopatrzenie. Tylko reszta została zaprowadzona do zamierzonego obozu całej armii.

Ogólny potencjał liczebny pospolitego ruszenia nie jest łatwy do określenia. Pewne szacunki prowadzono w kontekście lokalnym, szersze statystyki są znane co najwyżej w odniesieniu do ostatnich wypraw powszechnych, z czasów Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Jedno nie ulega w każdym razie wątpliwości: przytłaczająca większość szlachciców wcale nie brała udziału w pospolitym ruszeniu. A więc nie realizowała nawet tego jedyne go obowiązku, który ponoć uzasadniał ich wyjątkową pozycję.

Powszechne pospolite ruszenie, takie z udziałem szlachty z całego kraju, miało być obowiązkowo prowadzone do boju osobiście przez samego króla. Wojsko wolno było przetrzymywać w punkcie zbornym tylko przez dwa tygodnie, co, jak podkreśla Karol Łopatecki, w praktyce uniemożliwiało pełną mobilizację. Poza tym sił pospolitego ruszenia nie wolno było dzielić na części, co z kolei wykluczało walkę manewrową czy nawet wdrożenie jakiejkolwiek strategii działań. Szlachta wyrażała pogląd, wyniesiony ze średniowiecza, ale w dobie nowożytnej kompletnie nonsensowny, że celem wyprawy powszechnej jest wydanie przeciwnikowi jednej walnej bitwy. Po skutecznym pognębieniu wroga dumne szeregi miały się rozejść do domów. Dla uzasadnienia takiej postawy panowie herbowi niezwykle chętnie przytaczali wzór rzymskiego wodza Cyncynata, który podobno w obliczu inwazji porzucił wiejskie życie i przejął władzę. Ledwie jednak zagrożenie zostało usunięte, a natychmiast zrzekł się urzędu i powrócił do swojej posiadłości, by kontynuować prowincjonalną sielankę. Każdy polski sobiepan widział siebie właśnie jako Cyncynata. Ale już inny rzymski wzorzec — zawodowego legionisty, przez całe dekady służącego w państwowej armii — zupełnie do niego nie przemawiał.

Wprawdzie formalnie ograniczano tylko długość wypraw zagranicznych (do trzech miesięcy, i to za dodatkową, sową zapłatą), ale ustaliła się jasna praktyka. Zwykle jedna znaczna bitwa, niezależnie od jej wyniku, wystarczała, by rzesze pospolitaków porzuciły służbę, przekonane, iż obowiązek został spełniony. Pospolitym ruszeniem nie dało się ani prowadzić złożonych kampanii, ani odpierać rozdzielonych sił wroga, ani strzec granicy. Każdy tydzień w polu sprawiał, że doraźnym żołnierzom ubywało zapasów, rosła natomiast ich

skłonność do anarchii, rozbojów, ogólnego rozprężenia. Poza tym normą był zupełny brak dyscypliny, nieposłuszeństwo rozkazom. Podczas bitwy każdy chciał działać wedle swej fantazji, a nie w myśl wytycznych płynących z góry[205].

Polskim królom nie trzeba było tłumaczyć, że pospolite ruszenie przedstawia wątpliwą wartość. Tym bardziej nikt nie musiał im mówić, że wyprawa tysięcznych rzesz szeregowej szlachty niesie z sobą ogromne niebezpieczeństwo dla władzy. Na czas pospolitego ruszenia zawieszano działanie sądów i urzędów, a zebrani, reprezentujący we własnej opinii ogół rycerstwa, czuli, że mogą się uważać za „sejm konny” i mieszać do wielkiej polityki. I faktycznie to czynili, o ile tylko jakiś trybun był zdolny skanalizować ich radykalnie rozbieżne oczekiwania i opinie.

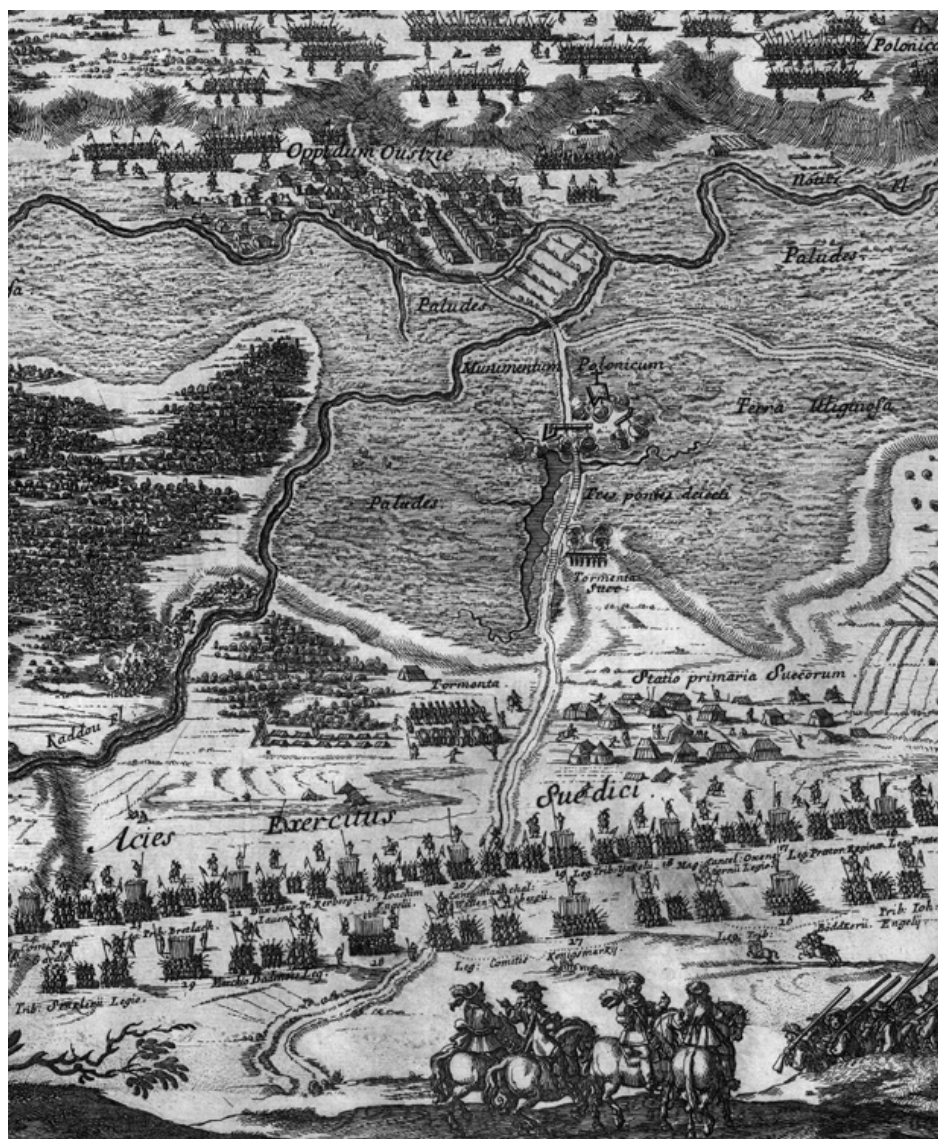
W 1537 roku uczestnicy pospolitego ruszenia, zamiast wydać bitwę wojsku mołdawskiemu, oblegli własnego króla, Zygmunta Starego, uwięzionego na zamku we Lwowie. Przez dwa miesiące trzymali monarchę w szachu, żądając dalszego ograniczenia jego uprawnień i pomnożenia własnych. Po tym doświadczeniu — zbyt frywolnie nazywanym „wojną kokoszą”, jakby krzywdę poniósł tylko inwentarz żywy chłopów spod Lwowa, nie zaś majestat tronu — władcy wyciągnęli nauczkę. Przez kolejne osiem dekad, aż do roku 1621, nie zwołano ani jednej ogólnokrajowej wyprawy powszechnej. Pospolite ruszenie było wykorzystywane tylko w skali lokalnej, w ograniczonych działaniach, albo w walce z rozbójnikami — niekoniecznie zresztą z dobrym skutkiem[206].

Wojny prowadzone od połowy XVII stulecia wymusiły ponowne sięganie po wyprawy powszechne, ale dorobek tych ogólnoszlacheckich ekspedycji okazał się wprost kompromitujący. Z nielicznych sukcesów nie wyciągano

korzyści. Na przykład w 1651 roku pospolitacy pomogli rozbić siły kozacko-tatarskie pod Beresteczkiem. Ledwie jednak odtrąbiono sukces, a szlachta zaczęła się rozpierzchać do domów. Przeciwnik natomiast szybko odzyskał siły i znów zagroził Rzeczpospolitej[207].

Nawet wątpliwych triumfów nie było w dziejach pospolitego ruszenia wiele, za to epizodów zupełnie haniebnych — mnóstwo. W lipcu 1655 roku, w obliczu zmasowanej inwazji szwedzkiej, całe pospolite ruszenie z Wielkopolski, w sile kilkunastu tysięcy mężczyzn, skapitulowało przed wrogiem i uznało zwierzchność obcego króla, Karola Gustawa. Szlachcice małopolscy wprawdzie tak łatwo się nie poddali, ale też nie przejawiali żadnej woli walki. Na miejsce zbiórki przybyli tylko nieliczni, głównie z tradycyjnej obawy przed konfiskatą majątku i po to, żeby w razie czego zyskać odpowiednie zaświadczenie. „Jesteśmy tu, żebyśmy byli, a nie żebyśmy się bili” — szydzili w obliczu katastrofy, jakiej kraj jeszcze nigdy nie widział. Bitwa z ich udziałem, stoczona pod Żarnowem 16 września, zakończyła się łatwą do przewidzenia klęską. Potem zaś pospolitacy gremialnie zdezerterowali, twierdząc, że zrobili swoje[208].

Już po potopie, w roku 1666, żołnierze pospolitego ruszenia dołączyli do buntu przeciwko królowi, tak zwanego rokoszu Lubomirskiego. W bitwie pod Maławami zabijali krajanów, gdy zaś zwyciężyli, przystąpili do bezwzględnej rzezi przeciwników. Niemal cztery tysiące członków polskiej armii zostało wówczas zabitych przez polskich szlachciców. Gdy potem grzebano ciała, okazało się, że wiele nosiło ślady nie jednego czy dwóch, ale siedmiu, ośmiu albo i dwudziestu cięć bądź uderzeń.



Wojska szwedzkie i polskie pospolite ruszenie pod Ujściem w 1655 roku.
Panorama autorstwa Erika Dahlbergha, opublikowana pod koniec XVII
wieku.

Za panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego, na przełomie lat 60. i 70. XVII wieku, pospolite ruszenie zwoływano często, ale raczej po to, by zastraszać wewnętrznych przeciwników politycznych niż dla prawdziwej potrzeby wojennej. W 1671 roku, gdy pokaz siły wobec Porty Otomańskiej wydawał się jednak konieczny, na miejsce koncentracji pod Lublinem stawili się tylko pospolitacy z Wielkopolski. Reszta szlachty, jak zwykle niechętniej wojnie i opieszałej, zignorowała wezwania, zasłaniając się decyzjami lokalnych sejmików. Rok później rzecz przebiegła jeszcze gorzej. „Wydarzenia rozgrywające się pod Gołębim i Lublinem ukazały zupełny upadek pospolitego ruszenia, które nie było nawet zainteresowane obroną granic państwa” — komentuje historyk Dariusz Kupisz. Szlachta, zamiast bić się z Turkami, poczęła grabić Lubelszczyznę, dając się we znaki mieszkańcom nawet bardziej niż jacykolwiek obcy najeźdźcy. Można jednak wyrażać wątpliwość, czy aby był to przejaw degrengolady. Przecież zupełny brak dyscypliny, politykierstwo i niechęć do walki cechowały pospolitaków od stuleci^[209].

Bilans całej instytucji powszechnych wypraw ziemskich wypada więcej niż ponuro. Pospolite ruszenie przydawało się właściwie tylko wtedy, gdy królowie byli zdolni do przekonującego fortelu. Na przykład Stefan Batory w 1577 roku rozesłał pierwsze i drugie wici, potem zaś, gdy mozolna kampania wydawała się nieunikniona, zaproponował szlachcie, by jednak uchwaliła podatki na wojsko zaciężne. Wówczas się udało, trzecie wici nigdy nie zostały wydane, a dwór otrzymał potrzebne środki^[210]. Zwykle jednak panowie ani nie chcieli zgadzać się na pospolite ruszenie, czyli osobiście stawać do boju, ani tym bardziej płacić, żeby zamiast nich walczyli zawodowcy.

Istnienie pospolitego ruszenia było w mniejszym stopniu straszakiem na szlachtę, która przecież w szczytowej epoce samowoli mogła ukrócić plan dowolnej wyprawy, w większym zaś — wygodnym mitem stymulującym pychę sobiepanów i ograniczającym pole manewru królów.

Typowy szlachcic rzadko albo w ogóle nie brał udziału w wyprawach powszechnych, ale jednocześnie wierzył, że państwo nie potrzebuje innej, silnej armii. Ugruntowała się wizja, objaśniona pod koniec XVI wieku przez Piotra Grabowskiego, zgodnie z którą nad Wisłą było tylu zdatnych żołnierzy, „mężów dobrych”, co szlachciców — a więc łącznie i setki tysięcy. Wyrażano przekonanie, że nawet nie mobilizacja pospolitego ruszenia, ale sama groźba rozesłania wici, powinna odstraszać każdego przeciwnika. Bo przecież „wždy ludzie czuli, żeśmy gotowi”.

Takie spojrzenie nie było zupełnie bezpodstawne. Źródła z epoki zdają się potwierdzać, że często i obcokrajowcy nabierali się na opowieści o potędze pospolitego ruszenia. Bzdurne twierdzenia trudno było przecież zweryfikować w sytuacji, gdy jak ognia unikano faktycznego zwoływania szlacheckich zastępów. Pewien włoski dyplomata goszczący nad Wisłą w 1588 roku stwierdził z zachwytem: „Pospolite ruszenie jest liczne i nader dzielne. Nie ma wątpliwości, że w krótkim czasie byłoby zdolne nie tylko do obrony kraju, ale nawet do napadów na granice Cesarstwa”. Francuski emisariusz z tego samego okresu, słuchający na każdym kroku, że w Polsce jest tylu żołnierzy, co panów herbowych, dał się z kolei przekonać, że cały sposób życia nadwiślańskich szlachciców „bardziej przypomina tryb obozowy niż domowy”. Zupełnie jakby byli antycznymi Spartanami, a nie coraz bardziej zblazowanymi posiadaczami ziemskimi^[211].

Mit walił się w gruzy dopiero w momentach sprawdzianu. I stąd brały się chociażby wywody niejakiego pana Payen, Francuza, który wkrótce po potopie usiłował odgadnąć, jakim cudem „król szwedzki na czele czterdziestu tysięcy ludzi podbił i spustoszył kraj, którego armia liczyła co najmniej dwieście tysięcy żołnierzy”. Twierdził, że „zostało to chyba spowodowane brakiem władzy [polskiego] króla, niewielkim rozsądkiem dowódców, niezgodą i buntami wybuchającymi nierzadko wśród wojska”[\[212\]](#). Diagnoza całkiem słuszna. Zasadniczej kwestii przybysz znad Sekwany jednak nie zrozumiał: że wspomniane 200 tysięcy to nie była armia, lecz niezdatna do boju hołota. I że prawdziwego wojska Rzeczpospolita miała tyle co na lekarstwo.

Mit husarii

Mit potęgi polskiego pospolitego ruszenia, tak popularny w XVI czy XVII wieku, nie przetrwał późniejszych dziejowych zawieruch. Dzisiaj powoływanie mas wieśniaczych do walki uchodzi już za temat żartów i wprost symboliczne niedociągnięcie Rzeczpospolitej. Doskonale trzyma się za to inna legenda. Zgodnie z nią nowożytna Polska mimo wszystko była zbrojnym mocarstwem i dysponowała wprost niepokonaną armią siejącą postrach w Europie.

Bitwa pod Chocimiem, gdy Polacy rozgromili szesnaście razy silniejsze oddziały Turków; starcie pod Kłuszynem, gdzie Moskale ulegli pomimo pięciokrotnej przewagi; łomot pod Kircholmem, jaki Szwedzi do dziś uznają za największą porażkę zbrojną w swej historii[\[213\]](#). Takie przykłady podsycają wiarę w to, co można by określić krótko mianem mitu husarii.

Na wyobraźnię działa też znajomość granic dawnej Rzeczypospolitej — państwa, które pod względem powierzchni ustępowało tylko Rosji i ewentualnie europejskim posiadłościom Turcji. Jeśli było tak wielkie, to musiało być potęgą w każdym zakresie — brzmi rozumowanie osób, które w historii szukają raczej uzasadnień dla własnej dumy niż ścisłych faktów.

Zjawisk historycznych nie powinno się jednak oceniać tylko na podstawie konturów na mapie. Dowolny mediewista z Litwy, zapytany o opinię w temacie, przypomniałby, że Wielkie Księstwo Litewskie osiągnęło szczyt rozwoju terytorialnego jeszcze przed zacieśnieniem unii z Koroną i przed narodzinami Rzeczypospolitej szlacheckiej. Potem obszar kruszał, a odosobnione (choć niekiedy spektakularne) sukcesy nie pozwoliły pohamować moskiewskiej kampanii „zbierania ziem ruskich”. Co zaś do wielkich triumfów polskiej kawalerii, nie ma żadnych powodów, by je podważać. Jeśli jednak wyjdzie się poza pole bitewne i poza opis samych starć, okaże się, że z przytłaczającej większości sukcesów Polacy nie byli w stanie wyciągnąć dalekosiężnych korzyści. Wygrywali bitwy, nawet kampanie, ale dużo rzadziej całe wojny. Powodów było wiele, można by im poświęcić (i poświęcono!) opasłe tomiścza. Tutaj wystarczy wskazać kwestię podstawową: Rzeczpospolita szlachecka miewała świetnych dowódców i sprawnych żołnierzy, ale nigdy nie miała dobrej armii.

Instytucja pospolitego ruszenia dawała szlachcie doskonały pretekst, by ograniczać do minimum rozmiar stałej armii i utrudniać zwoływanie sił w razie napaści. Od przełomu XV i XVI wieku podstawę regularnego wojska Rzeczypospolitej stanowiła tak zwana obrona potoczna (czyli nieustanna), służąca przede wszystkim zabezpieczeniu rubieży południowo-

wschodnich przed czambułami tatarskimi. W drugiej połowie XVI wieku zastąpiono ją wojskiem kwarcianym. Szlachta wyraziła zgodę na formowanie oddziałów, ale nie zamierzała dokładać się do przedsięwzięcia służącego ogólnej potrzebie. Obowiązek spadał na monarchę. Stałe wojsko finansowano z kwarty — a więc z jednej czwartej dochodów płynących z posiadłości królewskich. Nie było to źródło obfite. W efekcie wojsko kwarciane liczyło tylko około 3 tysięcy żołnierzy kawalerii i tysiąc żołnierzy piechoty.

W literaturze popularnonaukowej, a nawet w podręcznikach akademickich przewija się opinia, że obrona potoczna, następnie zaś wojsko kwarciane stanowiły „szkołę kształcenia kadry oficerskiej”; że formacje te traktowano wręcz jako obowiązkowy etap w edukacji młodych szlachciców. To jednak wnioski bardzo dalece przesadzone.

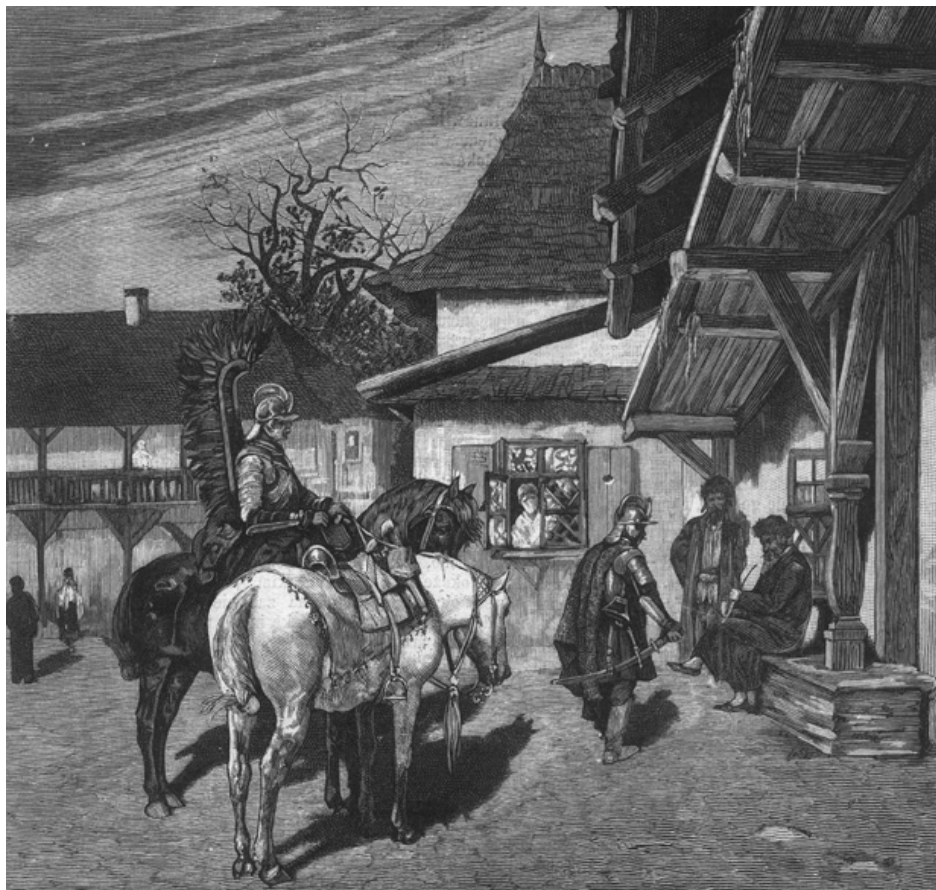
Na dowód przytacza się wyliczenia Marka Plewczyńskiego, zgodnie z którymi co piąty albo co szósty szlachcic zdolny do noszenia broni miał za sobą jakąkolwiek służbę w wojsku zawodowym. Czy jednak faktycznie jest to wysoki udział? Jeśli służyło 15–20 procent panów herbowych, to 80–85 procent tego nie robiło. I to mimo że należeli do warstwy, która szczyła się orężną tradycją i ponoć nieustanną gotowością do walki. Nawet ci szlachcice, którzy trafiali do stałej armii, nie bawili w niej długo. Rotacja była gigantyczna. Według danych z drugiej połowy XVI wieku 52 procent towarzyszy jazdy służących w wojsku regularnym pozostawało na żołdzie przez kilka miesięcy lub maksymalnie rok, po czym wracało do prywatnych zajęć. Tylko 8 procent służyło dłużej niż 5 lat. To zaś oznacza, że w danym momencie ledwie jakieś 250 osób w całej Rzeczypospolitej można by uznać za faktycznie w pełni zawodowych żołnierzy, wiążących swoją karierę ze służbą

oreźną na usługach państwa. Nawet z takiej liczby tylko część stanowiłi członkowie ciężkiej kawalerii, sławni husarze.

Liczniesze wojsko powoływano doraźnie, w wypadku wojen i najazdów, nie był to jednak proces szybki ani łatwy do przeprowadzenia. Należało uzyskać zgodę sejmików, następnie aprobatę całego sejmu i dopiero wówczas przystępowano do zbierania potrzebnych dodatkowych podatków („poborów”) — co do zasady rzecz jasna nie wśród szlachty, lecz tylko u jej poddanych. Nigdy nie można było mieć pewności, czy w miarę upływu kampanii sobiepanowie, osobiście niezaangażowani w konflikt, będą wyrażać zgodę na kolejne transze podatku. Skala poboru rzadko też odpowiadała faktycznym potrzebom czy nawet pierwotnym założeniom. Wystarczy wspomnieć, że na przykład same tylko walki polsko-szwedzkie z lat 1600–1611 kosztowały 3,85 miliona złotych polskich, równowartość przeszło miliarda złotych w dzisiejszych pieniądzech. I wcale nie uchwalono wówczas podatków na taką kwotę.

W efekcie właściwie każda wojna generowała monstrualne długi. Przykrą normą były bunty nieopłaconego wojska, nagminnie zdarzało się grabienie polskich wiosek i miasteczek nie tylko przez pospolitaków, lecz także przez niemogących się doczekać żołdu żołnierzy zawodowych. Kampanie, choćby najbardziej udane, urywały się w połowie, gdy rozżaleni żołnierze porzucali służbę albo zawiązywali konfederacje, żądając rekompensaty. Lojalność i wytrwałość kulały, tym bardziej że przecież dla przytłaczającej większości żołnierzy wojaczka na usługach państwa nie miała stabilnych perspektyw. Wiedziano, że po odwołaniu poborów oddziały i tak pójdą w rozsypkę. Poza tym żołd, jeśli w ogóle był wypłacany, trudno było uznać za atrakcyjny. W drugiej

połowie XVII wieku gaże polskich żołnierzy zawodowych były nawet o 40–50 procent niższe niż na przykład francuskich. Również porównanie z armiami austriacką i pruską wypadało ponuro.



Husarze na zwiadach. Grafika XIX-wieczna.

Kiedy mobilizację w ogóle udawało się przeprowadzić, doraźne wojsko zawodowe z okresu świetności Rzeczypospolitej mogło liczyć od dziesięciu do dwudziestu kilku, a w skrajnych przypadkach przeszło 30 tysięcy żołnierzy. Nie była to jednak wcale armia czysto szlachecka. Poza jazdą, zarezerwowaną głównie dla panów herbowych, powoływano też piechotę,

w dużej części plebejską. Na przełomie XVI i XVII stulecia ważny jej element stanowiła tak zwana piechota wybraniecka, formowana z kmieci królewskich. Poza tym w pierwszej połowie XVII wieku istotną siłą zbrojną stali się Kozacy rejestrowi, oficjalnie pozostający na usługach państwa. W kampaniach, gdzie ich wykorzystywano, szlachcice — mieniący się jedynymi obrońcami ojczyzny, urodzonymi do szabli — nie stanowili nawet połowy armii.

W roku 1601 zgromadzono wojsko zaciężne w sile 14 370 mężczyzn, z czego 54 procent stanowiła jazda. Samych husarzy było 3,5 tysiąca. W roku 1633 ogół wojska objął 24 tysiące żołnierzy. Kawalerii było 34,6 procent, husarzy — 3220. Tak więc nawet w chwilach zagrożenia łącznie tylko kilka procent wszystkich dorosłych szlachciców zaciągało się do państwowej armii zawodowej. Jak podsumował profesor Andrzej Wyczański, w XVI wieku, ale w praktyce też później, „służba wojskowa jako droga do kariery przeciętnego szlachcica nie była ani zbyt atrakcyjna, ani szeroko praktykowana”. O wojaczce — i łupach! — marzyli głównie herboownicy bez majątku, gołota albo awanturnicza młodzież szlachecka. Te niespokojne dusze często zresztą trafiały nie do nielicznej i unikającej działań zaczepnych armii państwowej, ale do prywatnych wojsk zbieranych przez różnych magnatów albo do grup działających na pograniczu bandyterki, jak Lisowczycy. Wielu czuło, że nie ma alternatywy, bo przecież właściciele folwarków i wielcy panowie obsesyjnie sprzeciwiali się finansowaniu oficjalnej armii i angażowaniu w jakiegokolwiek konflikty[214].

Na sejmikach i sejmach dominował pogląd, że gdyby polscy królowie byli w stanie powoływać liczne, stałe wojsko, niechybnie użyliby go do wzmocnienia swej władzy

i wprowadzenia rządów absolutnych. W opinii rzesz szlacheckich lepiej było godzić się z widmem wrogich inwazji, zdawać na usługi zbrojne niepewnych Kozaków i akceptować stałe wtargnięcia Tatarów na pogranicze, niż ryzykować, że polscy władcy pójdą śladem na przykład francuskich. Konsekwencje takiej postawy były tragiczne nawet w okresie, który jawi się jako szczyt potęgi Rzeczypospolitej. Na to rzekome mocarstwo zbrojne tylko w latach 1474–1569 spadło niemal sto napadów tatarskich, a później napór koczowników jeszcze się wzmógł. Historyk Leszek Podhorodecki szacował, że w XVI wieku czambuły porwały — wzięły w jasyr — około 100 tysięcy mieszkańców państwa polsko-litewskiego. W pierwszej połowie XVII wieku — już 300 tysięcy. Garstka żołnierzy obrony potocznej nie stanowiła dla nich żadnej bariery[215].

Tak samo na silną przeszkodę nie natrafili zbuntowani Kozacy, podczas wielkiej rewolty podjętej w 1648 roku, ani tym bardziej Moskale i Szwedzi, gdy w kilka lat później, uświadomiwszy sobie niemoc Rzeczypospolitej, uderzyli na nią z kilku kierunków. Przed potopem szwedzkim sejmy kilkakrotnie odmawiały uchwalenia podatków na wojsko. Nieprzyjacielskie zastępy weszły więc w Polskę jak w masło. Gdy wbrew wszelkim przewidywaniom, przy wprost monstualnych stratach w ludziach i majątku, udało się wyprzeć wrogów, szlachta doszła do przekonania, że system wojskowy, podobnie jak polityczny, zdał egzamin. I że nadal nie ma potrzeby wzmocnienia armii. Podobny był efekt późniejszych, odosobnionych sukcesów w walkach z Turkami. Wprawdzie z pięknego zwycięstwa pod Wiedniem, jak z tylu wcześniejszych, Rzeczypospolita nie wyciągnęła większych korzyści, ale wiktoria i tak podbudowała pychę elit

i zagwarantowała, że żadne reformy wojskowe nie dojdą do skutku[216].

Cywilizacja łupów

Szlachcice jak ognia unikali angażowania się w wojny, ale to wcale nie oznacza, że do konfliktów dochodziło rzadko. Porównanie militarnych dziejów różnych krajów w XVII stuleciu przynosi wprost uderzające rezultaty. Wyliczono, że przez cały ten wiek Brandenburgia była zaangażowana w działania orężne przez 31 lat, Anglia przez 41, Rosja — 51, Francja — 53, cesarstwo pod władzą Habsburgów — 61, ale Rzeczpospolita — aż przez 68![217] Wojna była nad Wisłą stanem niemal permanentnym. Nie licząc lat potopu, gdy starcia i grabieże ogarnęły całe państwo, szlachcice byli jednak zdeterminowani ignorować każdy konflikt, który nie dotykał ich osobiście.

Już od schyłku epoki jagiellońskiej wyraźnie dawał o sobie znać skrajny partykularyzm w sprawach obronnych. Panowie z Małopolski nie chcieli się dokładać do walk na Pomorzu, ci z Wielkopolski ani myśleli finansować obronę odległych ziem ruskich przed naporem Moskwy. Wojny uważano za problem lokalny[218]. To oczywiście w większości przypadków wykluczało sukces. Fakt, że wybrane prowincje — zwłaszcza zaś cały wschód Rzeczpospolitej — były notorycznie zaangażowane w walki, z których gdzie indziej nie zdawano sobie bliżej sprawy, pozwala też jednak zrozumieć jeden z wielkich paradoksów kultury szlacheckiej. Sobiepanowie byli pacyfistami przekonanymi o własnej wyższości nad każdym wrogiem. Zarazem jednak pełnymi garściami czerpali

z dorobku nieprzyjaciół i ze wzorów, jakie dało się podpatrzeć tylko przy okazji starć zbrojnych.

Cała niemal wizualna otoczka nadwiślańskiego szlactwa miała wschodnie inspiracje. Elementy ubioru narodowego nie rodziły się na lokalnym gruncie, choć oczywiście adaptowano je do polskich gustów i potrzeb. Żupany szlachty były wzorowane na strojach tureckich, zdobne pasy, w których rozkochali się członkowie elity, początkowo sprowadzano z Persji, a nawet Indii. Dopiero gdy podjęto ich krajową produkcję, zyskały miano polskich. Od Turków wzięto też chociażby ferezje (wierzchnie okrycia podbijane futrem z XVI–XVII wieku) czy bekiesze (długie płaszcze popularne w XVIII stuleciu). Również szlacheckie fryzury nieprzypadkowo rodziły skojarzenia z aparycją stepowych koczowników najeżdżających pogranicze.

Szymon Starowolski w pierwszej połowie XVII wieku trafnie diagnozował, że „sprawcami” i popularyzatorami nowych trendów byli przede wszystkim żołnierze. „Gdy wojna była między nami a Moskwą, tej ostatniej zwyczajem nosiliśmy szerokie i wydłużone kiereje, kosztowne futra podbite gronostajami, panterami albo sobolami oraz bardzo wysokie czapki” — wyliczał skrupulatny uczonek. „Potem, gdyśmy z Turkami na Wołoszczyźnie wojowali, przejęliśmy od nich i od ich sprzymierzeńców Tatarów zwyczaj przystrajania koni, pewien rodzaj płaszczy żołnierskich wydłużonych, a także skrócone i mocno obciśnięte kurtki. Wkrótce, w czasie wojny w Prusach ze Szwedami, przejęliśmy od nich szerokie buty”.

Kolejne mody rozprzestrzeniały się zwłaszcza w następstwie zwycięstw orężnych i udanych oblężeń. Szlachcice, w dniach pokoju zmuszeni drogo płacić za ozdoby i stroje, podczas wojen zdobywali garderobę i biżuterię na wrogach. Nowe

trendy zyskiwały uznanie nie dlatego, że z dalsza lub bliższa podziwiano styl nieprzyjaciół, ale ponieważ to, co uchodziło za piękne, zabierano siłą. Obdzieranie zwłok wrogów, łupienie wiosek, ściąganie kontrybucji od zajętych miast — wszystko to kreowało styl polskich szlachciców. Cywilizacja panów herbowych była na dobrą sprawę cywilizacją łupów.

Władysław Łoziński przed stuleciem słusznie komentował: „Łup i otwarta grabież w kraju nieprzyjacielskim były uznanym przywilejem żołnierza. Dla wielu wojna bywała metodą dorobienia się, niebezpiecznym, ale obiecującym przedsięwzięciem”. Oczywiście w taki sposób rozumowano nie tylko nad Wisłą. Rzeczpospolita, inaczej niż Szwecja, Niemcy czy Francja, leżała jednak na styku diametralnie różnych kultur. W efekcie oddziaływały na nią wzory, które na Zachodzie uchodziły za nader obce, nawet egzotyczne. Poza tym Polacy przejawiali wprost imponującą zdolność do rozdzielania kwestii z pozoru ściśle z sobą zespolonych. Szlachcice gardzili islamem, potępiali w czambuł turecki ustrój i obyczaje „pohańców” oraz kwestionowali wszelkie osiągnięcia Porty Otomańskiej. Jednocześnie jednak ochoczo przebierali się w fatałaszkach, których nie powstydziliby się wezyrowie.

„Im szlachcic był bogatszy, tym bardziej strój jego przypominał ubiór dostojników tureckich, a nawet samego sułtana” — kwitował Janusz Tazbir. Polscy księża z XVII stulecia mogli krytykować co najwyżej tureckie turbany, bo cała reszta wschodniej garderoby miała już przecież polskie odpowiedniki. Wjazdy naszych dostojników do Rzymu czy Paryża często rodziły zdumienie, bo w pierwszym momencie brano ich za innowierców. Takiej reakcji obawiał się zresztą też Jan III Sobieski przed bitwą wiedeńską. Zanim

przystąpiono do sławnego starcia z Turkami, król nakazał żołnierzom założyć swoje opaski, mające odróżnić ich od poddanych sułtana. Bo przecież styl i rynsztunek nie wystarczały do stwierdzenia, kto swój, a kto obcy[219].

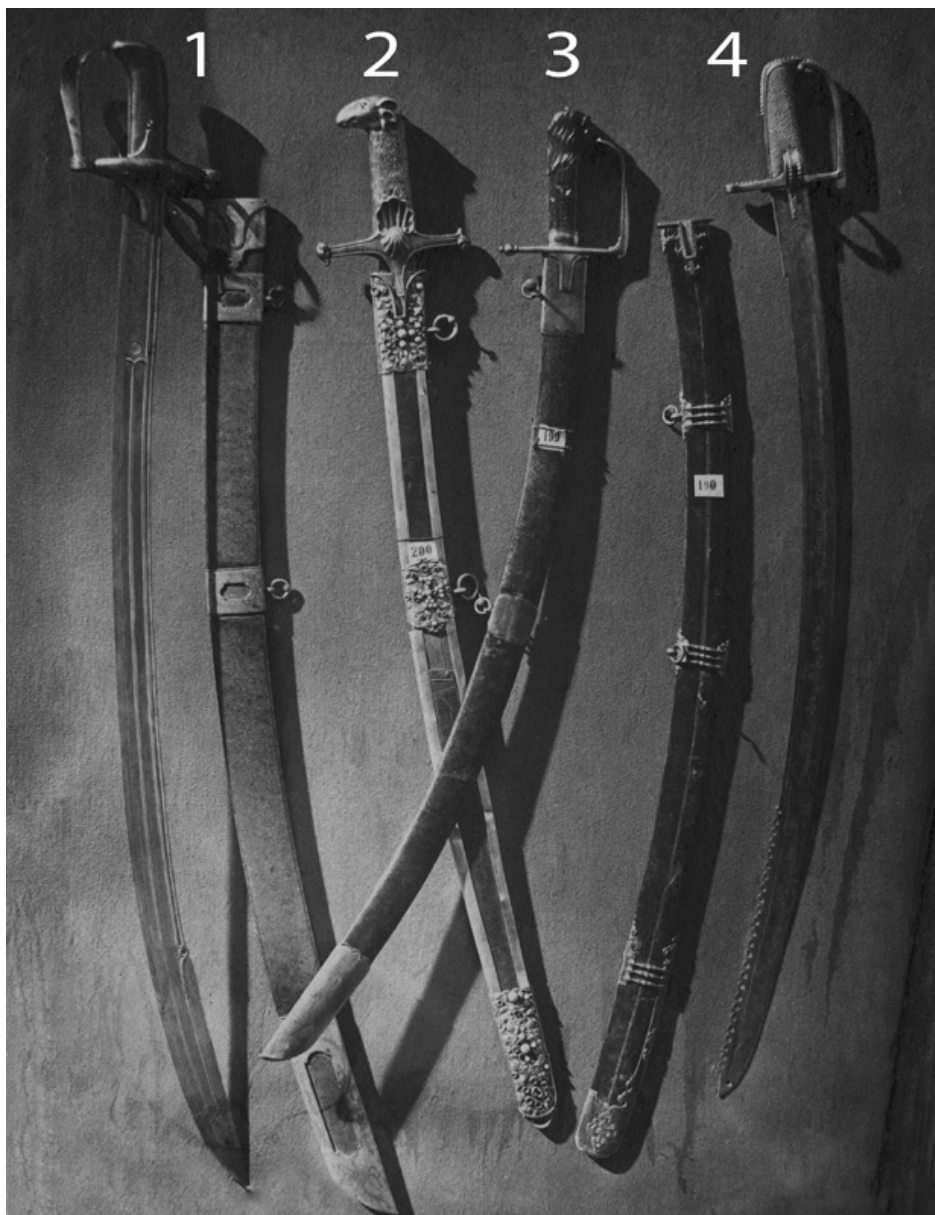
Kultura wschodu wpływała na polską sztukę, na wystrój wnętrz, wreszcie i na język. *Słownik historyczny turcyzmów w języku polskim*, wydany na początku XXI wieku, obejmuje ponad 500 stron samych tylko haseł, mowa więc o naprawdę potężnym zbiorze wyrazów. Niekiedy zapożyczenia przechodziły zaskakującą drogę, tracąc wschodnie brzmienie, ale zyskując osobliwe i trudne do rozwikłania formy. Weźmy chociażby niezwykle cenioną tkaninę ze złotych nici, a więc złotogłów. Wzmianka o głowie w kontekście materiału nie ma logicznego sensu. Jak wyjaśnia językoznawca Marek Stachowski, to pozostałość po nieudanym tłumaczeniu. Pierwotnie w Polsce było używane słowo altambasz, wzięte wprost od tureckiego *altın bez*. W oryginale zbitka oznaczała „złotą tkaninę”. Bardziej swojską wersję stworzono jednak bez zrozumienia tej etymologii. Komuś wyraz *bez* najwyraźniej skojarzył się z baszą, a więc głową, przywódcą. I tak powstał złotogłów.

Szczególnie wiele wschodnich wpływów widać w nazwach elementów uzbrojenia. Buzdygan, czekan, kord czy nawet topór i dzida — wszystkie te słowa mają źródła tureckie, choć często bardzo odległe[220]. Co ważniejsze, wpływy wschodnie było widać nie tylko w nazwach, ale i w faktycznych formach rynsztunku. A już zwłaszcza w jego podstawowym elemencie.

Szabla. Największa miłość szlachcica

W średniowiecznej Polsce, wzorem zachodnim, dominowały miecze — broń biała o ostrzu prostym i obosiecznym. Czasy nowożytne przyniosły jednak nową modę wojskową. Miecze zostały nad Wisłą wyparte przez szable z zakrzywionymi klingami, pozwalającymi wyprowadzać cięcia tylko jedną stroną. Twierdzono, jak przed przeszło stuleciem referował Zygmunt Gloger, że te „oprócz mocniejszego cięcia dawały lepszą zasłonę głowy” od mieczy. Poza tym zaś wyjątkowo nadawały się do walki z konia.

Jak podkreśla bronioznawca Mateusz Chramiec, szabla była „bezsprzecznie pochodzenia wschodniego”. Uznanie naszej szlachty zyskała po części dzięki doświadczeniom walk na pograniczu tatarsko-tureckim, po części zaś pod wpływem Węgrów. W arsenale spotykano ją na pewno już na początku XVI stulecia. Szable widać chociażby na sławnym wyobrażeniu bitwy pod Orszą, namalowanym w kilkanaście lat po starciu z 1514 roku.



Przykłady szabel polskich eksponowanych w połowie XIX wieku na „wystawie starożytności” w Warszawie: 1. szabla Jana Karola Chodkiewicza z 1621 roku, oprawa późniejsza z XVIII stulecia; 2. XVI-wieczna szabla okuta w srebro; 3. szabla Stanisława Potockiego z XVII wieku; 4. szabla XVI-wieczna.

Dokładne formy szabel zmieniały się na przestrzeni wieków. Tę broń sieczną określano też na różne sposoby. Istniały więc na przykład szable batorówki, zyguntówki, janówki (od imion królów), ale też chociażby szable lwowskie czy wreszcie karabele z charakterystyczną otwartą rękojeścią. Zasłużony badacz tematu Włodzimierz Kwaśniewicz wyróżnił ogółem osiem głównych wariantów nowożytnych szabel polskich. Czesław Jarnuszkiewicz wskazał dziewięć odmian tylko samych szabel husarskich. Z kolei w typologii szabli polskiej z wieków XVI–XVIII, zestawionej przez Stanisława Meyera, jest aż dwadzieścia dziewięć różnych rodzajów. Charakter szabli ocenia się nie po ostrzu, jak można by sądzić, lecz zawsze po kształcie i zdobieniach rękojeści. Ścisłe podziały w tej kwestii są jednak sztucznym, naukowym wytworem. Za czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej ogółem nigdy nie pisano o szabli „polskiej”, odmiennej od tych używanych przez inne narody. Taki termin wszedł do obiegu dopiero po rozbiorach.

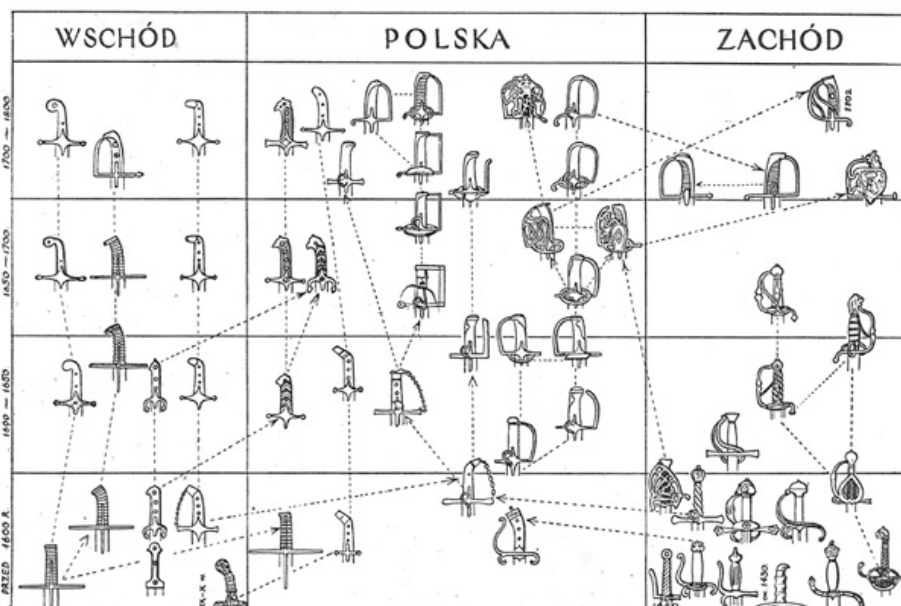
Szabla, jak żadna inna broń, stała się symbolem polskiego szlactwa, naszej sztuki orężnej czy nawet ogółem — Rzeczypospolitej. Akurat to w żadnym razie nie jest sztuczna kreacja z późniejszej epoki. Zygmunt Gloger słusznie wyjaśniał, że szabla już w dobie nowożytnej stała się „ukochaną bronią narodu”, rzecz jasna w rozumieniu narodu szlacheckiego, i że „stosunek, jaki zachodził między Polakiem i jego szablą, nie powtarzał się” u innych nacji. Władysław Łoziński pisał z kolei, że „szabla była nieodłączną towarzyszką i kochanką szlachcica”. Słowa kwieciste, ale i słuszne. Faktycznie w stosunku pana herbowego do szabli często było o wiele więcej ckliwych uczuć niż w jego podejściu do żony albo do ojczyzny.

Umiłowana szabla była oczywiście przedmiotem, w którym ogniskowały się wszelkie wojenne mity: odwagi, nieustępliwości, honoru. Pisano, że szlachcic nigdy nie uderzał szablą z tyłu, w plecy nieświadomego przeciwnika; że nigdy też nie wypuszczał jej z dłoni na polu bitewnym, no... chyba że po wydaniu ostatniego tchnienia. Takie opowieści, z powagą powtarzane nawet przez niektórych współczesnych historyków, nie miały jednak wiele wspólnego z faktyczną, codzienną funkcją szabli. Dla przytłaczającej większości szlachciców zakrzywione ostrze z piękną rękojeścią stanowiło nie element rynsztunku, ale przede wszystkim rekwizyt władzy — oznakę przynależności do stanu uprzywilejowanego.

Bez szabli szlachcic nigdy nie opuszczał domu. Nigdy też nie wahał się po nią sięgać — czy to w codziennej potrzebie, czy w świetle jakiegokolwiek, choćby najdrobniejszej konfrontacji. Znane są przypadki, gdy szlachcice odmierzali szablami granice pól, mimo że nie były to narzędzia ani wygodne, ani precyzyjne. Z szablą w dłoni składano przysięgi, wygłaszano deklaracje, oznajmiano sprzeciw lub poparcie. Szabla, wyciągana z pochwy w trakcie mszy, gdy odczytywano Ewangelię, miała świadczyć o pobożności i chęci obrony wiary. W państwie pozbawionym władzy terenowej i sił porządkowych powszechnie sądzono też, że właśnie szabla powinna „zastępować policję”. Oczywiście z bronią nie rozstawano się w trakcie biesiad ani składając wizyty w karczmach. Gdy alkohol szumiał w głowie, nieraz więc się zdarzało, że szlachcice odcinali sobie nawzajem nosy i uszy albo dziurawili policzki.

Szabla, aby mogła zostać użyta w walce, musiała być ostra i solidnie wykonana. Dla chwalenia się bronią dużo ważniejszy był jednak jej wygląd. Władysław Łoziński podkreślał, że

szanujący się szlachcic „stroił” szablę i „ozdabiał jak kochankę”. Nieraz na broń wydawano kilkuletnie dochody. W zbiorach magnackich spotykało się z kolei szable kosztujące fortunę. Na przykład Jerzy Ossoliński miał w 1633 roku wjechać do Rzymu z klingą szacowaną na 20 tysięcy złotych polskich. Dziś byłyby to, bagatela, niemal 3 miliony złotych. Oczywiście wspaniałych szabli, wysadzanych drogimi kamieniami, inkrustowanych, zdobionych srebrem i złotem, nie używano w szarpaninach, pojedynkach ani tym bardziej na placu boju. Szlachcic co do zasady miał dwie sztuki broni: szablę paradną do chwalipięctwa i prostą szablę „czarną” do prawdziwego użytku. Jak łatwo zgadnąć, po pierwszą sięgał sto razy częściej niż po drugą[221].



Ewolucja szabli w Polsce i Europie według Stanisława Meyera. Schemat zamieszczony w 1935 roku w piśmie „Broń i Barwa”.

XI.

PAŃSTWO ZE STOSAMI. GRANICE SZLACHECKIEJ TOLERANCJI

„Państwo bez stosów” — pisze się powszechnie i z dumą na temat Rzeczypospolitej szlacheckiej. Określenie można znaleźć w niemal każdym podręczniku szkolnym do historii, używano go w kampaniach politycznych, cytował je nawet Jan Paweł II w kazaniu wygłoszonym podczas pielgrzymki do Polski. W trzech słowach wydają się zamykać wszystkie wyobrażenia o tolerancji cechującej ponoć nie tylko dawny kraj nad Wisłą, ale też Polaków ogółem. Hasło do takiego stopnia wrosło w język i w narodową świadomość, że nawet naukowcy, historycy, przytaczają je w cudzysłowie, jako cytaty, i sugerują, że było w użyciu od czasów nowożytnych. Już w wieku XVI czy też XVII miało stanowić etykietę oznajmiającą wszem wobec wyjątkowość Polski — oazy równouprawnienia religijnego, gdzie dysydenci i wolnomyśliciele nie musieli się obawiać kary za głoszone poglądy. To jednak bzdura.

W rzeczywistości o państwie bez stosów nikt nie pisał ani za czasów Rzeczypospolitej, ani nawet w pierwszych pokoleniach po upadku szlacheckiego ustroju. Termin zrodził się w głowie

historyka Janusza Tazbira dopiero w dobie PRL-u. Tytuł *Państwo bez stosów* nadał on swojej książce na temat historii polskiej tolerancji, wydanej po raz pierwszy w roku 1967. I po fakcie nie krył zdziwienia (a nawet rozbawienia), że fraza użyta w tytule pracy akademickiej — niepadająca ani razu w jej tekście, nierozwijana i niekomentowana — niespodziewanie stała się symbolem[222].

Historia frazesu jest po części podobna do dziejów zjawiska, które nim określono. Polska tolerancja nie została zmyślona, ale jej obraz na pewno wyolbrzymiono w sposób pozwalający wyciągać radosne wnioski na temat dorobku kultury szlacheckiej i charakteru Polaków. Ponoć tak otwartego, że powinny się na nim wzorować wszystkie inne narody.

Rzeczpospolita nie była oczywiście państwem bez stosów w sensie dosłownym. Nad Wisłą, podobnie jak gdzie indziej, za wybrane przestępstwa — między innymi trucicielstwo i fałszowanie dokumentów — obowiązywała kara spalenia. Jak najbardziej ją stosowano. Polakom nie były też obce polowania na czarownice. Historyczka Małgorzata Pilaszek szacuje, że w samej tylko Koronie w wiekach XVI–XVIII doszło do przynajmniej 1300 oficjalnych postępowań, a na 560 kobietach, które rzekomo weszły w konszachty z diabłem, wykonano wyrok śmierci. Niektóre poćwiartowano, inne utopiono, większość trafiła jednak na stosy i spłonęła żywcem. Ofiar nagonki na pewno było zresztą znacznie więcej. Przytłaczającą część z nich tracono przecież na wsiach, za zgodą panów folwarcznych, stanowiących ostatnią instancję władzy i niezobowiązanych do prowadzenia jakiegokolwiek dokumentacji[223].

Ludzie opowiadający o państwie bez stosów nie odnoszą się jednak zwykle do takich kar i prześladowań. Termin nie ma

oznaczając, że w Polsce nie rozpalano żadnych stosów, ale tylko — że na te stosy nie trafiali odstępcy religijni, zwłaszcza zaś zwolennicy reformacji. Historyk literatury Ignacy Chrzanowski był bliski prawdy, gdy w 1906 roku pisał, że w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej panowała większa tolerancja wyznaniowa niż gdziekolwiek indziej. Także zachodni badacze, którzy analizują „polski fenomen” tolerancji, dotykają autentycznego zagadnienia[224]. Należy jednak mieć świadomość, że sytuacja panująca w państwie szlacheckim robiła wrażenie głównie dlatego, że jej tło było wyjątkowo ponure. Na Zachodzie spory religijne prowadziły do krwawych rzezi i wieloletnich, niszczycielskich wojen. U nas panował pokój. Ale wcale nie żadna mityczna, sielankowa harmonia.



Topienie rzekomej czarownicy na wielkopolskiej wsi. Rysunek zamieszczony w połowie XIX wieku w piśmie „Kmiotek”.

Nad Wisłą nigdy nie wprowadzono ani nie próbowano wprowadzać pełnego równouprawnienia wyznań. Okres szerokiej tolerancji, gdy niezależnie od przekonań religijnych można było robić świecką karierę i działać w kręgach najwyższej władzy, okazał się poza tym bardzo krótki. Trwał nie przez całą historię Rzeczypospolitej, nie przez jej większość, ale tylko przez kilka dekad. Można go datować na drugą połowę XVI wieku. I nawet w tamtym czasie stale odzywały się głosy wzywające do brania przykładu z zagranicy i do otwartych represji.

Tolerancja dla szlachciców

Bardzo różnie próbowano tłumaczyć źródła polskiej tolerancji. Wiele dawnych propozycji, niby to naukowych, dzisiaj budzi tylko rozbawienie. Trudno na przykład nadal z powagą pisać, że o braku prześladowań „heretyków” przesądziła spokojna, skłonna do „sielanki” natura Słowian, wolna od teutońskiej czy frankijskiej agresji. Prawdziwe rozwiązanie zagadki tkwi raczej w odmienności polskich doświadczeń.

Państwo Jagiellonów, w przeciwieństwie do krajów zachodnich, nigdy nie było jednowyznaniowe. Na długo przed tym, jak Marcin Luter ułożył swoje wywrotowe tezy i podsycił ferment w Kościele, w unii polsko-litewskiej obok katolików żyli prawosławni, ormiańscy monofizyci, muzułmanie pochodzenia tatarskiego, karaimi, przedstawiciele licznej

diaspory żydowskiej. Koegzystencja nie zawsze była harmonijna. Na przykład prawosławie uchodziło w oczach elity za religię chłopską, poślednią. Szlachcic ze Wschodu, pragnący dołączyć na równych prawach do narodu politycznego, był wręcz zmuszony przejść pod władzę Kościoła rzymskiego. Żadni hierarchowie prawosławni nie zasiadali w senacie, nie doradzali monarchom. Poza tym w kraju obowiązywał formalny zakaz budowy jakichkolwiek nowych cerkwi i odnawiania tych już istniejących. Wprawdzie powszechnie go ignorowano, ale i tak czytelnie wskazywał, do kogo należała władza. Nierówności były ogółem wyraźne. Zarazem jednak Polacy z dawien dawna byli przyzwyczajeni, że nie każdy wyznaje te same dogmaty; rozumieli, że zamiast urządzić rzezie, można szukać jakiegoś modelu współżycia. Reformacja nie zmieniła zasad gry. Trudno też było oczekiwać, że polscy królowie uwierzą w podstawowe argumenty Rzymu, wymierzone w zwolenników Lutra i Kalwina. Kościół przestrzegał głośno, że ludzie, którzy nie okazują wierności prawom boskim, niechybnie okażą się nielojalni także wobec władzy ziemskiej, a odstępstwo religijne zrodzi bunty i spiski. W Polsce wiedziano jednak, że tak wcale być nie musi.

Dwór jagielloński mógł zareagować na narodziny ruchów reformacyjnych na początku XVI wieku w sposób bardziej pragmatyczny, a mniej przepojony fanatyzmem i paniką niż Habsburgowie czy Walezjusze. Nie znaczy to jednak jeszcze wcale, że tezy Lutra i Kalwina przyjęto na Wawelu z entuzjazmem. Reformacja rozwijała się w Polsce przy wyraźnym sprzeciwie władzy naczelnej. Zygmunt Stary zgodził się w 1525 roku na konwersję Albrechta Hohenzollerna na luteranizm i przyjął jego hołd lenny jako nowego władcy tak zwanych Prus Książęcych. Był to akt o przełomowym,

symbolicznym znaczeniu — pierwsza w historii umowa między katolickim suwerenem a protestanckim wasalem. O ile jednak król akceptował wolność religijną byłego wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, o tyle nie zamierzał zapewniać podobnej swobody własnym poddanym. Religijny zryw gdańszczan w 1526 roku został krwawo stłumiony, wszystkich prowodyrów, którzy usiłowali odebrać majątki Kościołowi i zastąpić hierarchię rzymską wyznaniem luterańskim, ścięto. Bunt ludowy w Sambii, gdzie na sztandary podobnie wzięto protestanckie hasła religijne, też został zdławiony zbrojnie. Król raz po raz wydawał poza tym ogólne dekrety, w których zakazywał przyjmowania reformacji czy nawet czytania pism protestanckich pod karą śmierci, banicji i konfiskaty majątku. Dochodziło do procesów o herezję, rozpalano też stosy, choć trafiały na nie zakazane książki, a nie ludzie. Jeśli ktoś pokajał się i odwołał swoje poglądy, sądy ograniczały się zwykle do upomnień. Wydaje się, że w toku prześladowań religijnych z XVI wieku nad Wisłą faktycznie stracono tylko jedną osobę. W 1539 roku na stos w Krakowie trafiła 80-letnia mieszcanka Katarzyna Weigłowa, która zatwardzale odmawiała uznania zasad wiary katolickiej. Wszystko wskazuje jednak na to, że była ona nie protestantką, lecz konwertytką na judaizm.



Strona tytułowa tak zwanej Biblii Radziwiłłowskiej — polskiego przekładu Pisma Świętego przygotowanego przez kalwinistów i wydanego drukiem w 1563 roku.

Akcja tępienia tego, co w oczach króla i dworu, zwłaszcza zaś kościelnych doradców, wydawało się wstrętną „zarazą”, nigdy nie była prowadzona z taką stanowczością, co na Zachodzie. Zygmunt Stary stawiał raczej na słowa i pogroźki niż na czyny. Jego syn, Zygmunt August, okazał się jeszcze bardziej pobłażliwy. Obaj nie chcieli chyba działać inaczej. Ale też — zwyczajnie nie mogli. Polski protestantyzm rozwijał się tam, gdzie władza królewska nie sięgała.

Monarcha był zdolny tłumić ograniczone ruchawki, ale stał się bezradny, gdy doktrynę luterańską zaczęli masowo akceptować obywatele Gdańska, Torunia i innych ośrodków pruskich. Mógł też zakazywać nowinek religijnych w miastach królewskich (co konsekwentnie robił nie tylko Zygmunt Stary, ale też August), natomiast nie w prywatnych. Zresztą nawet w tych pierwszych władca był zależny od dobrej woli szlacheckich starostów, dzierżących faktyczne rządy w terenie. Ogółem właśnie to od szlachty zależały losy reformacji w Polsce. Gdyby elita herbowa masowo sprzeciwiła się radykalnym tezom, dominacja Kościoła nigdy nie zostałaby zachwiana. Stało się jednak inaczej. Nie kto inny, a szlachcice okazali się głównymi protektorami dysydentów, piewcami nieprawomyślnych poglądów i zwolennikami tolerancji. Badacze tematu twierdzą wręcz, że polska reformacja miała wybitnie stanowy charakter. W swojej istocie była zjawiskiem szlacheckim.

Ziemiański Jan Mączyński, należący do wspólnoty antytrynitarzy, słusznie diagnozował, że w sprawach religijnych — jak we wszystkich innych — „ani duchowieństwo, ani sam król nie byli w stanie nic postanowić ani powziąć przeciwko szlachcie”. Monarsze napomnienia wpływały na mieszczan, przynajmniej

krakowskich, narażonych bezpośrednio na gniew i represje jego wysokości. Nie byli ich też w stanie ignorować wykładowcy stołecznego uniwersytetu. Jak opowiadał Andrzej Frycz-Modrzewski (osobiście tak bliski poglądom reformacyjnym, że choć był duchownym, to się ożenił), na skutek dekretów strwożeni akademicy masowo rzucali wszelkie podejrzane pisma w ogień. Panowie tylko się jednak śmiali na wieść o jakichkolwiek ogólnych zakazach.

Część królewskich postanowień odwołano na sejmach, inne i tak nigdy nie dotyczyły szlachciców. Monarcha mógł przecież grozić śmiercią, ale nie mógł — w myśl przywilejów — przeprowadzić u herbownika rewizji w poszukiwaniu zakazanych tomów, aresztować go, samowolnie odebrać mu majątku ani nawet wydać na niego wyroku bez procesu i bez wsparcia innych nobilitowanych. Podobnie nic nie mógł począć na wieść o odstępstwach poddanych szlachciców. Nie miał przecież nad nimi faktycznej władzy[225].

Dlaczego panowie herbowi odeszli od Kościoła?

Władza centralna była w Polsce o wiele za słaba, a królowie zbyt dalece uzależnieni od zachcianek najwyższej warstwy, by postawić tamę fali protestantyzmu. Zjawisko masowych i oficjalnych konwersji szlachty nabrało tempa zwłaszcza od połowy XVI stulecia, za panowania Zygmunta Augusta.

Nie sposób szacować, jaki dokładnie odsetek herbowników porzucił wówczas katolicyzm. Panowie nie pozwalali ewidencjonować swoich majątków, liczyć głów szlacheckich, a tym bardziej sprawdzać, kto w co wierzył. O ile mieszczaństwo skłaniało się ku luteranizmowi, to ziemianie

gremialnie przyjmowali tezy Kalwina lub wyznanie antytrynitarskie, ariańskie. Wyliczono, że u schyłku XVI wieku w samej Małopolsce było już ponad trzysta zborów, ośrodków modlitewnych, tych dwóch konfesji; na Litwie — niemal dwieście samych tylko zborów kalwińskich. W pewnych regionach szlachta protestancka mogła przez jakiś czas przeważać nad katolicką, w całym kraju nigdy jednak nie zbliżyła się do większości. Jej siłę odczuwano za to bardzo wyraźnie na szczytach władzy. Spośród najmożniejszych rodzin za reformacją opowiedzieli się między innymi Zborowscy, Ossolińscy, Koniecpolscy, Potoccy i jedna z gałęzi Radziwiłłów. W roku 1564, podczas jednego z ostatnich sejmów za panowania Zygmunta Augusta, na mszę odprawianą przy okazji otwarcia obrad udało się z królem tylko... dwóch świeckich senatorów. Wszyscy pozostali członkowie gremium byli protestantami lub przynajmniej chcieli okazać wzgardę Kościołowi. Także wśród posłów niewielu było wówczas otwartych obrońców tradycyjnego porządku rzeczy. Wprost do protestantyzmu przyznawało się około 40 procent szlacheckich deputowanych. W wielu kluczowych województwach, jak krakowskie, poznańskie czy sandomierskie, liczba posłów kalwińskich lub ariańskich sięgała zresztą nawet 60–70 procent całej delegacji.

Nowe koncepcje religijne zdobywały popularność wśród szlachty z różnych powodów. Znaczący temat są jednak dość zgodni, że w większości wypadków wcale nie chodziło o kwestie wiary i sumienia. Protestantyzm stał się dla panów herbowych kolejnym narzędziem w walce o niezależność, wpływy i majątek. Jak podkreślał chociażby Janusz Tazbir, na przykład polski szlachecki kalwinizm zupełnie nie przypominał kalwinizmu znanego w Niderlandach czy

Szwajcarii. „Daremnie szukalibyśmy w nim pochwały produktywnego trybu życia, apologii handlu, przekonania, iż powodzenie w interesach oznacza błogosławieństwo Boże” — wyliczał historyk. Do nadwiślańskich waćpanów przemawiały zupełnie inne argumenty niż do zachodnich kupców. Kalwinizm wydawał im się atrakcyjny, bo kwestionował kierowniczą rolę króla, dawał wyznawcom prawo do oporu przeciw władzy. Słowem: pozwalał przenieść na płaszczyznę religijną już ugruntowany pogląd o wyższości szlachty. Co nawet ważniejsze, w kościele kalwińskim wspólnoty religijne nie posiadały kosztownej, niezależnej hierarchii. W polskich warunkach zbory zakładano głównie w szlacheckich majątkach i pod ścisłą kontrolą właścicieli ziemskich. To rzecz kluczowa, bo reformacja zyskiwała masowe poparcie na tle zażartego konfliktu między średnią i bogatą szlachtą a katolicką władzą duchowną.

Wysokie urzędy kościelne już od schyłku średniowiecza były zastrzeżone dla szlachty. Interesy biskupów i kanoników, choć ci legitymowali się herbami, ogromnie się jednak różniły od interesów panów folwarcznych czy nawet magnatów. Kościół stanowił ostatnią siłę, która w wieku XVI rościła sobie prawo do faktycznej kontroli nad szlachtą. Panowie herbowi mogli drwić z opinii króla, uważać się za jednoosobowy senat własnego państewka w państwie. Nie musieli się też obawiać wyroków sądów świeckich ani opłacać podatków na rzecz państwa. Biskupi wciąż jednak grozili im klątwami, pozywali ich przed sądy kościelne, poza tym zaś żądali dziesięciny: a więc oddawania jednej dziesiątej plonów, nie tylko z pól chłopskich, ale i folwarcznych. To oznaczało dotkliwe i nieuniknione uszczuplenie dochodów szlachcica. Kto odmawiał finansowania kleru, temu wytaczano proces. Potem

zaś sądy duchowne zwracały się z żądaniem wyegzekwowania wyroków do królewskich urzędników, starostów. Ci mieli w imieniu Kościoła robić rzeczy, na jakie sam monarcha od dawna nie mógł już sobie pozwolić: konfiskować dobra nobilitowanych, a nawet wypędzać winnych z kraju.



Ruiny starego zboru ariańskiego w Mucharzu pod Wadowicami. Fotografia z początku XX wieku.

Sumę szlacheckich pretensji i postulatów dosadnie wyraził poseł z województwa krakowskiego Hieronim Ossoliński na burzliwym sejmie w 1558 roku. Mówił wówczas, że Kościół narusza najważniejsze z przywilejów szlachty: nietykalność osobistą, nienaruszalność dóbr i zasadę *nihil novi*, „nic nowego”, zgodnie z którą tylko członkowie rycerstwa byli uprawnieni do ustanawiania jakichkolwiek przepisów. Ossoliński uważał ogółem, że kler dążył do zdominowania reszty społeczeństwa. A to przecież stało w jawnej sprzeczności z identycznymi aspiracjami szlachty. Poza tym

zasugerował, że ponieważ biskupi służyli obcemu panu — kurii rzymskiej — nie zaś interesom ojczyzny, to powinni zostać usunięci z senatu i obdarci z wpływu na władzę.

Zarówno ten sejm, jak i wiele innych za panowania Zygmunta Augusta, upłynął pod znakiem walki między szlachtą, kwestionującą uprawnienia kleru, a hierarchami Kościoła, wzywającymi do tępienia wszelkich ruchów reformacyjnych i wolnomyślicielskich. Król wielokrotnie występował po stronie tych drugich, wzorem ojca groził, straszył, ponawiał dekrety wymierzone jeśli nie w szlachtę, to przynajmniej w plebejów. Przymykał też oko na nierzadkie przypadki, gdy biskupi nakazywali porywać i torturować odstępców. Cóż jednak z tego, jeśli faktycznie miał związane ręce. Nastroje panujące wśród elity perfekcyjnie wyraził Paweł Emil Giovanni, członek delegacji nuncjusza apostolskiego przebywający nad Wisłą w 1565 roku. Ten zagorzały przeciwnik reformacji przyznał, że gdy podczas obrad sejmików i sejmu była mowa o „dogmatach wiary”, „świętych sakramentach” albo o utrzymaniu tradycyjnych „obrzędów i ceremonii oraz o unikaniu nowości”, zewsząd odzywały się katolickie głosy poparcia. Wystarczało jednak, że zaczęto rozprawiać o „zachowaniu przywilejów i jurysdykcji stanu duchownego”, a nagle większość zebranych podawała się za protestantów. Gdy zaś głos zabierali sami księża, usiłując przekonywać, że mają prawo do władzy i pieniędzy, „wówczas prawie nikt już nie był katolikiem, takie obrzydzenie budziła chciwość duchowieństwa”.

Król, niezdolny opierać się głosom większości zarówno w senacie, jak i w izbie poselskiej, już w 1552 roku zakazał starostom wykonywania wyroków duchownych w sprawach dotyczących sumienia. Nie krył wprawdzie, że sprzeciwia się

własnej decyzji, ale w kolejnych latach był zmuszony jeszcze ją utwierdzić i rozszerzyć. W 1555 roku uznano dotychczasowe zdobycze protestantów, choć monarcha zastrzegł, że ci nie powinni szukać nowych współwyznawców i wygłaszać dalszych „błuźnierstw”. W 1557 roku zupełnie zakazano procesów kościelnych o herezję względem szlachciców, w 1563 do reszty została zlikwidowana jurysdykcja sądowa kleru nad herbownikami. Nie tylko sprawy o odstępstwo od wiary, ale też o niepłacenie dziesięciny odtąd nie mogły być przekazywane starostom.

Sukces protestantów nie ulegał wątpliwości. Panowie, którzy opowiedzieli się za kalwinizmem, dopięli celu — wyrwali się spod kontroli biskupów, a kosztowny Kościół rzymski zastąpili bardzo tanim Kościołem reformowanym. Sami nie musieli dłużej oddawać dziesięciny. Pobierali ją natomiast nadal od poddanych i niekoniecznie dzielili się zyskiem z nową hierarchią. Jak podkreślał Janusz Tazbir, „cały obóz polskiej reformacji nisko sobie cenił własnych duchownych”. Szlachcice lekceważyli kazania ministrów, stale zarzucali im, że próbują robić z siebie nowych papieży i biskupów, ograniczali do minimum finansowanie zborów, szkół i drukarni. Warto przypomnieć chociażby typowe skargi, jakie duchowieństwo kalwińskie wygłaszało na swoim synodzie zwołanym do Książa w 1560 roku. „Należymy pod każdym względem do najuboższych, wycieńczonych i złupionych” — żalili się pastorowie. I za powód podawali to, że szlachta, niby protestancka, zabierała pieniądze i uzależniała wszystko od swej woli, nie zważając zbytnio na potrzeby duchowe.

Fakt, że reformacja stała się dla członków elity elementem walki o własną swobodę i wpływy polityczne, ułatwia zrozumienie fenomenu polskiej, a przynajmniej szlacheckiej

tolerancji. Różnowiercy realizowali ambicje, które podzielał cały stan. Może i wybierali hasła lub kroki, które nie wszędzie znajdowały zrozumienie, ale przecież u podstaw ich działań leżało przekonanie, że szlachcic jest wyłącznym panem na swoim folwarku i że tylko on może decydować o sprawach go dotyczących — łącznie z kwestiami sumienia. Pod taką postawą, fundamentalną dla tożsamości panów herbowych, podpisywali się zaś nawet zagorzali „papiści”. Gdy polski szlachcic katolik miał do wyboru albo dobrowolnie podporządkować się jakiegokolwiek władzy, albo opowiedzieć się za przyrodzoną wolnością, z reguły wybierał to drugie. A przynajmniej czynił tak w dostatnim i względnie spokojnym XVI stuleciu^[226].

Mniej rygorystyczne czy wprost mniej religijne podejście do dogmatów sprawiało, że nad Wisłą oglądano rzeczy, jakie we Francji, w Anglii czy Niemczech nie mieściły się nawet w sferze fantazji. Biskup mógł, jak hierarcha kujawski Jan Drohojewski, mieć brata protestanta i zapewniać schronienie kalwińskiemu kaznodziei. Mogło się też zdarzać, że kanonik katedry ochoczo zapraszał do stołu ewangelika. Obaj, pomimo różnic, byli przecież braćmi szlachtą. O takim przypadku opowiadał w pamiętniku Teodor Jewłaszewski. Podczas biesiady u kanonika wileńskiego wdał się on pewnego razu w dyskusję z członkami dworu włoskiego kardynała. „Gdy się dowiedzieli, że ewangelik, dziwili się bardzo, że ksiądz kanonik mnie śmiał do siebie na obiad wzywać” — zanotował. Gospodarz zaraz jednak wyjaśnił, że „u nas z tego względu nie zdarza się żadna nienawiść i miłujemy się jak z przyjaciółmi dobrymi”. Podobne przypadki i anegdoty można wymieniać długo. Nie powinny one jednak przysłaniać faktycznego obrazu sytuacji. Ten nadal był skomplikowany i niepewny.

Spory wyznaniowe nigdy nie wygasły, niezależnie od decyzji sejmów i królewskich deklaracji. Zrezygnowany Zygmunt August ogłosił wprawdzie w 1569 roku, że nie zamierza już robić za sędziego w sprawach religii, ale niewiele wcześniej wydał nowy dekret wymierzony w innowierców pozbawionych herbów. Dokument może i był obojętny dla szlachty, ale skłonił do ucieczki z kraju wielu obcych kaznodziejów szukających schronienia nad Wisłą. Wybrani ludzie Kościoła niezmiennie próbowali pozywać szlachtę o dziesięciny, licząc na chwiejność dworu. Powtarzały się też represje względem plebejów. Również w tych przypadkach kler testował, jak daleko może się posunąć. W samym środku wielkiego sporu, w roku 1554, biskup Andrzej Czarnkowski skazał na spalenie na stosie trzech „heretyckich” mieszczan poznańskich. Jeden zdołał uciec, ale pozostali też nie stracili życia. Zostali uwolnieni przez miejscowych szlachciców, którzy wprawdzie niewiele się interesowali ich sumieniami, ale nie zamierzali pozwalać na groźne precedensy. Podobnych historii było więcej, najbardziej zażarcie szlachta broniła zaś wolności wyznaniowej własnych chłopów. Oczywiście wolności rozumianej w takim sensie, że do ich spraw mieli nie mieszać się księża, chyba że pan na to pozwolił. Zdarzało się poza tym, że w konflikt wchodził przedstawiciele różnych konfesji protestanckich. Na przykład w roku 1566 na sejmie poważnie rozważano wygnanie antytrynitarzy, arian. Za projektem entuzjastycznie optowali posłowie kalwińscy, popierał go też król. Sceptyczni okazali się za to... biskupi katoliccy. Ci bowiem chcieli, by wypędzono z Polski wszystkie „sekty”, a nie tylko jedną^[227].

W styczniu 1573 roku, niedługo po śmierci Zygmunta Augusta, szlachta zebrana na sejmie konwokacyjnym

w Warszawie przyjęła ustawę mającą gwarantować dalszą wolność wyznania. Pod dokumentem podpisało się pięćdziesięciu ośmiu delegatów, z których niemal 40 procent stanowili katolicy. Sygnatariusze deklarowali, że nie będą przelewać krwi „dla różnej wiary i odmiany w Kościele”, że nie zgodzą się na jakiegokolwiek represje wobec panów herbowych i że innowiercy nie stracą dostępu do urzędów ani godności świeckich. Zdaniem części badaczy ten tak zwany akt konfederacji warszawskiej nie miał donośnej mocy prawnej sam w sobie. Do jego zaprzysiężenia zmuszano jednak każdego króla wybranego w wolnej elekcji. Panuje słuszna opinia, że dokument stanowił szczytowy przejaw polskiej tolerancji, gwarantował swobodę nieznaną w innych krajach. Należy jednak pamiętać, że nie przyjęto go dlatego, że w kraju zdążyła zapanować pełna, niekwestionowana harmonia. Konfederacja warszawska została uchwalona z przeciwnego powodu: z poważnej obawy o to, że spory religijne przybiorą na sile i że nad Wisłą, tak jak gdzie indziej, wybuchnie jawna wojna religijna. Poza tym, jak podkreśla historyczka prawa Edyta Nowak-Jamróż, rzecz została przeprowadzona przy zażartym sprzeciwie i głosach oburzenia, że konfederacja jest „błuznierstwem”, które pozwoli na „szerzenie bezbożności”[\[228\]](#).

Upadek szlacheckiej tolerancji

Pozycja polskiego katolicyzmu w XVI wieku osłabła, ale nigdy nie stała się prawdziwie zagrożona. Kościół pozostał największym posiadaczem ziemskim nad Wisłą. Wiara rzymska była, aż do upadku Rzeczypospolitej, religią

państwową. Każdy król musiał ją obowiązkowo wyznawać, każdego też namaszczeni i wynosili do władzy biskupi, a podczas wszystkich bezkrólewych monarchę zastępował prymas jako tak zwany interreks. Poza tym nigdy, nawet w latach największych wpływów reformacji, do senatu nie dopuszczono z urzędu żadnych duchownych konkurencyjnych konfesji. Zasiadali w nim wyłącznie hierarchowie katoliccy.

Epizod reformacyjny — zatytułował swoją książkę w temacie historyk Wacław Urban. Bardzo słusznie, bo zarówno fala protestanckiego wzmożenia, jak i ograniczonej, ale jednak tolerancji okazała się wyłącznie epizodem. Już u schyłku XVI wieku obserwowano pierwsze oznaki odpływu. Najważniejsi szlacheccy patroni ruchu, jak Jan Kiszka czy Stanisław Górka, wymierali, a na ich miejsce nie wchodził już ludzie równie wpływowi i zaangażowani. Kurczyło się grono rodzin magnackich popierających reformację. Bez ich protekcji trudno zaś było myśleć o dalszej ochronie zborów i wspólnot, nie mówiąc nawet o zdobywaniu nowych współwyznawców. Władze kościelne, początkowo bezradne wobec ruchów wolnomyślicielskich, nasilały swój opór, prowadziły coraz bardziej spójną i zdeterminowaną kampanię. Bezkompromisowe hasła tak zwanej kontrreformacji, za panowania Zygmunta Augusta zbywane przez większość szlachciców, stopniowo padały na coraz podatniejszy grunt. Niedofinansowane Kościoły protestanckie nie mogły wygrać z bogatym Kościołem rzymskim, kiedy ten na dobre rozkręcił maszynę agitacji. Kluczową rolę odegrały szkoły jezuickie, kształcające nowe pokolenie mówców sejmikowych i posłów. Wacław Urban nazwał wręcz jezuitów „głównym oddziałem szturmowym kontrreformacji”. O tym, jakie poglądy wpajali oni tysiącom wychowanków, dosadnie opowiadał pewien

anonimowy szlachcic na początku XVII stulecia. Zaobserwował on, że na miejsce dawnych katolików, którzy „nie lizali” świętych obrazków i nie nosili ostentacyjnie różańców u pasa, a księży słuchali co najwyżej, gdy ci mówili o grzechu i wierze, weszły szeregi młokosów ulegających klerowi we wszystkim. Komentarz może i był przesadny, ale nie da się zakwestionować, że następowała zmiana warty. A synowie dawnych piewców reformacji nieraz dołączali do szeregów najbardziej zagorzałych stronników wojującego katolicyzmu. Tak było chociażby z potomkami Anzelma Gostomskiego — wpływowego agronoma, ale też zamożnego posiadacza ziemskiego i czołowej postaci polskiego kalwinizmu.

Mnożyły się ataki na różnowiercze domy modlitwy. Niszczono świątynie, napadano na procesje, nawet rozkopywano groby i wywlekano z nich kości ludzi uznanych za heretyków. Do takich tumultów dochodziło głównie w miastach, czasem z inicjatywy wybranych księży, często tylko z woli motłochu, przekonanego, że działa w imieniu Boga. Incydenty miały oczywiście miejsce i wcześniej, a tam, gdzie przewagę zyskali protestanci, zdarzały się podobne napaści na katolików. Zmiana ogólnego klimatu nie ulegała jednak wątpliwości. Ofiary zaburzeń pisały o swoim losie z rosnącą desperacją. Przykładowo starsi zboru krakowskiego żalili się w 1617 roku, że „papiści” nie tylko kilkakrotnie zburzyli ich dom modlitwy i raz po raz plądrowali ich prywatne kamienice, lecz także poczęli wywlekać protestantów z domów i maltretować ludzi na widoku publicznym. Zapanowało przekonanie, że luteranin, kalwinista czy arianin nigdzie nie może się czuć bezpieczny. Przed laty nawet szlachta katolicka przeciwdziałała tumultom, hamowała zapędy władzy

kościelnej. Ale w opisanym przypadku nie kto inny, lecz młodzi szlachcice, studenci akademii, wiedli prym w prześladowaniach, przekonani, że jako panowie herbowi mogą bezkarnie czynić, czego dusza zapragnie.

Pomimo wezwań dysydenckich posłów sejm bardzo niewiele robił, by pohamować czy nawet potępić pogromy. Akt konfederacji warszawskiej, choć szczytny, w większości pozostał pustą deklaracją. Władze kościelne, czujące, że siła znów jest po ich stronie, w ogóle odmówiły jego zaakceptowania. I to mimo że część biskupów pomagała w ułożeniu dokumentu. Co do posłów i senatorów świeckich — potrzebowali pół wieku, by przejść od słów do czynów i przyjąć uchwałę wymierzoną w „gwałcicieli pokoju wyznaniowego”. Dopiero w 1627 roku ustanowiono powszechne kary za tumulty religijne. Jednocześnie jednak sejm zakazał protestantom odbudowywania i odnawiania wszystkich tych świątyń, które już zostały zburzone. Argumentacja: żeby widok heretyckich zborów nie prowokował katolików.

Od przełomu stuleci zanikała dawna solidarność szlachciców ponad podziałami wyznaniowymi. W 1565 roku na sejmie zdarzyło się, że podkanclerzy koronny, ksiądz Piotr Myszkowski, stwierdził z otwartością: „Niech odmienne rozumienie Pisma [Świętego] nie targa miłości między nami”. W wieku XVII podobne deklaracje były już niezmiernie rzadkie, a gdy nawet padały, przyjmowano je z powątpiewaniem. Przybywało procesów wymierzonych w dysydentów. Wolność słowa i myśli panów herbowych, wcześniej nienaruszalna, została podana w wątpliwość. W 1627 roku trybunał koronny w Lublinie — a więc najwyższy sąd szlachecki — skazał ziemianina Samuela

Bolestraszyckiego na 6 miesięcy więzienia i wysoką grzywnę tylko dlatego, że ten ośmielił się przetłumaczyć na język polski i wydać kalwiński traktat *O próżności życia*. Gdy oburzony waćpan odmówił podporządkowania się wyrokowi, pozbawiono go czci i ogłoszono banitą, natomiast na rynku lubelskim kat rozpalił stos, na który rzucono wstrętną katolikom książkę. W 1633 roku ten sam trybunał, naciskany przez władze duchowne, aresztował i skazał także seniora miejscowego zboru kalwińskiego. Doktor Samuel Makowski został oddany na tortury, przypalano go świecami. Miał też zostać stracony, karę śmierci zawieszono jednak pod naciskiem ostatnich kalwińskich magnatów.



Jezuita w walce z diablem. XIX-wieczna grafika Michała Andriollego.

Protestantów w coraz większym stopniu traktowano nie jak szlachciców takich samych jak wszyscy, lecz jak oddzielne stronnictwo o podejrzanych celach. To zaś upodabniało polskich kalwinów czy arian na przykład do francuskich hugenotów. Stali się dla katolików blokiem opozycji, konkurentami, nawet wrogami. Taki obraz umacniał się tym bardziej, że szeregi herbowych protestantów — i protestantów w ogóle — topniały w oczach. Szacuje się, że na przykład w Małopolsce od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1620 liczba zborów spadła o 56 procent. W roku 1640 w dużych miastach Rzeczypospolitej, nie licząc Pomorza, gdzie na dobre utwierdził się luteranizm, nie było już żadnego protestanckiego domu modlitwy. Wszystkie zburzono, spalono, rozebrano albo oddano katolikom. Jeden zbór ostał się tylko za murami miejskimi w Wilnie. Pierwotnie wznosił się w samym mieście, ale spotkał go taki los jak wszystkie inne. Kult kalwiński na dobrą sprawę praktykowano już tylko w granicach ziemiańskich majątków, a i tam bardzo rzadko.

Szlachcicom coraz trudniej było głośno przyznawać się do innej wiary także na forum politycznym. Zygmunt III Waza, wybrany na tron w 1587 roku, był zagorzałym, bezkompromisowym katolikiem. Symbolem jego fanatyzmu stała się tak zwana unia brzeska z 1595 roku. Miliony prawosławnych, zamieszkujących wschód Rzeczypospolitej, przymuszono do podporządkowania się papieżowi i hierarchii katolickiej. Na skutek tej koszarnej decyzji Ruś pogrążyła się w chaosie, mnożyły się mordy i rozruchy. Szlachta w swoim ogóle niezbyt na nie zważała, bo prawosławie już od dawna nie uchodziło za religię właściwą dla panów. Zygmunt nie zamierzał też jednak długo folgować innym odstępcom. W najwcześniejszych latach panowania król rodem ze Szwecji

baczył jeszcze na stare normy i bez mrugnięcia okiem rozdawał wpływowe stołki protestantom. Ledwie jednak poczuł się nieco pewniej, zaczął promować samych niemal katolików. Także na sejmikach ziemskich kandydaci z dumą podający się za kalwinistów lub arian coraz rzadziej byli wybierani na posłów. Nie uważano, jak przed laty, że mogą godnie reprezentować społeczność.

Stary wstręt szlachty do sądów kościelnych i do płacenia dziesięcin nie zniknął zupełnie. Ale też nie skłaniał dłużej sobiepanów do przeciwstawiania się rzymskiej hierarchii. Na sejmach i w pismach politycznych pomstowano, że przedstawiciele wysokiego kleru „jak wieprze w karmnikach żyją, a zbytki i rozpusty płodzą”. Skarżono się też, że „opatrzył ich Pan Bóg większymi dostatkami” niż świeckich szlachciców. Za narzekaniami nie szły jednak radykalne czyny. Na pierwszy plan wysunęła się obawa przed sąsiedzkim ostracyzmem, przed niemożnością zapewnienia synom dobrej jezuickiej edukacji, czy wreszcie przed zamknięciem dróg karier, nawet w skali czysto lokalnej. Bo przecież dysydenci, w przeciwieństwie do katolików, nie mogli ani odesłać młodszego potomka do seminarium i zapewnić mu dochodowej plebanii, ani skierować córki do klasztoru, dla uniknięcia konieczności płacenia posagu. Odstępstwo od katolicyzmu w XVI wieku mogło się wydawać korzystne. W wieku XVII nie było już ani opłacalne, ani nawet bezpieczne, niezależnie od obowiązujących przywilejów.

Narastał fanatyzm religijny, a wśród członków najwyższego stanu upowszechniała się opinia, że tylko katolik może być prawdziwym Polakiem, a więc szlachcicem. Posłowie kalwińscy skarżyli się na sejmach, że ich ministrowie są stawiani przed sądem „za chrzty, sakramenty, śluby” — a więc

za każdy przejaw publicznego kultu. Zwracano uwagę, zupełnie słusznie, też na to, że tolerancja, dawniej szeroka, teraz została zastrzeżona dla obcych. Względnie pobłażliwie podchodzono do dysydenckich przybyszy z zagranicy, poza tym mieszczan, ale tych podających się za Niemców. Jeśli ktoś mówił po polsku, oczekiwano, że będzie słuchać papieża. Pogarszająca się sytuacja gospodarcza i załamanie klimatu tylko podsycaly uprzedzenia. Ostateczny triumf ksenofobii i nietolerancji nastąpił jednak po serii niszczycielskich wojen, jakie przetoczyły się przez kraj w połowie XVII wieku, z niesławnym potopem na czele^[229].

Wszyscy przeciwnicy Rzeczypospolitej z tego niezwykle krwawego okresu stawiali na odmienne rozumienie Pisma. Ze wschodu na kraj uderzyli prawosławni Moskale, z północy luterańscy Szwedzi, z południa księżę Siedmiogrodu, także popierający wyznanie ewangelickie. Nawet Kozacy, którzy od wewnątrz rozsadzili Rzeczypospolitą, występowali jako wrogowie Kościoła rzymskiego i narzuconej przymusem unii brzeskiej. Hasła, głoszone dawniej chociażby przez Piotra Skargę, jakoby innowiercy stali za wszelkimi nieszczęściami, wreszcie trafiły na podatny grunt. Wśród ogromu mordów i grabieży kiełkował też swoisty mesjanizm: przekonanie, że Bóg zesłał na Polskę karę za odstępstwo od czystej wiary, lecz ponownie spojrział na kraj przychylnie, gdy dwór oraz szlachta poprzysięgli walczyć w imieniu Matki Boskiej (w której świętość przecież nie wierzyli protestanci!) i katolickich dogmatów.

Jak podkreślał profesor Jarema Maciszewski, było faktem, że „szlachta wyznania luterańskiego czy ariańskiego chętniej i częściej kolaborowała z najeźdźcami”. Należałoby jednak podkreślić, że działo się tak w dużym stopniu właśnie za

sprawą wcześniejszych prześladowań. Kalwiniści czy arianie mogli szczerze wierzyć, że pod panowaniem Szweda będzie im nad Wisłą lepiej. Co najważniejsze, gdy wrogów wyparto, szlachta nie zastosowała „zasady odpowiedzialności indywidualnej, lecz odpowiedzialność zbiorową”. Wybaczano magnatom, dowódcom i rzeszom pospolitaków, którzy skapitulowali przed wrogiem, o ile tylko byli katolikami. Kozłem ofiarnym zostali dysydenci.

Nikt już nie pamiętał o tradycjach swobodnej debaty, o wolności myśli i słowa, ani o intelektualnych argumentach. Rzeczową dyskusję, jak pisał Janusz Tazbir, „zastąpiły groźby i połajanki”. W 1658 roku sejm podjął decyzję o wypędzeniu z kraju wszystkich arian. Pozostać pozwalano tylko tym, którzy w ciągu trzech lat zrezygnują z odstępstwa i powrócą na łono Kościoła rzymskiego. Po wyznaczonym czasie wyznawanie kultu ariańskiego miało być karane śmiercią. I należy podkreślić, że nie był to pusty dekret, jak za czasów Zygmunta Starego. Konstytucję ogłosili reprezentanci szlachty, miała moc obowiązującą i zamierzano ją egzekwować tak samo jak kary wobec ludzi, którzy nie stawili się na popis pospolitego ruszenia lub fałszywie podawali się za nobilitowanych. Jawni antytrynitarze faktycznie zniknęli z Rzeczpospolitej. Na katolicyzm, przynajmniej oficjalnie, nawrócił się wówczas chociażby Wacław Potocki. Choć w swoich fraszkach wciąż pisał o klerze tak, jakby był protestantem.

W następnej kolejności wystąpiono przeciw kalwinistom i luteranom. Konstytucje sejmowe z lat 1668 i 1673 całkowicie zakazywały porzucania religii katolickiej. Szlachcic katolik, który przejdzie na stronę reformacji, miał być karany konfiskatą majątku i wygnaniem. Zakazano też uszlachcania

i obdarzania indygenatem osób niewyznających wiary rzymskiej. Praktyczne znaczenie tej akurat decyzji było minimalne, biorąc pod uwagę śmiesznie niską liczbę nobilitacji. Ale już symboliczna rola zakazu była wielka: bardziej stanowczo niż kiedykolwiek wcześniej okazano, że szlachectwo i katolicyzm są z sobą nierozzerwalnie splecione.

W 1716 roku padł ogólny zakaz budowy jakichkolwiek zborów protestanckich, nawet w dobrach prywatnych. Polecono też zburzyć domy modlitwy istniejące od mniej niż 40 lat. Co więcej, protestanci mieli odtąd unikać pieśni, kazań, głośnych nabożeństw — słowem jakiegokolwiek oznajmiania swej obecności wśród wyznawców obowiązującej wiary.

W 1718 roku zakazano wybierania zwolenników reformacji na posłów sejmowych. Tym samym odebrano im, z racji wiary, podstawowe uprawnienie polityczne. Później zakaz został rozciągnięty także na inne urzędy. W części zniesiono go w dobie stanisławowskiej, w części obowiązywał jednak nadal. Nawet za czasów wielkich reform Sejmu Czteroletniego dysydenci wciąż nie mogli piastować ważnych stanowisk, zwłaszcza ministerialnych, natomiast Konstytucja 3 maja utwierdziła także zakaz porzucania wiary. A wszystko to mimo niezmiennie obowiązującego — przynajmniej na papierze — aktu konfederacji warszawskiej.

Od litery jakiegokolwiek prawa ważniejsza okazała się praktyka. Już w pierwszym pokoleniu po potopie, niezależnie od decyzji sejmowych, protestantów niemal zupełnie odsunięto od władzy i profitów. Kto chciał nadal w pełni korzystać ze swego szlachectwa i kto pragnął czuć się bezpieczny od napaści i na poły bezprawnych ingerencji sądów w jego sprawy majątkowe lub prywatne, był zmuszony przejść na katolicyzm.

Na opornych trwała prawdziwa nagonka. Charakterystyczny był przypadek starosty gnieźnieńskiego Zygmunta Unruga. Tylko za to, że „poważył się czytać księgi autorów heretyckich” i że w prywatnym tomie, swoim *silva rerum*, zanotował zdanie, które można było uznać za pochwałę protestantyzmu, podejrzliwy sąsiad postawił go przed sądem. W 1715 roku Unruga skazano na śmierć przez ścięcie. Przed egzekucją kat miał wyrwać mu język, którym głosił herezje, i spalić rękę, która dopuściła się bluźnierstwa. Skazaniec, w obawie o życie, uciekł z kraju. Jego majątek podległ konfiskacie. Połowę odstąpiono — w myśl reguł sądowych — donosicielowi^[230].

Janusz Tazbir, krytykowany przez niektórych naukowców za okrzyknięcie Polski państwem bez stosów, przyznawał w swoich pracach, że nad Wisłą dochodziło do pogromów wyznaniowych, że niszczone świątynie, zastraszano innowierców, nawet zabijano przeciwników z racji wyznania. Twierdził jednak, że nazwa, jaką ukuł, mimo wszystko była słuszna, bo za granicą represje osiągały nieporównywalnie większą skalę. Poza tym — jest faktem niezaprzeczalnym, że szlachcice nie posyłali na stosy innych szlachciców.

W dobie nowożytnej za rzekome czary nie spalono nad Wisłą żadnej szlachcianki, spotykało to wyłącznie plebejki. Podobnie nie jest znany przypadek faktycznego stracenia szlachcica za to, że był protestantem. Odstępców terroryzowano, poniżano, a jeśli nie chcieli ustąpić, pozbawiano majątków i zmuszano do ucieczki z kraju. Ale zabijanie nobilitowanych wciąż nie mieściło się w ramach nadwiślańskiej kultury politycznej. Nie istniała też nigdy administracja zdolna prowadzić masowe represje.

Można wskazać tylko pojedyncze wyjątki. Najgłośniejszy miał miejsce w roku 1687, gdy uwięziono podsędka brzeskiego

Kazimierza Łyszczyńskiego. Na mężczyznę doniósł inny szlachcic, któremu ten pożyczył pieniądze. Zamiast zwrócić kwotę, dłużnik włamał się do dworu Łyszczyńskiego i wykradł prywatną księgę, sugerującą, że ziemianin jest nawet nie protestantem, ale „strasznym dziwowiskiem i monstrum nigdy przedtem niewidzianym” — ateistą. Czy oskarżenie było prawdziwe, nie wiadomo. Wbrew obowiązującym prawom Łyszczyńskiego aresztowano bez wyroku sądu. Wszelkie jego apele i zaprzeczenia zostały zignorowane, proces prowadzony przed sądem sejmowym okazał się ponurą farsą. Rzekomy ateista usłyszał wyrok skazujący za to, że „piórem samego Lucyfera kłamliwie pisał, że Boga nie ma”. Stracono go 30 marca 1689 roku w najgorszy wyobraźalny sposób. Świadek wydarzeń, zresztą biskup, pisał:

Wreszcie wyprowadzono go na miejsce stracenia i okrutnie znęcano się najpierw nad jego językiem i ustami, którymi on okrutnie występował przeciw Bogu. Potem spalono jego rękę, która była narzędziem najpotworniejszego płodu, spalono także jego papiery pełne bluźnierstw i na koniec on sam, potwór swego stulecia, zabójca Boga i prawołamca został pochłonięty przez płomienie, które miały przebłagać Boga, jeżeli w ogóle za takie bezceństwa można Boga przebłagać.

W 1700 roku inny szlachcic, łowczy łomżyński Krzysztof Przyborowski, spłonął na stosie albo za ateizm, albo — jak mieszczka Weiglowa półtora stulecia wcześniej — za przyjęcie wiary żydowskiej. Znane są też egzekucje herboowników za różne formy bluźnierstwa religijnego: zniszczenie świętych obrazów, atak na księdza podczas sprawowania posługi, podeptanie hostii^[231].

Można przypuszczać, że coraz bardziej fanatyczna szlachta z czasem byłaby gotowa podobnie traktować także zatwardziałyh kalwinistów czy luteranów legitymujących się herbami. Niewielu już jednak było panów chętnych, by sprawdzać granice tolerancji. Reformacja na szczytach władzy do reszty upadła.

Szacuje się, że u schyłku XVIII stulecia w całym kraju żyło może 200 tysięcy różnowierców. Stanowili skromne 1,5 procent populacji kraju. W przytłaczającej większości byli zresztą mieszczanami, głównie pruskimi. Na obszarze Korony ostało się około osiemdziesięciu zborów, ale tylko dwadzieścia z nich należało do wspólnot polskojęzycznych. Pozostałe — do ludności niemieckiej i czeskiej^[232]. Może więc Janusz Tazbir miał rację. Polska pozostała państwem bez stosów, bo zwyczajnie nie było kogo na nich palić.

Sarmacki katolicyzm

W XVII stuleciu katolicyzm odzyskał w Polsce pełen prymat. Był to już jednak katolicyzm bardzo różny od tego, jaki znano w czasach sprzed reformacji. U swojego zarania nadwiślańska kultura szlachecka rozwijała się jakby w oderwaniu od haseł religijnych. Wymóg pobożności, choć interpretowany bardzo różnie, uchodził za rzecz oczywistą. Akceptowano go powszechnie, ale nie miał bezpośredniego przełożenia na tożsamość panów herbowych. Ta nabierała kształtów pod wpływem świeckich postulatów o wolności i równości oraz na bazie wyobrażeń o wrodzonej cnotcie. Dopiero pod naporem kontrreformacji, a szczególnie w ponurych latach,

jakie nastąpiły po potopie szwedzkim, właściwie rozumiana katolickość zaczęła uchodzić za fundament szlachectwa.

Po wyparciu serii wrogich inwazji i w obliczu narastającego konfliktu z Portą Otomańską na dobre przyjął się obraz Rzeczypospolitej jako ostatniego bastionu wiary; przedmurza, broniącego Europy przed naporem herezji i innowierstwa. Była to oczywiście retoryczna fikcja, kolejny zbiór omamów, jakim szlachcice zawsze chętnie się oddawali. Ogół warstwy uprzywilejowanej nie stał się nagle w drugiej połowie XVII wieku bardziej skory do wojaczki i poświęceń na rzecz kraju lub wiary. Wręcz przeciwnie — im głośniej rozprawiano o przedmurzu, tym sobiepanowie byli chętniejsi unikać konfrontacji. Zamiast walczyć z sułtanem, woleli mu posyłać drogie upominki, haracze[233].

Obraz Polski jako oblężonej twierdzy, strzegącej jedynych prawdziwych wartości, odpowiadał jednak potrzebie chwili. W obliczu strasznej zapaści gospodarczej i bezprecedensowego wyniszczenia kraju pozwalał podbudować nadszarpniętą dumę szlachciców. Utwierdzał ich w przekonaniu, że Rzeczpospolita jest nie tylko potrzebna światu, ale wręcz niezbędna — jako państwo umiłowane przez Boga i realizujące kluczowy element niebiańskiego planu.



Szlachcic podczas modlitwy, otoczony elementami swojego rynsztunku wojennego. Portret trumienny z połowy XVII wieku w zbiorach Muzeum Archidiecezjalnego w Poznaniu.

Na tym tle postępowało zjawisko, które badacze często określają mianem sarmatyzacji polskiego Kościoła i katolicyzmu. Struktury duchowne przesiąkały szlachectwem na różnych płaszczyznach. Po pierwsze, w sensie zupełnie dosłownym. W czasach renesansu panowie herbowi otwarcie gardzili niższym duchowieństwem, wikariuszami czy nawet plebanami, jeśli ci nie mieli pod swoim zarządem dostatniej parafii. W obliczu masowego ubożenia szlachty kariera duchowna, choćby w skali mikro, zyskiwała jednak na atrakcyjności. Poza tym wieki kontaktu z pysznym obyczajem szlacheckim sprawiały, że nawet księża plebeje starali się przyjmować sobiepański sposób bycia i ogląd świata.

Jak wyjaśnia historyk demografii Cezary Kukło, u schyłku epoki nowożytnej proboszczowie na wsi wywodzili się już na ogół ze szlachty. Panowie herbowi masowo napływali też do zakonu jezuitów, nie brakowało ich nawet w niby to żebraczych wspólnotach dominikanów i franciszkanów. Gdy zniknęła konkurencja ze strony reformacji, poziom intelektualny polskiego duchowieństwa wyraźnie się obniżył; nie widziano już potrzeby bronienia dogmatów, a po fali grabieży wojennych edukacja w każdej dziedzinie, również religijnej, podupadła. Poza tym wśród szlachty zupełnie powszechne było przekonanie, że kariera w Kościele to sposób na łatwy zarobek, a nie powołanie. Janusz Tazbir pisał stanowczo, że szlachta wносиła do stanu duchownego „wszystkie narowy i wady” własnej warstwy: „pieniactwo, chciwość, marazm umysłowy”. Dane statystyczne wydają się potwierdzać tę ostrą ocenę. Wyliczono na przykład, że nawet przed potopem, w pierwszej połowie XVII stulecia, w diecezji krakowskiej tylko 44 procent zarządców parafii stale przy nich rezydowało. Z kolei w archidiakonacie gnieźnieńskim prawie

jedna trzecia proboszczów nie głośiła kazań, a ponad połowa nie angażowała się w jakąkolwiek pracę katechizacyjną. Było normą, że szlachcice starali się zagarniać po kilka parafii, czerpali z nich dochody, ale nie trudzili się faktyczną posługą. Z reguły zastępował ich kler niższy, ale nierzadkie były też przypadki, gdy kościoły stały opuszczone. Nawet zresztą, gdy ksiądz szlachcic wypełniał obowiązki, niekoniecznie wiedział, co i jak powinien czynić. Formalnie od kandydatów na duchownych wymagano dwuletniego pobytu w seminarium. W praktyce wielu szlachciców przerywało naukę już po roku lub nawet kilku miesiącach, a i tak otrzymywali upragnione urzędy kościelne. Z ambony niewiele byli w stanie powiedzieć o Bogu, ale za to bez końca mogli rozprawiać o szlachectwie^[234].

Sarmackie mity, przekonania i wartości w coraz większym stopniu oddziaływały na kult religijny. Ignacy Hołowiński, który w XIX stuleciu badał dawne polskie kazania kościelne, stwierdził, że roiło się w nich od starostów, hetmanów i wzmianek o Rzeczpospolitej. „Wszystko tam w żupany ubrane. Chrystus Pan, apostołowie, święci. Stary i Nowy Testament przemawia sądem i wyrażeniem naszej szlachty” — komentował. Rzeczywiście, polscy księża z XVII i XVIII wieku prezentowali historię świętą tak, jakby bez wyjątku rozgrywała się nad Wisłą. O zwiastowaniu Marii Panny mówiono i pisano, że zawarła *pacta conventa*, obecność Syna Bożego na ziemi miała z kolei wynikać z jego obioru na polu elekcyjnym, gdzie królowanie zapewnił mu Bóg Ojciec. Wreszcie wniebowstąpienie Jezusa było przedstawiane jako początek bezkrólewia. Filistynów opisywano jako Tatarów, apostołowie byli w oczach i ustach księży radą senatorską Jezusa monarchy. Jak podkreślał Janusz Tazbir, polonizowano nawet

czeluści piekielne. W nowożytnej homiletyce nieustannie jest więc mowa o diable jako „wielkim hetmanie pogańskim” albo „wojewodzie wszystkich czarownic”.

Ta, żeby użyć terminu obecnego w nauce, nacjonalizacja kultu wychodziła poza czysto estetyczną otoczkę, kształtowała postawy i postulaty religijne. Księża przekonywali, że ustroj Rzeczypospolitej stanowi odbicie idealnego ustroju panującego w niebiosach. W praktyce jednak to wizję świata nadprzyrodzonego dostosowano do norm hołubionych przez szlachtę, nie odwrotnie. W Kościele doby sarmackiej odrzucano chociażby powszechny wcześniej obraz Boga jako groźnego, karzącego pana. Herbownicy, przyzwyczajeni do słabej władzy monarszej, promowali przekonanie, że także król najwyższy, Bóg ojciec, na pewno nie dąży do wstrętnej władzy absolutnej, zważa na decyzje swych anielskich sejmów.

Kluczowym aspektem zeszlachcenia polskiego katolicyzmu było też powiązanie spraw wiary z interesami tylko jednego, najwyższego stanu. Pewien mówca sejmikowy z początku XVIII stulecia podkreślał, że Bóg naznaczył różnym narodom konkretne role. Polacy mieli zostać stworzeni po to, by go „cieszyć i rekreować”. Wszechmogący bardzo był bowiem rad, ilekroć przyszło mu oglądać „sejmy, sejmiki, wojenne wyprawy, rządy i wszystkie inne postęпки nasze”. To nie przypadek, że na liście znajdują się same zajęcia szlacheckie. W opinii herbowników, zarówno tych chodzących w kontuszach, jak i odzianych w sutanny, pan upodobał sobie bowiem nie wszystkich mieszkańców Rzeczypospolitej, ale właśnie szlachciców. I to z racji na ich cnotę „oddał Polskę w osobliwą opiekę”. Podobnie myślano też o Matce Bożej, której święte wizerunki przed rozbiorami były czczone w czterystu różnych ośrodkach na terenie kraju. Jak komentował badacz literatury

baroku Stefan Nieznanowski, sarmackim ideologom „nie mieściło się w głowie i wyobrażeniach politycznych, by Maryja mogła być Królową jakichś innych, poza szlachtą, warstw narodu”. Matkę Bożą prezentowano jako swoistą władczynię elekcyjną szlachciców, zobowiązaną bronić interesów panów. Dlatego na przykład Wespazjan Kochowski mógł, bez obawy bluźnierstwa, przekonywać w jednym ze swoich utworów, że Maryja Panna to niewątpliwa krytyczka posunięć dworu i zamierzeń politycznych Jana Kazimierza Wazy^[235].

Nie wstydzono się ani odwoływać do opinii boskiej w doraźnych sporach, ani nawet w sprawach zupełnie osobistych. Jeśli naród szlachecki był najbliższy Bogu i najbardziej go „rekreował”, to i każdy sarmata z osobna był skłonny uważać się za ulubieńca niebios. Odczuwał bliskość, nawet komitywę z Wszechmogącym, o jakiej nie mogło być mowy w „teologii strachu” wpajanej chłopom czy też w nauce Kościoła typowej dla czasów sprzed reformacji. Stąd nie powinien dziwić obraz, jaki namalowano w stuleciu XVII na zlecenie Jędrzeja Szydłowskiego. Dzieło, dzisiaj zaginione, ukazywało zamożnego szlachcica w rozmowie z Synem Bożym. Przy ustach Jędrzeja umieszczono wstęgę, jakby komiksowy dymek, z pytaniem: „Chryste Panie, czy kochasz mnie?”. Zbawiciel odpowiadał po polsku, wylewnie, z nieskrywanym szacunkiem: „A jakże, jaśnie wielmożny kanclerzu płocki, jaśnie oświecony dobrodzieju płockiego kościoła, kocham cię”. Bo jako Jezus sarmacki nie mógłby przecież zareagować inaczej^[236].

XII. DŁUGI SEN. KONIEC SZLACHECKIEJ IDYLLI

W XVIII stuleciu Rzeczpospolita szlachecka pod względem powierzchni i łącznego zaludnienia kraju wciąż była mocarstwem. Ale nie w jakiegokolwiek innej dziedzinie. Podczas gdy na zachodzie Europy wydajność rolnictwa rosła z dekady na dekadę, dzięki nowym metodom uprawy, narzędziom i organizacji pracy, w różnych regionach Polski i Litwy wciąż uzyskiwano plony niewiele wyższe niż w średniowieczu. Podczas gdy kontynent wchodził w dobę mechanizacji i postępu nauki, nad Wisłą uprawa ziemi nadal przynosiła ponad 90 procent produktu krajowego, a miasta tkwiły w permanentnym kryzysie^[237]. Podczas gdy europejskie potęgi korzystały z epoki względnego pokoju i porządku, przez Rzeczpospolitą przetoczył się kolejny iście apokaliptyczny konflikt. Niektórzy badacze twierdzą nawet, że wielka wojna północna z lat 1700–1721 przyniosła większe straty w majątku i większy ubytek ludności niż niesławny potop^[238]. Podczas gdy w krajach ościennych centralizowano władzę, wzmacniano armię i administrację, u nas przez długi czas nie dbano nawet o pozory. Jeszcze w roku 1765 publiczne

dochody Rzeczypospolitej były dwadzieścia pięć razy niższe niż chociażby wpływy skarbu państwowego w Wielkiej Brytanii[239]. Jeśli sejmy w ogóle podejmowały jakieś działania, to tylko po to, by potwierdzić, „obwarować” i „reasumować” zasady starego porządku i przypomnieć o przywilejach szlachty. Królowie byli zaś uzależnieni od woli arystokracji, od potencjału swej rodzinnej Saksonii i od wielokrotnie potężniejszych sąsiadów. Rzeczpospolita stała się „karczmą zajezdną”, jak trzeźwo stwierdził Adam Kazimierz Czartoryski. Każdy, kto miał wpływy i pieniądze, mógł sobie z nią swobodnie poczynać: latyfundiści, facje magnackie, carowie, cesarze i obcy królowie[240].

Państwo szlacheckie znajdowało się w ogonie Europy. Ale tak było przecież tylko w rzeczywistości. W sarmackich głowach wciąż żył, a nawet rozkwitał zupełnie inny obraz sytuacji. Samokrytyka była domeną garstki radykałów i postępowców, zresztą raczej z całkiem schyłkowego okresu. W pamiętnikach, sylwach czy pismach politycznych typowych szlachciców próżno szukać oznak poczucia niższości cywilizacyjnej. O pragnieniu doganiania Europy w ogóle nie mogło być mowy. Zupełnie nie tak rozumowali zbiedniali, odsunięci od faktycznej władzy, zmagający się ze wszędobylską anarchią średniacy oraz szaraczkowie.

Ich ogląd świata niezmiennie wyznaczała duma. W odpowiedzi na drwiny i nieprzychylne komentarze obcokrajowców podkreślano, że to wszystko wyrazy zazdrości. Ludzie wychowani w despotyzmie mieli opluwać wspaniałą Rzeczpospolitą, bo zazdrościli polskiej szlachcie jej swobód oraz przywilejów. I warto podkreślić, że takie komentarze były szczególnie popularne w dobie wielkiej wojny północnej, gdy Polska znajdowała się nawet nie na dnie, ale pod

wielometrową warstwą mułu[241]. Szlachcice puszyli się i nadymali, a tymczasem zamek wawelski w Krakowie — serce kraju i miejsce koronacji wszystkich królów — w 1702 roku nie tylko został zajęty przez wrogich żołnierzy, lecz także spłonął ze szczerem po tym, jak szwedzcy żołdacy porozpalali ogniska na posadzkach niegdyś wspaniałych komnat i izb rezydencji. Po fakcie miedź, która spłynęła z dachów, została przetopiona na armaty, a zamek pokryto prostym i niezbyt szczelnym gontem. Z kolei insygnia królewskie, przechowywane na wzgórzu, na dwie dekady trafiły w ręce rodziny Szembeków, która niby to wzięła skarby w opiekę, ale nie spieszyła się z ich oddawaniem. A już na pewno nie chciała ich zwracać za darmo[242].

O takich szczegółach panowie jednak nie myśleli. Zniszczenia, najazdy, okupacje i klęski nie pasowały do głębokiego, radosnego snu, w jakim pozostawali pogrążeni. Wszystkie je więc wymazywano z pamięci i świadomości. W efekcie chociażby Dymitr Michał Krajewski, rektor warszawskiego kolegium pijarów, mógł z pełną powagą rozgłaszać w roku 1784, że „miło jest czytać historię narodu naszego”. Były to przecież dzieje „najspokojniejszego ludu na świecie”, który nie miał za sobą rzezi, krwawych podbojów, zaburzeń wewnętrznych ani terroru. Znał tylko sielankę i swobodę[243].

Jeśli nawet ktoś ośmielił się przypomnieć, że Rzeczpospolita jest zacofana gospodarczo, a jej ziemiaństwo zubożałe, z dumą odpierano, że Sarmaci mają „szczerą wolność” zamiast bogactwa. I że ta doskonale zastępuje „dostatek miedzi, złota, srebra”, w jaki obfitują inne narody[244]. Jeśli, wbrew taktowi, wyciągnięto w dyskusji chwile największego upadku i kompromitacji, szlachcice zbywali ich znaczenie, mówiąc, że

przecież Bóg czuwa nad Polską i nie pozwoli jej zginąć. W XVII stuleciu Krzysztof Opaliński obrazowo wyłożył taki sposób rozumowania. W jednym ze swoich utworów stwierdził, że Panu Bogu zdarza się pewna nierychliwość; że nieraz czeka on, „aż nieprzyjaciele do woli się ucieszą, zewsząd obracając mizerną naszą Polskę”. Należało jednak mieć pewność, że Wszechmogący nigdy nie pozwoli wrogom posunąć się zbyt daleko i wyrządzić prawdziwej krzywdy narodowi, który cenił ponad wszystkie inne. Gdy więc nieprzyjaciele „naprzykrzali się” za bardzo zarówno Rzeczpospolitej, jak i jemu samemu, to wołał: „Ciszej, Turcy! Ciszej, Tatarowie!”. I tak oto koniec końców udawało się wypierać wszelkich wrogów i hamować napaści. „Opatrzność zgoła Boża nad nami Polakami” — kwitował Opaliński^[245]. Niby była to fraszka, ale pisana z zupełną powagą. Ten sam tok myślenia w wieku XVIII był już właściwie dogmatem. Zresztą, czy nie utrzymuje się on w mocy nawet dzisiaj? O potopie szwedzkim nadal opowiada się przecież przez pryzmat obrony Jasnej Góry, która dla przebiegu kampanii miała nikłe znaczenie, albo w kontekście ślubów lwowskich Jana Kazimierza, choć przecież trudno uznawać za argument wojenny to, że król przypomniał siłom niebiańskim o ich obowiązkach względem Rzeczpospolitej. Nawet wielu wybitnych znawców Rzeczpospolitej szlacheckiej niezmiennie powiela sarmackie ułudy. Przykładowo profesor Stanisław Grzybowski z taką samą powagą jak magnat Opaliński niemal 400 lat temu podkreślał, że sarmackie ideały „zdały egzamin” w dobie potopu i „wyprowadziły społeczeństwo Rzeczypospolitej z sytuacji przez wielu uznanej za beznadziejną”. Wciąż doskonale ma się także chociażby sarmackie przekonanie, że ojczyzny nie wolno krytykować czy nawet oceniać. Bo w końcu, jak pisał Andrzej Maksymilian

Fredro, „którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzej zgubią”[\[246\]](#).

Ogół szlachty nie obawiał się ingerencji obcych mocarstw i hegemonii rosyjskiej także dlatego, że — jak wierzył — Polska jest Europie absolutnie niezbędna. Był to, jak skomentował pewien historyk, dość przedziwny konstrukt myślowy. Z jednej strony sobiepanowie gardzili wszystkim, co obce, poniżali Niemców, Francuzów czy Anglików, z drugiej zaś żyli w przeświadczeniu, że ci „uczynią wszystko”, aby ich ocalić.

Rzeczpospolita nie była już zdolna do jakichkolwiek wojen, a mimo to wciąż uważano, że stanowi przedmurze. Nie miała sojuszy ani politycznych gwarancji, a jednak okłamywano się, że na przykład Habsburgowie po wsze czasy będą się bezinteresownie odwdzięczać za wiktoryę wiedeńską. Wreszcie — była w gospodarczej zapaści, a i tak uparcie sądzono, że stanowi „spichlerz Europy”. Nawet u samego szczytu prosperity, w drugiej połowie XVI stulecia, z Rzeczpospolitej eksportowano najwyżej 100 tysięcy ton zboża rocznie. Była to ilość wystarczająca do wyżywienia 1 procenta (tak, zaledwie jednego procenta!) ludności kontynentu. A jednak w wieku XVIII, gdy znaczenie polskich upraw niemożebnie się skurczyło, nasze elity wciąż podzielały pogląd, który perfekcyjnie ujęła szlachecka pamiętnikarka Wirydianna Fiszerowa. Jak pisała, do samego końca wierzone, że „nie byłoby kawałeczka chleba w Europie, gdybyśmy nie dostarczyli zboża”. Tak więc „w słodkim przekonaniu, że o nasze ocalenie troszczy się świat cały, polegaliśmy na nim w tym względzie”[\[247\]](#).

Ze snu zaczęto się budzić dopiero w 1772 roku, po pierwszym rozbiorze, gdy mit bezpieczeństwa

i nienaruszalności szlacheckiego państwa legł w gruzach. Nie było to jednak wcale przebudzenie szybkie ani chętne. Skrajnie konserwatywna konfederacja barska, zawiązana przeciwko Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, na poły nielegalny sposób przyjęcia Konstytucji 3 maja, ograniczone poparcie dla Ustawy Rządowej na sejmikach, konfederacja targowicka — każdy z tych epizodów pokazał, jak bardzo szlachta pragnęła wierzyć, że wszystko powinno i może zostać po staremu. Zanim przyszło otrzeźwienie, na ratunek było już o wiele za późno[248].

UWAGA O NOWOŻYTNYCH PIENIĄDZACH

Dla wygody czytelników kwoty zaczerpnięte ze źródeł każdorazowo zapisuję w złotych polskich. Dotyczy to także treści cytatów, gdzie pierwotnie często były wzmiankowane grzywny (1 grzywna = 48 groszy). Zawsze gdy w tekście jest mowa o nowożytnych złotych polskich, mam na myśli sztywną jednostkę obrachunkową. Tak samo należy rozumieć grosze (1 złoty polski = 30 groszy).

Cen sprzed wielu dekad, a tym bardziej stuleci nie da się w precyzyjny sposób przełożyć na współczesne pieniądze. Wielu historyków ignoruje problem, podając tylko oryginalne wartości. A więc liczby, które niewiele znaczą dla innych badaczy, a co dopiero dla zwykłych odbiorców. Niektórzy decydują się na wyjaśnienie, jakie towary można było nabyć za określoną liczbę złotych czy groszy w danym czasie. Nawet ten sposób nie jest jednak intuicyjny. Przede wszystkim zaś nie odzwierciedla wpływu inflacji i psucia monety.

Złoty polski z roku 1616 był wart ponad dwa razy mniej niż pół wieku wcześniej. W roku 1658 już cztery razy mniej, a w 1750 — dziewięć razy. Zmiany były tak duże i postępowały

tak szybko, że wszelkie objaśnienia należałoby ponawiać dla każdej dekady, aby ceny pozostały zrozumiałe. Na szczęście istnieje alternatywne rozwiązanie.

Kwoty przytaczane w książce przeliczam na dzisiejsze pieniądze posługując się metodą opracowaną przez profesora Zbigniewa Żabińskiego. Sposób ten pozwala określić siłę nabywczą pieniądza w dowolnym momencie dziejów, poprzez porównanie kosztu dziennego wyżywienia. Wszelkie wyniki należy oczywiście traktować jako przybliżone i brać pod uwagę ogromne różnice między gospodarką epoki folwarcznej i tą obecną. Wyliczenia powinny jednak dawać pewne wyobrażenia o tym, jak ogromnie wykorzystywano naszych przodków.

Metoda została szeroko omówiona w pracy profesora Żabińskiego pt. *Systemy pieniężne na ziemiach polskich* (Wydawnictwo PAN, Warszawa 1981). Jej podstawowe założenia przedstawiłem w artykule dostępnym pod adresem: <https://wielkahistoria.pl/?p=26619/>. Obliczeń dokonałem, wykorzystując koszyk dóbr dla roku 2022 oparty na danych GUS-u i średnich cenach sklepowych.

UWAGA O JEZYKU ŹRÓDEŁ

Sieszkańcy Rzeczypospolitej z wieków XVI czy XVII posługiwali się językiem polskim. Nie była to jednak taka sama polszczyzna jak ta, której używamy dzisiaj. Ogromnie zmienił się zasób słów, wiele wyrazów wyszło z użycia, inne zyskały nowe formy lub znaczenia. Nasi przodkowie posługiwali się też inną gramatyką, interpunkcją, z wielkim rozmiłowaniem sięgali po łacińskie i francuskie wtręty. Wszystko to prowadzi do osobliwego problemu.

Miłośnikowi historii, który sięga po prace poświęcone nowożytności, zwykle dużo prościej zrozumieć cytaty z tekstów łacińskich lub obcojęzycznych niż fragmenty zaczerpnięte bezpośrednio z rodzimych źródeł. Pierwsze są przekładane na współczesną polszczyznę. Drugie — nawet dla specjalisty mogą stanowić wyzwanie, jeśli nie ma on pod ręką kilku słowników.

Trudność da się rozwiązać. Wystarczy traktować cytaty staropolskie tak samo jak wszystkie inne. I przekładać je na dzisiejszy język. To właśnie staram się robić. Wypisy ze źródeł zawarte na kartach niniejszej książki zostały poddane

„tłumaczeniu”. Na tyle, na ile było to konieczne, aktualizowałem ich zapis, gramatykę i słownictwo. W cytatach dokonywałem też skrótów, nie ingerowałem natomiast w ich merytorykę. Posiłkowałem się w pierwszej kolejności *Słownikiem polszczyzny XVI wieku* oraz *Elektronicznym słownikiem języka polskiego XVII i XVIII wieku*. Odnośniki do pierwotnych wersji wszystkich źródeł znajdują się w przypisach.

PRZYPISY

[1] H.H. Rowen, „*L'état C'Est à Moi*”: *Louis XIV and the State*, „French Historical Studies”, t. 2 (1961), s. 83 i n.

[2] S. Grodziski, *Obywatelstwo w szlacheckiej Rzeczypospolitej*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego”, t. 67 (1963).

[3] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 60–61. Por. A. Mączak, *Jedyna i nieporównywalna? Kwestia odrębności Rzeczypospolitej w Europie XVI–XVII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 100 (1993), s. 123 i n.

[4] Różne spojrzenia na dziedzictwo sarmatyzmu i szlachectwa: A. Fiut, *Neosarmatyzm?*, „Kwartalnik Artystyczny”, t. 21 (2013), s. 65 i n.; M. Napiórkowski, *Mit sarmackiego mitu* [w:] *Z szablą i kielichem, czyli życie po sarmacku*, red. J. Tazbir, S. Zagorski, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2015, s. 253 i n.; L. Wiśniewska, *Sarmatyzm w nowych odśłonach. Sarmacki mit w świetle wybranych przykładów literatury współczesnej* [w:] *Sarmacka pamięć. Wokół bitwy pod Wiedniem*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014, s. 198 i n.

[5] *Ustawa z dnia 17 marca 1921 roku. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej*, Dz.U. 1921 nr 44 poz. 267, art. 96; *Konstytucja 1935 r. a t.zw. tytuły rodowe*, nadbitka z „Narodu i Państwa”, Drukarnia Polska, Kraków 1936, s. 3 i n.

[6] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 26.

[7] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 39 i n.; J. Matuszewski, *Głównoczyzna chłopska i szlachecka* [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, t. 2, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2000, s. 133 i n.; A. Bogucki, *Etymologie polskich nazw rycerstwa* [w:] *Pielgrzymi, pogrobowcy, prebendarze*, red. B. Śliwiński, Muzeum Zamkowe, Malbork 2009, s. 36; tenże, *Uwagi o włódykach w średniowiecznej Polsce*, „Czasopismo Prawno-Historyczne”, t. 50 (1998), s. 31 i n.

[8] T. Czarnecki, *Szlachta. Studia o pochodzeniu historycznego terminu prawnego*, Wydawnictwo Naukowe Instytutu Kulturologii i Lingwistyki Antropocentrycznej UW, Warszawa 2014, zwł. s. 131 i n.; A. Bogucki, *Etymologie polskich nazw rycerstwa*, dz. cyt., s. 17–44; J. Matuszewski, *Polskie nazwisko szlacheckie*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1975, s. 11; S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 5: R–T, Drukarnia XX. Pijarów Warszawa 1812, s. 547–548.

[9] A. Bebłowski, *Herby i heraldyka. Krótki informator*, Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa 2000, s. 8–11, 31–33; J. Łojko, *Średniowieczne herby polskie*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1985, zwł. s. 13–17; J. Szymański, *Heraldyka* [w:] tegoż, *Nauki pomocnicze historii*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 638 i n.; W. Semkowicz, *Zawołania jako hasła bojowe*, „Miesięcznik Heraldyczny”, t. 1 (1908), s. 8–9; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 44 i n.; A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Semper, Warszawa 1993, s. 19; J. Wroniszewski, *Studia heraldyczne Antoniego Małeckiego a polskie badania nad heraldyką rycerską*, „Studia z Dziejów Średniowiecza”, t. 20 (2016), s. 323 i n.

[10] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 44 i n.; A. Bebłowski, *Herby i heraldyka*, dz. cyt., s. 31–32; J. Szymański, *Heraldyka*, dz. cyt., s. 647; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 32–33; J. Kłoczowski, *Młodsza Europa*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2003, s. 146. Rozdrobnienie polityczne i jego konsekwencje: J. Baszkiewicz, *Powstanie zjednoczonego państwa polskiego na przełomie XIII i XIV wieku*, Książka i Wiedza, Warszawa 1954; R. Heck, *Piastowie śląscy a Królestwo Polskie w XIV–XV w.* [w:] *Piastowie w dziejach Polski*, red. R. Heck, Ossolineum, Wrocław 1975, s. 69 i n.; K. Janicki, *Dlaczego Piastowie stracili władzę*

w Polsce po śmierci Kazimierza Wielkiego? [w:] *Chwile przełomu. 25 wydarzeń, które zmieniły dzieje Polski*, Bellona, Warszawa 2021, s. 75 i n. (tam dalsza literatura). Małżeństwa i potomstwo Kazimierza Wielkiego: J. Śliwiński, *Mariaże Kazimierza Wielkiego. Studium z zakresu obyczajowości i etyki dworu królewskiego w Polsce XIV wieku*, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Olsztynie, Olsztyn 1987. Ujęcie popularnonaukowe: K. Janicki, *Damy polskiego imperium*, Znak, Kraków 2017.

[11] J. Matuszewski, *Przywileje i polityka podatkowa Ludwika Węgierskiego w Polsce*, Uniwersytet Łódzki, Łódź 1983; J. Dąbrowski, *Ostatnie lata Ludwika Wielkiego 1370–1382*, Universitas, Kraków 2009; tenże, *Elżbieta Łokietkówna 1305–1380*, Universitas, Kraków 2007; D. Bagi, *Wpływ i znaczenie szlachty polskiej i węgierskiej pod koniec XIV wieku. Próba porównania przywileju budzińskiego z 1355 r. z przywilejem koszyckim z 1374 r. w świetle potwierdzenia złotej bulli z roku 1351* [w:] *Polska i Węgry w kulturze i cywilizacji europejskiej*, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 1997.

[12] A. Zajączkowski, *Szlachta polska*, dz. cyt., s. 22; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 56; A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, t. 1, Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków 1930, s. 20; M. Kowalski, *Księstwa Rzeczypospolitej. Państwo magnackie jako region polityczny*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyckiego, Warszawa 2013, s. 76 i n.

[13] J. Kurtyka, *Kilka słów o kryzysie legitymizacyjnym z lat 1399–1402 i o kryzysie polemiki naukowej*, „Średniowiecze Polskie i Powszechne”, t. 5 (2009), s. 269 i n.; R. Bubczyk, *Charakterystyka współrzędów Jadwigi Andegaweńskiej i Władysława II Jagiełły w Polsce*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Historia”, t. 52/53 (1997/1998), 29 i n.; D. Wróbel, *Elity polityczne Królestwa Polskiego wobec problemu krzyżackiego w czasach Władysława Jagiełły*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2016; W. Zawitkowska, *Walka polityczno-prawna o następstwo tronu po Władysławie Jagielle w latach 1424–1434*, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2015; K. Janicki, *Damy Władysława Jagiełły*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021 (tam dalsza literatura).

[14] A. Sucheni-Grabowska, *Przeobrażenia ustrojowe od Kazimierza Wielkiego do Henryka Walezego* [w:] *Tradycje polityczne dawnej Polski*, red.

A. Sucheni-Grabowska, A. Dybkowska, *Editions Spotkania*, Warszawa 1993, s. 34 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 58 i n.; J. Bardach, B. Leśnodorski, M. Pietrzak, *Historia ustroju i prawa polskiego*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998, s. 91–92; W. Uruszczak, *Species privilegium sunt due, unum generale, aliud speciale. Przywileje w dawnej Polsce*, „*Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego*”, t. 11 (2007), s. 23 i n.; K. Goźdź-Roszkowski, *Z badań nad nietykalnością majątkową polskiej szlachty. Postanowienia przywilejów z lat 1386–1454*, „*Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego*”, t. 10 (2007), s. 15 i n. Poradnie, system podatkowy: K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021, s. 162 i n. Śmierdząca maciora: S. Ciołek, *Satyra na małżeństwo Władysława Jagiełły z Elżbietą Granowską [w:] Toć jest dziwne a nowe. Antologia literatury polskiego średniowiecza*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, s. 272 i n.

[15] A. Wyczański, *Polska Rzeczą Pospolitą szlachecką*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1965, s. 61 i n.; M. Bogucka, *Kazimierz Jagiellończyk i jego czasy*, Universitas, Kraków 2009, s. 90–91, 177 i n.; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej [w:] Dzieje sejm polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 20–22; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 70 i n.; T. Maciejewski, *Historia ustroju i prawa sądowego Polski*, C.K. Beck, Warszawa 2017, s. 41 i n.; M. Biskup, *Wojna trzynastoletnia*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1990, s. 26; J. Kłoczowski, *Młodsza Europa*, dz. cyt., s. 147–148. Sól suchedniowa i dochody solne: K. Janicki, *Pańszczyzna*, dz. cyt., s. 229 i n.

[16] Por. R. Sobotka, *Między monarchią stanową a demokracją szlachecką. Znaczenie przywilejów nieszawskich w periodyzacji dziejów Polski*, „*Zeszyty Prawnicze UKSW*”, t. 4 (2011).

[17] W. Uruszczak, *Najstarszy sejm walny koronny „dwuizbowy” w Piotrkowie w 1468 roku*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2018; tenże, *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, PWN, Warszawa 1981, zwł. s. 23 i n., 92 i n.; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 15–16, 20–24; A. Januszek-Sieradzka, *The Crown Sejm in the Jagiellonian Era (1386–1572). The Birth, Development*, „*Golden Age*”, „*The Sejm Review*”, nr 6/2021, s. 17 i n.

[18] A. Wyczański, *Polska Rzeczą Pospolitą szlachecką*, dz. cyt., s. 68–69; A. Sucheni-Grabowska, *Walka o demokrację szlachecką* [w:] *Polska w epoce odrodzenia. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. A. Wyczański, Wiedza Powszechna, Warszawa 1970, s. 11–14; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 72, 82.

[19] W. Uruszczak, *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, dz. cyt., zwł. s. 127 i n.; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 28 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 85. Liczebność izby poselskiej: *Posłowie ziemscy koronni 1493–1600*, oprac. W. Uruszczak i in., Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2013, s. 57 i n. Powierzchnia kraju i Mazowsza: K. Janicki, *Największa powierzchnia Polski w historii. Kiedy i Ile kilometrów kwadratowych?*, „WielkaHISTORIA”, 22 lipca 2020 [<https://wielkahistoria.pl/?p=21903/>]; W. Czapliński, *Zarys dziejów Polski do roku 1864*, Znak, Kraków 1985, s. 151.

[20] E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 27 i n.

[21] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 52. Podstawowy klasyczny szacunek: W. Kula, *Stan i potrzeby badań nad demografią historyczną dawnej Polski*, „Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych”, t. 13 (1951), s. 71.

[22] A. Zajązkowski, *Szlachta polska*, dz. cyt., s. 10; O. Górka, *O nowe momenty genealogii polskiej inteligencji*, „Kuźnica”, nr 30–31 (1946).

[23] Jehan Choisnyn, *Elekcja Henryka Walezego* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 1, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, s. 158.

[24] C. Kukło, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, DiG, Warszawa 2009, s. 72 i n.; Z. Budzyński, M. Sochacka, *Ludność parafii Hyżne koło Rzeszowa w świetle spisów spowiedniczych z lat 1728–1747* [w:] *Studia i materiały z dziejów społecznych Polski południowo-wschodniej*, t. 1, red. Z. Budzyński, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2003, 168 i n.; A. Zajązkowski, *Szlachta polska*, dz. cyt., s. 52.

[25] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 16–18; B. Dymek, *Z dziejów szlachty mazowieckiej. Dziedzictwo kulturowe i stereotyp*, Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej im. Jana Kochanowskiego, Kielce 2005, s. 115–116; H. Łowmiański, *Zaludnienie*

państwa litewskiego w XVI wieku. Zaludnienie w roku 1528, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1998; C. Kukło, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, dz. cyt., s. 220 i n. Por. J. Topolski, *Rzeczpospolita Obojga Narodów 1501–1795*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015, s. 70.

[26] A. Laszuk, *Szlachta w województwie krakowskim w świetle rejestrów pogłównego z 1662 roku*, „Przegląd Historyczny”, t. 79 (1988); L. Polaszewski, *Szlachta Wielkopolski na podstawie rejestrów pogłównego z lat 1673–1676* [w:] *Spółeczeństwo staropolskie*, t. 3, red. A. Wyczański, PWN, Warszawa 1983; J. Topolski, *Nowsze badania nad szlachtą wielkopolską* [w:] *Kultura — polityka — dyplomacja*, red. A. Bartnicki i in., PWN, Warszawa 1990, s. 431 i n.; Z. Anusik, *Struktura społeczna szlachty bractawskiej w świetle taryfy podymnego z 1629 roku*, „Przegląd Historyczny”, t. 76 (1985); J. Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą. Problemy komunikacji, społeczności, władza w epoce Jana Kazimierza*, Neriton, Warszawa 2002, s. 20–21 (tam badania Drewicza).

[27] E. Rostworowski, *Ilu było w Rzeczypospolitej obywateli szlachty*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 94 (1987).

[28] J. Shovlin, *Nobility* [w:] *The Oxford Handbook of the Ancien Regime*, red. W. Doyle, Oxford University Press 2012, s. 113; W.J. Callahan, *Crown, Nobility and Industry in Eighteenth-Century Spain*, „International Review of Social History”, t. 11 (1966), s. 446; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 54; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 16; P. Guzowski, *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2019, s. 196–197.

[29] C. Kukło, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, dz. cyt., s. 220 i n.; K. Janicki, *Ilu Żydów mieszkało w Rzeczypospolitej Obojga Narodów?*, „WielkaHISTORIA”, 10 lipca 2020 [<https://wielkahistoria.pl/?p=21750/>].

[30] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 43; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 55; A. Mączak, *Jedyna i nieporównywalna? Kwestia odrębności Rzeczypospolitej w Europie XVI–XVII wieku*, „Kwartalnik

Historyczny”, t. 100 (1993), s. 124 i n.; M. Kowalski, *Księstwa Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 79.

[31] Idylliczne stosunki: M. Bogucka, *Kazimierz Jagiellończyk i jego czasy*, dz. cyt., s. 177. Sytuacja chłopów w późnym średniowieczu: P. Guzowski, *Chłopi i pieniądze na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych*, Avalon, Kraków 2008, s. 130 i n.; L. Żytkowicz, *Przesłanki i rozwój przytwierdzenia do gleby ludności wiejskiej w Polsce*, „Przegląd Historyczny”, t. 75 (1984), s. 4 i n.; K. Janicki, *Pańszczyzna*, dz. cyt., s. 23 i n. Historia z 1383 roku: s. M.T. Radomski, *Ipsa Civitas Habundat Furibus... Przesłanki i przestępczość w późnośredniowiecznym Krakowie [w:] Coram Iudicio. Studia z dziejów kultury prawnej w miastach późnośredniowiecznej Polski*, red. A. Bartoszewicz, DiG, Warszawa 2013, s. 32–33.

[32] W. Uruszczak, *Sejm walny koronny*, dz. cyt., s. 42–43; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 29–30. Ludność: K. Janicki, *10 największych miast średniowiecznej Polski. Liczba mieszkańców u schyłku XV wieku*, „WielkaHISTORIA”, 7 lipca 2020 [<https://wielkahistoria.pl/?p=21628/>].

[33] M. Bogucka, H. Samsonowicz, *Dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce przedrozbiorowej*, Ossolineum, Wrocław 1986, s. 321 i n., 561 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 49–50; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, dz. cyt., s. 46–47, 61; E. Letkiewicz, *Leges sumptuariae. Ustawy przeciw zbytkom w dawnej Polsce*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Artes”, t. 3/4 (2005/2006), s. 67 i n. Syn rzeźnika: W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny [w:] W.N. Trepka, Liber generationis plebeorum („Liber chamorum”)*, cz. 1, Zakład Narodowy im. Ossolińskich/Polska Akademia Nauk, Wrocław 1963, s. XLII.

[34] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 72–73, 102–103; G. Mosiej, *Dzieje polityki celnej Polski w zarysie*, „Ekonomia. Rynek, Gospodarka, Społeczeństwo”, t. 14 (2004), s. 203–204; A. Kuś, *Cło i postępowanie celne w Polsce przedrozbiorowej*, „Roczniki Nauk Prawnych”, t. 12 (2002), s. 174.

[35] Szerokie omówienie tematu i pełna bibliografia w: K. Janicki, *Pańszczyzna*, dz. cyt. Zob. np. B. Sienkiewicz, *Pańszczyzna [w:] Węzły pamięci niepodległej Polski*, Muzeum Historii Polski/Znak, Kraków 2014,

s. 535 i n.; A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, W.A.B., Warszawa 2020; A. Świętochowski, *Historia chłopów polskich*, Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań 1928; A. Wyczański, *Polska Rzeczą Pospolitą szlachecką*, dz. cyt., s. 30 i n.; tenże, *Wieś polskiego odrodzenia*, Książka i Wiedza, Warszawa 1969, s. 147 i n.; M. Rauszer, *Chłop-niewolnik? Pańszczyzna w perspektywie antropologii historii*, „Lud”, t. 101 (2017); L. Żytkowicz, *Okres gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej (XVI–XVIII w.)* [w:] *Historia chłopów polskich*, t. I: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Inglot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970; J. Wasiewicz, *Poddaństwo i pańszczyzna — „ciemna” karta polskiej historii (rys historyczny, świadectwa literackie)*, „Silva Rerum”, 6 sierpnia 2019 [https://www.wilanow-palac.pl/poddanstwo_i_panszczyzna_ciemna_karta_polskiej_historii_rys_historyczny_swiadectwa_literackie.html]; K. Pobłocki, *Niewolnictwo po polsku*, „Czas Kultury”, nr 3 (2016).

[36] B. Kierzencew, *Zniewolona Rosja. Historia poddaństwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021, s. 13 i n.

[37] *Ulryk Werdum 1670–1672* [w:] *Cudzoziemcy w Polsce*, oprac. F.K. Liske, Gubrynowicz i Schmidt, Lwów 1876, s. 124–125.

[38] S. Ciara, *Senatorowie i dygnitarze koronni w drugiej połowie XVII wieku*, Ossolineum/PAN 1990, s. 53; W. Bednaruk, *Wokół problematyki składu trybunału koronnego i trybunału litewskiego od XVI do XVIII wieku*, „Roczniki Nauk Prawnych”, t. 12 (2002), s. 76; J. Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą. Problemy komunikacji, społeczności, władza w epoce Jana Kazimierza*, Neriton 2002, s. 24.

[39] L. Czapiński, *Księga przysłów, sentencji i wyrazów łacińskich używanych przez pisarzy polskich*, S. Orgelbrand, Warszawa 1892, s. 60.

[40] A. Maddison, *Contours of the World Economy 1–2030 AD*, Oxford University Press 2007, s. 113; S. Hoszowski, *Rewolucja cen w środkowej Europie w XVI i XVII w.*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 68 (1961), s. 301; A. Wyczański, *Polska Rzeczą Pospolitą szlachecką*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1965, s. 13 i n.; tenże, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 90 i n.; J. Rutkowski, *Co to były folwarki w dawnej Polsce?* [w:] tegoż, *Wieś europejska późnego feudalizmu*, Państwowy Instytut Wydawniczy,

Warszawa 1986, s. 233 i n.; L. Żytkowicz, *Okres gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej (XVI–XVIII w.)* [w:] *Historia chłopów polskich*, t. I: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Ingot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970, s. 251 i n.; P. Guzowski, *Chłopi i pieniądze na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych*, Avalon, Kraków 2008; K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021, s. 23 i n. (tam dalsza literatura). Etymologia folwarku: *Vorwerk* [w:] *Deutsches Wörterbuch von Jacob und Wilhelm Grimm*, t. 12 (1951), kol. 1927.

[41] A. Wyczański, *Wieś polskiego odrodzenia*, dz. cyt., s. 13 i n., 74 i n.; tenże, *Studia nad folwarkiem szlacheckim w Polsce w latach 1500–1580*, PWN, Warszawa 1960, s. 84 i n.; P. Guzowski, *Chłopi i pieniądze*, dz. cyt., s. 75; J. Rutkowski, *Co to były folwarki w dawnej Polsce?*, dz. cyt., s. 233 i n.

[42] M. Rej, *Żywot człowieka poczciwego*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1859, s. 339; P. Krescentyn, *Piotra Crescentyna Księgi o gospodarstwie y o opatrzaniu rozmnożenia rozlicznych pożytkow każdemu stanowi potrzebne*, druk. Heleny Florianowej, Kraków 1549, s. 23; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 152; J. Kamper-Warejko, *Polski XVII-wieczny przekład poradnika Piotra Krescencjusza jako świadectwo przenikania kultur*, „Rocznik Przekładoznawczy”, t. 12 (2017), s. 153 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 44.

[43] A. Miłobędzki, *Architektura Królestwa Polski w XV wieku* [w:] *Sztuka i ideologia XV wieku*, red. Piotr Skubiszewski, PWN, Warszawa 1978, s. 464–465.

[44] A. Kersten, *Warszawa kazimierzowska 1648–1668. Miasto, ludzie, polityka*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, s. 10.

[45] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 152–154; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 76 i n.; tenże, *Wieś polskiego odrodzenia*, dz. cyt., s. 76 i n.; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1934, s. 51 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 108 i n. Więcej o technikach wypełniania okien: K. Janicki, *Wawel. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 298 i n.

[46] P. Guzowski, *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej. Studium demograficzne*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2019, s. 108 i n., 149 i n., 172 i n.; C. Kuklo, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, DiG, Warszawa 2008, s. 359 i n.

[47] S. Kot, *Urok wsi i życia ziemiańskiego w poezji staropolskiej*, Dom Książki Polskiej, Warszawa 1937, s. 69 i n.; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 167.

[48] A. Wyczański, *Wieś polskiego odrodzenia*, dz. cyt., s. 93 i n.; tenże, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 101 i n. Produkcja alkoholu: M. Szczepaniak, *Karczma, wieś, dwór. Rola propinacji na wsi wielkopolskiej od połowy XVII do schyłku XVIII wieku*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977. Chłopskie posługi „produkcyjne”: K. Janicki, *Pańszczyzna*, dz. cyt., s. 144 i n. (tam dalsza literatura); W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, dz. cyt., s. 78–79.

[49] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 17 i n. Por. J. Topolski, *Rzeczpospolita Obojga Narodów 1501–1795*, Wydawnictwo Poznańskie 2015, s. 70 i n.

[50] *Staropolska poezja ziemiańska. Antologia*, oprac. J. Gruchała, S. Grzeszczuk, Państwowy Instytut Wydawniczy 1988, s. 285; Ł. Kurdybacha, *Staropolski ideał wychowawczy*, Księgarnia A. Krawczyńskiego, Lwów 1938, s. 42 i n.; A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, dz. cyt., s. 120 i n.

[51] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 75.

[52] *Jana Kochanowskiego dzieła polskie*, t. 2, oprac. J. Lorentowicz, Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Warszawa 1919, s. 93; *Stanisława Słupskiego z Rogowa zabawy orackie 1618 i Władysława Jeżowskiego Oekonomia 1638*, oprac. J. Rostafiński, Kruk. C.k. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1891, s. 42; M. Bugucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 25–26; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 15 i n.; S. Windakiewicz, *Poezja ziemiańska*, Gebethner i Wolff, Kraków 1938, s. 77–78; W. Czapliński, *O kulturze szlacheckiej z innego punktu widzenia [w:] Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 157; J. Jedlicki, *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku*, PWN, Warszawa 1988, s. 152.

[53] A. Gostomski, *Gospodarstwo*, oprac. S. Inglot, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1954, s. 123; W. Czapliński, *O kulturze szlacheckiej z innego punktu*, dz. cyt., s. 157; S. Czernik, *Z życia pańszczyźnianego w XVII wieku*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1955, s. 147–148; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 18 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 114 i n.

[54] Hauteville, *Relacja historyczna o Polsce* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 1, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, s. 322; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 198 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 21–22.

[55] *Stanisława Słupskiego z Rogowa zabawy orackie*, dz. cyt., s. 12; *Niektóre poezye Andrzeja i Piotra Zbylitowskich*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1860, s. 41; A. Wyrobisz, *Mieszczanie w opinii staropolskich literatów*, „Przegląd Historyczny”, t. 82 (1991), s. 59; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 38, 51; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, dz. cyt., s. 117.

[56] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 46 i n.; M. Bogucka, H. Samsonowicz, *Dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce przedrozbiorowej*, Ossolineum 1986, s. 569; A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, t. 2, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1939, s. 391 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 17, 30 i n.; A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Semper, Warszawa 1993, s. 55; *Stanisława Słupskiego z Rogowa zabawy orackie*, dz. cyt., s. 12. Objąsnienie, etymologie wyzwick: *Zamścik, zamsik* [w:] A. Zdanowicz, *Słownik języka polskiego*, wyd. M. Orgelbranda, Wilno 1861, s. 2117; *Szołdra* [w:] *Słownik języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego* [<https://sjp.pwn.pl/doroszewski/szo%C5%82dra>].

[57] C. Kukło, J. Łukasiewicz, C. Leszczyńska, *Historia Polski w liczbach. Polska w Europie*, Zakład Wydawnictw Statystycznych, Warszawa 2014, s. 49; *Atlas historyczny Polski. Województwo sandomierskie w drugiej połowie XVI wieku*, cz. 1: *Mapy, plany*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 37–38.

[58] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 16; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 10.

[59] A. Wyczański, *Średnia szlachta i jej rola w kulturze polskiej XVI wieku* [w:] *Jan Kochanowski 1584–1984. Epoka — twórczość — recepcja*, red. J. Pelc, P. Buchwald-Pelcowa, B. Otwinowska, t. 1, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1989, s. 130; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 9 i n.

[60] J. Przyłuski, *Prawa czyli statuty* [w:] *Filozofia i myśl społeczna XVI wieku*, oprac. Z. Ogonowski, PWN, Warszawa 1978, s. 206 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 23–24; B. Nadolski, *Naprawa Rzeczypospolitej Jakuba Przyłuskiego z 1553 r.* [w:] *Andrzej Frycz Modrzewski i problemy kultury polskiego odrodzenia*, red. T. Bieńkowski, Ossolineum, Wrocław 1974, s. 192 i n.

[61] W. Goślicki, *O senatorze doskonałym księgi dwie, w których są wyjaśnione obowiązki urzędników oraz szczęśliwe życie obywateli i pomyślność państwa*, tłum. T. Bieńkowski, oprac. M. Korolko, Arcana, Kraków 2000, s. 57 i m.; M. Rej, *Żywoć człowieka poczciwego*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1859, s. 109; Ł. Górnicki, *Dworzanin polski* [w:] tegoż, *Pisma*, t. 1, oprac. R. Pollak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 80; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 37, 41, 48 i n., 82, 90 i n., 151 i n., 166 i n.; A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, t. 2, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1939, s. 391.

[62] M. Rej, *Żywoć człowieka poczciwego*, dz. cyt., s. 109; B. Paprocki, *Gniazdo Cnoty, Zkąd Herby Rycerstwa sławnego Krolestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Litewskiego, Ruskiego, Pruskiego, Mazoweckiego, Zmudzkiego y inszych Państw do tego Krolestwa należących Książat, y Panow, początek swoy mają*, druk. Andrzeja Piotrkowczyka, Kraków 1578, s. 14; M. Sęp Szarzyński, *Poezje*, oprac. J.S. Gruchała, Universitas, Kraków 1998, s. 88 i n.

[63] S. Czernik, *Z życia pańszczyźnianego w XVII wieku. Materiały i szkice*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1955, s. 184–185; W. Kuligowski, *Chamska historia Polski. Tezy i antytezy*, „Czas Kultury”, nr 3 (2016), s. 73; W. Potocki, *Wiersze wybrane*, oprac. S. Grzeszczuk, Ossolineum, Wrocław 1992, s. 299; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt.,

s. 145 i n., 190 i n.; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 58; W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny* [w:] W.N. Trepka, *Liber generationis plebeanorum („Liber chamorum”)*, cz. 1, Zakład Narodowy im. Ossolińskich/Polska Akademia Nauk, Wrocław 1963, s. XLIV.

[64] A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Semper, Warszawa 1993, s. 50–51; M. Rauszer, *Chłop-niewolnik? Pańszczyzna w perspektywie antropologii historii*, „Lud”, t. 101 (2017), s. 108 i n.

[65] A. Rotundus-Mielecki, *Rozmowa Polaka z Litwinem. 1564*, wyd. J. Korzeniowski, druk. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1890, s. 6; S. Orzechowski, *Wybór pism*, oprac. J. Starnawski, Ossolineum, Wrocław 1972, s. 202.

[66] S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 129 i n. Por. M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 43 i n.

[67] S. Orzechowski, *Wybór pism*, dz. cyt., s. 220; W. Potocki, *Ogród fraszek*, t. 1, Towarzystwo dla Popierania Nauki Polskiej, Lwów 1907, s. 81; tenże, *Dzieła*, t. 3, oprac. L. Kukulski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, s. 206; S. Czernik, *Z życia pańszczyźnianego w XVII wieku*, dz. cyt., s. 139; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 189 i n.; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 51. Aktualizacja tłumaczenia utworu Potockiego w oparciu o: Z. Saloni, *Neologizmy w dziełach Wacława Potockiego*, „Pamiętnik Literacki”, t. 53 (1962), s. 454.

[68] W. Kuligowski, *Chamska historia Polski*, dz. cyt., s. 74; S. Petrycy, *Przydatki do Etyki Arystotelesowej*, oprac. W. Wąsik, PWN, Warszawa 1956, s. 412.

[69] B. Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego na pięćoro xiąg rozdzielone*, druk. Macieja Garwolczyka, Kraków 1584, s. 1–2; W. Potocki, *Wiersze wybrane*, dz. cyt., s. 160; J. Matuszewski, *Geneza polskiego chama. Studium semazjologiczne*, Uniwersytet Łódzki, Łódź 1982; A. Nowicka-Jeżowa, *Barok polski między Europą a Sarmacją. Część pierwsza: Profile i zarys całości*, Neriton, Warszawa 2009, s. 211 i n.; A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, W.A.B., Warszawa 2020, s. 16 i n.; M. Rauszer, *Chłop-niewolnik?*, dz. cyt., s. 121 i n.

[70] T. Ulewicz, *Sarmacja. Studium z problematyki słowiańskiej XV i XVI wieku*, Collegium Columbinum, Kraków 2006; H. Samsonowicz, *Sarmacja i Sarmaci — w poszukiwaniu starożytnego rodowodu* [w:] *Z szabłą i kielichem, czyli życie po sarmacku*, red. J. Tazbir, S. Zagorski, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2015, s. 15 i n.; J. Orzeł, *Historia — tradycja — mit w pamięci kulturowej szlachty Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2016, s. 128 i n.; też, *W poszukiwaniu antenatów — o mitach początku narodu i rodu w kulturze szlacheckiej* [w:] *Sarmacka pamięć. Wokół bitwy pod Wiedniem*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014, s. 19 i n.; też, *Origo Gentis Polaków na przestrzeni wieków. Uwagi do pracy Wojciecha Paszyńskiego*, „Zapiski Historyczne”, t. 84 (2019), s. 211 i n.; S. Cynarski, *Sarmatyzm — ideologia i styl życia* [w:] *Polska XVII wieku. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. J. Tazbir, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969, s. 220 i n. Sarmaci u Herodota: Herodot, *Dzieje*, przekł. S. Hammer, Czytelnik, Warszawa 2020, s. 251 i n., 666.

[71] T. Łepkowski, *Polska — narodziny nowoczesnego narodu 1764–1870*, PTPN, Poznań 2003, s. 508; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 85–97; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 40 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 222 i n.; H. Vautrin, *Obserwator w Polsce* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 2, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, s. 94. Por. D.M. Althoen, *That Noble Quest. From True Nobility to Enlightened Society in the Polish-Lithuanian Commonwealth, 1550-1830*, t. 1, University of Michigan 2000, s. 104 i n.; R.G. Trimoniene, *Polonizacja* [w:] *Kultura Wielkiego Księstwa Litewskiego. Analizy i obrazy*, red. V. Alisauskas, L. Jovaisa, M. Paknys i in., Universitas, Kraków 2006, s. 544 i n. Szerzej o (nie)świadomości narodowej chłopstwa: K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021, s. 258 i n.

[72] J. Michta, *Nobilitacja i indygenat w szlacheckiej Rzeczypospolitej*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Historia”, t. 45 (1990), s. 355 i n.; J. Szymański, *Indygenat czy nobilitacja*, „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Historia”, t. 26 (1992), s. 191 i n.; tenże, *Nauki*

pomocnicze historii, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, s. 643–644; T. Szulc, *Praktyka indygenacyjna w szlacheckiej Rzeczypospolitej w świetle konstytucji sejmowych i instrukcji sejmikowych w latach 1588–1793*, „Studia Prawno-Ekonomiczne”, t. 115 (2020), s. 109 i n.; tenże, *Lekkomyślność, niedbalstwo, niekompetencja. Uwagi o książce Edmunda Juśki, „Nobilitacje i indygenaty jako droga awansu społecznego w Rzeczypospolitej szlacheckiej w XVII wieku”*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 116 (2009), s. 133 i n.; A. Zajączkowski, *Szlachta polska*, dz. cyt., s. 31, 36; J. Shovlin, *Noblisty* [w:] *The Oxford Handbook of the Ancien Regime*, red. W. Doyle, Oxford University Press 2012, s. 113; H. Rzewuski, *Pamiętki Soplicy*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 54.

[73] J. Szymański, *Indygenat czy nobilitacja*, dz. cyt., s. 192.

[74] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 29 i n.; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 51; A. Zajączkowski, *Szlachta polska*, dz. cyt., s. 55.

[75] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 17.

[76] S. Orzechowski, *Polityka Królestwa Polskiego na kształt Arystotelesowych Polityk wypisana i na świat dla dobra pospolitego trzema knihami wydana*, oprac. J. Starnawski, Krajowa Agencja Wydawnicza, Przemysł–Rzeszów 1984, s. 27 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 37 i n.; A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, t. 2, dz. cyt., s. 391.

[77] W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny* [w:] W.N. Trepka, *Liber generationis plebeorum („Liber chamorum”)*, cz. 1, Zakład Narodowy im. Ossolińskich/Polska Akademia Nauk, Wrocław 1963, s. XXVI i n.; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 25–26; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 50 i n.; K. Goźdz-Roszkowski, *O obowiązku rozdawania skonfiskowanych dóbr ziemskich w ustawodawstwie polskim XVII–XVIII wieku*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 5 (2000), s. 151 i n.

[78] W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XIX i n.; J. Kruk-Siwiec, *O niejednoznaczności gatunkowej Liber chamorum Waleriana Nekandy Trepki* [w:] *Nihil sine litteris*, red. T. Nastulczuk, S. Siess-Krzyszowski, Wydawnictwo UJ, Kraków 2017, 411 i n.

[79] J. Szymański, *Indygenat czy nobilitacja*, „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Historia”, t. 26 (1992), s. 194; Ł. Górnicki, *Dworzanin polski* [w:] tegoż, *Pisma*, t. 1, oprac. R. Pollak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 79–80; J.Z. Lichański, *Łukasz Górnicki. Sarmacki Castiglione*, DiG, Warszawa 1998, s. 31.

[80] W.N. Trepka, *Liber generationis plebeanorum*, dz. cyt., nr 770, 1041; W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XXXVII.

[81] J. Matuszewski, *Nagana szlachectwa w Polsce w XV i XVI wieku*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego: Nauki Humanistyczno-Społeczne”, t. 77 (1971), s. 125 i n.; W. Semkowicz, *Nagana i oczyszczenie szlachectwa w Polsce XIV i XV wieku*, Lwów 1899; J. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, Księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa [1933], s. 331; W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XXXIX i n.

[82] M. Rej, *Żywot człowieka poczciwego*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1859, s. 108; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 58.

[83] *Pamiętnik Ulryka Werdum* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 1, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, s. 296; H. Vautrin, *Obserwator w Polsce* [w:] tamże, t. 2, s. 96.

[84] M.E. Danubio, P. Martella, E. Sanna, *Changes in stature from the Upper Paleolithic to the Medieval period in Western Europe*, „Journal of Anthropological Sciences”, t. 95 (2017); K. Janicki, *Wzrost w średniowieczu. Przekonanie, że ludzie byli wtedy niski, jest zupełnie fałszywe*, „WielkaHISTORIA”, 13 września 2020 [<https://wielkahistoria.pl/?p=24987/>].

[85] Por. W.N. Trepka, *Liber generationis plebeanorum*, dz. cyt., nr 1785.

[86] W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1934, s. 105; J. Kitowicz, *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 171.

[87] Hauteville, *Relacja historyczna o Polsce* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce*, t. 1, dz. cyt., s. 323; J. Kitowicz, *Opis obyczajów i zwyczajów*, dz.cyt.,

s. 172; „Czas. Dodatek miesięczny”, t. 13 (1859), s. 470. Por. T.T.J., *Ojciec Nikon. Powieść historyczna. Cz. IX*, „Strzecha”, nr 10 (1869), s. 289.

[88] G. Nuki, P.A. Simkin, *A concise history of gout and hyperuricemia and their treatment*, „Arthritis Research & Therapy”, t. 8 (2006); S.A. Schwartz, *Disease of distinction*, „Explore”, nr 2/2006.

[89] M. Maludzińska, *Choroby weneryczne na ziemiach polskich w XVI wieku w świetle „Przymiotu” Wojciecha Oczki* [w:] *Wśród córek Eskulapa. Szkice z dziejów medycyny i higieny w Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku*, red. A. Karpiński, DiG/Instytut Historyczny UW, Warszawa 2009.

[90] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 180, 197–198.

[91] *Pamiętnik Ulryka Werdum*, dz. cyt., s. 296; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 180; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 92; F. de Motteville, *Anna Austriaczka i jej dwór*, tłum. I. Wachlowska, Czytelnik, Warszawa 1978, s. 97.

[92] Z. Gajda, *Historia medycyny dla każdego*, Fronda, Warszawa 2021, s. 286 i n.

[93] Z. Gloger, *Włosy* [w:] tegoż, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. 4, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972, s. 447 i n.; J. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, Księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa [1933], s. 454; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, dz. cyt., s. 222 i n.; *Dawna facecja polska XVI–XVIII w.*, oprac. J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Billip, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960, s. 552–553; F. de Motteville, *Anna Austriaczka i jej dwór*, dz. cyt., s. 98; J. Kitowicz, *Opis obyczajów i zwyczajów*, dz. cyt., s. 166; T. Podgórska, *Komizm w twórczości Mikołaja Reja*, Ossolineum, Wrocław 1981, s. 58.

[94] I. Turnau, *Ubiór narodowy w dawnej Rzeczypospolitej*, Semper, Warszawa 1991, zwł. s. 11–22, 44–55; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 167 i n.; J. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, dz. cyt., t. 2, s. 433 i n.; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, dz. cyt., s. 202, 215–216; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 39 i n.; J. Kitowicz, *Opis obyczajów i zwyczajów*, dz. cyt., s. 170–171

(spodnie), 174–175 (pogoń za modą żupanową); J.C. Pasek, *Pamiętniki*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 36–37; J. Żmudziński, *Wota Sobieskich. Żupan Stanisława Daniłowicza (ok. 1608–1636) z Muzeum Narodowego w Krakowie*, „Silva Rerum”, 1 września 2021 [https://www.wilanow-palac.pl/wota_sobieskich_zupan_stanislaw_a_danilowicza_ok_1608_1636_z_muzeum_narodowego_w_krakowie.html].

[95] W.N. Trepka, *Liber generationis plebeorum*, dz. cyt., nr 1785, 1887; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 52; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 24–25; W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XLIV i n. Umiejętność czytania wśród chłopów: K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie 2021, s. 221 i n.

[96] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 64; W. Urban, *Umiejętność pisania w Małopolsce w drugiej połowie XVI wieku*, „Przegląd Historyczny”, t. 68 (1977); M. Kromer, *Polska czyli O położeniu, ludności, obyczajach, urzędach i sprawach publicznych Królestwa Polskiego księgi dwie*, tłum. S. Kazikowski, oprac. R. Marchwiński, Pojezierze, Olsztyn 1977, s. 61.

[97] E. Kahl, *Wychowanie dziecka w rodzinie szlacheckiej w XVI i XVII wieku*, „Wychowanie w Rodzinie”, t. 1 (2011), s. 19 i n.; W. Wąsik, *System pedagogiczny Sebastiana Petrycego z Pilzna*, Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1968; J. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, dz. cyt., t. 2, s. 149; M. Gębarowicz, *Szkice z historii sztuki XVII w.*, PWN, Warszawa 1966, s. 199 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 43; O. Winnyczenko, *Rodzice, krewni i powinowaci a pamięć rodowa szlachty województwa ruskiego w XVII wieku (w świetle akt sejmikowych deductionis nobilitatis)*, t. 6 (2014), s. 40–41; A. Frycz-Modrzewski, *O poprawie Rzeczypospolitej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1953, s. 114; W. Potocki, *Ogród fraszek*, t. 2, Towarzystwo dla Popierania Nauki Polskiej, Lwów 1907, s. 149.

[98] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 52–54.

[99] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 74, 224; S. Roszak, *Sarmatów obraz własny. Egodokumenty szlacheckie XVII i XVIII wieku* [w:] *Sarmacka pamięć. Wokół bitwy pod Wiedniem*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014, s. 53 i n.; tenże,

Archiwa sarmackiej pamięci. Funkcje i znaczenie rękopiśmiennych ksiąg silva rerum w kulturze Rzeczypospolitej XVIII wieku, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2004.

[100] J. Axer, *Łacina jako drugi język narodu szlacheckiego Rzeczypospolitej* [w:] *Łacina jako język elit*, rec. J. Axer, DiG, Warszawa 2004, s. 154 i n.; A. Axerowa, *Niespodzianki dwujęzyczności szlacheckiej. Pasek jako orator*, „Pamiętnik Literacki”, 2/2007, s. 207 i n.; S. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, dz. cyt., t. 2, s. 158 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 24; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 68 i n.; J.C. Pasek, *Pamiętniki*, dz. cyt., s. 2–3.

[101] K. Puchowski, *Jezuickie kolegia szlacheckie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Studium z dziejów edukacji elit*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2007; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 53–63; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 54 i n.; W. Urban, *Młodość Jana Kochanowskiego*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego”, t. 21 (1984), s. 5–6.

[102] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 23 i n.; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 53; W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XLIV i n.; S. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, dz. cyt., t. 2, s. 154–155; Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich w wieku XVII i pierwszej poł. XVIII*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1959, s. 100.

[103] G. Stone, *Formy adresatywne języka polskiego w osiemnastym wieku*, „Język Polski”, t. 69 (1989), s. 135 i n.; M. Cybulski, *Obyczaje językowe dawnych Polaków. Formuły werbalne w dobie średniopolskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2003; M. Wojtak M., „O polityce w słowach”. *Formy adresatywne w XVIII wieku*, „Język Polski” t. 76 (1996); Z. Góralski, *Tytułatura* [w:] tegoż, *Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 159; R. Przybylska, *Formy zwracania się do osób drugich w „Panu Tadeuszu”* [w:] *Mickiewicz i Kresy*, red. Z. Kurzowa, Z. Cygal-Krupa, Universitas, Kraków 1999, s. 111 i n.

[104] Por. francuskie gabinety XVII stulecia: K. Janicki, *Damy srebrnego wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 28 i n.

[105] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 139, 191; J. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, dz. cyt., t. 2, s. 168 i n.;

W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XLIV; H. Vautrin, *Obserwator w Polsce*, dz. cyt., s. 92; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, dz. cyt., s. 192 i n.; K. Maliszewski, *Między dewizą Carpe Diem a Ideą Vanitas. Zabawa i rozrywka jako ważny komponent sarmackiego obyczaju i stylu życia* [w:] *Z szablą i kielichem, czyli życie po sarmacku*, red. J. Tazbir, S. Zagorski, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2015, s. 139 i n.; K. Bockenheim, *Dworek, kontusz, karabela*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2002, s. 109 i n.; G. de Beauplan, *Opis Ukrainy jako części Królestwa Polskiego* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce*, dz. cyt., t. 1, s. 269.

[106] W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XLIV; Z. Kuchowicz, *Miłość staropolska. Wzory, uczuciowość, obyczaje erotyczne*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982, s. 352; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 74.

[107] M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 221; K. Maliszewski, *Między dewizą Carpe Diem a Ideą Vanitas*, dz. cyt., s. 137–138.

[108] D. Spychalska, *Polskie portrety trumienne*, „Cenne, bezcenne, utracone”, nr 1/1997, s. 8 i n.; L. Hensel, *Kultura szlachecka w Europie środkowo-wschodniej w I połowie XVIII wieku*, Ossolineum/PAN, Wrocław 1986, s. 230; *Portret trumienny. Studia i materiały*, red. A. Jankowski, B.M. Gawęcka, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2020; opisy ekspozycji sztuki funeralnej w Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej, 2022; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 84; *Pamiętniki Marcina Matuszewicza 1714–1765*, t. 1, oprac. A. Pawiński, Gebethner i Wolff, Warszawa 1876, s. 92 i n.

[109] M. Bogucka, *Gest w kulturze szlacheckiej*, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. 26 (1981), s. 5 i n.; *taż*, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 147 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 109.

[110] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 34; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 28.

[111] J. Matuszewski, *Polskie nazwisko szlacheckie*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1975; J. Matuszewski, *Ewolucja nazwisk polskich* [w:] *tegoż*, *Pisma wybrane*, t. 3, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2001, s. 335 i n.; J. Bystron, *Nazwiska polskie*, nakł. K.S. Jakubowskiego,

Kraków 1927. Występowanie Skicki — por. przyp. 38. Mniej restrykcyjna definicja nazwisk, uwzględniająca formy średniowieczne: Z. Kowalik-Kaleta, *Historia nazwisk polskich na tle społecznym i obyczajowym (XII–XV wiek)*, Sławistyczny Ośrodek Wydawniczy, Warszawa 2007.

[112] W. Dworzaczek, *Wstęp ogólny*, dz. cyt., s. XL.

[113] S. Raspond, *O nazwiskach na -ski*, „Poradnik Językowy”, nr 1/1966, s. 1 i n.

[114] Obliczenia własne na podstawie bazy danych *Nazwiska występujące w rejestrze PESEL* (25 maja 2022, osoby żyjące, nazwiska męskie i żeńskie) [<https://dane.gov.pl/pl/dataset/1681,nazwiska-osob-zyjacych-wystepujacew-rejestrze-pesel>].

[115] Por. np. A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 42.

[116] M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce. Kobieta w społeczeństwie polskim XVI–XVIII wieku na tle porównawczym*, Trio, Warszawa 1998, s. 37 i n.

[117] A. Moniuszko, *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej (XVI–XVIII w.)*, Campidoglio, Podkowa Leśna 2017, s. 39–40.

[118] C. Kukło, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, DiG, Warszawa 2008, s. 276 i n.; P. Guzowski, *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2019, s. 208 i n.; M. Rej, *Żywoć człowieka pocziwego*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1859, s. 69.

[119] P. Skarga, *Kazania o Siedmiu Sakramentach Kościoła Świętego Katholickiego*, Drukarnia Akademicka w Wilnie 1737, s. 763; M. Rej, *Żywoć człowieka pocziwego*, dz. cyt., s. 66; A. Wyrobisz, *Staropolskie wzorce rodziny i kobiety — żony i matki*, „Przegląd Historyczny”, t. 83 (1992), s. 407–409; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 96 i n.

[120] Przemoc seksualna szlachty wobec chłopów: K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021, s. 179 i n. (tam dalsza literatura).

[121] J.C. Pasek, *Pamiętniki*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 123 i n.; M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 53–55.

[122] P. Guzowski, *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej*, dz. cyt., s. 91 i n.; J.A. Morsztyn, *Poezye oryginalne i tłomaczone*, druk. S. Lewentala, Warszawa 1883, s. 133. Określenie utworu Morsztyna za: K. Bockenheim, *Dworek, kontusz, karabela*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2002, s. 44.

[123] P. Guzowski, *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej*, dz. cyt., s. 99 i n.; I. Kulesza-Woroniecka, *Rozwody w rodzinach magnackich w Polsce XVI–XVIII wieku*, Wydawnictwo Historyczne, Poznań–Wrocław 2002; C. Kukło, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, dz. cyt., s. 274 i n.; A. Sajkowski, *Staropolska miłość. Z dawnych listów i pamiętników*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981, s. 346; M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 60 i n.; też, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 94; A. Moniuszko, *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej*, dz. cyt., s. 34 i n.

[124] A. Moniuszko, *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej*, dz. cyt., s. 32; M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 43; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 43.

[125] A. Frycz-Modrzewski, *O poprawie Rzeczypospolitej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1953, s. 193.

[126] S. Starowolski, *Świątelnica pańska zamykająca w sobie kazania na uroczystości świąt całego roku*, druk. Jerzego i Mikołaja Schedlów, Kraków 1682, s. 470 i n.

[127] P. Skarga, *Kazania o siedmiu sakramentach*, dz. cyt., s. 765 i n.

[128] B. Stuchlik-Surowiak, *Obraz małżeństwa w „antyfeministycznych” utworach Bartosza Paprockiego na tle obyczajowych, religijnych oraz literackich zjawisk XVI i pierwszej połowy XVII wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2016, s. 266 i n.

[129] K. Badecki, *Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1925, s. 56; M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 47; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 38.

[130] B. Paprocki, *Dziesięcioro przykazanie mężowo, które każda poczciwa a cnotliwa małżonka ma umieć*, druk. M. Wirzbięta, Kraków 1575; K. Bartoszewicz, *Bartosza Paprockiego „Dziesięcioro przykazań*

mężowo” [w:] tegoż, *Szkice i portrety literackie*, Gebethner i Wolff, Kraków 1930, t. 1, s. 17–36; B. Stuchlik-Surowiak, *Obraz małżeństwa w „antyfeministycznych” utworach Bartosza Paprockiego*, dz. cyt., s. 253 i n. Opinia, że utworu nie przyjmowano na poważnie: M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 135.

[131] A. Wyrobisz, *Staropolskie wzorce*, dz. cyt., s. 420; M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 129–130.

[132] J.K. Haur, *Oekonomika ziemiańska generalna*, druk. Krzysztofa Schedla, Kraków 1675, s. 91 i n.; A. Wyrobisz, *Staropolskie wzorce*, dz. cyt., s. 411.

[133] *Jana Mrowińskiego Płoczywłosa Stadło małżeńskie 1561*, wyd. Z. Celichowski, Akademia Umiejętności, Kraków 1890, s. 20; N. Tukiendorf, *Ponadwyznaniowy charakter traktatu „Stadło małżeńskie” Jana Płoczywłosa Mrowińskiego*, „Meluzyna”, t. 7 (2020), s. 7 i n.; Z. Kuchowicz, *Miłość staropolska. Wzory, uczuciowość, obyczaje erotyczne*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982, s. 134.

[134] A. Gostomski, *Gospodarstwo*, oprac. S. Inglot, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1954, s. 94 i n.; J.K. Haur, *Oekonomika ziemiańska generalna*, druk. Krzysztofa Schedla 1675, s. 91 i n.; *Stanisława Słupskiego z Rogowa zabawy orackie 1618 i Władysława Jeżowskiego Oekonomia 1638*, oprac. J. Rostafiński, Druk. C.K. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1891, s. 20 i n. (Słupski), 63 (Jeżowski); A. Wyrobisz, *Staropolskie wzorce*, dz. cyt., s. 413 i n.

[135] M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 74; A. Wyczański, *Kobiety-kierowniczki folwarków w starostwie sieradzkim w XVI w.*, „Zapiski Historyczne”, t. 41 (1976), s. 41 i n.

[136] M. Bogucka, *Białogłowa w dawnej Polsce*, dz. cyt., s. 56–57; G. Perczyńska, *Kobiety Iszkołci, czyli dzieje zarządzania majątnością [w:] Administracja i życie codzienne w dobrach Radziwiłłów XVI–XVIII wieku*, red. U. Augustyniak, DiG, Warszawa 2009, s. 43 i n.

[137] *Stanisława Słupskiego z Rogowa zabawy orackie*, dz. cyt., s. 63.

[138] O ostatnim małżeństwie, bezdzietności i bezpłodności Zygmunta Augusta pisałem szeroko w: K. Janicki, *Damy złotego wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021, s. 460 i n. (tam dalsza literatura).

[139] A. Sucheni-Grabowska, *Walka o demokrację szlachecką* [w:] *Polska w epoce odrodzenia. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. A. Wyczański, Wiedza Powszechna, Warszawa 1970, s. 20 i n.; *taż*, *Monarchia dwu ostatnich Jagiellonów a ruch egzekucyjny*, cz. 1: *Egzekucja dóbr*, Ossolineum, Wrocław 1974; A. Wyczański, *Polska Rzeczą Pospolitą szlachecką*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1965, s. 92 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, dz. cyt., s. 140 i n.; A. Grześkowiak-Krwawicz, *Rzeczpospolita — pojęcie i idea w dyskursie politycznym Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rekonesans*, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. 56 (2012), s. 15.

[140] M. Borucki, *Jak w dawnej Polsce królów obierano*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976, s. 50 i n.; M. Tarczyński, *Elekcje królów Polski w Warszawie na Woli 1575–1764*, Rytm, Warszawa 1997; *Wokół wolnych elekcji w państwie polsko-litewskim XVI–XVIII wieku*, red. M. Markiewicz, D. Rolnik, F. Wolański, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2016; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 179–180, 199 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 85, 88; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej* [w:] *Dzieje sejmu polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 40–41; A. Grześkowiak, *Republikanizm szlachecki Rzeczypospolitej Obojga Narodów*, „Myśl Polityczna”, nr 2/2020, s. 12 i n.; J.C. Pasek, *Pamiętniki*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 173.

[141] W. Uruszczak, *Prawo celem polityki w Polsce Jagiellonów*, „Krakowskie Studia z Historii Państwa i Prawa”, t. 7 (2014), s. 165 i n.; *tenże*, *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, PWN, Warszawa 1980, s. 14; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 42 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 38 i n., 53 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 86–88; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 181 i n.

[142] W. Bednaruk, *Trybunał koronny. Szlachecki sąd najwyższy w latach 1578–1794*, Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa KUL, Lublin 2008; O. Balzer, *Geneza Trybunału Koronnego. Studium*

z dziejów sądownictwa polskiego XVI wieku, Redakcja Biblioteki Umiejętności Prawnych, Warszawa 1886; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 181–182.

[143] E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 56–58, 137 i n.; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej* [w:] *Dzieje sejmku polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 58; S. Ochmann-Staniszevska, *Dynastia Wazów w Polsce*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 172 i n., 239 i n.; W. Czaplński, *Na dworze króla Władysława IV*, Książka i Wiedza, Warszawa 1959, s. 333 i n.

[144] J. Czubek, *Pisma polityczne z czasów rokoszu Zebrzydowskiego, 1606–1608*, Akademia Umiejętności, Kraków 1918, s. 404; M. Matwijów, *Ostatnie sejmy przed abdykacją Jana Kazimierza 1667 i 1668*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1992, s. 73.

[145] Por. A. Mączak, *Jedyna i nieporównywalna? Kwestia odrębności Rzeczypospolitej w Europie XVI–XVII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 100 (1993), s. 123 i n.

[146] A. Filipczak-Kocur, *Skarbowość Rzeczypospolitej 1587–1648*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2006; też, *Skarb litewski za pierwszych dwu Wazów 1587–1648*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1994; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 115 i n.; M. Kopczyński, *Podatki w Rzeczypospolitej Obojga Narodów*, „Mówią Wieki”, nr 8/2019, s. 73 i n.

[147] R. Rybarski, *Skarb i pieniądz za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III*, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Warszawa 1939. Por. K. Janicki, *Budżet nowożytnej Polski. Nawet 96% wszystkich wydatków państwa szło na jeden cel*, „WielkaHISTORIA”, 14 czerwca 2020 [<https://wielkahistoria.pl/?p=21338/>].

[148] W. Uruszczak, *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, dz. cyt., s. 52–54.

[149] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 28, 117 i n.; M. Kowalski, *Księstwa Rzeczypospolitej. Państwo magnackie jako region polityczny*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyckiego, Warszawa 2013, s. 111 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 118; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej*

państwo, dz. cyt., s. 82 i n., 178 i n., 198–199; Z. Góralski, *Starosta grodowy [w:] Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 145 i n.

[150] U. Augustyniak, *Informacja i propaganda w Polsce za Zygmunta III*, PWN, Warszawa 1981, s. 48 i n.; J. Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą. Problemy komunikacji, społeczności, władza w epoce Jana Kazimierza*, Neriton, Warszawa 2002, s. 39 i n.; A. Pawiński, *Rządy sejmikowe w Polsce 1572–1795 na tle stosunków województw kujawskich*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978; J. Leszczyński, *Siedemnastowieczne sejmiki a kultura polityczna szlachty [w:] Dzieje kultury politycznej w Polsce*, red. J. Gierowski, PWN, Warszawa 1977; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej [w:] Dzieje sejmu polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 37 i n., 54, 65 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 62 i n., 155 i n., 245 i n., 264 i n., 281 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 83 i n., 204 i n.; Z. Góralski, *Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 97 (*Poborca*), 135–136 (*Sejmik*), 168 i n. (*Urzędów obsadzanie*).

[151] W. Czapliński, *Rola sejmów XVII w. w kształtowaniu się kultury politycznej [w:] Dzieje kultury politycznej*, dz. cyt., s. 46; M. Kopczyński, *Podatki w Rzeczypospolitej Obojga Narodów*, dz. cyt., s. 76; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 155–162.

[152] E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 43, 119.

[153] M. Borucki, *Jak w dawnej Polsce królów obierano*, dz. cyt., s. 50 i n.; A. Przyboś, *Michał Korybut Wiśniowiecki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 52; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 81, 244. Odsetek dorosłych w ogóle populacji szlacheckiej szacuję, opierając się na: P. Guzowski, *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej. Studium demograficzne*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2019; J. Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą*, dz. cyt., s. 23.

[154] J. Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą*, dz. cyt., s. 28 i n.; M. Kunicki-Goldfinger, *Aktywność polityczna szlachty w Koronie w drugiej połowie XVII wieku. Na podstawie danych*

pochodzących ze źródeł sejmikowych i podatku pogłównego. *Badania wstępne*, „Miscellanea Historico-Archivistica”, t. 12 (2000), zwł. s. 86–87; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 286 przyp. 5.

[155] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 115.

[156] *Nowa księga przysłów i wyrażen przysłowiowych polskich*, t. 3: R-Ż, red. S. Świrko, PWN, Warszawa 1972, s. 406; A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, dz. cyt., s. 120 i n.; E.A. Żukowska, *Sarmacja i sarmatyzm w kulturze polskiej XVII stulecia w świetle opinii badaczy*, „Roczniki Humanistyczne”, t. 52 (2004), s. 78.

[157] A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Semper, Warszawa 1993, s. 25, 56; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 221; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 86–88.

[158] Z. Góralski, *Incompatibilia [w:] Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 43 i n.; W. Polak, *O dobro wspólne i egzekucję praw. Sejm 1565 roku w Piotrkowie*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2004, s. 69 i n. J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 81, 185–186; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 87–88; M. Kowalski, *Księstwa Rzeczypospolitej. Państwo magnackie jako region polityczny*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyckiego, Warszawa 2013, s. 162 i n.

[159] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 35 i n., 76 i n.; A. Kersten, *Warstwa magnacka — kryteria przynależności [w:] Magnateria polska jako warstwa społeczna*, red. W. Czapliński, A. Kersten, Polskie Towarzystwo Historyczne, Toruń 1975, s. 11; W. Czapliński, J. Długosz, *Życie codzienne magnaterii polskiej w XVII wieku*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, zwł. s. 5; M. Kowalski, *Księstwa Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 247; W. Bednaruk, *Magnaccy reprezentanci województwa lubelskiego w sejmie okresu stanisławowskiego*, „Teki Komisji Prawniczej PAN Oddział w Lublinie”, t. 9 (2016), s. 22 i n.

[160] K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021 (tam szeroka bibliografia tematu). Ubytek ludności i skala zniszczeń: C. Kukło,

Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, DiG, Warszawa 2009, s. 221 i n.

[161] L. Żytkowicz, *Okres gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej (XVI–XVIII w.)* [w:] *Historia chłopów polskich*, t. I: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Inglot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970, s. 255–256; E. Trzyna, *Wtórne poddaństwo* [w:] *Historia chłopów polskich*, t. 1: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Inglot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970, s. 360 i n.; J. Rutkowski, *Przebudowa wsi w Polsce po wojnach z połowy XVII wieku* [w:] *Studia z dziejów wsi polskiej XVI–XVIII w.*, oprac. W. Kula, PWN, Warszawa 1956, s. 87 i n.; A. Wyczański, *Polska Rzecz Pospolitą szlachecką*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1965, s. 307 i n.; s. 51 i n.; W. Rusiński, *Straty i zniszczenia w czasie wojny szwedzkiej oraz jej skutki na obszarze Wielkopolski* [w:] *Polska w okresie drugiej wojny północnej, 1655–1660*, t. 2, red. K. Lepszy, PWN, Warszawa 1957, s. 280 i n.; M. Bogucka, H. Samsonowicz, *Dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce przedrozbiorowej*, Ossolineum, Wrocław 1986, s. 339–340; J. Topolski, *Rzeczpospolita Obojga Narodów 1501–1795*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015, s. 511 i n.; A. Wyczański, *Szlachta polska XVI wieku*, dz. cyt., s. 17 (odsetek gołoty).

[162] M. Kowalski, *Księstwa Rzeczpospolitej. Państwo magnackie jako region polityczny*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyckiego, Warszawa 2013, s. 113 i n.; M. Markiewicz, *Demokracja szlachecka, oligarchia magnacka — z dziejów pewnych pojęć* [w:] *Między barokiem a oświeceniem. Apogeum sarmatyzmu. Kultura polska drugiej połowy XVII wieku*, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, Olsztyn 1997, s. 36 i n.; W. Bednaruk, *Magnaccy reprezentanci województwa lubelskiego*, dz. cyt., s. 23–24; A. Chwalba, W. Harpula, *Cham i pan. A nam, prostym, zewsząd nędza?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 275 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 23, 90, 186 i n., 194, 218; W. Rosa, *Przemiany ustrojowe jako przyczyna anarchizacji porządku prawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej*, „Młoda Humanistyka”, t. 6 (2016), s. 16. Krytyka pojęcia „oligarchia magnacka”: W. Kriegseisen, *Zmierzch staropolskiej polityki, czyli o niektórych cechach szczególnych polskiej kultury politycznej przetomu XVII i XVIII wieku* [w:] *Zmierzch kultury staropolskiej. Ciągłość i kryzysy (wieki*

XVII–XIX), red. U. Augustyniak, A. Karpiński, Semper, Warszawa 1997, s. 15 i n.

[163] G. de Beauplan, *Opis Ukrainy jako części Królestwa Polskiego* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 1, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, s. 264.

[164] J. Matuszewski, *Tytułomania szlachecka w świetle patronimików odurzędniczych* [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, t. 3, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2001, s. 306; P. Dąbkowski, *Prawo prywatne polskie*, t. 1, Towarzystwo dla Popierania Nauki Polskiej, Lwów 1910, s. 103; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 184, 220.

[165] J. Matuszewski, *Tytułomania szlachecka*, dz. cyt., s. 304 i n.; Z. Góralski, *Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 60 (*Tytułów dziedziczenie*), 166–168 (*Urzędów hierarchia*), 173 (*Urzędy fikcyjne*), 174 (*Urzędy ziemskie*); A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN 2001, s. 120; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 26; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 219 i n.; M. Kowalski, *Księstwa Rzeczypospolitej. Państwo magnackie jako region polityczny*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyckiego 2013, s. 112–113; *Portfolio królowej Maryi Ludwiki, czyli zbiór listów, aktów urzędowych i innych dokumentów, ściągających się do pobytu tej monarchini w Polsce*, wyd. E. Raczyński, t. 1, Poznań 1844, s. 302.

[166] S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 4: U–Z, Drukarnia XX. Pijarów, Warszawa 1814, s. 135; *Zły warchoł, dobry warchoł*, wywiad z Januszem Tazbirem, „Focus”, 15 grudnia 2011, [<https://www.focus.pl/artykul/zly-warchol-dobry-warchol>]; P. Skarga, *Kazania sejmowe*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 51–52.

[167] E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 96 i n.

[168] S. Paulowa, *Materiały do biografii Mikołaja Reja w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie*, „Archeion”, t. 53 (1970); *taż*, *Mikołaj Rej w świetle akt sądowych*, „Kalendarz Lubelski”, t. 18 (1975); M. Wichowa, *Żywot człowieka poczciwego Mikołaja Reja jako przykład renesansowego piśmiennictwa ziemiańskiego* [w:] *Mikołaj Rej z Nagłowic*.

W pięćsetną rocznicę urodzin, red. W. Kowalski, Kieleckie Towarzystwo Naukowe, Kielce 2005, s. 160 i n.; R. Plenkiewicz, *Akta sądowe z wieku XVI, użyte jako materiał do życiorysu Jana Kochanowskiego*, „Archiwum do Dziejów Literatury i Oświaty w Polsce”, t. 10 (1904), s. 168 i n.; M. Korolko, *Jana Kochanowskiego żywot i sprawy. Materiały, komentarze, przypuszczenia*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1985.

[169] P. Wiązek, *Rozwój sądownictwa w sprawach o zbrodnie stanu w przedrozbiorowej Polsce*, „Acta Universitatis Wratislaviensis. Prawo”, t. 325 (2018), s. 106 i n.; Z. Szcząska, *Sąd sejmowy w Polsce od końca XVI do końca XVIII wieku*, „Czasopismo Prawno-Historyczne”, t. 20 (1968), s. 93 i n.

[170] A. Moniuszko, *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej (XVI–XVIII w.)*, Campidoglio, Podkowa Leśna 2017, s. 17–22, 28–29, 51 i n.; tenże, *Przestępstwa przeciw życiu i zdrowiu przed płockim sądem ziemskim pod koniec XVI stulecia [w:] Społeczeństwo staropolskie, seria nowa*, t. 2, red. A. Karpiński, DiG, Warszawa 2009, s. 11–13; Z. Góralski, *Sąd, sędzia [w:] tegoż, Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 126 i n.; P. Dąbkowski, *Palestra i księgi sądowe ziemskie i grodzkie w dawnej Polsce*, „Pamiętnik Historyczno-Prawny”, t. 3 (1926); D.K. Zawadzki, *Sądownictwo szlacheckie XVI–XVIII wieku w opiniach „panów braci”*, praca magisterska obroniona na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku, 2009; J. Kitowicz, *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w., s. 77; M. Matuszewicz, *Diariusz życia mego*, t. 1: 1714–1757, red. B. Królikowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986, s. 111; J. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, Księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa [1933], s. 328. Zakaz rewizji: M. Śliwa, *Demokracja polska. Idee, ludzie, dzieje*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2010, s. 19. Skargi na działanie sejmów: J. Choińska-Mika, *Sejmiki mazowieckie w dobie Wazów*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998, s. 111 i n.; M. Ujma, *Sejmik lubelski*, Semper, Warszawa 2003, s. 74 i n.

[171] D. Golec, *Zajazdy na Kujawach w XVII i XVIII wieku*, „Przegląd Historyczny”, t. 73 (1982), s. 283–284; I.H. Pugacewicz, *Porządek sąsiedzki przemocą regulowany. O organizacji i funkcjach zajazdu w II. poł. XVII i w XVIII wieku*, „Białostockie Teki Historyczne”, t. 4 (2006), s. 104–

105. Matuszewicz: D.K. Zawadzki, *Sądownictwo szlacheckie XVI–XVIII wieku w opiniach*, dz. cyt., s. 64; W. Rosa, *Przemiany ustrojowe jako przyczyna anarchizacji porządku prawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej*, „Młoda Humanistyka”, t. 6 (2016), s. 9 i n.

[172] A. Moniuszko, *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej*, dz. cyt., s. 18 i n.; J. Bardach, B. Leśnodorski, M. Pietrzak, *Historia ustroju i prawa polskiego*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998, s. 239 i n.; O. Balzer, *Geneza trybunału koronnego. Studium z dziejów sądownictwa polskiego XVI wieku*, Redakcja Biblioteki Umiejętności Prawnych, Warszawa 1886, s. 40 i n.; tenże, *Kancelarie i akta grodzkie w wieku XVIII*, Gebethner i sp., Lwów 1882; J. Pilas, *Podstarościowie i pisarze grodzcy w świecie wielkiej i małej polityki (na przykładzie urzędników grodzkich województwa sandomierskiego w XVII wieku)* [w:] *Władza i polityka w czasach nowożytnych. Dyplomacja i sprawy wewnętrzne*, red. Z. Anusik, M. Karkocha, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020, s. 19.

[173] Por. np. M.T. Radomski, *Ipsa Civitas Habundat Furibus... Przestępcy i przestępczość w późnośredniowiecznym Krakowie* [w:] *Coram Iudicio. Studia z dziejów kultury prawnej w miastach późnośredniowiecznej Polski*, red. Anna Bartoszewicz, DiG/Instytut Historyczny UW, Warszawa 2013; A. Jelicz, *Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie (wiek XIII–XV)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966, s. 24 i n.

[174] J. Bardach, B. Leśnodorski, M. Pietrzak, *Historia ustroju i prawa polskiego*, dz. cyt., s. 268 i n.; W. Łoziński, *Prawem i lewem*, t. 1: *Czasy i ludzie*, Księgarnia H. Altenberga, Lwów 1903, s. 6 i n.; A. Moniuszko, *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej*, dz. cyt., s. 46 i n.; tenże, *Przestępstwa przeciw życiu i zdrowiu*, dz. cyt., s. 27 i n.; S. Kutrzeba, *Dawne polskie prawo sądowe w zarysie*, Wydawnictwo Zakładu Nar. Im. Ossolińskich, Wrocław 1927, s. 40; D.K. Zawadzki, *Sądownictwo szlacheckie XVI–XVIII wieku w opiniach*, dz. cyt., s. 26–28; J. Matuszewski, *Problem konfiskaty dóbr szlacheckich w dawnej Polsce* [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, t. 2, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2000, s. 10–11; J.W. Poczobut-Odlanicki, *Pamiętnik 1640–1684*, oprac. A. Rachuba, Czytelnik, Warszawa 1987, s. 250. Baszta złodziejska na Wawelu: K. Janicki, *Wawel. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 199.

[175] Krytyka *Prawem i lewem* Łozińskiego: J.B. Gałuszka, *Spuścizna Władysława Łozińskiego (1843–1913) w Centralnym Państwowym Historycznym Archiwum Ukrainy we Lwowie*, „Archiwa, kancelarie, zbiory”, nr 12/2021, s. 117–118; J. Adamus, *Polska tradycja prawna. Próba rozważań milleniowych*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 12 (2009), s. 29 i n. Wizja bezpieczniejszej Rzeczypospolitej: J. Tazbir, *Rzeczpospolita i świat. Studia z dziejów kultury XVII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1971, s. 186 i n.; tenże, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 34–35; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 130.

[176] M. Kamler, *Przemoc między szlachtą sieradzką w XVII wieku*, Aspra-JR, Warszawa 2011; M. Kamler, *Przemoc między szlachtą w Polsce w XVII w. — zjawisko masowe?*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 121 (2014), s. 541 i n.; P. Klint, *Sztuka skutecznego przekonywania w szlacheckich protestach sądowych z Wielkopolski w XVII wieku* [w:] *Spółeczeństwo staropolskie*, t. 2, dz. cyt., s. 41 i n.; M. Borucki, *Temida staropolska*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1979, s. 31 i n.; P. Skarga, *Kazania sejmowe*, dz. cyt., s. 62; W. Łoziński, *Prawem i lewem*, dz. cyt., s. 373 i n. (sprawa Fredrów).

[177] W. Czapliński, *O kulturze szlacheckiej z innego punktu widzenia* [w:] *Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 159; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 32–33; Z. Libera, *Poezja polska XVIII wieku*, Czytelnik, Warszawa 1983, s. 88.

[178] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 80 i n., 140 i n.; A. Sucheni-Grabowska, *Monarchia dwu ostatnich Jagiellonów a ruch egzekucyjny*, cz. 1: *Egzekucja dóbr*, Ossolineum, Wrocław 1974, s. 4.

[179] Por. np. E. Opaliński, *Sejm srebrnego wieku 1587–1652. Między głosowaniem większościowym a liberum veto*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2001; I. Lewandowska-Malec, *Sejm walny koronny Rzeczypospolitej Obojga Narodów i jego dorobek ustawodawczy (1587–1632)*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2009.

[180] A. Korytko, *Sejm pierwszej połowy XVII wieku — bilans sukcesów i porażek*, „Echa Przeszłości”, t. 20 (2019), s. 78–80; W. Czapliński, *Sejm w latach 1587–1696* [w:] *Historia sejmu polskiego*, t. 1: *Do schyłku szlacheckiej Rzeczypospolitej*, red. J. Michalski, PWN, Warszawa 1984, s. 133 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 277 i n.

[181] E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 58 i n.

[182] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 116 i n., 217 i n., 225; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 85 i n.

[183] A. Korytko, *Sejm pierwszej połowy XVII wieku*, dz. cyt., s. 82; J. Choińska-Mika, *Obywatele u władzy. Narodziny, rozkwit i zmierzch szlacheckiej republiki*, „Klio”, t. 26 (2013), s. 50; S. Cynarski, *Sarmatyzm — ideologia i styl życia* [w:] *Polska XVII wieku. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. J. Tazbir, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969, s. 231 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 99 i n.; J. Tazbir, *Wzorce osobowe szlachty polskiej w XVII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 83 (1976), s. 791; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 119 i n., 156, 214.

[184] E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 56, 63 i n., 112 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 115; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 154, 214; W. Rosa, *Przemiany ustrojowe jako przyczyna anarchizacji porządku prawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej*, „Młoda Humanistyka”, t. 6 (2016), s. 3 i n.

[185] J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 65; J. Michalski, *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVII wieku* [w:] *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*, red. Z. Stefanowska, PWN, Warszawa 1973, s. 115.

[186] J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej* [w:] *Dzieje sejmu polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 35; Z. Iłski, *Wzór systemu wyborczego Polski przedrozbiorowej (XV–XVIII wiek)*, „Studia Wyborcze”, t. 24 (2017); A.B. Zakrzewski, *Sejmiki litewskie epoki Sejmu Wielkiego: Między tradycją a innowacją?* [w:] *Lietuvos Didžioji*

Kunigaikštystė: tarp tradicijų ir naujovių, red. R. Šmigelskytė-Stukienė, Leidykla 2014, s. 66.

[187] I. Lewandowska-Malec, *Refleksje po lekturze artykułu recenzyjnego pióra Edwarda Opalińskiego „Sejm czasów Zygmunta III”*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 119 (2012), s. 87–88; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 93 i n.; J. Ekes, *Złota demokracja*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 1987, s. 122 i n.; W. Uruszczak, *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, PWN, Warszawa 1980, s. 29; W. Konopczyński, *Liberum veto. Studium porównawczo-historyczne*, Krakowska Drukarnia Nakładowa, Kraków 1918, s. 151 i n.

[188] J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 32 i n.; I. Lewandowska-Malec, *Sejmy rozerwane i zerwane w XVII stuleciu*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 12 (2009), s. 126; A. Korytko, *Sejm pierwszej połowy XVII wieku*, dz. cyt., s. 81 i n.; S. Ochmann-Staniszevska, *Sejm Rzeczypospolitej za panowania Jana Kazimierza Wazy. Prawo — doktryna — praktyka*, t. 2, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 2000, s. 83; Z. Góralski, *Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 78–80 (*Marszałek sejmu*), 134 (*Sejm*).

[189] J. Choińska-Mika, *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą. Problemy komunikacji, społeczności, władza w epoce Jana Kazimierza*, Neriton, Warszawa 2002, s. 41, 48–49; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 10 i n., 95–96, 102; W. Uruszczak, *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, dz. cyt., s. 45 i n. Liczebność: J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej*, dz. cyt., s. 54.

[190] I. Lewandowska-Malec, *Sejmy rozerwane i zerwane w XVII stuleciu*, dz. cyt., s. 126 i n.

[191] R. Krzywy, *Proteus i Tyrezyjas polski — zapomniany wiesz publicystyczny z 1592 roku* [w:] *Miscellanea literackie i teatralne (od Kochanowskiego do Mrożka)*, red. K. Płachcińska, M. Kuran, cz. 1, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2010, s. 220 i n.; M. Sobolewski, *O kulturze politycznej raz jeszcze*, „Historyka”, t. 13 (1983), s. 27 i n.; J. Leszczyński, *Siedemnastowieczne sejmiki a kultura polityczna szlachty* [w:] *Dzieje kultury politycznej w Polsce*, red. J. Gierowski, PWN, Warszawa 1977, s. 203 i n. „Rozchwianie systemu wartości”: E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 103.

[192] I. Lewandowska-Malec, *Sejmy rozerwane i zerwane w XVII stuleciu*, dz. cyt., s. 127 i n.; A. Korytko, *Sejm pierwszej połowy XVII wieku*, dz. cyt., s. 79; W. Rosa, *Przemiany ustrojowe jako przyczyna anarchizacji porządku prawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej*, „Młoda Humanistyka”, t. 6 (2016), s. 3 i n.; A.S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2: 1637–1646, oprac. A. Przyboś, R. Żelewski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 24 i n.; W. Konopczyński, *Liberum veto*, dz. cyt., s. 242 i n.

[193] S. Kufel, *Kapłan oświecony. Uwagi na marginesach Nowych Aten Benedykta Chmielowskiego*, „Wiek Oświecenia”, t. 36 (2020); W. Paszyński, *Czarna legenda Nowych Aten Benedykta Chmielowskiego i próby jej przezwyciężenia*, „Prace Historyczne”, t. 141 (2014), s. 37 i n.

[194] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 122 i n.; U. Augustyniak, *Racje i emocje w staropolskiej polityce*, „Przegląd Humanistyczny”, t. 23 (1979), s. 66; B. Fabiani, *Warszawski dwór Ludwiki Marii*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 89 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 158, 257 i n.

[195] M. Nagielski, *Rokosz Jerzego Lubomirskiego w 1665 roku*, Trio, Warszawa 1994; S. Ochmann, *Sejmy lat 1661–1662. Przegrana batalia o reformę ustroju Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1977; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 237–238.

[196] A. Lityński, *Samorząd szlachecki w Polsce XVII–XVIII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 99 (1992), s. 17 i n.; B. Leśnodorski, *Ustrój Trzeciego Maja w Polsce*, „Państwo i Prawo”, t. 1 (1946), s. 60; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 242–244, 276 in.; W. Kriegseisen, *Zmierzch staropolskiej polityki, czyli o niektórych cechach szczególnych polskiej kultury politycznej przelomu XVII i XVIII wieku [w:] Zmierzch kultury staropolskiej. Ciągłość i kryzysy (wieki XVII–XIX)*, red. U. Augustyniak, A. Karpiński, Semper, Warszawa 1997, s. 24 i n.; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej [w:] Dzieje sejmu polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 60 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 16, 86 (kto najmożliwszy...).

[197] A. Zajączkowski, *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Semper, Warszawa 1993, s. 30. Por. A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 27; J. Maciszewski,

Szlachta polska i jej państwo, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 178.
Por. E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 119.

[198] *Naprawa Rzeczypospolitej do elekcji nowego króla*, oprac. J. Turowski, Wydawnictwo Biblioteki Polskiej, Kraków 1859, s. 24; Ł. Górnicki, *Dworzanin polski* [w:] tegoż, *Pisma*, t. 1, oprac. R. Pollak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 84; A. Frycz-Modrzewski, *Mowy*, przekł. E. Jędrkiewicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954, s. 146; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 15, 62, 86; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce*, dz. cyt., s. 57.

[199] A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 49–50.

[200] Tamże, s. 39 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 40, 144 przyp. 6.

[201] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 118, 156; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 57, 120, 141 i n.; *Jana Kochanowskiego dzieła polskie*, t. 1, oprac. J. Lorentowicz, Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Warszawa 1919, s. 30; W. Czapliński, *O kulturze szlacheckiej z innego punktu widzenia* [w:] *Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 157.

[202] K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina w polskim i litewskim pospolitym ruszeniu (do połowy XVII wieku)*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2013, s. 35 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 66 i n., 84; M. Biskup, *Wojna trzynastoletnia*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1990, s. 26; A. Paczuski, *Pospolite ruszenie szlachty polskiej w 1806/1807 r. na przykładzie powstania województwa inowrocławskiego pod dowództwem Kazimierza Albina Sokołowskiego* [w:] *Dwór wobec wojny*, red. S. Borowiak, Muzeum Ziemiaństwa w Dobrzycy, Dobrzyca 2021, s. 6 i n.

[203] *Zarys dziejów wojskowości polskiej do roku 1864*, t. 1, Wydawnictwo MON, Warszawa 1965, s. 45; L.A. Wierzbicki, *Wici na pospolite ruszenie w Koronie w latach 1669–1673*, „Res Historica”, t. 26 (2008), s. 43; K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina*, dz. cyt., s. 48–

49; Z. Gloger, Wici [w:] *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. 4, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972, s. 426; M. Kromer, *Polska, czyli o położeniu ludności, obyczajach, urządach i sprawach publicznych Królestwa Polskiego księgi dwie*, oprac. R. Marchwiński, Pojezierze, Olsztyn 1984, s. 184.

[204] K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina*, dz. cyt., s. 75, 98, 291, 482; Z. Spieralski, *Wymiar służby w pospolitym ruszeniu*, „Studia i materiały do historii wojskowości”, t. 6 (1960), s. 18 i n.; E. Kalinowski, *Pospolite ruszenie szlachty ziemi bielskiej — zarys problematyki*, „Bielski Almanach Historyczny”, t. 2 (2017), s. 5 i n.

[205] K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina*, dz. cyt., s. 42 i n.; R. Krzywy, *Sielskie bytowanie szlachty a stanowe powinności rycerskie w świetle staropolskiej poezji ziemiańskiej*, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. 65 (2021), s. 125 i n.; *Podróże Pana Payen [w:] Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 1, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, s. 275.

[206] A. Prochaska, *Rokosz lwowski w r. 1537*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 16 (1902); J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 60, 178; K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina*, dz. cyt., s. 91 i n.

[207] M. Nagielski, *Pospolite ruszenie szlacheckie w świetle kampanii zborowskiej i beresteckiej przeciwko Kozakom*, „Studia Historyczno-Wojskowe”, t. 3 (2003); J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 228.

[208] A. Kamieński, *Kulisy kapitulacji wielkopolskiego pospolitego ruszenia pod Ujściem w 1655 roku*, „Klio”, t. 43 (2017), s. 50 i n.; B. Staręgowski, *Powstanie Wielkopolskie 1655–1657*, Bellona, Warszawa 2022, s. 70 i n.; T. Wasilewski, *Ostatni Waza na polskim tronie*, Śląsk, Katowice 1984, s. 153 i n.; Z. Wójcik, *Jan Kazimierz Waza*, Ossolineum, Wrocław 1997, s. 113 i n.

[209] L.A. Wierzbicki, *Pospolite ruszenie w Polsce w drugiej połowie XVII wieku. Ostatnie wyprawy z lat 1670–1672*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2011; D. Kupisz, *Recenzja: Pospolite ruszenie w Polsce w drugiej połowie XVII wieku*, „Res Historica” nr 35 (2013), s. 295 i n.

[210] *Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575–1577. Listy, uniwersały, instrukcje*, oprac. A. Pawiński, Gebethner i Wolff, Warszawa

1877, s. 90 i n.; K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina*, dz. cyt., s. 51 i n.

[211] K. Łopatecki, *Organizacja, prawo i dyscyplina*, dz. cyt., s. 11 i n.; S. Baczewski, *Szlachectwo*, dz. cyt., s. 86; J. Choisnyn, *Elekcja Henryka Walezego* [w:] *Cudzoziemcy o Polsce*, t. 1, dz. cyt., s. 159.

[212] *Podróże Pana Payen*, dz. cyt., s. 275.

[213] Szwedzka ocena Kircholmu: H. Lindqvist, *Przez Bałtyk. 1000 lat polsko-szwedzkich wojen i miłości*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022, s. 152.

[214] J. Topolski, *Rzeczpospolita Obojga Narodów 1501–1795*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015, s. 181 i n.; P.K. Marszałek, *Problemy wojska i obronności w pracach polskiego Sejmu Walnego* [w:] *Zgromadzenia stanowe i organy przedstawicielskie w dziejach*, red. J. Koredczuk, P. Wiązek, Prawnicza i Ekonomiczna Biblioteka Cyfrowa, Wrocław 2020, s. 261 i n.; R. Sikora, *Fenomen husarii. Chwała polskiego oręża*, Instytut Wydawniczy Erica, Warszawa 2013, s. 87 i n., 155 i n.; M. Plewczyński, *Wojny i wojskowość XVI wieku*, t. 1–3, Inforteditions, Zabrze 2012–2014; Z. Spieralski, *Zarys dziejów wojskowości polskiej do 1864 roku*, t. 1, Wydawnictwo MON, Warszawa 1965; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 149 i n., 257 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 191 i n.; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 111 i n.

[215] L. Podhorodecki, *Chanat Krymski i jego stosunki z Polską w XV–XVIII w.*, Książka i Wiedza, Warszawa 1987; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 193–194.

[216] P.K. Marszałek, *Problemy wojska i obronności*, dz. cyt., s. 265 i n.; P. Skoworda, *Upadek staropolskiej sztuki wojennej*, „Mówią Wieki”, nr 4/2007.

[217] S. Grzybowski, *Sarmatyzm*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1996, s. 3.

[218] J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 228–229. Por. E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 150; P.K. Marszałek, *Problemy wojska i obronności w pracach polskiego Sejmu Walnego*, dz. cyt., s. 265.

[219] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 139 i n.; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1934, s. 175 i n.; M. Bogucka, *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016, s. 22; S. Starowolski, *Polska, albo opisanie położenia Królestwa Polskiego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, s. 123 i n.

[220] M. Stachowski, *Słownik historyczno-etymologiczny turcyzmów w języku polskim*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2014; tenże, *Perceptual Etymology. A Social Aspect of Etymological Research*, „Studia Linguistica Universitatis Jagellonicae Cracoviensis”, t. 139 (2022), s. 63; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 141.

[221] W. Kwaśniewicz, *Dzieje szabli w Polsce*, Bellona, Warszawa 1999; S. Meyer, *Typy szabel polskich*, „Broń i Barwa”, t. 4 (1934), s. 66 i n.; M. Chramiec, *Geneza szabli w ujęciu typologicznym na tle bronioznawstwa polskiego* [w:] *Szable w dłoni. Szermierka szablą jako polskie dziedzictwo narodowe*, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2018, s. 20–22; tenże, *Szable w kontekście badań nad bronią dawną — przyczynek do dziejów bronioznawstwa polskiego*, „Opuscula Msealia”, t. 26 (2019), s. 59 i n.; Z. Żygulski, *Bitwa pod Orszą — struktura obrazu*, „Rocznik Historii Sztuki”, t. 12 (1981), s. 85; W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, dz. cyt., s. 117, 275 i n., 287; Z. Gloger, *Szabla* [w:] tegoż, *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. 4, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972, s. 296 i n.

[222] J. Tazbir, *Osierocone cytaty*, „Przegląd Historyczny”, t. 95, nr 2 (2004), s. 179. Użycie zwrotu przez papieża: A. Nossol, *Jan Paweł II. Papież dialogu i pojednania*, „Ethos”, t. 18 (2005), s. 69. O państwie bez stosów jako terminie źródłowym np. W. Bobiński, A. Janus-Sitarz, B. Kołcz, *Barwy epok. Kultura i literatura*, Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 2002, s. 297; J. Pirożyński, *Z dziejów obiegu informacji w Europie XVI wieku*, Uniwersytet Jagielloński, Kraków 1995, s. 33; W. Bernacki, *Szymona Starowolskiego program reformacji obyczajów* [w:] *Doktryny — Historia — Władza*, red. A. Citkowska-Kimla i in., Wydawnictwo UJ, Kraków 2009, s. 64.

[223] M. Pilaszek, *Procesy o czary w Polsce w wiekach XV–XVIII*, Universitas, Kraków 2007. Por. W.E. Burns, *Poland, witch-hunting in* [w:]

tegoż, *Witch Hunts in Europe and America*, Greenwood 2003; B. Baranowski, *Procesy czarownic w Polsce w XVII i XVIII wieku*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1952.

[224] I. Chrzanowski, *Historia literatury niepodległej Polski (965–1795)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, s. 104; *Introduction* [w:] *Beyond the Persecuting Society: Religious Toleration Before the Enlightenment*, red. J.C. Laursen, C.J. Nederman, University of Pennsylvania Press 2011, s. 103.

[225] J. Tazbir, *Państwo bez stosów. Szkice z dziejów tolerancji w Polsce XVI i XVII wieku*, Iskry, Warszawa 2009, s. 33 i n.; W. Urban, *Epizod reformacyjny*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1998, s. 15 i n.; G.H. Williams, *The Radical Reformation*, Penn State Press 1995, s. 633 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 134; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001, s. 29; H. Barycz, *U narodzin ruchu reformacyjnego w Małopolsce* [w:] tegoż, *Z epoki renesansu, reformacji i baroku. Prądy, idee, ludzie, książki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, s. 221 i n.

[226] J. Tazbir, *Państwo bez stosów*, dz. cyt., s. 47 i n.; tenże, *Spółeczny i terytorialny zasięg polskiej reformacji*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 82 (1975), s. 723 i n.; Ł. Godlewski, *Spory szlachty o dziesięcinę i jurysdykcję duchownych na sejmach egzekucyjnych 1562–1565*, „Białostockie Teki Historyczne”, t. 2 (2013), s. 51 i n.; tenże, *Szlachta a duchowieństwo podczas panowania Zygmunta Starego*, „Białostockie Teki Historyczne”, t. 12 (2014), s. 37 i n.; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995, s. 83; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 87 i n., 121 i n., 136 i n., 161 i n.; Ł. Gołaszewski, *Konflikty o dziesięcinę w dawnej Rzeczypospolitej. Aspekty prawne i społeczne na przykładzie parafii Kobylin na przełomie XVI–XVII wieku*, praca doktorska obroniona na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, 2021, s. 59 i n.

[227] M. Kosman, *Protestanci i kontrreformacja. Z dziejów tolerancji w Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku*, Ossolineum, Wrocław 1978, s. 77 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 169; J. Tazbir, *Państwo bez stosów*, dz. cyt., s. 59 i n.

[228] E. Nowak-Jamróz, *Nad mitami warszawskiej konfederacji*, „Studia z dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 4 (1999), s. 131 i n.; J. Tazbir, *Państwo bez stosów*, dz. cyt., s. 88 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 162 i n.

[229] J. Tazbir, *Państwo bez stosów*, dz. cyt., s. 96 i n., 172 i n.; tenże, *Szlachta i teologowie. Studia z dziejów polskiej kontrreformacji*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1987, s. 71 i n.; M. Korolko, *Sarmacka myśl tolerancyjna w latach 1656–1772 [w:] Między barokiem a oświeceniem. Apogeum sarmatyzmu. Kultura polska drugiej połowy XVII wieku*, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, Olsztyn 1997, s. 26; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 168, 189; J. Bardach, *Sejm dawnej Rzeczypospolitej [w:] Dzieje sejmu polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 56; E. Opaliński, *Kultura polityczna szlachty polskiej*, dz. cyt., s. 47–48 (narzekania szlachty na kler), 59 (krytyka postawy protestantów na sejmie).

[230] J. Tazbir, *Państwo bez stosów*, dz. cyt., s. 191 i n.; tenże, *Szlachta i teologowie*, dz. cyt., s. 164 i n.; W. Urban, *Epizod reformacyjny*, dz. cyt., s. 69 i n.; M. Korolko, *Sarmacka myśl tolerancyjna*, dz. cyt., s. 22 i n.; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 249 i n.; A. Kraushar, *Sprawa Zygmunta Unruga. Epizod historyczny z czasów saskich 1715–1740*, t. 1–2, Gebethner i S-ka, Kraków 1890; Z. Góralski, *Urzędów obsadzanie [w:] tegoż, Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000, s. 168 i n.

[231] A. Skórska-Jarmusz, *Zbrodnia i kara w świetle wybranych listów i pamiętników drugiej połowy XVII stulecia*, „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historica”, t. 17 (2003), s. 123 i n.; J. Tazbir, *Bluźniercy, którzy uszli karze*, „Nauka”, nr 1/2011, s. 7–8; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, dz. cyt., s. 255 i n.; K. Janicki, *Kazimierz Łyszczyński. Polak, który zabił Boga*, „WP Magazyn”, 28 marca 2019 [<https://opinie.wp.pl/kazimierz-lyszczynski-polak-ktory-zabil-boga-6364246144591489a>].

[232] W. Urban, *Epizod reformacyjny*, dz. cyt., s. 74; C. Kuklo, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, DiG, Warszawa 2008, s. 222; J. Tazbir, *Państwo bez stosów*, dz. cyt., s. 209; I. Karpiński, *Krótki rys ustroju dawnej polski i poglądy na przeszłość*, nakł. autora 1887, s. 185 i n.

[233] J. Maciszewski, *W sprawie kultury szlacheckiej*, „Przegląd Historyczny”, t. 53 (1962), s. 543; S. Baczewski, *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, s. 169 i n.

[234] C. Kukło, *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, dz. cyt., s. 109 i n.; B. Kumor, *Dzieje diecezji krakowskiej do 1975 roku*, t. 4, Wydaw. Świętego Stanisława BM Biskupa Męczennika Archidiecezji Krakowskiej, Kraków 2002, s. 605; A. Wyczański, *Szlachta polska w XVI wieku*, dz. cyt., s. 40 i n.

[235] I. Hołowiński, *Homiletyka*, Wydawnictwo Dzieł Katolickich Naukowych i Rolniczych, Kraków 1859, s. 466; J. Tazbir, *Świat panów Pasków. Eseje i studia*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986, s. 257; tenże, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 108 i n.; tenże, *Szlachta i teologowie*, dz. cyt., s. 230 i n.; S. Cynarski, *Sarmatyzm — ideologia i styl życia [w:] Polska XVII wieku. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. J. Tazbir, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969, s. 241 i n.; M. Korolko, *Sarmacka myśl tolerancyjna*, dz. cyt., s. 23–24; S. Nieznanowski, *Studia i wizerunki. O poezji staropolskiej i jej badaczach*, PAX, Warszawa 1989, s. 63; s. 18 i n.; J. Dębiński, *Różne mowy publiczne seymikowe y seymowe*, Drukarnia Jasney Góry Częstochowskiej, Częstochowa 1727, s. 33 i n.

[236] A. Ryszkiewicz, *Niektóre przejawy pychy szlacheckiej w dziełach sztuki [w:] Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 167.

[237] *Wydajność rolnictwa: Zarys historii gospodarstwa wiejskiego w Polsce*, t. 2, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 1964, s. 74; E. Trzyna, *Wtórne poddaństwo [w:] Historia chłopów polskich*, t. 1: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Inglot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970, s. 369. *Udział rolnictwa w gospodarce: R. Kowalczyk, Co Napoleon Bonaparte zamierzał zrobić z Polską? [w:] Chwile przelotmu. 25 wydarzeń, które zmieniły dzieje Polski*, Bellona, Warszawa 2021, s. 237.

[238] Z. Guldon, J. Wijaczka, *Zarazy a zaludnienie i gospodarka Polski w dobie wielkiej wojny północnej [w:] Rzeczpospolita w dobie wielkiej wojny północnej*, red. J. Muszyńska, Wydawnictwo AŚ, Kielce 2001, s. 199 i n.;

J. Staszewski, *Wielka wojna północna i jej skutki*, „Czasy Nowożytnie”, t. 10 (2001), s. 11 i n.

[239] P.M. Pilarczyk, *Przedrozbiorowa Rzeczpospolita a kwestia długu publicznego*, Polski Instytut Ekonomiczny, Warszawa 2021, s. 4.

[240] J. Staszewski, *August III Sas*, Ossolineum, Wrocław 1989, s. 207 i n.; H. Olszewski, *Sejm Rzeczypospolitej epoki oligarchii 1652–1763*, Wydawnictwo UAM, Poznań 1966, s. 16; J. Maciszewski, *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 244, 269 i n.; M. Bogucka, *Dawna Polska. Narodziny, rozkwit, upadek*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1974, s. 338.

[241] J. Michalski, *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVII wieku* [w:] *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*, red. Z. Stefanowska, PWN, Warszawa 1973, s. 121 i n.; J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013, s. 128 i n.

[242] K. Janicki, *Wawel. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 469 i n.

[243] I. Węgrzyn, *Kłopotliwe dziedzictwo sarmatyzmu*, „Studia Historicolitteraria”, t. 20 (2020), s. 178.

[244] W. Czapliński, *O Polsce siedemnastowiecznej. Problemy i sprawy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966, s. 80.

[245] K. Opaliński, *Satyry*, Nakł. K. Bartoszewicza, Kraków 1884, s. 116; J. Tazbir, *Próba określenia kultury szlacheckiej w Polsce przedrozbiorowej* [w:] *Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 16.

[246] S. Grzybowski, *Sarmatyzm*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1996, s. 4; A.M. Fredro, *Przysłowia mów potocznych albo przestrogi obyczajowe, rady wojenne*, nakł. Karola Pollaka, Sanok 1855, s. 76.

[247] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce*, dz. cyt., s. 72 i n., 127 i n.; tenże, *W pogoni za Europą, Sic!*, Warszawa 1998, s. 22. Faktyczna skala eksportu zboża: J. Topolski, *Sixteenth-century Poland and European Economic Development* [w:] *A Republic of Nobles. Studies in Polish History to 1864*, red. J.K. Fedorowicz, Cambridge University Press 1982, s. 84;

A. Wyczański, *Wieś polskiego odrodzenia*, Książka i Wiedza, Warszawa 1969, s. 56 i n.

[248] W. Konopczyński, *Konfederacja barska. Przebieg, tajemne cele i jawne skutki*, t. 1-2, Zysk i S-ka, Poznań 2017; A. Grześkowiak-Krwawicz, *Czy rewolucja może być legalna? 3 maja 1791 w oczach współczesnych*, DiG, Warszawa 2011; W. Szczygielski, *Referendum trzeciomajowe. Sejmiki lutowe 1792*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1994.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Źródła i zbiory źródeł

- Cudzoziemcy o Polsce. Relacje i opinie*, t. 1-2, oprac. J. Gintel, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971.
- Cudzoziemcy w Polsce*, oprac. F.K. Liske, wyd. Gubrynowicz i Schmidt, Lwów 1876.
- Dawna facecja polska XVI-XVIII w.*, oprac. J. Krzyżanowski, K. Żukowska-Billip, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960.
- Dębiński J., *Różne mowy publiczne seymikowe y seymowe*, Drukarnia Jasney Góry Częstochowskiej, Częstochowa 1727.
- Fredro A.M., *Przysłowia mów potocznych albo przestrogi obyczajowe, rady wojenne*, nakł. Karola Pollaka, Sanok 1855.
- Frycz-Modrzewski A., *Mowy*, przekł. E. Jędrkiewicz, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954.
- Frycz-Modrzewski A., *O poprawie Rzeczypospolitej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1953.
- Gostomski A., *Gospodarstwo*, oprac. S. Inglot, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1954.
- Goślicki W., *O senatorze doskonałym księgi dwie, w których są wyjaśnione obowiązki urzędników oraz szczęśliwe życie obywateli i pomyślność*

- państwa*, tłum. T. Bieńkowski, oprac. M. Korolko, Arcana, Kraków 2000.
- Górnicki Ł., *Dworzanin polski* [w:] tegoż, *Pisma*, t. 1, oprac. R. Pollak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961.
- Haur J.K., *Oekonomika ziemiańska generalna*, druk. Krzysztofa Schedla, Kraków 1675.
- J. Przyłuski, *Prawa czyli statuty* [w:] *Filozofia i myśl społeczna XVI wieku*, oprac. Z. Ogonowski, PWN 1978.
- Jana Kochanowskiego dzieła polskie*, t. 2, oprac. J. Lorentowicz, Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Warszawa 1919.
- Jana Mrowińskiego Płoczywłosa Stadło małżeńskie 1561*, wyd. Z. Celichowski, Akademia Umiejętności, Kraków 1890.
- Kitowicz J., *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w.
- Kromer M., *Polska czyli o położeniu, ludności, obyczajach, urządach i sprawach publicznych Królestwa Polskiego księgi dwie*, tłum. S. Kazikowski, oprac. R. Marchwiński, Pojezierze, Olsztyn 1977.
- Morsztyn J.A., *Poezye oryginalne i tłomaczone*, druk. S. Lewentala, Warszawa 1883.
- Naprawa Rzeczypospolitej do elekcyi nowego króla*, oprac. J. Turowski, Wydawnictwo Biblioteki Polskiej, Kraków 1859.
- Niektóre poezye Andrzeja i Piotra Zbylitowskich*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1860.
- Opaliński K., *Satyry*, Nakł. K. Bartoszewicza, Kraków 1884.
- Orzechowski S., *Policyja Królestwa Polskiego na kształt Arystotelesowych Polityk wypisana i na świat dla dobra pospolitego trzema księgami wydana*, oprac. J. Starnawski, Krajowa Agencja Wydawnicza, Przemysł-Rzeszów 1984.
- Orzechowski S., *Wybór pism*, oprac. J. Starnawski, Ossolineum, Wrocław 1972.
- Pamiętniki Marcina Matuszewicza 1714–1765*, t. 1–2, oprac. A. Pawiński, Gebethner i Wolff, Warszawa 1876.
- Paprocki B., *Dziesięcioro przykazanie mężowo, które każda poczciwa a cnotliwa małżonka ma mieć*, druk. M. Wirzbięta, Kraków 1575.

- Paprocki B., *Gniazdo Cnoty, Zkąd Herby Rycerstwa sławnego Krolestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Litewskiego, Ruskiego, Pruskiego, Mazowieckiego, Zmudzkiego y inszych Państw do tego Krolestwa należących Książat, y Panow, początek swoy maią*, druk. Andrzeja Piotrkowczyka, Kraków 1578.
- Paprocki B., *Herby rycerstwa polskiego na pięcioro xiąg rozdzielone*, druk. Macieja Garwolczyka Kraków 1584.
- Pasek J.C., *Pamiętniki*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w.
- Petrycy S., *Przydatki do Etyki Arystotelesowej*, oprac. W. Wąsik, PWN, Warszawa 1956.
- Poczobut-Odlanicki J.W., *Pamiętnik 1640–1684*, oprac. A. Rachuba, Czytelnik, Warszawa 1987.
- Potocki W., *Dzieła*, t. 1–3, oprac. L. Kukulski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.
- Potocki W., *Ogród fraszek*, t. 1–2, Towarzystwo dla Popierania Nauki Polskiej, Lwów 1907.
- Potocki W., *Wiersze wybrane*, oprac. S. Grzeszczuk, Ossolineum, Wrocław 1992.
- Radziwiłł A.S., *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2: 1637–1646, oprac. A. Przyboś, R. Żelewski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980.
- Rej M., *Żywot człowieka poczciwego*, oprac. K.J. Turowski, Biblioteka Polska, Kraków 1859.
- Rotundus-Mielecki A., *Rozmowa Polaka z Litwinem o wolności. 1564*, wyd. J. Korzeniowski, druk. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1890.
- Rzewuski H., *Pamiętki Soplicy*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w.
- Sajkowski A., *Staropolska miłość. Z dawnych listów i pamiętników*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1981.
- Sęp Szarzyński M., *Poezje*, oprac. J.S. Gruchała, Universitas, Kraków 1998.
- Skarga P., *Kazania o Siedmiu Sakramentach Kościoła Świętego Katholickiego*, Drukarnia Akademicka w Wilnie, Wilno 1737.

- Skarga P., *Kazania sejmowe*, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa b.d.w.
- Stanisława Słupskiego z Rogowa zabawy orackie 1618 i Władysława Jeżowskiego *Oekonomia 1638*, oprac. J. Rostafiński, Kruk. C.k. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1891.
- Staropolska poezja ziemiańska. Antologia*, oprac. J. Gruchała, S. Grzeszczuk, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.
- Starowolski S., *Polska, albo opisanie położenia Królestwa Polskiego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976.
- Starowolski S., *Świątница pańska zamykająca w sobie kazania na uroczystości świąt całego roku*, druk. Jerzego i Mikołaja Schedlów, Kraków 1682.
- Trepka W.N., *Liber generationis plebeanorum („Liber chamorum”)*, cz. 1, Zakład Narodowy im. Ossolińskich/Polska Akademia Nauk, Wrocław 1963.

Literatura przedmiotu

- Althoen D.M., *That Noble Quest. From True Nobility to Enlightened Society in the Polish-Lithuanian Commonwealth, 1550–1830*, t. 1, University of Michigan 2000.
- Augustyniak U., *Informacja i propaganda w Polsce za Zygmunta III*, PWN, Warszawa 1981.
- Augustyniak U., *Racje i emocje w staropolskiej polityce*, „Przegląd Humanistyczny”, t. 23 (1979).
- Axer J., *Łacina jako drugi język narodu szlacheckiego Rzeczypospolitej [w:] Łacina jako język elit*, rec. J. Axer, DiG, Warszawa 2004.
- Axerowa A., *Niespodzianki dwujęzyczności szlacheckiej. Pasek jako orator*, „Pamiętnik Literacki”, 2/2007.
- Baczewski S., *Szlachectwo. Studium z dziejów idei w piśmiennictwie polskim. Druga połowa XVI wieku — XVII wiek*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009.

- Bardach J., Leśnodorski B., Pietrzak M., *Historia ustroju i prawa polskiego*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998.
- Bardach J., *Sejm dawnej Rzeczypospolitej* [w:] *Dzieje sejmu polskiego*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997.
- Bartoszewicz K., *Bartosza Paprockiego „Dziesięcioro przykazań mężowó”* [w:] tegoż, *Szkice i portrety literackie*, Gebethner i Wolff, Kraków 1930.
- Bebłowski A., *Herby i heraldyka. Krótki informator*, Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa 2000.
- Bednaruk W., *Magnaccy reprezentanci województwa lubelskiego w sejmie okresu stanisławowskiego*, „Teki Komisji Prawniczej PAN Oddział w Lublinie”, t. 9 (2016).
- Bednaruk W., *Trybunał koronny. Szlachecki sąd najwyższy w latach 1578–1794*, Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa KUL, Lublin 2008.
- Bockenheim K., *Dworek, kontusz, karabela*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2002.
- Bogucka M., *Białogłowa w dawnej Polsce. Kobieta w społeczeństwie polskim XVI–XVIII wieku na tle porównawczym*, Trio 1998.
- Bogucka M., *Gest w kulturze szlacheckiej*, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. 26 (1981).
- Bogucka M., *Kultura sarmatyzmu w Polsce XVI–XVII wieku*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2016.
- Bogucka M., Samsonowicz H., *Dzieje miast i mieszczaństwa w Polsce przedrozbiorowej*, Ossolineum 1986.
- Bogucki A., *Etymologie polskich nazw rycerstwa* [w:] *Pielgrzymi, pogrobowcy, prebendarze*, red. B. Śliwiński, Muzeum Zamkowe, Malbork 2009.
- Borucki M., *Jak w dawnej Polsce królów obierano*, Ludowa Spółka Wydawnicza, Warszawa 1976.
- Brückner A., *Dzieje kultury polskiej*, t. 1, Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków 1930.
- Brückner A., *Dzieje kultury polskiej*, t. 2, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1939.

- Bystroń J., *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 1–2, Księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa [1933].
- Bystroń J., *Nazwiska polskie*, nakł. K.S. Jakubowskiego, Kraków 1927.
- Choińska-Mika J., *Między społeczeństwem szlacheckim a władzą. Problemy komunikacji, społeczności, władza w epoce Jana Kazimierza*, Neriton, Warszawa 2002.
- Choińska-Mika J., *Obywatele u władzy. Narodziny, rozkwit i zmierzch szlacheckiej republiki*, „Klio”, t. 26 (2013).
- Choińska-Mika J., *Sejmiki mazowieckie w dobie Wazów*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- Chramiec M., *Geneza szabli w ujęciu typologicznym na tle bronioznawstwa polskiego* [w:] *Szable w dłoń. Szermierka szablą jako polskie dziedzictwo narodowe*, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2018.
- Chwalba A., Harpula W., *Cham i pan. A nam, prostym, zewsząd nędza?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.
- Cynarski S., *Sarmatyzm — ideologia i styl życia* [w:] *Polska XVII wieku. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. J. Tazbir, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969.
- Czapliński W., *O kulturze szlacheckiej z innego punktu widzenia* [w:] *Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976.
- Czapliński W., *O Polsce siedemnastowiecznej. Problemy i sprawy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966.
- Czapliński W., *Rola sejmów XVII w. w kształtowaniu się kultury politycznej* [w:] *Dzieje kultury politycznej w Polsce*, red. J. Gierowski, PWN, Warszawa 1977.
- Czapliński W., *Sejm w latach 1587–1696* [w:] *Historia sejmu polskiego*, t. 1: *Do schyłku szlacheckiej Rzeczypospolitej*, red. J. Michalski, PWN, Warszawa 1984.
- Czarnecki T., *Szlachta. Studia o pochodzeniu historycznego terminu prawnego*, Wydawnictwo Naukowe Instytutu Kulturologii i Lingwistyki Antropocentrycznej UW, Warszawa 2014.

- Czernik S., *Z życia pańszczyźnianego w XVII wieku*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1955.
- Dymek B., *Z dziejów szlachty mazowieckiej. Dziedzictwo kulturowe i stereotyp*, Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej im. Jana Kochanowskiego, Kielce 2005.
- Ekes J., *Złota demokracja*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 1987.
- Filipczak-Kocur A., *Skarbowość Rzeczypospolitej 1587–1648*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2006.
- Gloger Z., *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, t. 1–4, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972.
- Godlewski Ł., *Spory szlachty o dziesięciny i jurysdykcję duchownych na sejmach egzekucyjnych 1562–1565*, „Białostockie Teki Historyczne”, t. 2 (2013).
- Godlewski Ł., *Szlachta a duchowieństwo podczas panowania Zygmunta Starego*, „Białostockie Teki Historyczne”, t. 12 (2014).
- Golec D., *Zajazdy na Kujawach w XVII i XVIII wieku*, „Przegląd Historyczny”, t. 73 (1982).
- Gołaszewski Ł., *Konflikty o dziesięciny w dawnej Rzeczypospolitej. Aspekty prawne i społeczne na przykładzie parafii Kobylin na przełomie XVI–XVII wieku*, praca doktorska obroniona na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, 2021.
- Goźdz-Roszkowski K., *O obowiązku rozdawania skonfiskowanych dóbr ziemskich w ustawodawstwie polskim XVII–XVIII wieku*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 5 (2000).
- Goźdz-Roszkowski K., *Z badań nad nietykalnością majątkową polskiej szlachty. Postanowienia przywilejów z lat 1386–1454*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 10 (2007).
- Góralski Z., *Encyklopedia urzędów i godności w dawnej Polsce*, Książka i Wiedza, Warszawa 2000.
- Grodziski S., *Obywatelstwo w szlacheckiej Rzeczypospolitej*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego”, t. 67 (1963).
- Grześkowiak A., *Republikanizm szlachecki Rzeczypospolitej Obojga Narodów*, „Myśl Polityczna”, nr 2/2020.

- Grzybowski S., *Sarmatyzm*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1996.
- Guzowski P., *Rodzina szlachecka w Polsce przedrozbiorowej. Studium demograficzne*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2019.
- Hensel L., *Kultura szlachecka w Europie środkowo-wschodniej w I połowie XVIII wieku*, Ossolineum/PAN, Wrocław 1986.
- Ilski Z., *Wzór systemu wyborczego Polski przedrozbiorowej (XV–XVIII wiek)*, „Studia Wyborcze”, t. 24 (2017).
- Janicki K., *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021.
- Januszek-Sieradzka A., *The Crown Sejm in the Jagiellonian Era (1386–1572). The Birth, Development, „Golden Age”*, „The Sejm Review”, nr 6/2021.
- Kahl E., *Wychowanie dziecka w rodzinie szlacheckiej w XVI i XVII wieku*, „Wychowanie w Rodzinie”, t. 1 (2011).
- Kalinowski E., *Pospolite ruszenie szlachty ziemi bielskiej — zarys problematyki*, „Bielski Almanach Historyczny”, t. 2 (2017).
- Kamler M., *Przemoc między szlachtą sieradzką w XVII wieku*, Aspra-JR, Warszawa 2011.
- Kamler M., *Przemoc między szlachtą w Polsce w XVII w. — zjawisko masowe?*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 121 (2014).
- Kersten A., *Warstwa magnacka — kryteria przynależności [w:] Magnateria polska jako warstwa społeczna*, red. W. Czapliński, A. Kersten, Polskie Towarzystwo Historyczne, Toruń 1975.
- Klint P., *Sztuka skutecznego przekonywania w szlacheckich protestach sądowych z Wielkopolski w XVII wieku [w:] Społeczeństwo staropolskie, seria nowa*, t. 2, red. A. Karpiński, DiG, Warszawa 2009.
- Konopczyński W., *Liberum veto. Studium porównawczo-historyczne*, Krakowska Drukarnia Nakładowa, Kraków 1918.
- Kopczyński M., *Podatki w Rzeczypospolitej Obojga Narodów*, „Mówią Wieki”, nr 8/2019.

- Korolko M., *Sarmacka myśl tolerancyjna w latach 1656–1772* [w:] *Między barokiem a oświeceniem. Apogeum sarmatyzmu. Kultura polska drugiej połowy XVII wieku*, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, Olsztyn 1997.
- Korytko A., *Sejm pierwszej połowy XVII wieku — bilans sukcesów i porażek*, „Echa Przeszłości”, t. 20 (2019).
- Kosman M., *Protestanci i kontrreformacja. Z dziejów tolerancji w Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku*, Ossolineum, Wrocław 1978.
- Kot S., *Urok wsi i życia ziemiańskiego w poezji staropolskiej*, Dom Książki Polskiej, Warszawa 1937.
- Kowalski M., *Księstwa Rzeczypospolitej. Państwo magnackie jako region polityczny*, Instytut Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania im. Stanisława Leszczyckiego, Warszawa 2013.
- Kriegseisen W., *Zmierzch staropolskiej polityki, czyli o niektórych cechach szczególnych polskiej kultury politycznej przełomu XVII i XVIII wieku* [w:] *Zmierzch kultury staropolskiej. Ciągłość i kryzysy (wieki XVII–XIX)*, red. U. Augustyniak, A. Karpiński, Semper, Warszawa 1997.
- Kruk-Siwiec J., *O niejednoznaczności gatunkowej Liber chamorum Waleriana Nekandy Trepki* [w:] *Nihil sine litteris*, red. T. Nastulczuk, S. Siess-Krzyszczkowski, Wydawnictwo UJ, Kraków 2017.
- Krzywy R., *Proteus i Tyrezyjas polski — zapomniany wiesz publicystyczny z 1592 roku* [w:] *Miscellanea literackie i teatralne (od Kochanowskiego do Mrożka)*, red. K. Płachcińska, M. Kuran, cz. 1, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2010.
- Krzywy R., *Sielskie bytowanie szlachty a stanowe powinności rycerskie w świetle staropolskiej poezji ziemiańskiej*, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. 65 (2021).
- Kuchowicz Z., *Miłość staropolska. Wzory, uczuciowość, obyczaje erotyczne*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1982.
- Kuchowicz Z., *Z dziejów obyczajów polskich w wieku XVII i pierwszej poł. XVIII*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1959.
- Kukło C., *Demografia Rzeczypospolitej przedrozbiorowej*, DiG, Warszawa 2008.

- Kuligowski W., *Chamska historia Polski. Tezy i antytezy*, „Czas Kultury”, nr 3 (2016).
- Kultura Wielkiego Księstwa Litewskiego. Analizy i obrazy*, red. V. Alisauskas, L. Jovaisa, M. Paknys i in., Universitas, Kraków 2006.
- Kunicki-Goldfinger M., *Aktywność polityczna szlachty w Koronie w drugiej połowie XVII wieku. Na podstawie danych pochodzących ze źródeł sejmikowych i podatku pogłównego. Badania wstępne*, „Miscellanea Historico-Archivistica”, t. 12 (2000).
- Kurdybacha Ł., *Staropolski ideał wychowawczy*, Księgarnia A. Krawczyńskiego, Lwów 1938.
- Kuś A., *Cło i postępowanie celne w Polsce przedrozbiorowej*, „Roczniki Nauk Prawnych”, t. 12 (2002).
- Kwaśniewicz W., *Dzieje szabli w Polsce*, Bellona, Warszawa 1999.
- Laszuk A., *Szlachta w województwie krakowskim w świetle rejestrów pogłównego z 1662 roku*, „Przegląd Historyczny”, t. 79 (1988).
- Leszczyński A., *Ludowa historia Polski*, W.A.B., Warszawa 2020.
- Leszczyński J., *Siedemnastowieczne sejmiki a kultura polityczna szlachty* [w:] *Dzieje kultury politycznej w Polsce*, red. J. Gierowski, PWN, Warszawa 1977.
- Letkiewicz E., *Leges sumptuariae. Ustawy przeciw zbytkom w dawnej Polsce*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Artes”, t. 3/4 (2005/2006).
- Lewandowska-Malec I., *Sejm walny koronny Rzeczypospolitej Obojga Narodów i jego dorobek ustawodawczy (1587–1632)*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2009.
- Lewandowska-Malec I., *Sejmy rozerwane i zerwane w XVII stuleciu*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 12 (2009).
- Lityński A., *Samorząd szlachecki w Polsce XVII–XVIII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 99 (1992).
- Łepkowski T., *Polska — narodziny nowoczesnego narodu 1764–1870*, PTPN, Poznań 2003.
- Łojko J., *Średniowieczne herby polskie*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1985.

- Łopatecki K., *Organizacja, prawo i dyscyplina w polskim i litewskim pospolitym ruszeniu (do połowy XVII wieku)*, Instytut Badań nad Dziedzictwem Kulturowym Europy, Białystok 2013.
- Łoziński W., *Prawem i lewem*, t. 1: *Czasy i ludzie*, Księgarnia H. Altenberga 1904.
- Łoziński W., *Życie polskie w dawnych wiekach*, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa 1934.
- Maciszewski J., *Szlachta polska i jej państwo*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986.
- Maliszewski K., *Między dewizą Carpe Diem a Ideą Vanitas. Zabawa i rozrywka jako ważny komponent sarmackiego obyczaju i stylu życia [w:] Z szabłą i kielichem, czyli życie po sarmacku*, red. J. Tazbir, S. Zagorski, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2015.
- Markiewicz M., *Demokracja szlachecka, oligarchia magnacka — z dziejów pewnych pojęć [w:] Między barokiem a oświeceniem. Apogeum sarmatyzmu. Kultura polska drugiej połowy XVII wieku*, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, Olsztyn 1997.
- Marszałek P.K., *Problemy wojska i obronności w pracach polskiego Sejmu Walnego [w:] Zgromadzenia stanowe i organy przedstawicielskie w dziejach*, red. J. Koredczuk, P. Wiązek, Prawnicza i Ekonomiczna Biblioteka Cyfrowa, Wrocław 2020.
- Matuszewski J., *Ewolucja nazwisk polskich [w:] tegoż, Pisma wybrane*, t. 3, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2001.
- Matuszewski J., *Geneza polskiego chama. Studium semazjologiczne*, Uniwersytet Łódzki, Łódź 1982.
- Matuszewski J., *Główszczyzna chłopska i szlachecka [w:] tegoż, Pisma wybrane*, t. 2, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2000.
- Matuszewski J., *Nagana szlachectwa w Polsce w XV i XVI wieku*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego: Nauki Humanistyczno-Społeczne”, t. 77 (1971).
- Matuszewski J., *Polskie nazwisko szlacheckie*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1975.

- Matuszewski J., *Problem konfiskaty dóbr szlacheckich w dawnej Polsce* [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, t. 2, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2000.
- Matuszewski J., *Przywileje i polityka podatkowa Ludwika Węgierskiego w Polsce*, Uniwersytet Łódzki 1983.
- Matuszewski J., *Tytułomania szlachecka w świetle patronimików odurzędniczych* [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, t. 3, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2001.
- Mączak A., *Jedyna i nieporównywalna? Kwestia odrębności Rzeczypospolitej w Europie XVI–XVII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 100 (1993).
- Meyer S., *Typy szabel polskich*, „Broń i Barwa”, t. 4 (1934).
- Michalski J., *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVII wieku* [w:] *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*, red. Z. Stefanowska, PWN, Warszawa 1973.
- Michta J., *Nobilitacja i indygenat w szlacheckiej Rzeczypospolitej*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Historia”, t. 45 (1990).
- Moniuszko A., *Prawo sądowe Rzeczypospolitej szlacheckiej (XVI–XVIII w.)*, Campidoglio, Podkowa Leśna 2017.
- Moniuszko A., *Przestępstwa przeciw życiu i zdrowiu przed płockim sądem ziemskim pod koniec XVI stulecia* [w:] *Spółczesność staropolskie, seria nowa*, t. 2, red. A. Karpiński, DiG, Warszawa 2009.
- Nadolski B., *Naprawa Rzeczypospolitej Jakuba Przyłuskiego z 1553 r.* [w:] *Andrzej Frycz Modrzewski i problemy kultury polskiego odrodzenia*, red. T. Bieńkowski, Ossolineum, Wrocław 1974.
- Napiórkowski M., *Mit sarmackiego mitu* [w:] *Z szablą i kielichem, czyli życie po sarmacku*, red. J. Tazbir, S. Zagorski, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2015.
- Nowak-Jamróz E., *Nad mitami warszawskiej konfederacji*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 4 (1999).
- Nowicka-Jeżowa A., *Barok polski między Europą a Sarmacją. Część pierwsza: Profile i zarys całości*, Neriton, Warszawa 2009.

- Ochmann S., *Sejmy lat 1661–1662. Przegrana batalia o reformę ustroju Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1977.
- Ochmann-Staniszevska S., *Sejm Rzeczypospolitej za panowania Jana Kazimierza Wazy. Prawo — doktryna — praktyka*, t. 2, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2000.
- Opaliński E., *Kultura polityczna szlachty polskiej w latach 1587–1652*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1995.
- Opaliński E., *Sejm srebrnego wieku 1587–1652. Między głosowaniem większościowym a liberum veto*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2001.
- Orzeł J., *Historia — tradycja — mit w pamięci kulturowej szlachty Rzeczypospolitej XVI–XVIII wieku*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2016.
- Orzeł J., *W poszukiwaniu antenatów — o mitach początku narodu i rodu w kulturze szlacheckiej* [w:] *Sarmacka pamięć. Wokół bitwy pod Wiedniem*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014.
- Paszyński W., *Czarna legenda Nowych Aten Benedykta Chmielowskiego i próby jej przewyciężenia*, „Prace Historyczne”, t. 141 (2014).
- Paulowa S., *Mikołaj Rej w świetle akt sądowych*, „Kalendarz Lubelski” t. 18 (1975).
- Pawiński A., *Rządy sejmikowe w Polsce 1572–1795 na tle stosunków województw kujawskich*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978.
- Plewczyński M., *Wojny i wojskowość XVI wieku*, t. 1–3, Inforteditions, Zabrze 2012–2014.
- Polak W., *O dobro wspólne i egzekucję praw. Sejm 1565 roku w Piotrkowie*, Adam Marszałek, Toruń 2004.
- Polaszewski L., *Szlachta Wielkopolski na podstawie rejestrów pogłównego z lat 1673–1676* [w:] *Spółeczeństwo staropolskie*, t. 3, red. A. Wyczański, PWN, Warszawa 1983.
- Portret trumienny. Studia i materiały*, red. A. Jankowski, B.M. Gawęcka, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2020.

- Posłowie ziemscy koronni 1493–1600*, oprac. W. Uruszczak i in., Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2013.
- Puchowski K., *Jezuickie kolegia szlacheckie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Studium z dziejów edukacji elit*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2007.
- Pugacewicz I.H., *Porządek sąsiedzki przemocą regulowany. O organizacji i funkcjach zajazdu w II. poł. XVII i w XVIII wieku*, „Białostockie Teki Historyczne”, t. 4 (2006).
- Raspond S., *O nazwiskach na -ski*, „Poradnik Językowy”, nr 1/1966.
- Rauszer M., *Chłop-niewolnik? Pańszczyzna w perspektywie antropologii historii*, „Lud”, t. 101 (2017).
- Rosa W., *Przemiany ustrojowe jako przyczyna anarchizacji porządku prawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej*, „Młoda Humanistyka”, t. 6 (2016).
- Rostworowski E., *Ilu było w Rzeczypospolitej obywateli szlachty*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 94 (1987).
- Rozzak S., *Archiwa sarmackiej pamięci. Funkcje i znaczenie rękopiśmiennych ksiąg silva rerum w kulturze Rzeczypospolitej XVIII wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika 2004.
- Rozzak S., *Sarmatów obraz własny. Egodokumenty szlacheckie XVII i XVIII wieku [w:] Sarmacka pamięć. Wokół bitwy pod Wiedniem*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014.
- Rutkowski J., *Co to były folwarki w dawnej Polsce? [w:] tegoż, Wieś europejska późnego feudalizmu*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.
- Rutkowski J., *Przebudowa wsi w Polsce po wojnach z połowy XVII wieku [w:] Studia z dziejów wsi polskiej XVI–XVIII w.*, oprac. W. Kula, PWN, Warszawa 1956.
- Rybarski R., *Skarb i pieniądz za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III*, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Warszawa 1939.
- Ryszkiewicz A., *Niektóre przejawy pychy szlacheckiej w dziełach sztuki [w:] Tradycje szlacheckie w kulturze polskiej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976.

- Samsonowicz H., *Sarmacja i Sarmaci — w poszukiwaniu starożytnego rodowodu* [w:] *Z szablą i kielichem, czyli życie po sarmacku*, red. J. Tazbir, S. Zagorski, Oficyna Wydawnicza Stopka, Łomża 2015.
- Semkowicz W., *Nagana i oczyszczenie szlachectwa w Polsce XIV i XV wieku*, Lwów 1899.
- Sikora R., *Fenomen husarii. Chwała polskiego oręza*, Instytut Wydawniczy Erica, Warszawa 2013.
- Sobotka R., *Między monarchią stanową a demokracją szlachecką. Znaczenie przywilejów nieszawskich w periodyzacji dziejów Polski*, „Zeszyty Prawnicze UKSW”, t. 4 (2011).
- Spieralski Z., *Wymiar służby w pospolitym ruszeniu*, „Studia i materiały do historii wojskowości”, t. 6 (1960).
- Spychalska D., *Polskie portrety trumienne*, „Cenne, bezcenne, utracone”, nr 1/1997.
- Stone G., *Formy adresatywne języka polskiego w osiemnastym wieku*, „Język Polski”, t. 69 (1989).
- Stuchlik-Surowiak B., *Obraz małżeństwa w „antyfeministycznych” utworach Bartosza Paprockiego na tle obyczajowych, religijnych oraz literackich zjawisk XVI i pierwszej połowy XVII wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2016.
- Sucheni-Grabowska A., *Monarchia dwu ostatnich Jagiellonów a ruch egzekucyjny*, cz. 1: *Egzekucja dóbr*, Ossolineum, Wrocław 1974.
- Sucheni-Grabowska A., *Przeobrażenia ustrojowe od Kazimierza Wielkiego do Henryka Walezego* [w:] *Tradycje polityczne dawnej Polski*, red. A. Sucheni-Grabowska, A. Dybkowska, Editions Spotkania, Warszawa 1993.
- Sucheni-Grabowska A., *Walka o demokrację szlachecką* [w:] *Polska w epoce odrodzenia. Państwo, społeczeństwo, kultura*, red. A. Wyczański, Wiedza Powszechna, Warszawa 1970.
- Szulc T., *Praktyka indygenacyjna w szlacheckiej Rzeczypospolitej w świetle konstytucji sejmowych i instrukcji sejmikowych w latach 1588–1793*, „Studia Prawno-Ekonomiczne”, t. 115 (2020).

- Szymański J., *Indygenat czy nobilitacja*, „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Historia”, t. 26 (1992).
- Świętochowski A., *Historia chłopów polskich*, Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań 1928.
- Tazbir J., *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikty*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2013.
- Tazbir J., *Państwo bez stosów. Szkice z dziejów tolerancji w Polsce XVI i XVII wieku*, Iskry, Warszawa 2009.
- Tazbir J., *Rzeczpospolita i świat. Studia z dziejów kultury XVII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1971.
- Tazbir J., *Spółeczny i terytorialny zasięg polskiej reformacji*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 82 (1975).
- Tazbir J., *Szlachta i teologowie. Studia z dziejów polskiej kontrreformacji*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1987.
- Tazbir J., *Świat panów Pasków. Eseje i studia*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986.
- Tazbir J., *Wzorce osobowe szlachty polskiej w XVII wieku*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 83 (1976).
- Topolski J., *Nowsze badania nad szlachtą wielkopolską [w:] Kultura — polityka — dyplomacja*, red. A. Bartnicki i in., PWN, Warszawa 1990.
- Topolski J., *Rzeczpospolita Obojga Narodów 1501–1795*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015.
- Trzyna E., *Wtórne poddaństwo [w:] Historia chłopów polskich*, t. 1: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Inglot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970.
- Turnau I., *Ubiór narodowy w dawnej Rzeczypospolitej*, Semper, Warszawa 1991.
- Ulewicz T., *Sarmacja. Studium z problematyki słowiańskiej XV i XVI wieku*, Collegium Columbinum, Kraków 2006.
- Urban W., *Epizod reformacyjny*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1998.
- Uruszczak W., *Najstarszy sejm walny koronny „dwuizbowy” w Piotrkowie w 1468 roku*, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2018.

- Uruszczak W., *Prawo celem polityki w Polsce Jagiellonów*, „Krakowskie Studia z Historii Państwa i Prawa”, t. 7 (2014).
- Uruszczak W., *Sejm walny koronny w latach 1506–1540*, PWN, Warszawa 1980.
- Uruszczak W., *Species privilegii sunt due, unum generale, aliud speciale. Przywileje w dawnej Polsce*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, t. 11 (2007).
- Węgrzyn I., *Kłopotliwe dziedzictwo sarmatyzmu*, „Studia Historicolitteraria”, t. 20 (2020).
- Wierzbicki L.A., *Pospolite ruszenie w Polsce w drugiej połowie XVII wieku. Ostatnie wyprawy z lat 1670–1672*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2011.
- Wierzbicki L.A., *Wici na pospolite ruszenie w Koronie w latach 1669–1673*, „Res Historica”, t. 26 (2008).
- Windakiewicz S., *Poezja ziemiańska*, Gebethner i Wolff, Kraków 1938.
- Winnyczenko O., *Rodzice, krewni i powinowaci a pamięć rodowa szlachty województwa ruskiego w XVII wieku (w świetle akt sejmikowych deductionis nobilitatis)*, t. 6 (2014).
- Wiśniewska L., *Sarmatyzm w nowych odśłonach. Sarmacki mit w świetle wybranych przykładów literatury współczesnej [w:] Sarmacka pamięć. Wokół bitwy pod Wiedniem*, Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, Warszawa 2014.
- Wokół wolnych elekcji w państwie polsko-litewskim XVI–XVIII wieku*, red. M. Markiewicz, D. Rolnik, F. Wolański, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2016.
- Wyczański A., *Polska Rzeczą Pospolitą szlachecką*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1965.
- Wyczański A., *Studia nad folwarkiem szlacheckim w Polsce w latach 1500–1580*, PWN, Warszawa 1960
- Wyczański A., *Szlachta polska w XVI wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2001.
- Wyczański A., *Średnia szlachta i jej rola w kulturze polskiej XVI wieku [w:] Jan Kochanowski 1584–1984. Epoka — twórczość — recepcja*, red. J.

- Pelc, P. Buchwald-Pelcowa, B. Otwinowska, t. 1, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1989.
- Wyczański A., *Wieś polskiego odrodzenia*, Książka i Wiedza, Warszawa 1969.
- Wyrobisz A., *Staropolskie wzorce rodziny i kobiety — żony i matki*, „Przegląd Historyczny”, t. 83 (1992).
- Zajączkowski A., *Szlachta polska. Kultura i struktura*, Semper, Warszawa 1993.
- Żukowska E.A., *Sarmacja i sarmatyzm w kulturze polskiej XVII stulecia w świetle opinii badaczy*, „Roczniki Humanistyczne”, t. 52 (2004).
- Żytkowicz L., *Okres gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej (XVI–XVIII w.)* [w:] *Historia chłopów polskich*, t. I: *Do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej*, red. S. Inglot, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1970.